

S. R. MASTERS

**NIGDY**

**SIĘ NIE**

**DOWIESZ**

Teraz zagramy w Poświęcenie.

Kto przegra, ten ginie...

S.R. MASTERS

# **NIGDY SIĘ NIE DOWIESZ**

Z języka angielskiego przełożyła  
Monika Wiśniewska



**NIGDY**  
SIĘ NIE  
**DOWIESZ**



## Spis treści

### Część I. Jestem przekonany, że nostalgia to choroba

Zima 2015

Adeline, 1997

Zima 2015

Adeline, 1997

Zima 2015

Rupesh, 1997

Zima 2015

Jen, 1997

Zima 2015

Steve, 1998

Zima 2015

Will, 1998

Zima 2015

### Część II. Dlaczego ta gra nazywa się Poświęcenie?

Zima 2015

Adeline, 1998

Zima 2015

Rupesh, 1998

Zima 2015

Jen, 1998

Zima 2015

### Część III. Czas bywa przerażający, kiedy zwraca się na niego uwagę

Will, 1998

Zima 2015

Steve, 1998

Zima 2015

### Część IV. Jedynie cienie za nami czekające

Adeline, 1998

Zima 2015

Steve, 1998

[Zima 2015](#)

[Will, 1998](#)

[Zima 2015](#)

[Steve, 1998](#)

[Zima 2015](#)

[Adeline, 1998](#)

[Później](#)

[Przypisy](#)

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Wszystko zaczęło się tego wieczoru, kiedy Will nam powiedział, że zamierza zostać seryjnym zabójcą.

– Okej, już wiem, kim chcę być – oświadczył, skupiając na sobie naszą uwagę.

Odpowiadał na zadane pytanie jako ostatni, a to znaczyło, że wkrótce opuścimy zarośla wokół słupa wysokiego napięcia znajdującego się pomiędzy naszą wsią a sąsiednią i wyruszymy w drogę powrotną.

Co będziecie robić za szesnaście lat?

Wszystko powoli zbliżało się ku końcowi: wieczór, lato, ognisko, wokół którego usadowiła się nasza piątka. Większość z nas w duchu chciała, aby to się ciągnęło dalej, może nawet bez końca, choć się zarzekaliśmy, że ekscytują nas tajemnice dorosłości. Żadne z nas nie wierzyło, że jeszcze kiedyś może być tak dobrze jak teraz, bez względu na problemy z rodzicami czy sobą nawzajem. Wyjątek stanowił chyba tylko Will, który siedział i palił trawkę swojego brata, podczas gdy reszcie zależało jedynie na tym, żeby się upić. Will – wykorzystujący tę chwilę prawdy, której dramatyzm potęgował dym ze skręta. Kto wie, co się działo w jego głowie? Może rzeczywiście uważał, że przyszłość okaże się lepsza niż teraźniejszość.

– Trzeba zabić co najmniej trzy osoby, żeby być seryjnym zabójcą, no nie? – zapytał, a jego głęboki głos wypełnił kopułę światła, którą utworzyły wokół nas płomienie. – Tak zrobię.

Dawniej coś takiego byłoby zabawne – klasyczny Will, co za dziwak. Inni tak to odebrali. Mnie jednak wszystko w tym chłopaku wydawało się złowieszcze, począwszy od tego, co mówił, a skończywszy na tym, w jaki sposób półmrok skrywał jego twarz. Dla mnie od zawsze jego życie stanowiło zupełnie inny świat, ale ten świat nigdy dotąd nie był przerażający. Po tym, co dane mi

było oglądać w ciągu kilku ostatnich tygodni tego lata, wcale nie było mi do śmiechu.

– Może to nie będzie dokładnie za szesnaście lat – kontynuował Will – ale kiedyś w przyszłości. Zabiję troje ludzi, zupełnie ze sobą niezwiązanych. Żeby mnie nie złapano, zrobię to tak, by wyglądało na samobójstwa. Inne sposoby, inne miejsca, takie, których nie będziecie się spodziewać.

Zaśmiał się, a mną wstrząsnął dreszcz. I nie tylko dlatego, że ogień powoli dogasał.

– Kiedyś w styczniu zniknę na cały rok i nikt nie będzie wiedział, co się w tym czasie ze mną dzieje.

Inni zaczęli zadawać pytania, żartować, głodni dalszych informacji.

– Gdzie ich zabijesz?

– Naprawdę myślisz, że ujdzie ci to na sucho?

– Jak to zrobisz?

Przy wtórze pijackiego rechotu i aplauzu Will przedstawił ponure szczegóły. Brzmiało to tak, jakby improwował.

Moją uwagę zwrócił jakiś szelest. I przysięgam, że mniej więcej trzy metry za Willem, tam, gdzie beton łączył się z wysoką trawą i chwastami, mignęła mi czyjaś sylwetka. Chwilę później już jej nie było. Może to tylko złudzenie i gra księżycowego światła. A może za dużo alkoholu pomieszanego ze złymi przecuciami.

– A kiedy skończę – ciągnął Will – wrócę do tego, czym się zajmowałem do tej pory. Będę chodził do klubów i nawalał się jak cała reszta. Nikt, kto poprosi mnie o sporządzenie raportu czy zatańczy obok mnie, nie będzie o tym wiedział. Ale ja będę. To wystarczy. Ja będę wiedział i wy też, o ile to zapamiętacie. A coś mi mówi, że zapamiętacie.

Nie mylił się.

# Część I

Jestem przekonany,  
że nostalgia to choroba



## Zima 2015

*...gdybyście zdjęli różowe okulary, myślę, że oboje odebralibyście ten film takim, jaki jest.*

Zgasiałam silnik, ale pozwoliłam, aby podcast leciał dalej, i na wpół tylko słuchałam własnego głosu dochodzącego z samochodowych głośników. Z miejsca, w którym zaparkowałam, aneks kuchenny rodziców wyglądał jak czekający na aktorów plan zdjęciowy. Na ścianie powiesili dziwne obrazy i zupełnie pozmieniali kolorystykę. Zniknęła farba w odcieniu musztardowym, a zamiast niej jakiś dekorator wewnątrz zdetonował bombę magnoliową. Zegar na desce rozdzielczej pokazywał dwudziestą pierwszą dwanaście. Za późno? Pewnie tak. Oby. Na pewno jeszcze nie spali, bo tato nigdy nie zostawiał zapalonego światła.

*Okej, Xan, Jon, myślę, że pora zdecydować, czy orientalistyczny klasyk Stevena Spielberga i George'a Lucasa Indiana Jones i Świątynia Zagłady powinien trafić do kosza.*

Orientalistyczny klasyk? Nieźle.

*A ty, Adeline, jeszcze nie podjęłaś decyzji?*

Wyłączyłam stereo.

Powinnam wejść. Przyjechałam do Blythe tylko na jutrzejsze spotkanie po latach, ale trudno mi się będzie zrelaksować, nie dowiedziawszy się więcej na temat diagnozy mamy. Podczas naszej zeszłotygodniowej rozmowy przez telefon tato był bardzo poruszony; udało mu się wykrztusić jedynie to, że pojawił się jakiś problem z płucami. Przekazał mamie aparat, żeby mogła mi wszystko wyjaśnić, lecz kiedy zostawił ją samą, ona się rozłączyła, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa. To na pewno coś

nieuleczalnego. W takim wypadku względy moralne nakazywały mi powrót do dialogu i zakończenie tej głupiej zimnej wojny, którą toczyłyśmy od czasu moich ostatnich odwiedzin. Choćby po to, aby tacie żyło się łatwiej.

Póki co siedziałam w samochodzie i bawiłam się kluczykami. Spodziewałam się, że to będzie trudne – bardzo się tego bałam – nie spodziewałam się jednak gniewu, który wzbierał we mnie od chwili, kiedy zostawiłam za sobą światła autostrady M6 i zaczęłam lawirować coraz bardziej krętymi drogami, mijając kolejne zapadłe dziury. Blythe. Cholerne Blythe. Rząd domów i droga prowadząca do jakiegoś lepszego miejsca. Pub, opuszczona wiata autobusowa i nic więcej przez kolejne kilometry. To było miejsce idealne na kryjówkę przed światem, a nie jego prawdziwa część. Każde omiatane światłem reflektorów pole, każda stodoła czy martwe zwierzę przypominały mi, w jak wielkiej tu żyłam izolacji. Gdyby nie przyjaciele, to...

Przekręciłam kluczyk w stacyjce. Nie było warto, bo już wracałam do dawnych nawyków i szykowałam usprawiedliwienia dla tego wszystkiego, za co mama mogła na mnie naskoczyć: niebieskie pasmo w czarnych włosach, mocny makijaż oczu, kolczyk w uchu. Nie, musiałam stąd odjechać i skupić się na jutrzejszym spotkaniu. Udam się prosto do hotelu i sporządzę notatki do podcastu – i tak czekał go ponowny montaż. Wydawałam się w nim zbyt rozdrażniona, zbyt cięta – możliwe, że wpływ na to miały tarcia między naszą trójką. Brakowało autentycznej miłości do filmów, z której słynęła „Szczypta nostalgii”. Poza tym zawsze mogłam zajechać tutaj w drodze powrotnej do Londynu.

Zwolniłam hamulec ręczny. Kiedy po raz ostatni zerknęłam na dom, dostrzegłam, że na oświetlonym planie pojawił się aktor: tato. Wydawał się niższy, niż go zapamiętałam, a jego włosy, niegdyś grafitowe, teraz lśniły bielą. Minął ponad rok i to od razu było widać. Próbowałam obgryzać paznokcie, ale wszystkie już dawno zostały obgryzione. Z jękiem

zaciągnęłam ręczny i zgasiłam silnik. A gdy tato zobaczył mnie przez okno, przykleiłam do twarzy ciepły uśmiech i pomachałam.

Miejsce to miało urok domu emeryta. Tato zaprosił mnie do salonu, którego autentycznie nie poznałam; w powietrzu unosił się jeszcze chemiczny zapach remontu. Jedyнным świątecznym akcentem była stojąca w rogu minimalistyczna plastikowa choinka.

– O rety, ale się wszystko pozmieniało – powiedziałam.

– Twoja mama chciała go odnowić, dopóki oboje byliśmy jeszcze w stanie.

Słowo „mama” zostało oczywiście wymówione z amerykańskim akcentem; no a jakże, West Midlands, zagubiony stan USA. Od tak dawna mieszkałam na południu, że teraz zawsze zwracałam na to uwagę.

– Gdzie ona jest?

– W łóżku, kotku. Po południu się jej pogorszyło. Sprawdzę, czy czuje się na siłach, aby się z tobą widzieć. Spieszysz się?

– Nie – odparłam i nim zdążyłam go zapytać o nogę, pokuśtykał w stronę schodów.

Usiadłam na dziewiczo białej skórzanej sofie i nasłuchiwałam szmeru rozmów z góry, próbując wybadać nastrój mamy. Choć nie byłam w stanie rozróżnić poszczególnych słów, wyraźnie słyszałam melodię akcentu birminghamskiego. Spłaszczała każde zdanie, które intonacja próbowała podnosić. Mama dokładała wszelkich starań, żebym to po niej odziedziczyła. „Dzięki temu dostałaś się do Cambridge”, tak mi kiedyś powiedziała.

Gdzie się podziało zdjęcie z uroczystości wręczenia dyplomów, które do tej pory stało na kominku? Wyglądało na to, że nawet ono nie przetrwało, a wszystko, co osobiste, zostało poświęcone na rzecz bezosobowego wystroju prosto z magazynów wnętrzarskich. Westchnęłam. Jeśli mamie

potrzebna była widownia, to cały ten jad okaże się bezużyteczny. Musiałam myśleć pozytywnie. Wyjęłam telefon. Miałam jedną nieprzeczytaną wiadomość.

Jak się trzymasz? To dzisiaj?

Xan, miłośnik naszego podcastu, dusza do kompletu z moimi ustami i mózgiem Jona. Odcinki opierały się na entuzjazmie Xana dla jakiegoś klasyku filmowego, stopniowo studzonym przeze mnie i Jona, co skutkowało skazaniem omawianego dzieła na tak zwany koszt, chyba że znaleźliśmy jakiś istotny powód, żeby okazać litość.

Nim zdążyłam mu odpisać, schody zaczęły trzeszczeć i krótko potem zjawił się tato. Kiwnął głową. Matka raczy się ze mną spotkać.

– Napijesz się czegoś, Jan? – zapytał tato zza moich pleców.

Siedząca na łóżku mama odmówiła. Wyszedł po tabletki, a ja pocałowałam ją w policzek. W przeciwieństwie do taty w ogóle się nie postarzała. Właściwie wyglądała całkiem dobrze.

– Co mu się stało w nogę? – zapytałam.

Pokręciła głową.

– Potknął się w ogrodzie o gałąź. Mówiłam mu, że trzeba ją obciąć.

– A co się dzieje z tobą, mamo?

Wzruszyła ramionami.

– Nie jest dobrze, Adeline. Coś z płucami. Ten kaszel... Zrobiono mi tomografię, a potem lekarz zapytał, czy miałam do czynienia z azbestem. Cóż, nie miałam, ale twój dziadek pracował swego czasu na dachach, a ja zawsze wdrapywałam mu się na kolana, kiedy wracał z pracy. Powiedzieli, że od środka są całe podrapane i że to się będzie stopniowo pogar...

Zaczęła kaszleć. Położyłam rękę na jej ramieniu, ale znaczące spojrzenie utkwione w moich poobgryzanych paznokciach sprawiło, że zacisnęłam

dłoń w pięść.

– Potrzebujesz czegoś?

Pokręciła głową, po czym pokazała na moje stopy.

– Te buciory ci nie pasują, skarbie. – Nie dając mi czasu na reakcję, dodała: – Jesteś nadal z tym nauczycielem? Też przyjechał?

– Nie – odparłam zaskoczona tym, że pamiętała Richa.

– Och. – Opadła na poduszki i lekko zakaszła.

– Mogę w czymś pomóc, skoro przyjechałam?

Mama przez chwilę milczała.

– Po co to zrobiłaś, Adeline? Miałam szczerą nadzieję, że może powodem jest twoja chęć zaoferowania przeprosin.

Przygryzłam wewnątrz policzka. Podczas poprzedniej wizyty przetrwałam urodzinowy obiad pełen uwag wstawionej mamy na temat mojego zaawansowanego wieku i tego, jakie to smutne, że być może nigdy nie zostanie babcią. Następnie winą za mój „problem” obarczyła odziedziczony po tacie brak autorytarności i zasugerowała, że choć tato okazał się rozczarowaniem, to przynajmniej jest prawdziwym mężczyzną. „Może to mało popularny pogląd, ale kobiety we współczesnym świecie nie mogą bez przerwy stroszyć piór” – tak powiedziała. Dla mnie to oznaczało koniec odwiedzin. Pocałowałam tatę na pożegnanie i bez słowa wróciłam do Londynu.

– Przepraszam – rzuciłam teraz, bo jeśli mama rzeczywiście była umierająca, nasze relacje powinny się stać przynajmniej neutralne. Nie dało się już cofnąć czasu, by naprawić to, co między nami popsute, ale pełen szacunku rozejm był czymś jak najbardziej na miejscu.

– A więc taki ton zdecydowałaś się przybrać? – zapytała mama.

Ponownie przygryzłam policzek.

– Przyjechałam na spotkanie z dawnymi przyjaciółmi, mamó, no i martwiłam się o ciebie. Jeśli cię nie interesuję i jeśli niczego nie potrzebujesz, to pójdę. Naprawdę nie chcę się kłócić.

Mama się wyprostowała.

– Kogo tu jeszcze znasz?

– Na pewno ich nie pamiętasz.

– Przyjaciele ze studiów?

– Nie, z Blythe.

– Znałam wszystkich twoich przyjaciół z Blythe. Stephen. Pamiętam go. Jego tata miał dom na samym końcu drogi. Zamożny człowiek, ale tylko go wynajmował. Teraz wygląda zupełnie inaczej.

Przytaknęłam. Kiedy parkowałam, światła samochodu omiotły rozbudowany i unowocześniony budynek na końcu Elm Close.

– Steve się zjawi – powiedziałam.

– Widzisz, pamiętam. I tego niskiego z Indii. Jak on miał na imię?

Teraz to ja pokręciłam głową.

– Rupesh urodził się w Birmingham, mamó.

Oczami wyobraźni ujrzałam drogę, która wiodła do Hampton-in-Arden, wioski sąsiadującej z Blythe. Kiedy tutaj jechałam, minęłam zjazd, myśląc wtedy o Rupeshu.

– Wiesz, co miałam na myśli. I pamiętam także Jessicę. Tę dziewczynę z rudymi włosami.

– Jen – poprawiłam. – To ona zorganizowała nasze spotkanie.

– Jennifer. Jesteś pewna? To właśnie z nimi się spotykasz?

– Zależy kto się pojawi.

– Z kim jeszcze się trzymaliście? – Mama wpatrywała się w swoje palce, jakby w nich się kryła odpowiedź. – A ten wysoki chłopiec?

– Will.

– Will. Czasem widuję jego mamę. Nadal tu mieszka.

Zaczęła znowu kaszleć, a ja ponownie położyłam dłoń na jej ramieniu. Łagodnie zapytałam:

– Mamó, czy to... poważne? – Kiedy nie odpowiedziała, dodałam: – Ile czasu nam zostało?

– Adeline, nie dramatyzuj. Zawsze tak się zachowujesz.  
– Nie dramatyzuję. Muszę to wiedzieć.  
– Cii. No więc pięć lat, a może dziesięć. Może więcej. Lekarz stwierdził, że wcześniej mogę umrzeć na coś innego. – Wypowiedziała te słowa z nieco zbyt dużym entuzjazmem.

– Och.

– Wydajesz się rozczarowana.

– Wcale nie. Po prostu... szykowałam się na ostatnie pożegnanie.

– Na razie się mnie nie pozbędziesz.

Zmarszczyłam brwi.

– Więc umrzesz w bliżej nieokreślonym czasie.

– Tak to można ująć.

– W sumie jak my wszyscy.

– Zamierzasz przed wyjściem należycie mnie przeprosić, Adeline?

– Miło cię było zobaczyć, mamo – rzuciłam. – Gdybyś mnie potrzebowała, to na kilka dni planuję się zatrzymać w okolicy.

Na korytarz odprowadził mnie kaszel, który brzmiał ciut teatralnie. W połowie schodów stał tato. Opierał się o balustradę i trzymał w ręce fiolkę z lekami.

– Taki mały odpoczynek – powiedział i posłał mi uśmiech, na który aż przykro było patrzeć.

Wyjechałam z Blythe w kierunku wschodnim, przez most z sekretnymi tunelami, w których latem można się było czołgać, oczywiście o ile poziom rzeki był odpowiednio niski. Od zajazdu Travel Inn w Balsall Common, sąsiedniej wsi, dzieliło mnie zaledwie osiem kilometrów. W dzieciństwie te osiem kilometrów ciągnęło się niczym bezkresna pustynia.

W pokoju poczęstowałam się buteleczką czerwonego wina z minibarku, a potem jeszcze jedną. W gruncie rzeczy dobrze zrobiłam, że odwiedziłam

dzisiaj mamę. Zapadnięcie na śmiertelną chorobę, która wcale nie zabija, było jednak w jej stylu: maksimum współczucia, minimum kosztów. Tato skończył w tym roku siedemdziesiąt pięć lat i zanosilo się na to, że będzie opiekował się mamą nawet do dziewięćdziesiątki. Nie pozwoliłby, aby jej czegokolwiek zabrało, nawet jeśli to by oznaczało zarzycanie się.

Resztę wina wylałam do umywalki, ledwie rozpoznając właścicielkę takich mrocznych myśli. Życzyłam mamie śmierci? Tak się właśnie działo, kiedy się wracało do domu. Człowiek sądził, że wydorósł, jednak ledwo przekroczył próg, znowu stawał się dzieckiem. Czy jako dziecko pełna byłam nienawiści? Niewykluczone, ale tak po prawdzie miałam ku temu powód. W ustach poczułam gorycz. A może tylko wino.

Z torby wyjęłam tablet i położyłam się razem z nim na łóżku, licząc, że znajdę jakiś film, który skutecznie zaprzętnie moją uwagę. Sprawdziłam pocztę. Obecnie było to jedyne cyfrowe narzędzie komunikacji, którego używałam. Zrezygnowałam z innych aplikacji do bezpośredniego przesyłania wiadomości, jako że wzrost popularności podcastu wywołał falę mizoginistycznego hejtu. Powitał mnie nowy mail ze strony randkowej. „Hej, mała”. Od razu go usunęłam.

Musiałam odpisać Xanowi, więc zaczęłam szukać telefonu. To on stał za mną, kiedy przed rokiem otworzyłam mail od Jen proponującej spotkanie po latach w następne Boże Narodzenie. Gdy zapytał mnie, kim jest Jen, a ja mu opowiedziałam o przyjaciółkach z dzieciństwa i pierwszym prawdziwym chłopaku, Stevie, Xana to zaintrygowało. A potem zobaczył w mediach społecznościowych zdjęcie Steve’a.

– Masz swój typ, co?

Już wcześniej rzuciło mi się w oczy, że istnieje fizyczne podobieństwo między Steve’em i moim eks, Richem: pociągła twarz, ciemne włosy, mocna budowa. Ale słowa Xana trochę mnie zaniepokoiły. Rich przypominał mi Steve’a nie tylko w kwestii wyglądu. Jego z lekka wymuszona swoboda miała sugestywny urok silnego zapachu czy piosenki



i przyciągała mnie, choć byłam wystarczająco dorosła, aby mieć więcej rozumu w głowie.

Budzik na stoliku nocnym wskazywał wpół do jedenastej. A może położę się wcześniej i wykorzystam do pracy jutrzejszy dzień? Spotkanie zaplanowano dopiero na siódmą wieczorem. W sumie to nie mogłam się go doczekać. Wcześniej niezbyt się na nie cieszyłam, bo przecież wysoce prawdopodobne było to, że nic już nas nie łączy. Jednak po dzisiejszej przejażdżce przez okoliczne wsie nie miałam wątpliwości: ci ludzie swego czasu okazali się moimi wybawcami. Przez te wszystkie lata utrzymywaliśmy ze sobą kontakt na odległość, ale zignorowałam jedną czy dwie propozycje spotkania. Do czasu podcastu nie zrobiłam niczego, z czego byłabym na tyle dumna, żeby mieć ochotę pokazywać się ludziom, którzy mnie kiedyś znali. Fajnie będzie ich znowu zobaczyć. Kim teraz byli? Co robili?

Nim zniknęłam z mediów społecznościowych, zerknęłam po raz ostatni na facebookowy profil Steve'a. Wszystkie zdjęcia przedstawiały zachody słońca i łąki, żadne jego samego. Miał partnerkę? Był żonaty? Rupesh był – widziałam zdjęcia z obu ceremonii: świeckiej i tradycyjnej. Nigdy nie należał do osób religijnych, więc może należało to uznać za ukłon w stronę wielopokoleniowej rodziny. A może jego przekonania i praktycyzm z czasem uległy złagodzeniu? Oby nie. Zawsze to w nim lubiłam. Jen natomiast aż nazbyt chętnie dzieliła się wszystkim na Facebooku. Miałam okazję widzieć zdjęcia z jej wakacji i bieżące informacje o pracy nauczycielki, nie wspominając o inspiracyjnych cytatach dotyczących kreatywności, które pojawiały się nieuchronnie po nieudanych castingach. Kiedy się poznałyśmy, marzyła, by zostać aktorką, i podziwiałam jej upór, choć udało jej się zagrać jedynie kilka ról trzecioplanowych w mało znanych brytyjskich serialach telewizyjnych. Część mnie żywiła nadzieję, że Jen nadal próbuje, druga zaś, ta, która blokowała jej posty na mojej tablicy, pragnęła, aby odnalazła inny cel, który nie jest tak zniechęcający.

Napisałam do Xana, następnie leżałam z zamkniętymi oczami na łóżku i nasłuchiwałam buczenia lodówki.

Kiedyś wygooglowałam Willa, ale w pamięci nie utkwiły mi żadne informacje dotyczące jego dorosłego życia. A gdy niedawno próbowałam to zrobić po raz drugi, zupełnie nic nie znalazłam. Był dla mnie tajemnicą. Miałam nadzieję, że życie dobrze mu się ułożyło, niemniej moje wspomnienia związane z nim nie należały do szczególnie pozytywnych. Stwierdzenie, że był dziwny i trudny, to akt życzliwości. Choć zdarzało się, że potrafił nas wszystkich rozśmieszyć.

## Adeline, 1997

Na łące za ogrodem przebywają jakieś dzieciaki w wieku Adeline. Widzi je z okna w holu: Azjatę w białej koszuli i rudowłosą dziewczynę z dwoma warkoczami. Co jakiś czas przykładają dłonie do ust i krzyczą coś, co niesie się aż do domu. *O Bii, O Bii, O Bii, O Bii*. Jest środek dnia, a Adeline paradytuje jeszcze w szlafroku.

Tych dwoje często widać we wsi. Zazwyczaj towarzyszy im chłopak z włosami w kolorze truskawkowego blondu, który jest wysoki jak dorosły i czasem nosi czapkę. Tydzień temu, krótko po przeprowadzce do Blythe, Adeline wpadła na tę dziewczynę i jasnowłosego chłopaka, kiedy obchodziła okoliczne łąki i pola. Kładli monety na torach parę kilometrów za Elm Close. Zapytali ją, ile ma lat, a kiedy im odpowiedziała, że piętnaście, odparli, że wygląda na siedemnaście. Uznała, że robią sobie z niej żarty – skłamała: piętnaście lat skończy dopiero pod koniec sierpnia – więc opryskliwie im oświadczyła, że jeszcze wykoleją pociąg.

Powinna się była bardziej postarać. I tak już zbyt wiele wakacyjnych dni spędziła w swoim pokoju, gdy tymczasem lato trwało w pełnej krasie. Może w wysokich czarnych kozakach, kabaretkach i z eyelinerem na powiekach rzeczywiście wygląda na starszą. Zwłaszcza tutaj, na wsi.

*O Bii, O Bii.*

Ubiera się: T-shirt Green Day, czarna miniówa i rajstopy. Bierze discmana, wkłada słuchawki i wychodzi z domu. Green Day atakuje jej uszy: *Insomniac*, dźwięki towarzyszące zakupom w centrum Birmingham z Alexą, picie napojów z niedużą zawartością alkoholu nad kanałem w Brindley Place. Ten album to prezent od Alexy. Adeline tęskni za nią,

starym domem i szkołą. Wie, że nie pasuje do wsi. Miała co do tego rację, kiedy krzyczała na rodziców, usłyszawszy wiadomość o przeprowadzce.

Za podjazdem skręca w lewo, kierując się w stronę końca ślepej uliczki. Pies sąsiada doskakuje do ogrodzenia i zaczyna ujadać. Adeline odruchowo robi krok w bok, wchodząc przy tym na ulicę. W ostatniej chwili unosi głowę; srebrny van zatrzymuje się z piskiem opon zaledwie pół metra od niej. Unosi przepaszająco rękę, a kierowca, skrzywiony mężczyzna z wąsami, kręci głową, po czym wrzuca kierunkowskaz sygnalizujący chęć wjazdu na posesję, na której mieszka pies.

Czemu kręci głową? To przecież przez jego psa musiała zejść na jezdnię. Pies chce podbiec do vana, ale jest przywiązany do białego pośrodku podwórza pała i w pewnym momencie się zatrzymuje, a brzydki łeb odskakuje mu do tyłu. To rasa ze słowem „bull” w nazwie, z tych, co to najpewniej atakują małe dzieci. Sznur ma nie więcej niż dwa metry – pewnie dlatego pies zachowuje się tak agresywnie. Nim mężczyzna wysiada z samochodu, Adeline pokazuje środkowy palec, po czym oddala się, mając nadzieję, że tego nie widział, ciesząc się jednak, że to zrobiła. Okrutny drań.

Kawałek dalej znajduje się przejście między dwoma domami; żółta strzałka na płocie oznacza, że to droga publiczna. Cholernie tam śmierdzi psimi odchodami i kompostem z jednego z pobliskich ogrodów. Natomiast kiedy Adeline wychodzi na pole, czuje zapach obornika. W sumie lepsze już to niż psie kupy. Idzie ścieżką, aż dostrzega ją dziewczyna z warkoczami i macha do niej. Podchodzi do Adeline, więc ta wyjmuje z uszu słuchawki.

– Widziałaś psa? – pyta ruda.

Ubrana jest w ogrodniczkę i dzięki nim oraz włosom doskonale się wpasowuje w otoczenie. Na twarzy ma jednak grubą warstwę podkładu. Jakież to konwencjonalne. Pewnie typowy z niej ptasi mózdzek, taki, co robi zakupy w sieciówkach i aby zaimponować chłopakom udaje, że lubi

muzykę. A może po prostu ma kiepską cerę; Adeline postanawia dać jej szansę.

– Właśnie zaatakował mnie jakiś pies przywiązany do pała w ogrodzie – mówi.

– To nie ten. – Dziewczyna z warkoczami marszczy nos.

– Zgubił wam się? – pyta Adeline.

– Naszemu koledze Steve’owi. Szukamy całe popołudnie.

Azjatycki chłopak podchodzi do nich i z uśmiechem mówi „cześć”. Ma nie tylko elegancką koszulę, ale także równy przedziałek w czarnych włosach.

– Wcale go nie lubimy. Zawsze mówię, że nie powinien go spuszczać ze smyczy.

– Jaka to rasa?

Dziewczyna z warkoczami wybucha śmiechem.

– Jaka rasa? Nie mam pojęcia. Jest duży, kudłaty i trochę siwy. – Kładzie płasko dłoń tuż nad talią. – W sumie to prawdziwy mutant. Dziwnie chodzi, bo ma coś z grzbietem.

– I gryzie, kiedy się go głaska – dodaje chłopak i ściąga brwi. – Jest naprawdę stary.

– Ale wiesz co? Pieprzyć to – oświadcza dziewczyna. – Steve go kocha, a my przynajmniej mamy jakieś zajęcie.

To przekleństwo z ust niewinnie wyglądającej dziewczyny sprawia, że Adeline od razu pała do niej sympatią.

– Mogę wam pomóc, jeśli chcecie – proponuje. – Autentycznie nie mam nic lepszego do roboty.

– Witamy w klubie – rzuca chłopak.

Pies wabi się Obi-Wan Kenobi, a Adeline nie trzeba tłumaczyć, że to postać z *Gwiezdnych wojen*, filmu, który oglądała kiedyś z tatą. Dziewczyna

z warkoczami ma na imię Jen, a chłopak to Rupesh. Popołudnie dobiega końca, chmury zasnuwają słońce i zrywa się chłodny wiatr, a oni zdążyli do tej pory obejść dwa pola za domem Adeline oraz dwa kolejne, które należą do farmy.

Na polu zaraz za Elm Close, na którym rośnie chyba kukurydza, wpadają na jasnowłosego chłopaka, Willa. Bładą skórę ma poparzoną słońcem, a pasek ozdobiony plakietkami z nazwami głównie amerykańskich zespołów grunge'owych. Nirvana to jedyny, o którym Adeline słyszała, a jego logo przedstawiające uśmiechniętą buźkę z przekreślonymi oczami znajduje się po sąsiedzku z Pearl Jam i Soundgarden. Will zdaje się ignorować obecność Adeline, niemal w ogóle jej nie dostrzega. Przez ostatni rok przyzwyczała się do uwagi ze strony chłopców. Generalnie ją ona cieszy, nawet jeśli to oznacza, że musi się częściej przeglądać w lustrze, aby sprawdzić, czy nie ma przypadkiem na ustach śladów po paście do zębów czy śpiochów w kącikach oczu. Reakcja Willa jest dla niej czymś nowym i z lekka irytującym.

– Znalazłeś coś? – Jen pyta Willa. W jej głosie pobrzmiewa troska, której wcześniej nie było.

Chłopak kręci przecząco głową.

– Nic mu nie będzie – mówi Rupesh, po czym zerka na Adeline. – Już mu się zdarzało uciec.

Bezowocne poszukiwania Obiego wkrótce przeradzają się w poszukiwania także i Steve'a. Wszyscy zapuszczają się coraz głębiej w pola, aż w końcu docierają w pobliże dziwacznej jeziora niedaleko torów, przy których poprzednio spotkała ich Adeline. To tam Will po raz ostatni widział Steve'a. Na drodze gruntowej prowadzącej do jeziora Jen pyta Adeline, gdzie wcześniej mieszkała. Ta odpowiada, że w Marlstone, skąd bez problemu można się było dostać do Birmingham. I dodaje, że nienawidzi rodziców, a zwłaszcza mamy za to, że tu się przeprowadzili.

– Zastanawiałam się, czy nie chodzić dróżką do Hampton – mówi Adeline. Choć Hampton to mała miejscowość, tato jej powiedział, że z tamtejszej stacji kursuje pociąg do Birmingham.

– Za daleko – orzeka Rupesh. – Nie pojedziesz też rowerem, no i zatacza się wtedy taki łuk wokół dróg, że zabiera to tyle samo czasu.

Odpowiedź jest stanowcza, jakby sprawa została zamknięta. Nikt nie podważa słów Rupesha. W jego ciemnych oczach Adeline widzi coś równie dorosłego jak jego strój. To irytujące i kiedy tylko będzie miała okazję, udowodni mu, że się myli.

– I tak mi się zepsuł łańcuch rowerowy – mówi.

– Mogę go naprawić – proponuje Jen.

Adeline nie ma pewności, czy chce, aby Jen zobaczyła jej stary rower – nie jeździ nim od lat.

– A tak w ogóle to jest w okolicy co robić? – pyta, uśmiechem zbywając propozycję Jen.

– Ciebie pewnie by obsłużono w Głowie Jędzy – odzywa się Will.

– Zawsze chodzimy do Steve’a – wyjaśnia Jen. – Lubisz filmy?

– O tak.

– To dobrze – mówi Rupesh – bo sporo ich oglądamy.

– Rodzice Steve’a mają taki dziwaczny układ, że w ogóle się nie widują – wyjaśnia Jen. – Pracują często za granicą, jego mama właściwie na okrągło siedzi w Stanach, więc on nawet się z nią nie spotyka. A jego tata rzadko tu bywa, co oznacza, że jeśli chcemy, to całe dni i noce możemy spędzać u niego. Mają tu dom i szczerze mówiąc, nie wiem, co byśmy zrobili bez niego. No a Steve zgromadził całe mnóstwo pirackich filmów, które jego tata przywozi z Tajlandii. Takich, co u nas nie weszły nawet jeszcze do kin. W zeszłe wakacje zahipnotyzował także Rupesha, co było zabawne.

– Wcale mnie nie zahipnotyzował – protestuje Rupesh.

Przy jeziorze dzielą się na dwie grupki i postanawiają spotkać w połowie drogi. Adeline obchodzi prawą część jeziora razem z Rupeshem. Will i Jen

idą w lewo. Adeline jeszcze nie widziała takiego jeziora. Wygląda raczej jak ogromny staw. Wzdłuż ścieżki oraz w zaroślach znajdują się kupki ziemi oraz mnóstwo betonu i ma się wrażenie, że to porzucony w pośpiechu projekt budowlany. Wokół zalewu echem rozbrzmiewa nawoływanie: „Obiiii!”, a dziesięć minut później docierają do celu. Will i Jen już na nich czekają.

– Znaleźliśmy go – oznajmia Jen. – Jest w dole, przy torach. – W jej głosie nie słyhać jednak radości. Will z kolei ma ściągnięte brwi.

Adeline schodzi za nimi krótką ścieżką, która prowadzi na sam koniec nieoznaczonej drogi. Sześć betonowych bloczków leży na krawędzi tego, co musiało być miejscem do zawracania. Rozpanoszyły się tu gęste krzaki i zarośla. Jen kieruje ich w stronę dziury w gęstwinie.

– Ja tu zostanę – bąka Rupesh. W tej chwili wygląda na dziesięć lat.

Will i Jen wymieniają spojrzenia, po czym Jen kiwa głową, dotyka ramienia Rupesha i mówi:

– Oczywiście, wrócimy po ciebie.

Adeline nie pyta, o co chodzi. Udaje obojętność. We troje dochodzą do wznoszącej się nad torami kładki. Jen przeskakuje przez płot na końcu kładki, który oddziela ścieżkę od dwóch torów. Idzie prawą stroną. Will robi to samo. To na pewno nie jest rozsądne. Adeline miała okazję widzieć filmiki o bezpieczeństwie na kolei, ale wspomnienie o nich teraz uczyniłoby z niej nudziarę. Ostrożnie przechodzi przez płot, czego nie ułatwia jej krótka spódniczka. Idzie jak najdalej od torów. Pod jej butami chrzęści żwir. Porastające prawy wał chwasty co rusz smagają jej twarz. Po lewej stronie widzi olbrzymi słup wysokiego napięcia. Nie mija wiele czasu, nim docierają do czerwonego kształtu, być może tajemniczego Steve'a. Ta osoba żyje, na szczęście, bo sposób, w jaki oni rozmawiali, kazał sądzić, że zamierzają pójść po zwłoki, jak w jednym filmie z Riverem Phoenixem.



Steve siedzi na torach u stóp kamiennego wału. Will i Jen stoją przed Adeline, zasłaniając jej widok, ale udaje się jej dostrzec czubek głowy chłopaka. Włosy ma ciemne tak jak ona.

– O nie – mówi Jen.

– To moja wina – odzywa się Steve. Głos ma cichy, spokojny. Pociąga nosem, jakby całkiem niedawno płakał. – Przecież zawsze tu przychodzimy, no nie? Niewystarczająco bał się pociągów.

Jen przyklęka i gładzi go po ramieniu.

– Ćśś. Albo wszyscy jesteśmy winni, albo nikt. Wracajmy do domu, Steve.

Wstaje i Will się odsuwa. Steve jest wysoki, wyższy od Willa, który i tak musi mieć niemal metr osiemdziesiąt. Adeline po raz pierwszy dostrzega jego oczy. Są bursztynowe. Ma na sobie czerwony T-shirt ze szkieletem tyranozaura, czyli z logo *Jurassic Parku*. W pomazanych krwią ramionach trzyma dolną połowę psa. Integralność łap – kudłatego, szarego futra i czarnych poduszczyków – sprawia, że wyglądają, jakby w każdej chwili mogły zacząć wierzgać.

Steve nieruchomieje i patrzy na Adeline, po czym się uśmiecha, jak gdyby to nie było nic niezwykłego. Oczy ma smutne i czerwone.

– Nie mogłem znaleźć reszty – mówi do niej przeproszającym tonem.

– Ja... przykro mi – odzywa się Adeline. Klatkę piersiową ma ściśniętą, a mózg sparaliżowany. – Ja... Jen ma rację, powinieneś iść do domu. Może później tu wrócimy, żeby poszukać.

Chłopak uśmiecha się z wdzięcznością, po czym nie przerywając kontaktu wzrokowego, robi krok w jej stronę. Adeline nie chce znaleźć się bliżej tego, co Steve trzyma w ramionach, ale się nie cofa. Jego spojrzenie ześlizguje się z jej twarzy na klatkę piersiową.

Sprawdza jej cycki? Nie, oczywiście, że nie, czemu miałyby to robić?

– Podoba mi się twój T-shirt – oświadcza.

– Och. – Adeline zerka na logo Green Day. Steve najwyraźniej jest w szoku. – Mnie twój też.

Mija ją i zaczyna iść wzdłuż torów. Jen biegnie za nim, zerknąwszy na Adeline z niepokojem.

Tylko Will z nią zostaje, klęcząc w miejscu, w którym przed chwilą siedział Steve. Szare i białe kamyki są całe zakrwawione.

– To właśnie tu go znalazł? – pyta Adeline, a kiedy Will ją ignoruje, dodaje: – Dobrze się czujesz?

– To chore, no nie? – odzywa się w końcu. – Fakt, że to wszystko drzemie w nas wszystkich.

## Zima 2015

– Według mnie pomysł spotkania po latach bywa ciut niezdrowy – oświadczył Rupesh.

Uśmiechnął się do mnie znad stołu, a ja odpowiedziałam mu tym samym. Siedzieliśmy w prywatnej salce w The George, pubie na granicy Balsall Common i Blythe, w którym królowały dębowe belki i kominki z buzującym ogniem.

– Myślisz? – zapytałam.

Kiwnął głową i napił się whisky. Spodziewając się przeddrinkowego skrępowania, celowo spóźniłam się piętnaście minut w nadziei, że go uniknę. Wyglądało na to, że cała reszta wpadła na ten sam pomysł – z wyjątkiem Rupesha. A on miał do pokonania tylko drogę z Blythe, z tego samego domu, w którym mieszkał, kiedy byliśmy dziećmi. W ogóle niewiele się w nim zmieniło. Nadal starannie się ubierał i czesał włosy z przedziałkiem po boku, miejscowy lekarz w każdym calu. Różnice były delikatne: inne napięcie skóry i pewność siebie. Kiedyś jednak nie pił aż tyle. To dopiero początek wieczoru, a on już kończył drugiego drinka.

– Tylko spójrz na współczesny świat – rzekł. – Niebezpieczni politycy obiecują przywrócić dawne dobre czasy. Formalnie rzecz biorąc, nostalgia to schorzenie, jestem pewny, że o tym wiesz. Etymologia podobna: newralgia.... kausalgia... nostalgia. Ból wywołany powrotem do domu. Jestem przekonany, że nostalgia to choroba. Nie wydaje ci się, że cały świat ma niepokojącą obsesję na punkcie przeszłości? Czasami nawet myślę: „Daj sobie z nią spokój. Co było, minęło”.

– Czemu więc się tu zjawiłeś? – zapytałam rozbawiona, nie mając pewności, czy czyni aluzję do mojej pracy, czy też nie wie o podcaście. Miał jednak sporo racji.

– Szczerze? Nie mam nic lepszego do roboty.

– Witaj w klubie – zaśmiałam się.

– Poza tym jest zima – dodał Rupesh. – Badania mówią, że mamy większą skłonność do nostalgii, kiedy jest zimno, bo ona nas rozgrzewa.

Kelnerka przyniosła zamówione przeze mnie czerwone wino. Podziękowałam i napiłam się, wylewając odrobinę na biały obrus.

– No i jestem ciekawy was wszystkich. – Zniżył głos i nachylił się ku mnie. – Weźmy na przykład Steve’a. Co teraz robi? Był złotym dzieckiem, no nie? Oczami wyobraźni zawsze go widziałem na jakiejś ambitnej posiadzie w wielkim mieście. A może w polityce. Ten intelekt, to nastawienie. Kiedy oglądałam na Facebooku jego profil, nie jestem w stanie odgadnąć, czym się obecnie zajmuje.

Wzruszyłam ramionami. Kolejny klub, do którego mogliśmy dołączyć.

– Był bardzo... frapujący – ciągnął Rupesh. – Takie mi pozostało wspomnienie o nim; i że byłby z niego dobry prawnik.

Początkowo odrzuciłam tę wizję, ale zdecydowanie wyczuwałam w tym jakiś podtekst. Niemal tak, jakby Rupesh próbował mnie zachęcić do obsmarowywania Steve’a.

– Może i nim jest, kto wie?

Kiedy weszła Jen, zapiszczała, a ja odruchowo wstałam i uściskałam ją mocno nad stołem. Pocałowała mnie w policzek. Rude włosy miała teraz jaśniejsze, a ewentualne piegi zakrywała gruba warstwa podkładu. Nie zawracałam sobie głowy makijażem z wyjątkiem eyelinera – kto miał na to czas poza ślubami i pogrzebami? – i poczułam się naga. Trzeba przyznać, że Jen dobrze wyglądała.

– Przepraszam za spóźnienie – zaszczębiotała. – Samochód mi szwankował przez całą podróż. Cholerna Wigilia. Typowe... Dopiero pół

godziny temu dotarłam z Londynu, no a potem cholerna taksówka też się spóźniła.

– Zatrzymałaś się u rodziców? – zapytałam.

– Tak – odparła. – Muszę się napić wina.

– Zaraz ci przyniosę. – Rupesh wstał z krzesła.

On i Jen znaleźli się naprzeciwko siebie i po krótkiej chwili się uścisnęli.

– Dobrze cię widzieć – rzuciła Jen.

Odsunęła się i położyła dłoń na jego torsie, jakby chciała się upewnić, czy jest prawdziwy. Jego ręka pofrunęła ku jej dłoni, po czym szybko się wycofała. I tak oto ich dłonie niezdarnie się wymijały, aż skończyło się to jeszcze bardziej niezdarnym uściskiem, co od razu skwitowali śmiechem.

– Cholera, nic się nie zmieniłeś – dodała.

– Ty też...

– Ćśśś – przerwała mu Jen. – Najpierw muszę się czegoś napić.

Kiedy wrócił Rupesh, rozmowa potoczyła się nieco bardziej naturalnie. Jen nadal pogrywała tu i tam, ucząc jednocześnie aktorstwa w liceum – choć było to dość męczące, a dzieciaki zupełnie inne, niż kiedyś my. Rupesh z kolei potwierdził, że obecnie zawód lekarza jest rzeczywiście tak niewdzięczny, jak się słyszy. Zwłaszcza na wsi. Niemal zdążyłam zapomnieć o tym, co przyprawiało mnie przed spotkaniem o lekkie dreszcze, wtem zjawił się Steve Litt. Wszyscy zamilkliśmy.

– Cześć, Adeline.

Znajdowałam się najbliżej niego. Nachylił się, żeby mnie uściskać. Przycisnęłam twarz do jego policzka i wdychałam jego zapach. Niesamowite, ale nadal pachniał tak samo. Jak to w ogóle możliwe, aby pamiętać zapach? Gdzie te wspomnienia były przechowywane? Steve obszedł stół, aby przywitać się z pozostałymi, ale moje rozczarowanie nie trwało długo. Kiedy skończył, usiadł obok mnie. Wręczył nam wszystkim po kartce świątecznej, za co mu podziękowaliśmy. Fakt, że żadne z nas nie miało kartki dla niego, został pominięty milczeniem. No ale on zawsze brał

takie rzeczy na poważnie. Jeszcze nigdy nie miał takich krótkich włosów i jego czoło wydawało się wyjątkowo wysokie. Miał szersze ramiona, a na twarzy zarost, przycięty równo tuż pod kośćmi policzkowymi – identycznie jak Rich.

– Wesołych świąt – rzucił do nas wszystkich. – Sporo czasu minęło. Na czym stanęliśmy?

Piliśmy i rozmawialiśmy, czekając na pojawienie się Willa, aż w końcu daliśmy za wygraną i zamówiliśmy jedzenie.

Przez cały czas byłam pełna życia i pobudzona, a w klatce piersiowej czułam przyjemne napięcie. Nie mogłam się jednak w pełni zaangażować w dyskusję, a moje spojrzenie co rusz biegło w stronę Steve’a. Włosy po bokach miał zaczesane do góry, więc na środku głowy wydawały się gęstsze. Może łysiał? Przyłapał mnie na tym, że się na niego patrzę, i odruchowo uniósł rękę, aby sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Gest ten wyzwolił we mnie zaskakujące pokłady czułości. Steve okazał się spokojniejszy, niż się spodziewałam, a na jego twarzy niemal bez przerwy widniał nieśmiały uśmiech. Kiedy się śmiał, przypominały mi się dawne czasy. Naprawdę mogłabym się przyzwyczaić do tego, jakie uczucia wyzwalał we mnie ten chichot.

– Czy Will konkretnie zadeklarował przybycie? – zapytał Rupesh.

– Cóż... tak jakby – odparła Jen. – Kiedy wysłałam pierwszy grupowy mail, odpisał, potwierdzając swoją obecność.

– Widziałem jego pierwszą odpowiedź – odezwał się Steve. – Ale to było w grudniu zeszłego roku. Od tamtej pory nie kontaktował się z tobą?

– Szczerze mówiąc, nie odpisał na żaden inny mail. Ale pamiętacie, jaki był. No i napisał w tamtej wiadomości, że rzadko korzysta z internetu. Uznałam więc... Myślicie, że zapomniał?

– Ma ktoś jego numer? – zapytał Steve, nie potrafiąc ukryć konsternacji.

Czemu Jen założyła, że się zjawi, skoro minął rok od ostatniego kontaktu? Chyba że, podobnie jak ja, miała nieszczerą ochotę na spotkanie z nim, a zaproszenie wysłała z czystej uprzejmości. Kiedy nikt się nie odezwał, Jen rzuciła:

– Jestem pewna, że się pojawi.

Czułam się częściowo odpowiedzialna za zaistniałą sytuację. Kiedy Jen poprosiła o nasze numery, żeby dodać nas do grupy na WhatsAppie, odparłam, że zgubiłam telefon, bo nie chciałam go zaśmiecać grupowymi wiadomościami. Gdybyśmy częściej do siebie pisali, brak kontaktu ze strony Willa może wcześniej zostałby dostrzeżony.

Jen dokończyła kieliszek wina.

– Przed laty korzystał ze wszystkich mediów społecznościowych, kiedy jednak mi nie odpisał, zajrzałam na Facebooka. Nie mogłam go znaleźć. Napisałam do niego osobny mail, ale nie odpowiedział. Naprawdę próbowałam. – Dolała sobie wina ze stojącej na stole butelki. – W życiu nie przyszło mi do głowy, że się nie pojawi. Przecież zorganizowałam to z takim wyprzedzeniem, żeby wszystkim udało się przyjechać.

Przyniesiono przystawki, a ja postanowiłam, że spróbuję porozmawiać ze Steve'em na osobności. Jednak kiedy nie pojawiała się taka okazja, stawałam się coraz bardziej niespokojna. Pogawędka toczyła się niezobowiązująco, a poruszane przez nas tematy kręciły się wokół pracy, związków i mieszkań. Steve był singlem – zresztą jak my wszyscy, bo Rupesh niedawno się rozwiódł – i pracował w firmie zarządzającej usługami medycznymi. Lubił to zajęcie za elastyczność i możliwość pracowania z domu. Tyle że ja potrzebowałam czegoś więcej.

Gdy wypłynął temat podcastu, wszyscy chcieli rozmawiać już tylko o tym. Rupesh i Steve oświadczyli, że go słuchają i lubią. Jen powiedziała, że przesłuchała jeden czy dwa odcinki, ale ma kilka pytań natury praktycznej:

– Wybacz otwartość, ale jak udaje ci się w ten sposób zarabiać?

To niewygodny temat, nie tylko dlatego, że to właśnie on był powodem tarć między twórcami „Szczypty nostalgii”, co miałam ochotę odsunąć od siebie jak najdalej. Opowiedziałam jej o firmach działających według przyjętego kodeksu etycznego i pieniądzach, które otrzymywaliśmy od sponsorów, między innymi jednego z graczy Premier League. Żałowałam, że o tym wspomniałam. Jen i Steve aż się zachłysnęli.

– Naprawdę mamy niesamowicie dużo szczęścia – dodałam. – Niewiarygodnie wręcz. Wystarczyło, że raz wspomniał o nas w programie Jonathan Ross.

– Jonathan Ross? – zapytała Jen niemal z urazą, po czym na jej twarzy pojawił się agresywny uśmiech. – I to twoja praca? Na pełen etat?

– Tylko przez ostatnie dwa lata – odparłam, martwiąc się, że teraz cokolwiek powiem, zabrzmie to jak fałszywa samokrytyka. – Ale wcześniej, mówię wam, gdybyście mnie zobaczyli, od razu zarządzilibyście interwencję. – Wszyscy się roześmiali. – Poważnie. W piwnicy kolegi nagrywałam hobbistycznie podcast i miałam trzy różne prace tymczasowe, dzięki którym jakoś spłacałam miliard kart kredytowych.

– Ale nie teraz. – Jen pogroziła palcem. – Teraz żyjesz jak we śnie.

– Generalnie to nie jest jakoś szczególnie użyteczna praca – oświadczyłam. – Nie tak jak praca w służbie zdrowia czy szkolnictwie. Mamie w głowie się nie mieści, że płacą mi za oglądanie filmów. Ale wygląda na to, że obecnie nie ma za dużo pracy dla filozofów z dyplomem. No i wiem, że dobra passa nie będzie trwać wiecznie. Nie mam nawet planu emerytalnego i w ogóle. – Istniało ryzyko, że przedsięwzięcie nie dotrwa do następnego roku.

– Trudno powiedzieć – odezwał się Steve. – Czytałem kiedyś artykuł o tym, że w dzisiejszych czasach wielka część naszego życia odbywa się online, a podcasty stały się substytutem grup przyjaciół dla ludzi w naszym wieku.



– Dla kohorty, która dorastała w szalejącym kapitalizmie – uzupełnił Rupesh.

– Oczywiście żadne z nas nie cierpi na taką potworną samotność – dorzucił Steve.

Śmialiśmy się z tego ciut za głośno, kiedy podszedł do nas kelner z pytaniem, czy pojawi się piąty gość. Po minach pozostałych poznałam, że wszyscy myśleliśmy to samo: spotkanie po latach całej paczki raczej będzie musiało poczekać na następną okazję. Nie wiedziałam jak reszta, ale ja się dobrze bawiłam w obecnym towarzystwie, a pojawienie się Willa groziło zakłóceniem równowagi. Przeprosiliśmy kelnera i odparliśmy, że to mało prawdopodobne.

– Przez te wszystkie lata wpadłem na niego parę razy i zawsze rozmawialiśmy o Elm Close – powiedział Steve. – Pamiętał wszystko.

– Z sympatią?

Steve wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. W sumie wcześniej nie przyszło mi do głowy, że Will może nie mieć ochoty się z nami spotkać. To zrozumiałe, zważywszy na to, jak zakończyło się tamto ostatnie lato i co mu zrobił tamten człowiek, że nie wszystkie jego wspomnienia były miłe, ale przecież rozstaliśmy się w dobrej komitywie.

– To, co pan Strachan zrobił Willowi, nie miało nic wspólnego z nami – oznajmiłam. – Był okropnym człowiekiem, pamiętacie? Zawsze się nas czepiał.

– Strachan. Właśnie tak miał na nazwisko. – Rupesh aż przyklasnął.

– No tak, choć Will pewnie w ogóle by się o tym nie przekonał, gdybyśmy z nim nie zadarli – stwierdził Steve. – W sumie Will może żywić do nas, a raczej do mnie, urazę o to, co się stało.

– Cóż, nie zamierzałem się z tym teraz wychylać – odezwał się Rupesh – ale o to mi właśnie chodziło. Will kilka miesięcy spędził w szpitalu. Na studia poszedł rok później niż my. – Na twarzy Steve'a malowała się

udręka. – Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak bardzo pan Strachan jest niezrównoważony, kiedy się w to wszystko wplątaliśmy.

– Może – powiedział Steve.

Wiedziałam, że atak Strachana na Willa był brutalny, ale nie miałam pojęcia o tym, że Will rozpoczął z opóźnieniem studia. Być może dlatego, że po tamtym lecie rzadko go widywaliśmy, bo każde z nas poszło w swoją stronę, nigdy się nie zastanawiałam nad samym atakiem i jego skutkami. Bądź co bądź żadne z nas nie było jego świadkiem, dowiedzieliśmy się o wszystkim już po fakcie. A znając Willa i jego zachowanie, uznaliśmy, że zrobił albo powiedział coś, co go sprowokowało.

Mimo to nie wierzyłam, że żywił o ten incydent urazę do nas wszystkich. W tym momencie pewne wspomnienie wydostało się na powierzchnię mojego umysłu.

– Hej, a może wpadł w ten swój szal zabijania?

Steve i Jen wybuchnęli śmiechem. Rupesh się zamyślił:

– Coś mi świta. O co chodziło?

– Daj spokój, pamiętasz. Siedzieliśmy wokół ogniska i on oświadczył, że zamierza zniknąć na cały rok i popełnić potworne morderstwa – wyjaśniłam.

– Aha. – Rupesh uśmiechnął się szeroko. – Ile ich miało być? Trzy, cztery?

– Dokładnie trzy morderstwa – doprecyzowałam.

– Trzy, żeby mógł się określać mianem seryjnego zabójcy – uzupełniła Jen.

– Nie wspominał o nafaszerowaniu kogoś dragami? – zapytał Steve.

– I zostawieniu go potem w Loch Ness, żeby to wyglądało jak samobójstwo? – dodała Jen i skrzywiła się z niesmakiem.

– Rzeczywiście wygadywał różne dziwne rzeczy – zaśmiał się Rupesh. – Także o powieszeniu kogoś na płocie podczas jakiegoś festiwalu.

– Powiedział, że powiesi tego kogoś na linie namiotowej – oświadczyłam.

– A to w ogóle możliwe? – zapytał Rupesh.

– Rany, co za chłopak – powiedziała Jen i obejrzała się, aby mieć pewność, że Will właśnie nie idzie w naszą stronę. – Czasem autentycznie się go bałam. – Kiedy skierowała na mnie wzrok, kiwnęłam głową, dając jej znać, że nie była w tym uczuciu odosobniona.

– A to czemu? – chciał wiedzieć Rupesh.

Jen zerknęła najpierw na mnie, po czym przeniosła spojrzenie na Rupesha.

– Pomijając fakt, że nam oświadczył, iż chce zostać seryjnym zabójcą? Och, sama nie wiem. Ta aura, którą roztaczał, to, o czym mówił. Jestem pewna, że jeśli wysilę pamięć, podam ci jakiś przykład.

– Wiem, o co jej chodzi – wtrąciłam, ale podobnie jak Jen nie potrafiłam w tej chwili przywołać niczego konkretnego.

– Stary dobry Will – powiedział Steve, próbując rozluźnić atmosferę. – Z całą pewnością był... inny.

– Pora na toast. – Rupesh uniósł niemal pustą szklankę. – Za nieobecnych przyjaciół.

Gdy stuknęliśmy się kieliszkami, odezwał się Steve:

– A pamiętacie, jak chciał zainaugurować kampanię mającą na celu przywrócenie rzymskich bogów?

Pamiętaliśmy i przy naszym stole rozbrzmiał gromki śmiech, zagłuszający wigilijne hulanki w głównej części lokalu.

Kelner zabrał ostatnie talerze po deserach, a tymczasem my rozmawialiśmy o starych filmach, na których oglądaniu spędzaliśmy kiedyś mnóstwo czasu.

– Oczywiście dzisiaj kręcone są te wszystkie podrzędne remaki – rzucił Rupesh w moją stronę. – *Sorry*, nowe wersje.

– Trochę tak jak dzisiejsza imprezka? – zapytałam, a pozostali się zaśmiali.

– Hej, wieczór dopiero się zaczął – oświadczyła Jen. – Steve, to przez ciebie wpadaliśmy zawsze w tarapaty. Możesz nas uratować przed koszmem Adeline?

– Przykro mi, jestem na emeryturze – odparł z uśmiechem. – Ale czy wolno mi powiedzieć, że naprawdę się cieszę, iż jedno z nas zajmuje się czymś takim zawodowo? – Uniósł piwo, jakby wznosił za mnie toast.

– To znaczy czym? – zapytał Rupesh.

Dopiłam swoje wino, starając się dotrzymać kroku pozostałym.

– No wiesz, czymś kreatywnym.

Rupesh wyprostował się na swoim krześle.

– Ach, to słowo na „k”. Wybaczcie, ale szczególnie mnie ono mierzi. Wicie, czuję się wyjątkowo kreatywny po przyjęciu pięciu pacjentów z rzędu, którzy żądają przepisania antybiotyków z powodu przeziębienia, dziękuję bardzo.

– No tak, mnie chodziło tylko o to, że wszyscy oglądaliśmy mnóstwo filmów – powiedział Steve. – Świetnie, że jedno z nas robi dzięki temu karierę i że czas ten nie poszedł na marne. – Zerknął na mnie. – Tak naprawdę mówiłem o sobie.

– Ja nadal się staram – odezwała się cicho Jen.

– Oczywiście. Ja... Nie słuchaj mnie. – Steve uniósł kufel, pokazał na niego i przewrócił oczami.

Rupesh dopił drinka i zamówił kolejnego; ja zdecydowałam się na wodę. To był chyba jego szósty drink. A może siódmy.

– Co słyhać u twoich rodziców? – zapytała go Jen. – Dobrze ich pamiętam, zawsze byli dla mnie bardzo mili.

Rupesh posmutniał.

– Oboje nie żyją.

– Przykro mi. – Jen dotknęła jego dłoni.

– Tata odszedł nieco ponad rok temu. W sumie to niedługo przed tym, jak do mnie napisałaś, Jen. Mama umarła krótko po tamtych ostatnich wakacjach, które tu spędziliśmy.

– Stary. – Steve pokiwał głową, jakby go rozumiał. – Więc obaj jesteśmy sierotami.

Rupesh przyglądał się uważnie Steve’owi. Ja również, ale on nie spojrzał w moją stronę. Czy wspomniał o tym wcześniej w którejkolwiek wiadomości? Cholera. To właśnie czeka cię, kiedy starasz się unikać internetu: zdrowe zmysły i zakłopotanie.

– Straciłeś rodziców? – zapytał Rupesh. – Współczuję, stary. Nie wiedziałem.

– Ja o twoich też nie.

– Tak mi przykro, Steve – powiedziałam. – I z powodu twoich rodziców także, Rupesh.

Rupesh zaśmiał się gorzko.

– Ech, ten wiek informacji – stwierdził.

Zapytali Jen o rodziców, ona odparła zwięźle:

– Oboje żyją. I w ogóle się nie zmienili.

Kiedy to pytanie dosięgło mnie, wspomniałam o stanie mamy, ale zbagatelizowałam go, mówiąc, że na pewno dopilnuje, aby to tato znalazł się w ziemi przed nią. Byliśmy paczką smutasów, ale nie chciałam współczucia ze strony Rupesha i Steve’a.

W końcu chwila niezręczności minęła i Steve oświadczył:

– Chyba możemy już założyć, że Will się nie zjawi, no nie?

Jen, która wpatrywała się w swój telefon, wypaliła:

– Sprawdzam właśnie jego zabójstwa. – To przywróciło nieco lekkości naszemu spotkaniu. – Mówię poważnie.

Choć jej mina była najpewniej po prostu grą wyćwiczoną podczas zajęć z aktorstwa, na które uczęszczała, coś mi mówiło, że mimo wszystko się zastanawia, czy w słowach Willa nie kryło się coś więcej. To oczywiście absurdalne. Ale w takim razie czemu nikt się teraz nie odezwał? I czemu sama byłam taka spięta?

– Co byście zrobili... – zaczęłam, ale w tym momencie Jen wciągnęła głośno powietrze, przez co wszyscy się wzdrygnęli. Poczułam lekką irytację. Co za królowa dramatu.

– Niemożliwe. – Jen zakryła dłonią twarz i widoczny na niej uśmiech. – Niemożliwe, kurwa, proszę wybaczyć wyrażenie. – Skończyła czytać, po czym podała telefon Steve’owi.

Jego spojrzenie przesuwano się od lewej strony do prawej, a uśmiech przekształcił się w rozbawione zainteresowanie. W końcu pokręcił głową.

– No co? – zapytał Rupesh.

– Wpisałam „samobójstwo” i „festiwal” – Jen zwróciła się do Steve’a.

Ten cicho zaczął streszczać poszczególne akapity:

– Festiwal w Northumberland zwany Manifestem... Dwudziestojedynolatka Ellie Kidd. Policja traktuje jej śmierć jako niewyjaśnioną, ale nie podejrzaną... Film zarejestrowany telefonem innego uczestnika festiwalu przez krótki czas znajdował się na jakiejś stronie, po czym został usunięty. Widać było, jak dziewczyna wiesza się na siatkowym ogrodzeniu w ustronnej części obozowiska. Znaleziono ją wczesnym rankiem. No i coś o narkotykach.

– To z tego roku? – zapytałam.

Jen kiwnęła głową.

– Tak, artykuł pochodzi z dwudziestego dziewiątego czerwca. – Wzięła od Steve’a telefon i jeszcze raz przeczytała tekst. – Nie mogę uwierzyć, że ktoś to nagrał.

Rupesh wydał dźwięk nabrzmiały sceptycyzmem.

– Och, daj spokój, dziwne to trochę – stwierdziła Jen i dała mu żartobliwego kuksańca. – Nie sądzicie?

– Piszą tam coś więcej? – zapytał Steve. – Coś o lince namiotowej?

– Nie.

– Ilu ludzi umiera każdego roku na festiwalach? – dociekał Rupesh. – Ile dzieciaków z obsesją na punkcie muzyki cierpi na myśli samobójcze? Ilu fanów Joy Division kończy ze sobą?

– Jasny gwint – rzuciła Jen. Ponownie z uśmiechem czytała coś w telefonie. W pewnym momencie na jej twarzy pojawił się wyraz niedowierzania.

– Co? – zapytał Rupesh.

– Nic nie znalazłam, jeśli chodzi o samobójstwo i Loch Ness, ale spójrzcie na to. – Podała telefon Rupeshowi. – Patrz.

Przez chwilę wpatrywał się w wyświetlacz, a my czekaliśmy.

– Styczeń tego roku – odezwała się Jen.

– Ale co? – zapytałam z lekkim niepokojem.

Rupesh bez słowa pokręcił głową i podał mi telefon.

Nagłówek głosił: *Z Loch Ness wyłowiono ciało*. Zaczęłam czytać.

Do hotelu miałam zaledwie kawałek, bo mieścił się po drugiej stronie głównej drogi. Pub zamykano o północy, co dawało nam nieco ponad godzinę. Zajęliśmy stolik obok smutno wyglądającego świerku, który zdążył już zgubić połowę igieł. Wiszący na ścianie za barem telewizor zaprogramowano na stację muzyczną prezentującą świąteczne hity. Pomimo protestów Rupesh postawił pierwszą kolejkę.

Ja zajęłam miejsce jako pierwsza, a Steve usiadł obok mnie. Pub musieliśmy opuścić krótko po dokonaniu przez Jen odkryciu i nie mieliśmy czasu na przedyskutowanie wszystkiego. Przez długą chwilę wszyscy milczeli. W końcu odezwała się Jen.

– No dobra, co myślimy o Willu?

W dość jasnym świetle kurze łapki wokół jej oczu wydały się równie wyraźne jak moje w lustrze po włożeniu soczewek kontaktowych.

– Słuchajcie – zaczął Rupesh. – Wszyscy trochę sobie popiliśmy i świetnie spędziłem z wami czas, więc nie zrozumcie mnie źle, ale to zbieg okoliczności.

– Nie jesteś przekonany? – zapytał Steve.

– To tylko zwłoki w Loch Ness. Z artykułu nie wynika, że to samobójstwo. Dziwny zbieg okoliczności, owszem, ale nic poza tym.

W artykule nie podano nawet danych ofiary, a Jen udało się znaleźć jedynie podobne teksty z podobnymi informacjami.

– Według mnie to więcej niż dziwne – orzekła.

– Może. – Rupesh rozsiadł się wygodnie. – Korelacja to nie przyczynowość, a w tak ogromnym wszechświecie czymś jeszcze dziwniejszym by było, gdyby nie dochodziło do zbiegów okoliczności.

– Ale takich? – zapytała Jen.

Atmosfera przy stole zrobiła się napięta, ale przypuszczalnie stało się tak dlatego, że dotarło do nas, iż Rupesh nie chce się bawić razem z nami. A przecież tym to właśnie było, prawda? Zabawą. A on ją usiłował psuć. Przecież zbieg okoliczności to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Will po prostu nie miał ochoty do nas dołączyć i tyle.

– Wszystko nabrałoby sensu, gdyby okazał się seryjnym zabójcą – oświadczyła Jen.

Zaśmiałam się, mimo że w jej słowach kryło się ziarno prawdy. Owszem, rozumiałam punkt widzenia Rupesha, ludzie to stworzenia poszukujące wzorców i tak dalej. (W tej chwili wstawieni poszukiwacze wzorców). Ale to nie zmieniało uczucia, jakie towarzyszyło poskładaniu do kupy faktów oraz tego, jaki Will kiedyś był, co może stanowiło nie tyle ciąg wydarzeń, ile raczej kolor: nieładny bladozielony, który mój umysł nadawał mu podczas naszych dawnych spotkań. Rupesh był ciemnym fioletem,



zachowującym dystans i humorzastym. Steve ciepłą czerwienią, ekscytującą i krzepiącą jak ogień. Will zawsze był bladą, skłaniającą do zachowania dystansu zielenią.

– Ja tam zawsze się z nim dogadywałem – stwierdził Rupesh.

– Ale czasem przyprawiał o gęsią skórkę – skontrowała Jen. – Podczas rozmowy nie patrzył w twarz, tylko na cycki.

– No tak, ale wiesz, jak to jest z nastolatkami – rzuciłam.

– Hej – zaprotestował Rupesh. – Ja nigdy się nie gapiłem na wasze piersi, wielkie dzięki.

– Więc się zgadzasz? – zapytała Jen. – Will zdecydowanie miał zadatki na seryjnego zabójcę.

– Steve, weź no mi pomóż – jęknął Rupesh.

– Szczerze? Bywał naprawdę dziwny – orzekł Steve.

– Bzdura. – Rupesh nieco zbyt mocno uderzył w stół i przeprosił, kiedy woda Steve’a wylała się na blat.

– Zamierzałem powiedzieć, że z drugiej jednak strony w tamtym okresie każdy z nas był pewnie trochę dziwny – dodał Steve. – Jadąc tu, bałem się, co sobie o mnie pomyślicie, zważywszy na to, jaki byłem kiedyś.

– Pamiętasz tamtą grę, do której nas zmusiłeś? – zapytał Rupesh.

Steve wydawał się zaskoczony, ale przytaknął.

– Poświęcenie? – zapytałam. – On nas do niej nie zmuszał.

– Sądziłam, że to był nasz wspólny pomysł. I nic się nie martw, byłeś najzupełniej normalny. – Jen uspokajająco poklepała Steve’a po udzie. Nim zdążyłam zareagować, zwróciła się do mnie: – Może to dziewczyny inaczej go odbierały, nie wiem, ale Will był inny. Pewnie lepiej by mi się to udało wytłumaczyć, gdybym aż tyle nie wypila.

– W takim razie powinniśmy wytrzeźwieć i rano wszystko przemyśleć – zaproponował Rupesh.

– To nie tylko kwestia bycia dziewczyną – odezwał się Steve. – Ale może Rupesh ma rację i wytrzeźwienie dobrze nam zrobi.

Rupesh pokręcił głową i dopił swoją whisky. Zamrugał dwa razy.

– To cholerny zbieg okoliczności i tyle.

Jego pijacka pewność siebie zaczynała mnie irytować. Nie miałam nic przeciwko sceptycyzmowi – na studiach uwielbiałam sceptyków, właściwie stanowili dla mnie inspirację – ale Rupesh z mocą nas gasił, a to coś zupełnie innego. I chciałam wziąć na nim odwet.

– Bawisz się w adwokata diabła, Rup? A co, jeśli przypomnielibyśmy sobie więcej szczegółów dotyczących trzeciego zabójstwa, a potem znaleźlibyśmy o nim w necie informacje? Kiedy w końcu byś uznał, że to nie jest zbieg okoliczności?

Zdecydowanie pokręcił głową i wzruszył ramionami.

– Nie uznałbym. To... czemu nie sprawdzicie? Ktoś pamięta coś o tym trzecim zabójstwie?

Jeszcze w pubie próbowaliśmy to odtworzyć, ale na próżno.

– Jak już mówiłam, coś mi świta, że to miało być gdzieś w pobliżu – odezwałam się.

– Ktoś jeszcze coś takiego kojarzy? – W głosie Steve'a słychać było powątpiewanie.

– Może. – Jen znowu nachyliła się nad telefonem. – Mam stare pamiętniki z tamtego okresu. Jest szansa, że coś o tym napisałam.

– Są w Londynie? – zapytałam.

– Chyba tak – odparła, nie podnosząc głowy – ale niewykluczone, że leżą na strychu u rodziców. Nie znajduję niczego o niedawnych samobójstwach w okolicy. No ale trudno się spodziewać mnóstwa wyników po frazie „Blythe samobójstwo”.

– Cóż, swój udział będą w tym miały prochy – powiedział Rupesh. – Zapytałam go, jak ma zamiar tego dokonać, a on odparł, że porwie tych ludzi, nafaszeruje tabletkami i sprawi, aby wyglądało to tak, jakby wzięli mnóstwo różnych leków po to, aby mieć pewność, że im się uda. Sprawdź to. „Blythe samobójstwo leki”.

Jen chwilę później pokręciła głową.

– Nic nie wyskakuje.

– No i widzisz – zatriumfował Rupesh.

– Chyba że tego trzeciego zabójstwa jeszcze nie dokonał – oświadczył Steve.

– Bo wykraczesz – powiedział Rupesh.

– Czysto teoretycznie. – Jen teatralnie machnęła ręką. – Powiedział nam o tym wszystkim, prawda? Czemu to zrobił?

– Bo próbował nas rozbawić? – zapytał Steve.

– A może dlatego, że bawi się z nami w jakąś chorą grę – orzekła Jen. – Pod koniec zeszłego roku dostaje ode mnie mail o spotkaniu po latach, no nie? Więc sobie myśli: za rok. Jeden człowiek w styczniu, drugi w czerwcu, a ostatni pod koniec roku, mniej więcej wtedy, kiedy przypuszcza, że wszyscy będziemy się zastanawiać nad tym, czemu się nie zjawił.

– No nie wiem – powiedział Steve, nim Rupesh zdążył wyskoczyć z jakimś kontrargumentem. – Ale teraz, kiedy to mówisz... chyba mi się przypomina, że miał coś zrobić w sylwestra. – Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Jen zaczęła stukać w telefonie.

– Ja też kojarzę coś takiego. Chwila... A jeśli Will chce, żebyśmy go powstrzymali? Kiedy wpisuję „drugi” i „Loch Ness”, wyskakuje zbyt wiele niepowiązanych wyników. Niemniej to dziwne. Powinniśmy spróbować się dowiedzieć, co się z nim dzieje, czemu się dzisiaj nie pojawił. Może jutro? Dzisiaj jak nic przez to nie zasnę.

– Rupesh ma rację – oświadczył Steve. – Nawet jeśli pasuje to do tego, co o nim pamiętamy, to jedynie zbieg okoliczności.

– To co wy pamiętacie – wtrącił Rupesh. Pociągnął łyk drinka.

– Nadal nie powiedziałaś mi, co mogłoby zmienić twoje zdanie, Rupesh – rzuciłam. Spiorunował mnie wzrokiem wyraźnie zirytowany. – Najpewniej to nic takiego. Chcę jedynie wiedzieć, że nie lekceważymy tego, dlatego że

trochę niewygodna i krępująca byłaby konieczność pójścia na policję i opowiedzenia o wszystkim.

– Nie możesz powiedzieć policji czegoś takiego – stwierdził Rupesh. – Zostałabyś wyśmiana. A jeśli zaczął to planować w grudniu, kiedy do nas napisałaś, Jen, to nie miał dużo czasu, prawda? Spójrzmy prawdzie w oczy: Will nie należał do osób szczególnie zorganizowanych.

– To był koniec stycznia, co daje cały miesiąc – przypomniała Jen.

– Wiecie co, to się zaczyna robić nudne, więc powiem wam, co mogłoby zmienić moje zdanie. Po pierwsze, musielibyście się dowiedzieć, czy Will przebywa gdzieś w okolicy. Jeśli go znajdziecie, to będzie oznaczać, że wcale nie zniknął. Po drugie, należałoby wy badać, co porabiał przez te wszystkie lata; wykorzystać jego życie jako kontekst do określenia, czy mógł się stać seryjnym zabójcą. I po trzecie, musielibyście połączyć te dwa samobójstwa w realnym świecie, ale nie na podstawie naszych różniących się od siebie pijackich wspomnień dotyczących czegoś, co wydarzyło się dobrych kilkanaście lat temu, kiedy byliśmy równie pijani.

Czoło Rupesha lśniło i w międzyczasie rozpiął dwa górne guziki koszuli. On był zdecydowanie pijany.

– No ale przecież nie ma niezgodności, jeśli chodzi o nasze wspomnienia – zauważyłam.

– Otóż to – przytaknęła Jen. – Nikt nie zaprzeczył temu, co powiedział ktoś inny.

Na to akurat Rupesh nie miał żadnego kontrargumentu, a przynajmniej nie okazał się na tyle szybki, aby ubrać go w słowa.

– Czy ktoś go obserwował, kiedy jeszcze udzielał się w mediach społecznościowych? – zapytałam. – Ktoś wie, czym się zajmuje zawodowo? Gdzie mieszka?

– Nie mieszkał przypadkiem przez jakiś czas w górach? – podsunął Steve.

– Zapewniam was – odezwała się Jen – że znalezienie naszego Willa Oswalda w necie...

– Jego mama nadal tu mieszka – oświadczyłam, przypomniawszy sobie o tym, czego się dowiedziałam u rodziców.

– W tym samym domu? – upewnił się Steve. – Przy głównej drodze?

– Nie. – Powieki Rupesha były na wpół opuszczone. Oj, będzie jutro cierpiał. – Przeprowadzili się do Meriden. Bo co, chcecie skutecznie areszt obywatelski?

– Znasz dokładny adres?

– Nie. Mógłbym się dowiedzieć, ale musiałbym przy tym złamać prawo. Od razu zrozumiałam, o co chodzi.

– To twoi pacjenci?

– Rupesh – odezwała się Jen – a gdyby chodziło o coś naprawdę ważnego?

– Myślisz, że to jest ważne? Niewarte utraty pracy.

– W porządku. Jestem pewna, że sami się tego dowiemy.

– Wolno ci w ogóle ujawnić, że Will to twój pacjent? – zapytałam.

– A gdyby tak, to miałbyś dostęp do informacji? – chciał wiedzieć Steve. – Na przykład do historii chorób psychicznych?

– Nie i nie, i nie, i nie – odparł Rupesh i po raz kolejny uderzył pięścią w stół, zaskakując tym samego siebie. Patrzył prosto na Steve'a, jakby to było jego winą. – Przepraszam, ale chyba mam dosyć na dzisiaj.

Po chwili Steve zerknął na swój leżący na stole telefon i powiedział:

– Robi się późno. Niedługo Święty Mikołaj przefrunie ponad naszymi domami. Świetnie było was znowu spotkać. – Jego spojrzenie przeskoczyło na mnie.

– Cóż, nie sądzę, abym mogła wrócić do Londynu, nie upewniwszy się w kwestii Willa – stwierdziła Jen.

Rupesh westchnął głośno, czym zwrócił na siebie naszą uwagę.

– Wiecie, co jest naprawdę smutnego w nostalgii? – zapytał. – To, że pozwalając sobie na nią, otwarcie przyznajemy, że nie jesteśmy zadowoleni z teraźniejszości.

– Wesołych świąt – rzucił Steve.

Zaśmiali się wszyscy oprócz Rupesha.

– Zabawne. Zresztą to właśnie usłyszałem od byłej żony, kiedy jej powiedziałem, że zamierzam się z wami spotkać.

– Cóż, ja po prostu chciałem was wszystkich zobaczyć – stwierdził Steve.

Rupesh wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać. Zamiast tego wstał, pożegnał się i z uniesioną ręką wyszedł z baru, ani razu się przy tym nie oglądając.

Kiedy zostaliśmy we troje, Jen oświadczyła:

– Okej, dziwnie to wyszło. – Zaśmiała się nerwowo.

– Cholera. Czy to moja wina? – zapytał Steve.

– Nie – odparłam. – Myślę, że rozwód to świeża sprawa. Rupesh jest emocjonalną beczką prochu.

– No i niedawno zmarł mu tata – dopowiedziała Jen.

– Chwileczkę. – Ton głosu Steve’a był poważny. – On chyba nie siądzie w takim stanie za kółkiem? – Kiedy żadna z nas nie odpowiedziała, wstał. – Pójdę sprawdzić, czy już odjechał. – Szybko wyszedł z baru. Wrócił chwilę później, kręcąc głową. – Jego merc nie stoi już pod The George.

– A jeśli się rozbije? – zapytała Jen. – No i pełno teraz wszędzie policji.

– Każę taksówkarzowi przejechać obok domu Rupesha i sprawdzę, czy wszystko okej – zaproponował Steve. – W sumie mam nawet po drodze. Na pewno nic mu nie będzie. Napiszę do was.

– Dzięki, Steve – powiedziała Jen. – Słuchajcie, na jak długo tu zostajecie?

– Ja myślałem o maksymalnie kilku dniach. Ale tylko gdybyśmy coś razem zaplanowali. – Na moment utkwiał we mnie wzrok.

– Mam sporo zobowiązań rodzinnych, więc zostaję aż do Nowego Roku – wyjaśniła Jen. – Dobry będzie każdy pretekst, żeby choć na chwilę wyrwać się z domu. Powinniśmy sprawdzić, czy Will przebywa u rodziców. – Steve i ja wymieniliśmy spojrzenia. – Tak na wszelki wypadek.

– Mogę zostać na kilka dni – odezwałam się.

Nowe odcinki podcastu będziemy nagrywać dopiero na początku stycznia, więc nie czułam palącej potrzeby wyjazdu. Podczas gdy pozostała dwójka wyszła, aby zadzwonić po taksówkę, ja się zastanawiałam, na jak długi pobyt w Travel Inn mnie stać. Nagrywanie podcastu to obecnie moja praca, ale nie jakoś szczególnie lukratywna. Jeszcze jeden dzień? Musiałabym schować dumę do kieszeni i zapytać rodziców, czy mogę się u nich zatrzymać. Przynajmniej zdążyłam się tam już pokazać.

Pierwszy wrócił Steve. Usiadł naprzeciwko mnie, aby docić drinka. Uśmiechnął się. Oczywiście istniała także inna opcja.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– W The Premier Inn w Marlstone, Adie.

Adie. Ile czasu minęło, odkąd ktoś nazwał mnie Adie? Zawsze było to moje ulubione zdrobnienie.

*Jedźmy do mnie.*

Ciekawe, jak by zareagował. Mogłabym mu zaproponować wpadnięcie na kawę i może byłoby miło.

Nie, jeśli miało do tego dojść, to nie dzisiaj.

– Czy tylko mi się wydaje, czy Rupesh traktuje mnie z lekką wrogością? – zapytał Steve. – Ale czemu? Powiedziałem coś nie tak?

– Ty? Nie, był zły na wszystkich. Nie bądź takim narcyzem – odparłam, a on posłał mi błądy uśmiech.

Wróciła Jen i zdjęła z krzesła płaszcz.

– Pięć minut. – Zniżając głos, dodała: – Nie wiem jak wy, ale ja się strasznie boję, że Will przyjdzie i zamorduje mnie, kiedy będę spała.

Steve położył dłonie na jej ramionach i spojrzał w oczy. Wcale mi się to nie spodobało.

– Nic ci nie będzie. Jutro wszyscy się obudzimy i podziękujemy Rupeshowi za głos rozsądku.

– Akurat. Martwię się o niego.

Uścisnęli się, a potem Jen podeszła do mnie, aby się pożegnać. Na sam koniec Steve objął mnie i poczułam, że przyciska policzek do mojej głowy. Kiedy się odsunął, miałam ochotę znowu go przyciągnąć.

– Dam znać, czy udało mi się znaleźć te pamiętniki – powiedziała Jen. – A jeśli coś wam się przypomni, to od razu piszcie.

– Tak jest, pani detektyw. – Steve zasalutował.

– Nadal piszesz pamiętnik? – zapytałam.

– Ależ skąd! Zresztą gdzie bym je trzymała?

– To dopiero byłaby literatura – westchnęłam. – W głowie mi się nie mieści, że wszyscy jesteśmy już po trzydziestce.

Jen przytaknęła.

– Czas bywa przerażający, kiedy zwraca się na niego uwagę.



## Adeline, 1997

W piątek w porze lunchu, tydzień po śmierci psa Steve'a, rozlega się pukanie do drzwi Adeline. W progu stoi Will w za dużym T-shircie pofarbowanym na wszystkie kolory tęczy.

– Steve chciałby cię o coś poprosić. Obiecałem mu, że po drodze wstąpię i ci o tym powiem. Powinnaś przyjść.

Wypowiada te słowa ze wzrokiem wbitym w klatkę piersiową Adeline, a tym razem nie ma ona na sobie koszulki z logo.

Pierwsze pytanie Steve'a brzmi następująco:

– Jaki masz charakter pisma?

Adeline stoi w drzwiach salonu znajdującego się na samym końcu starego domu Steve'a. Temu miejscu przydałoby się odmalowanie i odkurzenie, a może po prostu rozbiórka. Zza niej wychodzi Will i siada z impetem na trzyosobowej sofie obok Jen, uwalniając tym samym chmurę kurzu. Wszyscy oglądają w telewizji, jak Scooby-Doo jest ścigany przez fioletowego szympansa.

– A raczej, czy jest choć trochę lepsze niż te tutaj? – Steve podaje jej kartkę. Tym razem wydaje się normalny, co cieszy Adeline.

Bierze od niego kartkę. To samo zdanie napisano czterema różnymi charakterami pisma: „Szanowny Panie Strachan, proszę skończyć z przywiązywaniem psa do pała. To okrutne”.

– Pewnie tak. – Adeline zerka na pozostałych. – Bez urazy, jeśli to wasze pisma.

– Czuję się urażony – odzywa się Rupesh. Leży na brzuchu na podłodze przed telewizorem.

– Ja też! – oświadcza Will i unosi obie ręce.

– I ja – dodaje Jen. – Nadal nie rozumiem, co jest nie tak z moim pismem.

Steve ją ignoruje. Adeline pisze to zdanie pod pozostałymi, po czym pokazuje Steve’owi. On je wszystkie porównuje.

– Miałaś rację co do stacji w Hampton – Adeline zwraca się do Rupesha.

– Kawał drogi, no nie? – mówi, nie podnosząc na nią wzroku.

Owszem. Cały upalny dzień straciła na to, aby spędzić w centrum Birmingham zaledwie pół godziny. Ściemniało się już, kiedy wracała polami do domu. Pełna nienawiści i frustracji, znalezionym odłamkiem metalu wyryła na drewnianej kładce słowo „WSIOKI”.

Steve kiwa głową, następnie wstaje i wyprowadza Adeline na zewnątrz. Zatrzymują się na końcu podjazdu i chłopak pokazuje jej dom z ujadającym psem.

– Psy nie powinny być tak przywiązane przez cały dzień – wyjaśnia. – To zwierzęta stadne, potrzebują przyjaciół. Ten psiak wariuje, chodząc w kółko. Pan Strachan zostawia go tam nawet podczas deszczu. Myślę, że należał do jego byłej żony, więc to zemsta.

Adeline opowiada o tym, jak mało nie zginęła przez tego psa w dniu, w którym poznała Steve’a.

– Ten pies ugryzł Obiego. Jakiś rok temu, kiedy wyszedłem z nim na spacer. Facet nawet nie przeprosił, jedynie odszedł, kręcąc głową. Ta rana się paskudziła i Obi od tamtej pory nie był już taki przyjazny. Tak jakby pies Strachana zaraził go złośliwością. Wcześniej nigdy mi nie uciekał.

– W takim razie pieprzyć Strachana – oświadcza Adeline, a Steve uśmiecha się szeroko.

Chłopak ma idealne zęby. Dziwne, że ona to zauważyła, bo nie ma w zwyczaju zwracać uwagi na uzębienie.

– Myślę, że robiąc coś dla tego psa, przywrócimy równowagę we wszechświecie – stwierdza Steve.

– Jesteś kimś w rodzaju rycerza Jedi? – pyta Adeline. Brzmi to sarkastycznie, choć wcale nie miała takiego zamiaru.

Steve znowu się uśmiecha.

– Nie, prawdę mówiąc, lubię Arystotelesa i... – Urywa i odwraca z zażenowaniem wzrok. – Po prostu lubię filozofię – bąka.

W sumie Adeline podoba się to, że jest dziwakiem.

– No dobra, to jaki masz plan?

Wracają do domu i Steve przedstawia plan: aby nie dać się nakryć, spotkają się o północy na początku ścieżki wiodącej do Hampton, którą Steve nazywa Drogą Umarlaka. Następnie na przedniej szybie samochodu pana Strachana zostawią list. List, który będzie brzmiał tak, jakby ułożyła go grupa okolicznych mieszkańców oburzona jego okrucieństwem. A jako że zostanie napisany starannym charakterem pisma Adeline, pan Strachan nie będzie miał powodu podejrzewać, że to jakaś ściema. Zaniepokoi się, że inni mają go na oku, ugnie się pod presją i będzie lepiej traktował swojego psa.

Rupesh chce, żeby po prostu zadzwonili do RSPCA<sup>[1]</sup>, a Will uważa, że powinni pociąć opony w jego samochodzie. Steve, ze znużeniem sugerującym, że nie po raz pierwszy omawiają ten pomysł, wyjaśnia, że RSPCA nie ma tak naprawdę żadnej władzy, no a oni nie chcą wylądować w więzieniu.

Robią losowanie, aby zdecydować, kto podejmie się realizacji najniebezpieczniejszej części planu: podrzucenia listu na samochód, gdy tymczasem pozostali będą stali na straży.

– Adeline jest nowa w grupie – mówi Steve. – To nie fair, żeby musiała to robić.

– Nie ma mowy – protestuje Adeline, starając się nie pokazać po sobie radości wywołanej tym, iż on akceptuje już jej przynależność do grupy. – Wchodzę w to.

W nagrodę otrzymuje kolejny uśmiech Steve’a.

Jen znajduje w kuchni chińskie pałeczki, które Steve łamie na kawałki i przytrzymuje w zaciśniętej dłoni. Najkrótszy kawałek wylosowuje Rupesh. Zerka na swój patyczek, następnie na te wylosowane przez pozostałych, po czym rzuca go na podłogę.

– Cholera – mówi. – Typowe. Wiedziałem. Jak w ogóle mam wyjść z domu o północy, Steve? Wy nie macie problemu, bo tu mieszkacie, ale ja muszę przejść całą główną drogę, w dodatku tak, żeby nikt mnie nie zobaczył. A mój tata zamyka na noc furtkę.

– Ja też muszę przejść tą drogą – odzywa się Will. – Wpadnę po ciebie. Z furtką sobie poradzimy.

– Co konkretnie napiszemy w tym liście? – pyta Jen. – Tylko „proszę być lepszym dla swojego psa”?

– Musi być coś ostrego – oświadcza Will. – Jakaś groźba.

– A może coś takiego? – Adeline bierze do ręki długopis, notuje coś, po czym pokazuje Steve’owi.

– Doskonale – orzeka po chwili chłopak.

Pozostali mamroczą coś z aprobatą z wyjątkiem Rupesha, który leży na brzuchu i ogląda *Scooby-Doo*.

Szanowny Panie,

czy mógłby Pan zaprzestać przywiązywania swojego psa do pala w ogrodzie? To okrutne i przez to Pański pies jest zestresowany i cały czas szczeka. Pański brak troski został zauważony i nie będzie dłużej tolerowany. Jeśli nie zachowa się Pan jak człowiek i nie weźmie pod uwagę dobra swojego psa i naszych próśb, to następnym razem postaramy się o coś więcej niż list.

Z poważaniem  
Sąsiedzi

- Sąsiedzi – mówi Jen. – Ładnie.
- Doskonale – niemal szepcze Steve.

Tego wieczoru Adeline słucha przez słuchawki muzyki i czyta encyklopedię w gabinecie taty, szukając informacji o Arystotelesie. Co jakiś czas wystawia głowę przez okno, aby nocne powietrze nie pozwoliło jej zasnąć.

Dwadzieścia minut przed północą wkłada szlafrok, by ukryć, że jest ubrana, po czym wymyka się z pokoju. Dzięki zamięłowaniu mamy do starych domów trzeszczy niemal każdy stopień. W kuchni wrzuca szlafrok do suszarki i wychodzi na zewnątrz. Mimo ciemności i ciszy wcale się nie boi. Ta ulica, w ciągu dnia tak nudna i dorosła, teraz nagle należy do niej – do nich. Nie widzi psa, ale wszystkie światła u pana Strachana są pogażone.

– Przyszłaś – szepcze Steve, kryjący się w ciemnościach.

– Oczywiście, że tak. – Dołącza do niego, schodząc z chodnika i widoku. Stoją na tyle blisko siebie, że czuje zapach jego wymytej skóry.

Słyszy kroki, a kiedy się odwraca, na drózkę wbiega Jen, która walczy ze śmiechem, ale na próżno. W końcu bierze się w garść i mówi:

– Doszłam już do drzwi, kiedy dopadł mnie miauczący Sparky.

– Sparky to jej kot – Steve wyjaśnia Adeline.

– Poważnie? – Adeline zachowuje śmiertelną powagę.

– Sarkazm to najniższa forma humoru, Adeline.

– W takim razie podła ze mnie kreatura.

Will spóźnia się dziesięć minut. Z daleka dostrzegają jego charakterystyczną sylwetkę. Ma na sobie za duży T-shirt z logo znanego teleturnieju. Nie ma z nim Rupesha.

– Czekalem i czekałem – mówi, gdy do nich podchodzi. – Przeskoczyłem nawet przez furtkę i zajrzałem do jego pokoju. Światło było zgaszone. Myślę, że śpi.

Steve wzdycha.

– No to wiemy, na czym stoimy. – Wydaje się smutny.

– On mówił, że może nie być łatwo – zauważa Jen, ale bez przekonania.

– Cóż, z powodu psa nie możemy zostawić listu pod drzwiami domu – stwierdza Steve – więc zamierzam wejść przez tylny ogród i w ten sposób położyć go na samochodzie. Jest tam duża szopa, za którą mogę się schować, a van stoi zaraz obok domu, tam gdzie pies mnie nie zobaczy. Oby.

Idą za nim dróżką, a dotarwszy do pola, skręcają w lewo, w stronę zagajnika, który znajduje się za domem pana Strachana, a także za domem Adeline. Kiedy docierają na miejsce, Will splata ręce, żeby Steve mógł na nich stanąć i przejść przez ogrodzenie.

– Czekajcie tutaj – mówi Steve. – Ale jeśli coś pójdzie nie tak, spotkamy się u mnie, o ile dacie radę. W przeciwnym razie widzimy się jutro.

Po tych słowach ostrożnie opuszcza się na drugą stronę płotu.

Dłoń Willa muska rękę Adeline, a ona się wzdryga. Zrobił to celowo?

– Sorki – rzuca. – Tak tu ciemno. Trzeba by mieć wzrok wilka, żeby cokolwiek zobaczyć.

Wzrok wilka? Czemu tak powiedział? Przez ciało Adeline przebiega dreszcz. Chwilę stoją w milczeniu. Ona przygryza paznokieć przy kciuku. Will ma jednak rację, noc jest tak ciemna, że Adeline mogłaby zostać teraz sama i w ogóle by tego nie zauważyła.

Ciszę przerywa dźwięk. Hau, hau, hau, hau, hau. Pies pana Strachana.

– Nie poszło mu – odzywa się Will.

– Co robimy? – pyta Jen.

– Czekamy – odpowiada Adeline. – Na razie czekamy. To może nic takiego.

Szczekanie staje się cichsze, aż w końcu całkowicie ustaje. Wypatrują Steve'a jeszcze jakiś czas, on jednak nie wraca, Will sugeruje, aby udali się do jego domu. Najpewniej wybiegł stamtąd od frontu. To by wyjaśniało szczekanie. Wróciwszy na dróżkę, obserwują ulicę. Wszystko wygląda tak jak wcześniej.

– Zaczekajcie tutaj – rzuca Adeline. – Sprawdzę podwórko, nim stąd pójdziemy. Na wypadek gdyby pan Strachan wyszedł za Steve'em.

Nie czekając na ewentualne protesty, przechodzi przez drogę, po czym odwraca się w stronę posesji pana Strachana. Pies leży niedaleko domu z głową opartą na łapach, tyłem do niej. Adeline skrada się na środek jezdni, żeby lepiej się przyjrzeć i sprawdzić, czy widać list na szybie pojazdu. Coś się porusza, jakiś cień pomiędzy vanem a lewą stroną budynku. Adeline na chwilę zamiera, po czym dociera do niej, że to Steve. Macha do niej. Na piętrze zapala się światło. Dziewczyna pokazuje na nie Steve'owi, po czym szybko podchodzi do ogrodzenia i przykuca, żeby nie zauważył jej pan Strachan. Kiedy nic się nie dzieje, powoli się podnosi i zerka ponad ogrodzeniem. Steve nachyla się właśnie nad autem. W tym momencie coś zwraca jej uwagę, a gdy kieruje wzrok na dom, dostrzega, że falują zasłony w pokoju, w którym pali się światło. Chce krzyknąć do Steve'a, ostrzec go. Włączają się reflektory w samochodzie, oświetlając ją i cały podjazd. Adeline mruży oczy. Światła gasną, po czym znowu się zapalają. I nagle rozbrzmiewa klakson. Alarm. Steve uruchomił cholerny alarm. Uśmiechnięty chłopak biegnie szybko przez podjazd i wtedy dostrzega go pies. Rzuca się w stronę intruza, ale powstrzymuje go sznur. Siła odrzutu jest tak wielka, że zwierzę skamle i ląduje na grzbiecie.

– Do mnie! – woła Steve, przemykając obok niej.

Adeline puszcza się pędem. Pozostali spieszą za nią, uderzając podszwami butów o asfalt.

– Zostawiłeś list? – pyta Adeline, kiedy wszyscy są już w domu Steve'a.

– Bez problemu – odpowiada. – Ale ten pies to jasnowidz. Zaczął ujadać, jeszcze zanim zdążyłem się zbliżyć.

Na górze, z okna pokoju taty Steve'a, obserwują przy zgaszonym świetle ulicę. Pan Strachan chodzi w szlafroku po podjeździe. Alarm już nie wyje, a pies nie szczeka. Mężczyzna odchodzi, nie zauważywszy listu. Nawet jeśli widział, jak uciekali, nie rozpoznał Adeline od tyłu, więc nic im nie grozi. Ich pierwsza misja zakończyła się sukcesem.

W domu jest cholernie zimno. Steve rozdaje im śmierdzące stęchlizną koce i rozpala w kominku drewnem, które przynosi z szopy. Polewa szczapki benzyną z kanistra – co za szalenie. Oglądają piracką kopię *Zabijania na śniadanie*, a Will puszcza w obieg magazyn pornograficzny, który zniósł z pokoju taty Steve'a. Film jest dobry i dzięki niemu Adeline nie zasypia, nie martwi się także powrotem do domu ani tym, że może zostać przyłapana. Siedzi na sofie razem z Jen i Willem. Steve zajmuje swój ulubiony skórzany obrotowy fotel. Co jakiś czas Adeline zerka na niego, wiedząc, że ciemność ukrywa te spojrzenia. Chłopak wygląda jak aktor z filmu, tyle że jest jeszcze przystojniejszy. Raz czy dwa, kiedy patrzy na niego, dostrzega, że on też się w nią wpatruje.

Adeline większość dni spędza w domu Steve'a. Wchodzenie do niego stało się równie naturalne jak wchodzenie do swojego domu. Najczęściej towarzyszą im inni, w różnych kombinacjach; zdarza się także, że są tylko we dwoje. Choć lubi to, taka sytuacja napawa ją także strachem, bo przez to coś, co się dzieje między nimi, rozmowa okazuje się trudna i niezręczna. „Przerazająca naturalna chemia” – takiego określenia użyła Minnie Driver w jednym z oglądanych przez nich filmów. Dzięki takiemu myśleniu to uczucie wydaje się bardziej naukowe, pozostające poza jej kontrolą, podobnie jak fakt, że jej żalodne zachowanie – budzenie się co rano z głową



pełną myśli o nim, używanie konkretnego dezodorantu, ponieważ on raz stwierdził, że ładnie pachnie – nie do końca jest jej winą.

Rupesh miał rację: oglądają mnóstwo filmów. Wiedzą o nich tyle, że bywa to porażające. Potrafią wymienić wszystkich aktorów drugoplanowych, nie mówiąc o gwiazdach występujących w danej produkcji. Steve zwraca ich uwagę na grupę aktorów, którzy pojawiają się razem w tych samych filmach, jakby należeli do jakiegoś sekretnego klubu i spędzali ze sobą czas także poza planem. Will mówi coś o tym, że nie chciałby być członkiem klubu, do którego sam by należał, a Adeline uświadamia sobie później, że to jest nawet zabawne.

Od czasu pozostawienia listu – który najwyraźniej odniósł zamierzony skutek, bo od tamtej pory nie widać psa Strachana – Rupesh w ogóle nie bywa u Steve'a. Adeline spotkała go pewnego popołudnia na przystanku autobusowym na rogu Elm Close i wyznał jej, że uważa, iż zawiódł ich wszystkich, więc doświadcza teraz dobrowolnego wygnania. Ona prychnęła, żeby przestał się niedorzecznie zachowywać.

Jej urodziny przypadają w czwartek dwudziestego pierwszego sierpnia. Oboje rodzice są w pracy, tata w sklepie z zabawkami w Marlstone, mama w kościele w Coventry, gdzie pełni funkcję zarządcy. Nie chodzi o to, że Adeline ma szczególną ochotę na ich towarzystwo. Gdy w końcu wstaje z łóżka, na stole w jadalni znajduje babeczkę przyozdobioną papierową wróżką. Oprócz tego na blacie leży koperta z jej imieniem, a kiedy ją otwiera, na podłogę wypada coś czarnego. Schyla się. To voucher do sklepu odzieżowego. Ogarnia ją uczucie dojmującej pustki; wyczuwa przepaść między sobą a tym, za kogo uważają ją rodzice. To smutne, jak mało o niej wiedzą, choć na pewno mieli dobre intencje.

Rozlega się dzwonek. Adeline ma na sobie bieliznę i szlafrok. Daszek nad drzwiami nie pozwala jej zobaczyć z okna na piętrze kto to. Kiedy już jest ubrana i ma wysuszone włosy, schodzi na dół. Na wycieracze leży niezdarnie owinięta paczka z przytwierdzoną do niej kopertą. Napisano na

niej jej imię i znak zapytania; zapewne osoba, która adresowała liścik, nie była przekonana, czy robi to prawidłowo, ale niepotrzebnie się martwiła.

Rozrywa papier. To piracka płyta Green Day zatytułowana *Noize Boyz*. Przez chwilę przyciska ją obiema rękami do piersi, po czym siada i odczytuje kartkę. Podpis głosi: „Sąsiedzi”. Adeline uśmiecha się z tego żarciku.

Tego popołudnia wybierają się na pola. Od razu po wyjściu z domu Steve’a zatrzymują się. Uwaga wszystkich skupia się na domu pana Strachana. Stoją w rzędzie w tym skwarze niczym oddział czekający na strzały. Pies przygląda im się z krawędzi podjazdu, a trzymający go sznurek jest znacznie krótszy niż do tej pory.

Adeline odwraca się do Steve’a, który stoi w środku.

- Co za skurwiel – rzuca Steve.
- O rety – wzdycha Jen.
- To oznacza wojnę – oświadcza Will.

Rupesh, być może pragnąc okazać swoje zaangażowanie po powrocie do owczarni, robi krok do przodu.

- Mam iść do budki i zadzwonić do RSPCA?
- Nie mogę w to uwierzyć – mówi Steve.
- Chodźmy – pogania ich Jen. – Zobaczy, że się gapimy.
- To oznacza wojnę – powtarza Will.

## Zima 2015

Nazajutrz telefon tak wściekle pikał w mojej torebce, że dłużej nie mogłam go ignorować. Było już wpół do jedenastej, a do dwunastej trzeba się wymeldować. Głowa mi ciążyła, kiedy jednak się uniosłam, okazało się, że nie czułam bólu ani mdłości. Nie będzie źle. Wystarczy szklanka wody i paracetamol.

Rozejrzałam się po pokoju. To miało być życie? Boże Narodzenie w cholernym Travel Inn. Plus był taki, że jeśli chodzi o najgorsze bożonarodzeniowe poranki, ten nie plasował się nawet w pierwszej piątce.

Torebka stała na krześle obok telewizora. Wstałam, podliczając, ile wczoraj wypiałam. Niemało, aczkolwiek moja obecna tolerancja na alkohol była prawdopodobnie najwyższa od czasu, kiedy skończyłam studia. Teraz, gdy nie pracowałam na etacie, właściwie nie istniał powód, dla którego w tygodniu należało zachowywać trzeźwość. Pierwszą i najważniejszą zasadą „Szczypty nostalgii” było to, że nigdy nie nagrywamy wcześniej niż po południu.

Czekał na mnie esemes od Steve’a.

Nie śpisz jeszcze?

Wysłał go zaledwie dziesięć minut po tym, jak się pożegnaliśmy w barze. Zasnęłam niemal od razu po przyłożeniu głowy do poduszki, czego teraz żałowałam. Może Steve miał jednak ochotę na kawę. Zaczęłam pisać odpowiedź, po czym ją wykasowałam i odczytałam pozostałe wiadomości. Jeszcze jedna od Steve’a:

Chyba jednak śpisz... Może powinniśmy rano sprawdzić, co z Rupeshem? Na podjeździe nie widziałem jego samochodu. Pewnie nic się nie stało. Fajnie było cię znowu spotkać.

Pierwszego esemesa musiał wysłać, kiedy jechał taksówką. A więc nie chodziło mu o kawę. Niemniej wymyślił pretekst do ponownego spotkania, a to już coś. Rupesh najpewniej zatrzymał się na poboczu, gdy do niego dotarło, w jakim jest stanie. Pewnie wszystko z nim w porządku. Ale czemu tego nie sprawdzić? To by był miły gest, poza tym mieliśmy świąteczny ranek. A co do pretekstów: lepsze już coś takiego niż poczynione przez nas wczoraj odkrycie, że Will to seryjny zabójca.

Czy rzeczywiście to mogła być prawda? Przecież ja też brałam taką wersję pod uwagę. Nawet się lekko przestraszyłam. Teraz, za dnia, coś takiego wydawało się czystym szaleństwem. Jen tak jednak nie uważała. Wczesnym rankiem dodała nasze numery do grupy na WhatsAppie o nazwie *Sprawa Willa* i przesłała pierwszą wiadomość: „PATRZCIE. LEKI”. Pod nią wstawiła link do artykułu z lokalnej gazety o ciele znalezionym w Loch Ness. Przebiegłam tekst wzrokiem – raport z dochodzenia przyczyny zgonu. Najważniejsze punkty: ofiarą była kobieta, Sara Kuzmenski, a w jej organizmie i samochodzie porzuconym niedaleko znaleziono pół apteki. Zwięzłość artykułu oraz brak szczegółów sugerowały, że dla prasy to nic więcej niż smutny wypadek. Steve odpisał: „Hmm... Interesujące”.

Brak odpowiedzi od Rupesha. Może rzeczywiście miał w nocy wypadek? Odpisałam na esemesa Steve’a, proponując, że skoro i tak wybieram się do rodziców, to może za godzinę spotkamy się pod domem Rupesha.

Przez noc Balsall Common i Blythe zostały pobielone. Drogi i pola między hotelem a Elm Close połyskiwały od szronu; niebo było niczym płachta

ółowiu. Nućąc *White Christmas*, pokonywałam powoli zakręty, mimo że drogę miałam tylko dla siebie. Wyludniony krajobraz wywoływał we mnie taki sam przyjemny dreszczyk jak wyjście w środku tygodnia na zakupy albo do kina, gdy tymczasem wszyscy inni tkwili w pracy.

Dom Rupesha mieścił się przy Blythe Lane, niedaleko Elm Close. Czarne kombi Steve'a stało po drugiej stronie ulicy, przed rzędem białych bliźniaków; w jednym z nich mieszkał kiedyś Will. Zaparkowałam za Steve'em, wysiadłam i podeszłam do drzwi od strony pasażera. Otworzył mi je. To było auto mężczyzny bez rodziny. Panowała w nim nieskazitelna czystość i unosił się zapach nowości. Steve uścisnął mnie niezdarnie ponad hamulcem ręcznym i złożył świąteczne życzenia.

– Dziwię się, że kto jak kto, ale ty nie zaplanowałeś niczego na dzisiaj – rzekłam. – Żadnego kominka, obok którego można się wylegiwać.

Jakiś cień przemknął mu przez twarz. I wtedy przypomniałam sobie jego słowa z wczoraj. Rodzice. Ale ze mnie idiotka.

– Cóż może być lepszego niż świąteczny poranek spędzony z dawnymi przyjaciółmi?

– Przykro mi z powodu twoich rodziców. Powinam to była wiedzieć. Szkoda... – Zamilkłam, kiedy dotarło do mnie, że nie mam do powiedzenia nic mądrego ani pomocnego.

– W porządku, Adie. Oboje zmarli już jakiś czas temu. Tatę zgubiła w końcu jego miłość do słodyczy, a mama odeszła tak, jak sobie życzyła: jechała z dużą prędkością po dużym europejskim mieście. Wypadek samochodowy, zginęła na miejscu.

– O rany.

Nie mogąc się powstrzymać, nachyliłam się i przyciągnęłam jego głowę do swojej piersi. Cholera, ładnie pachniał. Pocałowałam go w wysokie czoło i jeszcze raz zapewniłam, jak bardzo mi przykro.

– Mnie też przykro z powodu twojej mamy. Pamiętam, że nie dało się was nazwać przyjaciółkami.

– Zachowujemy dystans. Generalnie to się sprawdza.

Kiedy puściłam jego głowę, spojrzął na mnie i się uśmiechnął.

– No co? – zapytałam.

– To zabawne. Chwilami mam wrażenie, jakbyśmy cofnęli się w czasie.

Solidna, brązowa brama przed domem Rupesha pozostawała zamknięta, zasłaniając widok na podjazd.

– To jaki mamy plan? Rozumiem, że kiedy w nocy tędy przejeżdżałeś, brama była otwarta.

– Aha – odparł.

– Skoro teraz jest zamknięta, to pewnie znaczy, że Rupesh jest w domu.

– Sprawdźmy. Na pewno się nie obrazi, poza tym martwię się, że wczoraj trochę nas poniosło. Może uznał, że się na niego uwzięliśmy.

– Nie sądzę, że zrobiliśmy coś złego – oświadczyłam.

Nie miałam pewności co do tego, czy Rupesha ucieszy przypuszczenie przez nas ataku na jego kaca, ale w kwestii ducha świąt bardziej ufałam intuicji Steve'a niż swojej – dla mnie Boże Narodzenie już od dawna nic nie znaczyło. Steve'owi najwyraźniej doskwierało to, w jaki sposób zakończył się wczorajszy wieczór, a ja ochoczo odkładałam udanie się do rodziców.

Wysiedliśmy z samochodu i przeszliśmy przez ulicę. Ogród Rupesha niewiele się zmienił od czasu, kiedy byliśmy dziećmi. Przydałoby się jedynie skosić trawę, a z posągu Ganesi zeskrobać mech. W przeciwieństwie do sąsiednich domów nie było tu jakichkolwiek świątecznych ozdób.

Drzwi otworzył Rupesh w bokserkach i białym T-shircie Led Zeppelin – jeśli brakowało mi czegoś z okolic West Midlands, to niesłabnącego przywiązania do ciężkiego rocka. Po nocy miał potargane włosy, ale poza tym wyglądał całkiem dobrze. Steve mu powiedział, że się martwiliśmy. Po krótkim wahaniu zostaliśmy zaproszeni do środka. Rupesh udał się do kuchni, my tymczasem usiedliśmy w salonie. Na gzymsie kominka stało

zdjęcie przedstawiające go jako małego chłopca oraz drugie, na którym był mniej więcej w wieku, w jakim go poznałam, i towarzyszyli mu rodzice. W tym domu byłam tylko kilka razy, ale mogłabym przysiąc, że przed laty stały tutaj te same zdjęcia.

– Wygląda tu jak dawniej – zauważyłam, kiedy wrócił.

Zdążył włożyć ciemnofioletowe spodnie dresowe, a w ręce trzymał kubek z herbatą.

– To dziwne, bo kiedy mama umarła, strasznie się wkurzałem, że tata zostawił wszystko po staremu. A teraz, kiedy i on nie żyje, nie potrafię niczego zmienić. Nie mogłem się nawet zmusić do sprzedania czy wynajęcia domu, co się przydało po tym, jak Becky mnie wykopała.

– Wygląda na to, że przechodzisz trudny etap w życiu – odezwał się Steve.

– Słuchajcie, wczoraj trochę mnie poniosło. Po paru drinkach tak już mam.

– Spokojnie, nic się nie stało – zapewnił go Steve.

– Dobrze, że bezpiecznie dotarłeś do domu – dodałam.

– No tak, głupie to było z mojej strony. Przepraszam. – Usiadł i rozejrzał się po pokoju. – To... problem.

– Nie macie pojęcia, ile rzeczy od siebie odsuwałem po tym, jak umarł mój tata – rzekł Steve. – I miałeś rację. Ludzie rzeczywiście oglądają się na przeszłość, kiedy nie są zadowoleni z teraźniejszości. Właściwie to sam się ostatnio sporo nad tym zastanawiałem. Śmierć rodziców, wielkie rozstanie... Mam tyle dobrych wspomnień z tych letnich miesięcy, gdy trzymaliśmy się razem. Możliwe, że wracając tutaj, pragnąłem odzyskać choć trochę tych szczęśliwych chwil.

Nie powiedział „rozstanie”, ale „wielkie rozstanie”. Zabrzmiało poważnie.

Rupesh napił się herbaty.

– Po prostu zapomnij o tym, co mówiłem, stary. Byłem wstawiony.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, sugerowała, że nastąpił powrót do swoistej równowagi, i nawet zaczęłam się zastanawiać, gdzie Steve i ja możemy się teraz udać, skoro wiemy, że Rupeshowi nic nie jest. Wtedy jednak on rzucił:

– Zastanawiam się, czy rzeczywiście byliśmy wtedy szczęśliwi. A może uważaliśmy się za szczęśliwych, bo nie mieliśmy żadnych większych problemów? Żadnych rachunków do płacenia ani zmartwień takich jak kredyt czy potrzeba ustatkowania się.

– Ciekawe. A ty jak uważasz, Adeline? – zwrócił się do mnie Steve. – To przecież twoja działka.

– Mnie nie pytaj – odparłam, ale kiedy uparcie się we mnie wpatrywał, dodałam coś, o czym wspomniałam w kilku wywiadach: – Myślę, że ma to także związek z tym, że wiemy, jak nasze życie się potoczyło. Nasze ówczesne troski dobiegły końca. W większości. Wiemy, że wszystko dobrze się skończyło, bo przecież siedzimy tu teraz i nad tym dumamy.

Wypowiadając podobne myśli, zawsze myślałam o Xanie. Kochał filmy przypominające mu o dzieciństwie, o szczęśliwszych, bezpieczniejszych czasach. O szczęśliwszych miejscach: dlatego że miały one granice i można je było ponownie odwiedzać w pamięci; wszystko w nich było zakończone i ostateczne.

– Patrzę wstecz i częściowo przypominam sobie ten świetny czas – powiedział Rupesh. – Wygłupy na polach i oglądanie filmów, całą tę wolność bez odpowiedzialności. Ale czy rzeczywiście byłem zadowolony z życia?

– Ja pamiętam, że byłem szczęśliwy – oświadczył Steve. – Tak mi się wydaje. Znudzony, ale szczęśliwy.

Rupesh prychnął szyderczo.

– Ale chyba nie ze mną.

– Owszem – odparł Steve, ale jego uśmiech nieco przygasł. – Chyba nie myślisz, że czułem się źle w twoim towarzystwie? Byłeś jednym z moich



najlepszych przyjaciół.

– Zapomnij. Ja tylko żartowałem. Wszystko było okej.

– Byłem despotą? – zapytał Steve. Uśmiech zdążył już zniknąć z jego twarzy. – Wiem, że nie zachowywałem się idealnie, Rup, pamiętam to. Mam sporo żalu do siebie o to, jak wszystkich traktowałem, ale...

– Nie byłeś despotą – przerwał mu Rupesh.

– Nie – potwierdziłam.

– Po prostu nie znosiłeś tego, kiedy ktoś ci odmawiał. Ale wiesz... U każdego z nas w domu były problemy, których nie uświadamialiśmy sobie jako dzieci. Chodzi mi o to, że na pewno dziwnie się czułeś, że przez cały czas mieszkałeś sam. Nie myślałeś nigdy o tym, jak bardzo było to nienormalne?

– Ty miałeś gorzej – oświadczył Steve. I niemal tak, jakby pstryknięto jakiś włącznik, wrócił mu spokój. – Przepraszam, stary, naprawdę. Wiem, że nie ułatwiałem ci życia, które i tak pewnie było wystarczająco trudne. Był ze mnie kawał drania. Właściwie to trochę mnie to prześladowuje. Dobrze wspominał tamten okres, ale zawsze wiedziałem, że dla innych wcale tak być nie musiało.

Rupesh powiedział ze skrepowaniem:

– Nie przejmuj się, stary, było, minęło. Ja też mam dobre wspomnienia.

Bez względu na to, co mówili, naprawdę z rozrzewnieniem wracałam myślami do tamtych czasów. Choć rozumiałam, dlaczego Steve czuje się tak, a nie inaczej. Wtedy jednak jego pewność siebie mnie ekscytowała. Stanowiła miłą odmianę w ogłupiającej atmosferze tego zadupia.

– A co z Willem? – zapytał Steve. – Jak myślicie, jak on to wszystko wspomina? Zastanawiam się, czy z jego wczorajszą nieobecnością nie chodziło jednak o to, co zasugerowaliście. Może rzeczywiście żywi do nas urazę po tym, co się stało? Jeśli mam być szczery, to podczas naszego ostatniego spotkania nie wydawał się szczególnie uradowany.

– Widzieliście wiadomość od Jen? – wtrącił Rupesh.

– Aha – odparł Steve.

– Dziewczyna nie odpuszcza – stwierdziłam.

– Zdecydowaliście już, czy zamierzacie ciągnąć dalej tę „sprawę”? – zapytał Rupesh.

– Jeszcze nie. Ale miałem zamiar zaproponować, aby podpytać mamę Adeline, czy nie wie przypadkiem, gdzie mieszkają teraz Oswaldowie. Nie zaszkodzi złożyć im wizytę. Wiem, że to niczego nie dowiedzie, ale ciekawi mnie, czy Will przebywa w okolicy. Oczywiście jeśli się zgodzisz. – Steve odwrócił się w moją stronę.

– Jest Boże Narodzenie – powiedziałam.

– Otóż to. Może nawet go zastaniemy. Jak wczoraj zauważyłeś, Rup, to położyłoby kres idei, że to jego rok zabójstw. Zdusiłoby ją w zarodku. A w najgorszym razie dowiedzielibyśmy się, gdzie możemy go znaleźć. To powinno zadowolić Jen.

– A nie będzie to zbyt konfrontacyjne, jeśli się okaże, że on tam jest? To by oznaczało, że wczoraj się na nas wypiął.

– Celną uwaga – zgodziłam się. – Choć równie dobrze mógł po prostu zapomnieć. Jeśli go zastaniemy, a on nie będzie chciał się z nami widzieć, grzecznie się pożegnamy i wyjdziemy. Ale przynajmniej będziemy mieć pewność.

– Słuchajcie, od czasu rozvodu nieszczególnie mi idzie w pracy – odezwał się Rupesh. – Zdążyłem już podpaść kierownikowi przychodni, więc nie mogę się narażać sprawdzaniem kogoś w systemie ewidencji pacjentów, bo za każdym razem, kiedy to robimy, musimy podać powód. Wszystko jest monitorowane w celu ochrony danych i zachowania tajemnicy lekarskiej.

– Oczywiście, że to rozumiemy – zapewniłam go.

– Ale... – Rupesh uniósł palec, uciszając mnie. – Wczoraj wieczorem nie zachowałem należytego profesjonalizmu.

– Sprawdziłeś jego rodziców? – zapytał Steve.

– Aha.

– Co z Willem? – dociekałam.

– Nie mam w tej kwestii niczego interesującego do dodania. Ale zważywszy na fakt, że twoja mama nie jest w formie, Adeline, lepiej nie zawracać jej głowy.

– Dasz nam adres? – nalegał Steve.

– Niezupełnie. Ale wybierzmy się na przejażdżkę. Są święta, a ja mogę wam pokazać, co się przez lata zmieniło. No wiecie, jako miejscowy.

– Teraz? – zdziwiłam się.

– Chyba że macie inne plany. Jak mówił Steve, to powinno zadowolić Jen.

Pokręciłam głową.

– Na mnie czeka pusty pokój w hotelu, więc to lepsze niż mój pierwotny plan оголошення barku i oglądania badziewnych filmów – stwierdził Steve.

Rupesh napisał wiadomość na naszej grupie na WhatsAppie. Jen natychmiast odpisała: została wrobiona w zabawianie dzieci i z dziką rozkoszą da nogę z domu. Jeśli samochód jej odpali, zaraz się tu zjawi.

Steve wyszedł do łazienki, zostawiając mnie sam na sam z Rupeshem.

– Jeśli chcesz mnie zapytać o swoją mamę, Adeline, to mam do czynienia z wieloma pacjentami w podobnym stanie. Mogą stanowić spore wyzwanie.

– Dziękuję.

Nie zamierzałam ciągnąć go za język. Rupesh jedynie próbował wypełnić ciszę. Jakby na potwierdzenie tego, od razu umilkliśmy. Uratował nas jego telefon.

– Jen pisze, że jej samochód nadal szwankuje, więc świsnęła auto siostrze. Właśnie wyjechała.

– Ja nie dostałam tej wiadomości – powiedziałam, wyjmując komórkę.

– Nie napisała jej na grupie.

A więc Rupesh i Jen wymieniali prywatne wiadomości. Interesujące. Kiedyś byli parą, choć nie przypominam sobie, żeby ich związek był

równie poważny jak mój i Steve'a. Mogłam się jednak mylić. Wyjaśniałoby to jego nagłe zainteresowanie kwestią Willa, mimo że wczoraj tak bardzo protestował. A może dokonywałam jedynie projekcji własnych powodów?

Wrócił Steve i gdy tak siedzieliśmy i czekaliśmy na Jen, coś mi przyszło do głowy.

– Will musiał się poczuć wyalienowany, kiedy nasza czwórka się sparowała.

Dziwne, że wtedy żadne z nas nie zwróciło na to uwagi.

– Pewnie tak – powiedział Rupesh. – Szukasz motywów?

Zaśmiałam się.

– Niezupełnie. Chyba po prostu na nowo wszystko analizuję. Myślę, że najpewniej za jakieś dwadzieścia minut rozwiążemy tę zagadkę.

– Cóż, będziemy potrzebowali czegoś więcej niż motywu – oświadczył Steve. – Narzędzi, okoliczności, pobudek.

– O czym ty mówisz? – zapytałam.

– To teoria behawiorystyczna, z której korzystamy w pracy – wyjaśnił, a do Rupesha rzucił: – Poparta dowodami.

– Psychologia poparta dowodami – skrzywił się Rupesh. – A to dopiero. Steve lekko się zjeżył, ale ostatecznie przywołał na twarz uśmiech.

Przy wtórze ziewnięć, kaszlnięć i nedorzecznych uwag na temat niewyróżniających się niczym fragmentów krajobrazu („Jeśli skręcimy w lewo, zobaczycie ładnie załatany asfalt”), Rupesh pokierował nas do domu, gdzie Will mieszkał po wyprowadzce z Blythe, nie podając konkretnego adresu – skoro miał się dzięki temu lepiej czuć, to czemu nie? Przejechaliśmy przez Hampton-in-Arden, minęliśmy dworzec, położony w drażniąco dużej odległości od Blythe. To zabawne, jak krótka wydawała się ta droga, kiedy jechało się samochodem.

– Zatrzymaj się tutaj, Steve – rzucił Rupesh z tylnej kanapy, na której siedział razem z Jen. Dojechaliśmy właśnie do zaułku na obrzeżach kolejnej wsi, Meriden. – Źle się czuję.

Dopiero gdy wszyscy wysiedliśmy, dotarło do mnie, że to także element gry Rupesha.

– Idźcie beze mnie – powiedział, opierając się o maskę samochodu. Przyłożył sobie dłoń do czoła. – Chyba mam gorączkę. Tak, zdecydowanie. Zaczekam tutaj. Nie chcę zarazić swoich pacjentów, bo i tak to ja będę ich musiał leczyć.

– Okej – zgodziła się Jen.

– Zaparkowaliśmy wystarczająco daleko od domu, prawda? – zapytał Steve. – Nikt nas stamtąd nie zobaczy?

Rupesh kiwnął głową.

– Czy pojawienie się naszej trójki to nie przesada? – zauważyła Jen. – Zaczekam z Rupeshem. Zresztą kiedy ostatnim razem widziałam mamę Willa, uraczyła mnie żarliwą przemową o byciu zawodową aktorką. Nie wiem, czy dam radę jej powiedzieć, że mi się nie udało.

– Nic straconego – rzucił Steve. – Jesteśmy jeszcze młodzi.

– Zostanę tutaj – powtórzyła.

Zabudowa uliczki była typowa dla West Midlands z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku: identyczne, schludne domy z dużymi, w większości zajętymi podjazdami. Zapachy dochodzące z kuchni sprawiły, że zaburczało mi w brzuchu. Zbliżała się pora obiadu. Na końcu uliczki znajdowało się skrzyżowanie w kształcie litery „T”, a dom numer trzydzieści siedem usytuowany był na skraju jednego z rozwidleń. Na podjeździe stały przyczepa kempingowa i mała niebieska toyota. Jedno i drugie stare i przeżarte rdzą. Z każdej szczeliny w betonie wyrastały chwasty, a okno na piętrze miało pęknięcie zaklejone od środka taśmą. Taśmą wyklejono także numer trzydzieści siedem na małym oknie na prawo od drzwi. Kiedy się zbliżyliśmy do wielkiego okna wykuszowego

tuż nad podjazdem, stało się jasne, że mieszkańcy nie korzystają ze znajdującego się za nim pokoju: na gołym parkiecie leżały porozrzucone narzędzia. Steve nacisnął dzwonek.

Z czasów Blythe w ogóle nie pamiętałam rodziców Willa. Czy choć raz byłam u niego w domu? Rodziców wszystkich pozostałych miałam okazję poznać, jego jednak nie.

Drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku. Miała na sobie przyciasną czerwoną sukienkę w stylu vintage i jasną perukę z pasmami włosów sięgającymi do ramion. Taką osobę z całą pewnością bym zapamiętała.

– Wesołych świąt – przywitała nas.

Uniosła kieliszek z czerwonym winem. Intensywnie czerwona szminka wychodziła nieco poza kontur jej ust.

– Pani Oswald? – zapytał Steve. – Przepraszamy za najście, pewnie nas pani nie pamięta, ale jesteśmy dawnymi znajomymi Willa z Blythe. Przechodziliśmy akurat tędy i pomyśleliśmy, że sprawdzimy, czy przypadkiem go tu nie ma.

– Och, nie. Will? Nie.

– Dysponuje może pani jego adresem? Albo mailem? – zagadnęłam.

Pani Oswald pokręciła przecząco głową.

– Ostatnimi czasy nie mamy z nim kontaktu. – Obejrzała się, po czym szepnęła: – Nie jest tu mile widziany.

– Naprawdę? – zdziwił się Steve.

– Przykro mi, że nie mogę wam pomóc, ale może napijecie się grzanego wina?

Nim zdążyłam się odezwać, Steve przytaknął z entuzjazmem i wszedł do środka. Zrobiłam to samo i zamknęłam drzwi. Idąc tu, spodziewałam się krótkiej wymiany zdań i szybkiego zbycia nas, po którym mieszkańcy wróciliby do świętowania. Taka była zaleta współczesności – brak czasu na pogawędki. A tymczasem staliśmy w cholernym przedpokoju państwa Oswaldów. Nie było tu o wiele cieplej niż na zewnątrz. W domu mocno

pachniało kadzidełkami, tłumiącymi inną, bardziej nieprzyjemną woń, przypominającą odór niemytych stóp. Pani Oswald zniknęła w kuchni. W dobiegającej z głębi pomieszczenia audycji radiowej Noddy Holder, także mieszkaniec West Midlands, entuzjasmował się Bożym Narodzeniem identycznie jak co roku. Tak jak i podjazd, przedpokój również był zagracony: buty na schodach, płaszcz na podłodze. O ścianę opierał się regalik z płytami DVD, a nad nim wisiało oprawione w ramkę zdjęcie chyba Marilyn Monroe, tyle że nos tej kobiety był większy, a usta nie takie pełne. Wśród filmów dostrzegłam takie tytuły jak *Pół żartem, pół serio*, *Asfaltowa dżungla*, *Mężczyźni wolą blondynki*.

Wróciła pani Oswald i wręczyła mi kubek z grzanym winem. Na przeciwległej ścianie wisiało jeszcze więcej zdjęć Marilyn Monroe; na jednym towarzyszył jej John F. Kennedy, na drugim tańczyła z Gene'em Kellym – on wpatrywał się w Marilyn, natomiast ona patrzyła prosto w aparat. Przyłożyłam kubek do klatki piersiowej, żeby się ogrzać, bo pić nie miałam zamiaru. Na ceramicznej powierzchni uwiecznione zostało czarno-białe zdjęcie i cytat: „Jeśli potrafisz rozśmieszyć dziewczynę, potrafisz zrobić z nią wszystko”.

Przyglądając się swojemu kubkowi z Marilyn, Steve rzekł:

– Nie wiedziałem, że Will fascynuje się Marilyn Monroe.

Pani Oswald się roześmiała.

– Och, obawiam się, że to ja. Kocham naszą Marilyn.

– Powinna pani porozmawiać o filmach z Adeline, to ekspertka.

Kiedy pani Oswald z kokieteryjnym uśmiechem odwróciła się w moją stronę, pokazałam na krzykliwą ramkę wiszącą nad płytami z filmami.

– To pani? – Udawałam, że sącę wino. Co my, u licha, tu robiliśmy?

– Dawno temu, tak. Bardzo dawno. Płacono mi kiedyś za udawanie jej.

Na przyjęciach i tym podobnych.

– Jest pani do niej bardzo podobna. – Starannie dobierałam słowa, „jest”, a nie „była”.

W oczach pani Oswald wezbrały łzy.

– Jesteś słodka. Nie macie na dzisiaj żadnych planów?

– Indyk siedzi już w piekarniku – odparłam.

– Och, uroczo. Możecie powtórzyć swoje imiona?

– Była pani sobowtórem? – zapytał Steve. Doskonała zmiana tematu.

Przytaknęła.

– Bywałam także inną aktorką, Barbarą Windsor. Nieczęsto, no i nie lubiłam jej tak jak Marilyn. Co nie znaczy, że coś było nie tak z naszą Babs.

Otworzyły się drzwi od pokoju. Na korytarz wyszedł krępy, niski mężczyzna w denimowym kombinezonie i z kluczem francuskim w ręce.

– Witam – przywitał się, prezentując dwa rzędy nierównych zębów.

– To przyjaciele Wonksa – wyjaśniła pani Oswald.

Choć strasznie mnie kusilo, nie spojrzałam na Steve'a. Wonksa?

– Ma jeszcze przyjaciół, prawda? – zapytał mężczyzna.

Uśmiechnęłam się grzecznie, zakładając, że to jego ojczym albo chłopak mamy. O ile dobrze pamiętałam, biologiczny ojciec Willa odszedł od nich mniej więcej wtedy, gdy jeszcze się trzymaliśmy razem.

– Znaliśmy Willa, kiedy mieszkał w Blythe – wyjaśniłam.

– Nie mamy z nim kontaktu od... ile to już będzie, moja droga? Od dwóch lat? – odparł mężczyzna.

– Jakoś tak.

Steve spojrzał na mnie i uniósł brwi.

– Czy był tu podczas świąt dwa lata temu? – zapytał.

– Nie wydaje mi się – odparła pani Oswald. – Chociaż nie, może i był.

– Nie – zaprzeczył. – Był Monks, ale nie Wonks.

Po tych słowach poszedł do kuchni, aby pławić się w dźwiękach *Thank God It's Christmas* zespołu Queen. Rozległ się brzęk sztućców, a pani Oswald nachyliła się konspiracyjnie w naszą stronę.

– Oni dwaj się posprzeczali. Właściwie to nie rozmawiają ze sobą.

– Och – westchnęłam.



– Wonks przechodził trudny okres. – Obejrzała się za siebie, zerknęła w kierunku schodów i jeszcze ciszej dodała: – Narkotyki. – Już głośniej powiedziała: – Robiliśmy co w naszej mocy, aby mu pomóc, ale nie otrzymał zgody na powrót na uczelnię po raz trzeci. Chciał tu przyjechać i zamieszkać z nami, ale to też się nie udało. Co mogliśmy zrobić? Przez jakiś czas mieszkał z bratem, prawda, Monks?

Z kuchni wyszedł wysoki chłopak – starszy brat Willa, któremu ten swego czasu podkradał piwo, płyty i papierosy. Pamiętałam go i to, jak bardzo byli do siebie podobni. Nie był o wiele starszy od nas; wtedy jednak postrzegaliśmy go jako dorosłego.

– Co? – zapytał Monks. Jego głos także przypominał głos Willa.

– Wonks mieszkał z tobą, prawda?

– Mamo... – Zacmokał. – Taa, Will mieszkał ze mną, ale niezbyt długo. W Yorku.

– Gdzie moglibyśmy go znaleźć? – zapytał Steve. – Mieliśmy nadzieję, że uda nam się spotkać po latach, ale póki co nam to nie wychodzi.

Monks zmrużył oczy. Zrobił głośny wdech, po czym odparł:

– Chyba nadal mieszka w Yorku. Z tego, co mi wiadomo, wynajął pokój w domu razem z kimś związanym z jego zespołem. On się z nami nie kontaktuje, więc równie dobrze może być teraz gdziekolwiek. Po co to wam?

– Powiedziałam im o narkotykach – bąknęła pani Oswald.

Monks kiwnął głową.

– No tak. – Sprawiał wrażenie mocno powściągliwego.

– W jakim on był zespole? – zapytałam. Z jednej strony chciałam zmienić temat, z drugiej zaś autentycznie mnie to zainteresowało. – Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby grał na jakimkolwiek instrumencie. Kiedyś nie grał.

– Grał – oświadczył Monks. – Kto jak kto, ale ja najlepiej o tym wiem, bo to w moje bębny walił. Zespół punkowy. W sumie byli nawet niezli. Nie wiem, czy jeszcze razem grają.

– Jak się nazywali? – dociekał Steve.

– The Geppettos.

– Powinni się nazywać Pinokia! – zawołał z kuchni mężczyzna, który najpewniej był ojczymem Willa. – Kłamliwy dupek.

– Przepraszam, a wy kim jesteście? – ocknął się Monks.

– Dawnymi przyjaciółmi – wyjaśnił Steve. – Z Blythe.

– Och. – W jego oczach malowała się podejrzliwość. – Chyba cię pamiętam – rzucił w moją stronę. – Wyglądasz tak samo. Włosy i cała reszta.

– Dzięki – odparłam. – Chyba.

– Nadal tu mieszkasz? – zapytał.

– Nie, tylko moi rodzice.

– Pamiętam cię, taa. Mieszkałaś na Elm Close. Byłaś tą małą punkówką.

– W rzeczy samej.

Usatysfakcjonowany oddalił się niespiesznie.

Pełen kubek wina w mojej ręce zaczynał stygnąć. Zapytałam o toaletę, a pani Oswald pokierowała mnie na górę. Kiedy wspinałam się po schodach, Steve zaczął się żegnać. Zobaczył wystarczająco. Will nie pozostawał w kontakcie z rodziną.

W łazience wylałam wino do umywalki, po czym spłukałam je wodą. Kiedy z niej wyszłam, dostrzegłam na jednych drzwiach drewnianą plaketkę z imieniem: Wonks. Pchnęłam je lekko palcami, a one się uchyliły.

Istniało wiele powodów, dla których nie powinnam tam wchodzić, wiele dorosłych, rozsądnych powodów. Ale skoro zaszłam tak daleko, mogłam wejść w rolę Velmy ze *Scooby-Doo*. Poza tym Steve strasznie się podjara; już sobie wyobrażałam jego minę, kiedy mu o tym powiem.

Powoli wsunęłam się do pokoju, pilnując, aby nie stanąć na skrzypiącej desce.

Choć zasłony były rozsunięte, niewielkie okno i pochmurny dzień sprawiały, że mój wzrok musiał się przyzwyczaić do panującego tam półmroku. Z tego, co udało mi się dojrzeć, wciąż był to typowy pokój bałaganiarskiego nastolatka: półki zapchane płytami i plakietkami, gazety wystające spod nienagannie pościelonego łóżka, na ścianach kilka plakatów (logo Nirvany, okładka płyty *Trompe le Monde* zespołu Pixies, Jack Nicholson w roli Jokera). Dziwne i smutne, że tak się to wszystko zachowało – *proszę za mną, na górze znajdują się finalne elementy naszej wystawy poświęconej Marilyn Monroe, jak również wyjątkowy pokój, typowy dla nastolatków z lat dziewięćdziesiątych* – choć oczywiście nie dostrzegłam niczego, co mogłoby wskazywać na mordercze zapędy Willa.

Na półce z płytami zobaczyłam kilka opakowań, na których grzbietach widniał napis „The Geppetos”. Sięgnęłam po jedną. Na okładce znajdował się czarno-biały rysunek przedstawiający pół chłopca, pół osła; w lewym górnym rogu – nazwa zespołu oraz słowo „DEMO”. Z tyłu umieszczono listę utworów, niewielką fotografię zespołu i informacje kontaktowe. Zdjęcie było na tyle małe, że dojrzałam na nim jedynie trzy niewyraźne postacie z potarganymi włosami – każda z nich mogła być Willem. Jeśli nadal grali, możliwe, że ich strona internetowa funkcjonowała. Mogliśmy zadzwonić także pod podany na okładce numer telefonu. Niewykluczone, że to numer Willa. Jeśli nie, mogliśmy przynajmniej zapytać kolegów z zespołu o to, co się z nim dzieje. Zrobiłam zdjęcie adresowi strony i numerowi telefonu.

Odwróciłam się w kierunku drzwi i zamarłam. Ściana naprzeciwko mnie nie była zasłonięta meblami ani draperiami, ale nie była także pusta. Podeszłam bliżej, żeby się upewnić, iż sobie tego nie wyobrażam. Plakaty i kalendarze z dziesiątkami rozneglizowanych modelek i gwiazd porno zapełniały całą ścianę, od podłogi do sufitu. Sugestywny pokaz uprzedmiotowienia. W dodatku naprzeciwko tego kolazu stało łóżko. Zrobiłam jeszcze jedno zdjęcie, by pokazać to pozostałym. Już sama ta wystawka wzbudziła we mnie niepokój. Na domiar złego wiele

wizerunków kobiet, może nawet więcej niż połowa, zostało pozbawione twarzy. Blondynka w białym stroju kąpielowym w miejscu oczu miała dwie małe dziury. U innej modelki zamiast sutków widać było rozdarcia i ślady po długopisie. No i oczywiście niektóre panie doznały upokarzającego przebicia długopisem krocza, od przodu lub tyłu, zależnie od przybranej pozycji. Wszystko to sprawiało bardzo ponure wrażenie. Czemu rodzina Willa tak to zostawiła? Czy jego pokój w Blythe wyglądał podobnie? A jeśli tak, to czy pozostali to widzieli? Myśl o chłopcach, którzy siedzieli w pokoju Willa i taka wystawka nie wydała się im ani trochę niepokojąca, sprawiła, że poczułam się niesamowicie osamotniona.

*Głupie suki w internecie myślą, że nie da się ich znaleźć?! Uważaj na to, co mówisz.*

Wyszłam z pokoju i wypuściłam powietrze, uświadamiając sobie, że wstrzymywałam od jakiegoś czasu oddech. U dołu schodów mrugnęła do mnie kolejna Marilyn Monroe. Może cała rodzina to cholerni seryjni zabójcy.

– Pytanie brzmi: czy ona ubiera się tak codziennie, czy tylko z okazji świąt? – zastanawiał się Steve, kiedy wracaliśmy do samochodu. Nie potrafiłam się roześmiać. Nadal czułam się zbrukana. Przesadzałam? Możliwe. – No i o co chodzi z Monksem i Wonksem?

Pozostała dwójka czekała na nas na tylnej kanapie samochodu, zajęta czymś, co wyglądało jak walka kciuków. Na litość boską.

– No i? – zapytał Rupesh, jeszcze zanim zamknęły się za nami drzwi.

– No i nie widzieli go od, jak twierdzą, lat, i nie wiedzą, gdzie się podziewa. Ale to tak naprawdę nic nie znaczy.

– Niemniej, kiepski początek dla frakcji sceptyków – stwierdził Rupesh.

Steve streścił wszystko, co udało nam się dowiedzieć. Oczywiście musiał wspomnieć o obsesji mamy Willa na punkcie Marilyn Monroe, jakby mogło to stanowić kolejny dowód.

– Och, miała już tak, kiedy byliśmy dziećmi, nie pamiętacie? – zapytała Jen.

– Chyba nigdy nie byłem u Willa w domu – stwierdził Steve.

– Byłeś w jego pokoju? – zagadnęłam Rupesha.

– Na pewno.

– Zauważyłeś w nim coś dziwnego? Przypominasz sobie, co wisiało na ścianach?

– W sumie to nie. Może jakieś plakaty, nie wiem.

– Ja na szczęście nigdy tam nie byłam – oświadczyła Jen.

– Miał na ścianie wizerunki kobiet? – drążyłam.

– Może, był w końcu nastolatkiem. Czemu pytasz? – zapytał Rupesh.

– Cóż, zobaczyłam dawny pokój Willa i, no wiecie, jeśli do tej pory mocno się wahałam w kwestii tego wszystkiego, to teraz zdecydowanie mniej.

Kiedy im pokazałam zdjęcie, Rupesh stwierdził:

– Raczej bym zapamiętał coś takiego.

– A więc dla ciebie to jest dziwne? – upewniłam się, czując ulgę.

– No tak – odparł, aczkolwiek wyłapałam w jego głosie rezerwę. – To znaczy w moim zawodzie spotyka się różne dziwactwa, ale pozbawienie twarzy... cóż, nie jest fajne.

Spojrzałam na Steve'a, który siedział z otwartą buzią.

– To mężczyzna, który ma problem z kobietami – orzekł. – Może chodzi o jego matkę? Podejrzane, że tak to wszystko zostawił, bo przecież jako osoba dorosła także tam mieszkał, prawda? Tak mówili.

– Zdecydowanie – przyznałam i powiedziałam im o płycie.

– Will grał w zespole? – zdziwiła się Jen.

– Znalazłam numer telefonu – oznajmiłam, przewijając zdjęcia.

– Zadzwoń teraz? – zapytał Steve.

– Jasne – przytaknęła Jen.

Wyjął telefon, a ja podałam mu numer. Po chwili pokręcił głową.

– Nie ma takiego numeru.

– Jest też strona internetowa – zauważyłam.

Na wyświetlaczu mojego telefonu pojawiła się internetowa wizytówka The Geppettos. Znajdowały się tam trzy zakładki: KONCERTY, POSŁUCHAJ i KONTAKT. Na stronie kontaktowej widniał ten sam numer telefonu co na płycie oraz prosty formularz do wysyłania wiadomości. Link POSŁUCHAJ nie działał. Jedynym obrazem był znajdujący się u dołu strony banner z hybrydą osła i chłopca.

– Później wyślę wiadomość – powiedział Steve. – Z laptopa.

– Chwileczkę. – Sprawdzalam właśnie zakładkę KONCERTY. – Nadal koncertują i w drugi dzień świąt mają nawet występ. Jakaś wielka akcja zatytułowana „Pieprzyć święta”. Grają także następnego dnia, ale to już w Yorku. Kolejny koncert jest w Nowy Rok. Powinniśmy się wybrać na któryś z nich.

– Dobry pomysł – prychnął Rupesh. – Hej, Will, super występ, zabiłeś kogoś niedawno?

– Właśnie tak byśmy powiedzieli.

– Gdzie jest ten pierwszy koncert? – zapytał Rupesh.

– W Manchesterze.

– W sumie to niedaleko – stwierdził Steve.

– Jak długo się tam jedzie? Godzinę? – zastanawiałam się.

– Ja w ten wieczór pracuję – zastrzegł Rupesh.

– Och, daj spokój – odezwała się Jen. – Musimy jechać.

Steve przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Jeśli nie otrzymam odpowiedzi z formularza kontaktowego, zawsze to jakiś trop, no nie? Możemy zrobić sobie wycieczkę.

Rupesh westchnął i oparł głowę o zagłówek.

Kiedy ruszaliśmy, dostrzegłam w bocznym lusterku postać wyłaniającą się z zaułka, kogoś o posturze brata Willa. Nie miałam pewności, że to on ani że zobaczył naszą czwórkę. Najpewniej zakwestionowałby wtedy

historię, jaką przedstawiliśmy u niego w domu. Nie wspomniałam o tym. Teraz i tak nie miałyby to znaczenia.

W Blythe zatrzymaliśmy się pod domem Rupesha. Wieczorem miał zobowiązania natury służbowej, a Jen musiała się zjawić w domu na rodzinnym obiedzie.

– Rup, nadal sądzisz, że szukamy dziury w całym? – zapytała Jen.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co o tym myśleć. Wciąż jestem lekko skacowany.

Steve odwrócił się w ich stronę.

– Spełniliśmy dzisiaj wiele z twoich kryteriów.

– No tak – potwierdziła Jen. – Jeśli to nie liczy się jako zniknięcie...

A czy po tym, co Adeline zobaczyła w jego pokoju, wydaje się wam zrównoważony?

Rupesh wydał dźwięk przypominający skrzypienie drzwi.

– Nadal musicie połączyć ze sobą te dwa samobójstwa. Po prostu informujcie mnie na bieżąco, okej? – Uniósł rękę. – Fajnie się było spotkać.

Jen i Rupesh wysiedli z auta i przyglądaliśmy się, jak idą przez podjazd.

– Chyba muszę się zająć kwestią mojego zakwaterowania – odezwałam się, wcale nie gotowa do stawienia czoła mamie.

– Mam nadzieję, że nie jest to zbyt stresujące. – Steve dotknął mojego ramienia, a ja uniosłam rękę i musnęłam jego policzek.

W jasnym świetle dnia dostrzegłam zmarszczki, których wcześniej nie widziałam. Jakie to dziwne, że znowu poczułam wobec niego czułość, wręcz opiekuńczość, jakbym żywiła sekretne przekonanie, że Steve Litt powinien być odporny na działanie czasu. Wysiadłam i odwróciłam się, aby mu pomachać. Opuścił szybę.

– Adie, powiedz szczerze, według ciebie byłem tyranem?

Słowa Rupesha musiały mu dopiec.

– Wiesz, co ja o tobie myślałam – odparłam. – Przestań dociekać.

Przez chwilę się nad tym zastanawiał, po czym kiwnął głową, przynajmniej na razie usatysfakcjonowany. Miałam na myśli swoje uczucia, ale kiedy tak stałam na chodniku i czekałam, aż odjedzie, przypomniało mi się coś jeszcze. Nie, nie był tyranem, a przynajmniej ja go tak nie postrzegałam. Owszem, bywał arogancki i bezmyślny. Porzucił mnie przecież po tamtym pierwszym lecie. Bez słowa pożegnania. A ja napędzana gniewem zrobiłam wtedy mnóstwo głupich rzeczy. Oczywiście starał mi się to wynagrodzić, przysłał własnoręcznie zrobioną kartkę świąteczną, a potem list. Ale w paskudnym, nowym liceum w Balsall Common przez cały rok zachowywałam się tak wybuchowo, że z nikim się nie zaprzyjaźniłam, a w rezultacie wszystkie wieczory spędzałam samotnie, oglądając filmy.

– Och, masz prezent dla rodziców? – zapytał teraz.

Oczywiście nie pomyślałam o tym.

– Cholera. Nie. Dzięki.

– Święta są ważne, Adie – powiedział i podniósł szybę.

I to był właśnie Steve, jakiego pamiętałam. Steve, który nigdy nie zapominał o ważnych datach, prezentach i kartkach. O świętach, rocznicach, urodzinach. Po raz pierwszy całowaliśmy się w dniu moich piętnastych urodzin, ukryci na polu kukurydzy niedaleko miejsca, w którym stałam teraz. Cóż za wspomnienie. Kupił mi wyjątkowo przemyślany podarunek, a potem udawał, że to od nich wszystkich. Tamtego popołudnia siedziałam z nim na spękanej ziemi pośród grubych łodyg, a między nami przepływała dziwna energia. Choć raz się nie denerwowałam, nie martwiłam tym, że moje włosy wydają się tłuste, ani ewentualnymi krostkami wokół ust. Byłam także wstawiona, a to okazało się pomocne. Pamiętam długie rzęsy Steve'a. Śmiałyśmy się, kiedy się przekonaliśmy, że oboje mamy otwarte oczy, mimo że mieliśmy je zamknąć. A potem zaczęliśmy się całować z większym zaangażowaniem i choć nie robiłam



tego po raz pierwszy, pociąg, jaki czułam do Steve'a, okazał się czymś nowym. Wsunęłam dłoń pod jego koszulkę i wyczułam, jak bije mu serce. Przewróciliśmy się i zderzyliśmy zębami. Ale nie przerwaliśmy. I gdyby nam nie przeszkodzono... to kto wie?

Samochód Steve'a zjechał z krawężnika, a kiedy mnie minął, dostrzegłam, że w lewym rogu tylnej szyby ktoś narysował palcem w kurzu logo Nirvany. Zadrżałam, przypomniawszy sobie pokój Willa. Po chwili jednak, wyobrażając sobie figle dzieciaków takich, jakimi sami kiedyś byliśmy, pozwoliłam sobie na uśmiech. W tych okolicach rzeczywiście kochano ciężką muzykę.

## Rupesh, 1997

Na samym początku Elm Close znajdują się skrzynka pocztowa, budka telefoniczna i stara wiata autobusowa. Wiata jest lekko cofnięta i ze wszystkich stron porastają ją krzaki. Rupesh, którego tata poprosił o wysłanie listu, stoi na tyle blisko, żeby odczytać graffiti na ciemnym drewnie. Jego uwagę przyciąga dym. Niski głos woła jego imię. Rozpoznawszy głos, zagląda pod wiatę. W kącie siedzi Will i pali.

– Dawno się nie widzieliśmy – mówi.

Minęło ładnych kilka dni, odkąd Rupesh nie pojawił się na akcji na Drodze Umarlaka i unikał ich wszystkich, licząc, że w końcu o tym zapomną.

– Byłem zajęty – odpowiada i siada obok Willa. W ręce nadal trzyma list.

Will proponuje mu papierosa. Rupesh dostrzega brud za jego paznokciami i przypominają mu się słowa Willa o tym, że myje zęby tylko raz w tygodniu.

– Nie, dzięki.

Will nie zachowuje się tak, jakby żywił do niego urazę o tamten wieczór, a to już coś. Zaczyna opowiadać o Kurcie Cobainie, o tym, że teraz, kiedy nie żyje, cieszy się jeszcze większą sławą niż za życia, i o tym, jak opłaczalna bywa śmierć. Może już zapomniał? Rupesh ma nadzieję, że nie obmawiają go za jego plecami, że nie nienawidzą go. W samym środku wyjaśnień Willa dotyczących tego, że gdyby był gwiazdą rocka, to zaczęłyby swoją karierę od udawania, że nie żyje, zjawia się Adeline i oświadcza:

– Po co jest tu przystanek, skoro nie jeżdżą autobusy?

Obaj podskakują.

Rupesh beszta ją za to, że ich przestraszyła, po czym mówi:

– Kiedyś jeździły, ale tutaj wszyscy mają samochody. W ogóle z niego nie korzystano.

Adeline kiwa głową.

– No dobra, więc co się stało tamtego wieczoru?

Kurde. Nie zapomniała. Teraz będzie się musiał tłumaczyć.

– Ostrzegałem, że nie będę mógł się wymknąć. Słyszałem rodziców. Nie spali jeszcze. Byłem gotowy do wyjścia.

To kłamstwo; poszedł wcześniej spać, w ogóle nie mając zamiaru wychodzić. Steve czasem posuwa się za daleko – a ta akcja ze Strachanem była niedorzeczna. Czemu o tak późnej porze? Czemu tak... cóż, zuchwale? Każda paczka potrzebuje kogoś takiego jak Steve, ale po co tyle stresu? On jednak wie po co. Steve naoglądał się zbyt wielu filmów, zwłaszcza takich, w których grupa dzieciaków zmawia się przeciwko wspólnemu wrogowi. Takie filmy są w porządku, ale lepiej je oglądać, niż wprowadzać w życie. Rupesh woli historie na przykład o Sherlocku Holmesie czy Batmanie, znakomitych postaciach, które na swój sposób są lepsze od reszty i przejmują się tylko innymi znakomitymi postaciami, takimi jak Moriarty czy Joker.

Will proponuje Adeline papierosa, a ona się zaciąga. Podaje go następnie Rupeshowi, który tym razem także się zaciąga, mimo że dziwnie się czuje z papierosem w ręce. Kiedy oddaje go Willowi, ten przygląda mu się spod przymrużonych powiek.

– No to co porabiasz? – pyta Adeline.

– Och, no wiesz, jestem zajęty – odpowiada.

– Gówno prawda. Unikasz nas, no nie?

Adeline uśmiecha się i Rupesh robi to samo.

– W porządku, martwiłem się po prostu, że wszyscy jesteście na mnie źli.

To nie do końca kłamstwo, choć także nie cała prawda. Ma na myśli to, że Steve będzie na niego zły. Rolą Rupesha w grupie jest stanowienie

przeciwwagi dla Steve'a. Na lekcji fizyki pani Kaur uczyła ich kiedyś, że dźwig potrzebuje z tyłu przeciwwagi, żeby się nie przewrócił. Zazwyczaj było tak, że albo cała ich paczka robiła coś wspólnie, albo wcale. Jednak nie tym razem. Teraz to Rupesh czuje się wyobcowany.

Adeline przewraca oczami.

– Nikt nie jest na ciebie zły. Prawda, Will?

– Nikt się tym nie przejmuje – odzywa się Will.

Adeline zmieniła dynamikę grupy. To jasne dlaczego: jest naprawdę zgrabna. Oczywiście jest także, że podoba się Steve'owi, zresztą Willowi pewnie też – choć jego akurat trudniej wyczuć. Czy podoba się Rupeshowi? Mimo że jej monochromatyczna gotyckość wydaje się atrakcyjna, jest w niej także coś twardego, co nie przypada mu do gustu. W sumie chyba mu się podoba, choć czasem bywa aż nadto szczerą, za dużo klnie i jest ciut onieśmielająca. Nie tak jak Jen, która zawsze jest wobec niego taka słodka. Teraz, kiedy Adeline podsyca ambicje Steve'a, jeszcze trudniej będzie okiełznać jego brak umiaru.

– Jutro mam urodziny. Musisz wpaść – oświadcza Adeline.

– Steve twierdzi, że coś zaplanował – mówi Will i w jego głosie pobrzmiewa nutka zniechęcenia.

– Spotykamy się u niego po obiedzie. Jeśli się nie zjawisz, przyjdę po ciebie i zaciągnę siłą.

Tak, Adeline bywa groźna. Ale to miłe, że zależy jej na tym, by się pojawił na jej urodzinach.

Niemniej nazajutrz, kiedy idzie Elm Close, denerwuje się tym, że spotka się z nimi wszystkimi. Jest już spóźniony, jak zawsze, a to może mu wcale nie pomóc. Mijając posesję pana Strachana, czuje zapach świeżo skoszonej trawy, a gdy zerka na schludny trawnik, nie widzi tam psa.

Wchodzi do salonu, gdzie wszyscy pogrążeni są w dyskusji o filmie, który obejrżeli bez niego. Adeline na jego widok unosi rękę, ale pozostali go nie widzą. Albo widzą, lecz ignorują. Nie najlepszy początek.

– Przepraszam za wtedy – odzywa się, kiedy następuje pauza w rozmowie. – Tak jak już mówiłem Willowi i Adeline, byłem gotowy do wyjścia, ale się nie udało.

Jen, która stoi do niego plecami, odwraca się i radośnie wykrzykuje jego imię. To pewnie oznacza, że nie żywi do niego urazy – co za ulga. Najbardziej liczy się dla niego to, co uważa Jen. Ta dziewczyna zdecydowanie mu się podoba. On jednak nie jest w jej typie, nie ma co do tego złudzeń. W oglądanych przez nich filmach zawsze podobają się jej aktorzy o konwencjonalnym typie urody. Nawet jeśli jakimś cudem on też się jej podoba, mogłoby się pojawić całe mnóstwo komplikacji – na przykład co pomyślą o tym jego rodzice – a niekoniecznie ma ochotę je poznawać. Nie wspominając o tych żartobliwych słowach, które Jen wypowiedziała kiedyś, gdy się wkurzyła na rodziców. Otóż według niej najlepszą zemstą byłoby spotkanie się z Rupeshem ze względu na jego azjatyckie pochodzenie. Istnieje wiele powodów pomagających mu nie tracić zbyt wiele energii na fantazjowanie o związku z Jen Sherman. Niemniej jej reakcja dodaje mu otuchy.

– Zresztą okazałem się niepotrzebny, prawda? – pyta. – Od tamtego czasu nie widziałem psa.

– Myśleliśmy, że zasnąłeś – mówi Steve, a pozostali wybuchają śmiechem.

Wcale nie podoba mu się ten śmiech. Wraca niepokój, który odgonił widok Jen. Z tonu głosu Steve'a wnioskuje, że ten nienawidzi go za to, że się wtedy nie zjawił. Zgrywa luzaka, ale jest zirytowany.

Na pewno rozmawiali o nim. Jen pewnie uważa go za lenia. Może nawet za tchórza.

Rupesh za wcześnie odtrąbił zwycięstwo nocnej akcji.

Pies Strachana wrócił na trawnik. Jakby czekał, aż ich paczka znowu będzie w komplecie.

Na polu za Elm Close bez entuzjazmu odśpiewali Adeline *Sto lat*. Nastroje mają raczej posępne. Słowa Willa, że to wojna, wcale nie były dalekie od prawdy. Rupesh ani trochę nie lubi Strachana i choć mógłby czerpać satysfakcję z niepowodzenia planu Steve'a, tak się jednak nie dzieje. Właściwie to czuje niepokój. Czymś innym jest jego przeciwstawianie się Steve'owi, a czymś zupełnie innym, kiedy robi to ktoś pokroju Strachana.

Jen puszcza w obieg butelkę wódki, która szybko poprawia im humor. Steve oświadcza, że powinni świętować urodziny Adeline i nie pozwolić, aby Strachan je zepsuł. Inicjuje grę w Jurassic Park, podrasowaną wersję zabawy w chowanego, w której szukający są „welociraptorami”, a jeśli dasz się znaleźć, zostajesz „wypatroszony” i stajesz się częścią grupy raptorów. To naprawdę niedorzeczne; choć jeśli Rupesh ma zamiar wkraść się ponownie w łaski Steve'a, będzie się musiał mocno zaangażować. No i z rzeczy, do których nakłania ich Steve, ta nie jest jeszcze wcale najgorsza.

Po tym, jak Steve przedstawia ogólny pomysł tej zabawy i obowiązujące reguły, Adeline oświadcza:

– Stuknięty jesteś. Ile ty masz lat?

– To naprawdę fajna zabawa – odzywa się Rupesh.

Tylko on dostrzega, że Steve zerka na niego z ukosa, niewątpliwie dlatego, że kiedy bawili się w nią ostatnim razem, przez cały czas narzekał.

– Napij się jeszcze – mówi Jen i wręcza Adeline plastikową butelkę, w której zamiast wody jest coś z procentami. – Wiem, co masz na myśli, ale uwierz mi, można się pośmiać.

– Super, że zboże jest już takie wysokie – zauważa Steve.

Starając się, aby zabrzmiało to pomocnie, Rupesh mówi:

– To nie zboże, tylko kukurydza.

Ze sterty cegieł, które swego czasu mogły być budynkiem gospodarczym – z „bazy” – rozbiegają się wszyscy z wyjątkiem Jen.

Rupesh nie znosi zapuszczać się w pole kukurydzy. Nie da się rozróżnić szelestu liści od odgłosu zbliżającego się człowieka. Kiedy zostaje sam w jednym z rzędów, zawraca i obserwuje Jen. Gdy dziewczyna znika, on siada na stercie cegieł w bazie i czeka, aż pozostali skończą się gonić. Formalnie rzecz biorąc, wygrał. Jeśli Steve się nie domyśli, co on zrobił, może mu nawet pogratuluje. Czy to wystarczy, aby wynagrodzić tamto niestawienie się na akcji? Nie, nic z tego. Będzie musiał urządzić większe przedstawienie, a nie wyczekiwać, aż inni się zjawią. Sprawić, aby wyglądało to tak, jakby przez cały czas włączył się po polach jak pozostali.

Z pewną niechęcią wchodzi ponownie między rzędy kukurydzy. Towarzyszy mu szelest, jakby łodygi ustawiły się w jednej linii i oklaskiwały jego decyzję. Przyprawia go to o gęsią skórę. Zwalnia i szybko dociera do niego, że wszystkie liście znajdują się na poziomie jego uszu, i tylko dlatego ich szelest brzmi tak, jakby reagowały na jego obecność. To wyjaśnienie jest dobre, ale serce nadal mu wali jak młotem.

Próbuje się czymś zająć, skupić na celu, czyli tym, aby Steve nie uczynił z niego obiektu żartów. Tutaj jednak wcześniejszy plan wydaje się głupi. To alkohol myślał za niego. Steve wcale nie uzna, że entuzjazm Rupesha do zabawy wynagradza tamto niepojawienie się. Nie tak działa poczucie sprawiedliwości Steve'a. Zmusi pewnie Rupesha do zrobienia czegoś okropnego Strachanowi. Będzie chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. „Następnym razem postaramy się o coś więcej niż list” – tak przecież napisali. Bez względu jednak, co to takiego, Steve będzie chciał, aby zrobił to Rupesh.

Jego paniczne rozmyślenia przerywają jakieś głosy. Przykuca i się rozgląda. Pięć, może sześć rzędów dalej dostrzega ruch. Patrzy i czeka. Jasne się staje, że to nie Jen, lecz ktoś, kto się ukrywa. Cicho przemieszcza się w stronę głosów.

To Adeline i Steve. No a jakże. Oczywiście. Ona dziękuje mu właśnie za płytę, a Steve bez przekonania próbuje jej wmówić, że to prezent od całej grupy. Pewnie tak to wszystko zaplanował, żeby teraz mogli być sami. Po długiej chwili milczenia Steve pyta:

– No co?

– Nic – odpowiada Adeline.

– Co? – ponawia pytanie i się śmieje.

– Tak sobie wyobrażałam, co by się stało, gdybym cię pocałowała. Co by się stało z twoją twarzą.

– Chcesz mnie pocałować?

– Chcę zobaczyć twoją twarz.

Wzrusza ramionami.

– W takim razie to zrób.

Nietrudno zgadnąć, co się następnie dzieje, zwłaszcza kiedy Adeline rzuca:

– Nie możesz mieć otwartych oczu. Będę wyglądała jak idiotka.

Rupesh nie chce słyszeć więcej. W sumie to cieszy się ich szczęściem, nawet jeśli fakt, iż Steve po raz kolejny bez wysiłku zdobywa to, czego pragnie, jest tak nudny, że aż dobijający. Czy choć raz nie mógłby natrafić na przeszkody, tak jak cała reszta?

Czy choć raz to Rupeshowi nie mogłoby być łatwo?

Cofa się między łodygami, tak skupiony na swoich myślach i zachowywaniu się jak najciszej, że nie zauważa Jen, która stoi w rzędzie, do którego właśnie dotarł. A kiedy w końcu zauważa, jest już za późno. Bystra dziewczyna. Przykłada palec do ust, a drugą rękę z rozcapierzonymi palcami kładzie na jego brzuchu.

– Rrr – warczy.

Jego plan związany z wygraną nie ma już znaczenia. Dotyk Jen rezonuje w całym jego ciele. Jedyna odpowiedź, jaka przychodzi mu do głowy, to:

– Rrr.



Dołączywszy do stada raptorów, Rupesh szeptem wyjaśnia Jen, że niedaleko są Steve i Adeline. Teraz, kiedy ma ją obok siebie, niemal upaja się myślą o przeszkodzeniu im. Razem się zakradają, a gdy dzielą ich od nich dwa rzędy, Jen się zatrzymuje. Adeline i Steve'a dobrze stąd widać. Adeline siedzi okrakiem na Stevie. Całują się. Co gorsza, wygląda to tak, jakby próbowali właśnie... Rupesh odwraca się do Jen, obdarzając ją spojrzeniem, w którym odraza miesza się ze zdumieniem. Tyle że ona stoi ze wzrokiem wbitym w obściskującą się parę. Zniknęła z jej twarzy łagodność i figlarność, zastąpiona czymś, czego on nie rozpoznaje. Może zazdrością. Kurde. Fantastycznie. Zresztą czemu Jen nie miałby się podobać Steve? Jest bardziej w jej typie niż Rupesh. W końcu otrząsa się z tego, co trzyma ją w swoich szponach. Pokazuje na migi Rupeshowi, aby zaczekał kawalek dalej, co ten czyni, wiedząc, że Jen planuje pogonić ich w jego stronę.

Słyszy, jak Jen przedziera się między łądygami i jak Steve woła do Adeline:

– Uciekaj, ratuj się!

Następnie dochodzi go odgłos dudniących o ziemię stóp. Kątem oka dostrzega coś czarnego. Rzuca się w przód i łapie Adeline w talii. Ona piszczy i razem przewracają się ze śmiechem na ziemię. Teraz już cała czwórka to drapieżcy i bezowocnie szukają Willa, aż w końcu znajdują go w bazie, palącego skręta na stercie cegieł.

– Nie spieszyliście się – mówi.

Wygląda na to, że Will przywłaszczył sobie plan Rupesha.

Kilka godzin później, zmęczeni i spragnieni po kilku rundach zabawy, wychodzą z pola na Elm Close, niedaleko domu Steve'a. Jen proponuje Adeline resztę wódki z butelki po wodzie, ta jednak odmawia. Następnie częstuje nią Rupesha, który zerka z ukosa na Adeline i także kręci głową.

Jen wydaje się tym zaskoczona, co zresztą było jego zamiarem. Wzrusza ramionami i sama pociąga łyk. Skoro jej podoba się Steve, to jemu równie dobrze może się podobać Adeline.

Steve idzie jako pierwszy, a ich orszak zamyka Will. Jen zostaje w tyle i podaje butelkę Willowi, który reaguje prostym:

– No to chlup.

Super, a może podoba jej się teraz Will? Dobra robota, Rupesh. W głowie ma mętlik i nie jest to wcale przyjemne.

Steve w pewnym momencie zwalnia, a kiedy go doganiają, widzą dlaczego. Pod domem pana Strachana zaparkował radiowóz. Steve każe im zachować spokój i iść dalej. Pan Strachan stoi obok srebrnego vana w towarzystwie dwojga funkcjonariuszy, mężczyzny i kobiety. Na przedniej szybie widać pęknięcia tworzące pajęczynę, a ze szkła pośrodku wystaje cegła. Jen odwraca się w stronę Willa, a ten uśmiecha się szeroko. Pan Strachan pokazuje na nich palcem, a policjanci przyglądają się, jak idą w stronę domu Steve'a, po czym też się tam kierują.

Kurde.

Policjanci spisują adresy ich wszystkich, a następnego wieczoru w obecności rodziców przepytują każdego z osobna. Pan Strachan twierdził, że po tym, jak rozległ się dźwięk rozbijanej szyby, widział „młodą osobę” biegnącą w stronę pól. Pokazał także kartkę, którą jakiś czas temu znalazł na samochodzie.

Rupesh siedzi i przytakuje, a głowa pęka mu chyba z powodu kaca. Nie chce się odzywać, bo się boi, że wyrzuci z siebie, iż to Steve'a tak naprawdę szukają. To on jest pomysłodawcą. To przez niego inni robią tego rodzaju rzeczy. Gdyby nie on, Rupesh siedziałby spokojnie w domu. Policjanci okazują się jednak wyrozumiali. I jasne jest, że według nich Rupesh nie ma z tym nic wspólnego. Po ich wyjściu tata mu mówi, że do

końca wakacji powinien trzymać się od reszty z daleka i że wie, jakie kłopoty są z panem Strachanem.

Tego wieczoru siedzi w swoim pokoju i słucha Foo Fighters. Głowa mniej już go boli, jednak myślenie nadal wymaga wysiłku. To miłe ze strony Willa, że przegrał mu tę kasetę, choć w sumie niełatwo jej się słucha, bo na końcu każdego utworu Will nagrał samego siebie opowiadającego o nim, snującego własne teorie na temat tego, jaki sens kryje się w danej piosence. Czterdziestopięciominutowy album zajmuje obie strony półtoragodzinnej kasy.

Drzwi powoli się otwierają i do pokoju wchodzi mama. Rupesh wyłącza walkmana.

– Hej – wita się z nią.

Mama staje przy oknie i wygląda na rozciągające się za domem pola. Milczy. Robi tak najczęściej wtedy, kiedy czuje się samotna, choć możliwe, że dzisiaj chce porozmawiać o wizycie policjantów. Po kilku minutach Rupesh zaczyna się rozluźniać i ponownie włącza muzykę. Mama w końcu cofa się od okna, klęka obok łóżka, na którym leży Rupesh, i ujmuje jego nadgarstek. To akurat zachowanie nie jest tak częste, ale nie stanowi niczego niezwykłego. Mama przesuwając długimi paznokciami po wnętrzu jego dłoni, co jest całkiem przyjemne i uspokajające. Właściwie rzadko go dotyka. Długo tak robi, następnie, jakby doszła do porozumienia z wszechświatem, oświadcza mu, że nie ma żadnych wątpliwości. Widzi to w jego dłoni. Niedługo bardzo się wzbogaci. Jej brązowe oczy pełne są życzliwości i zachwytu. Uśmiecha się do niego, a on odpowiada tym samym.

Kiedy drzwi w końcu się zamykają, Rupesh wstaje, wyjmując spod łóżka teczkę i otwiera dwa zamykane sztyfem zamki. W środku znajduje się czerwony zeszyt, który kupił mu tata. Na okładce widnieje napis: „Własność Rupesha Desai, proszę nie dotykać”. Długopisem wetkniętym między kartki, gdzie prowadził ostatnie zapiski, Rupesh wpisuje datę, a pod

nią: „OKNO 5 MIN, DŁOŃ 20 MIN”. Następnie chowa zeszyt i teczkę i zaczyna się szykować do snu.

## Zima 2015

Z butelką wina musującego dla mamy i ze znaną na stacji benzynowej w koszu z przecenionymi towarami psikawką do wody w kształcie kwiatu dla taty zapukałam do drzwi, choć wiedziałam, że są otwarte. Ileż razy przez te wszystkie lata słyszałam, że Blythe to statystycznie jedna z najbezpieczniejszych wsi w Wielkiej Brytanii?

Otworzył tato ubrany w czerwony sweter z reniferem.

– Och, skarbie, to ty. – Wziął mnie w ramiona, a ja poczułam pod wełnianym odzieniem, jak bardzo jest chudy. – Chodź, niedługo królowa będzie przemawiać. Wiesz, jak mama to lubi.

Siedziała przed telewizorem z nogami przykrytymi kocem.

– Cześć, mamó, wesołych świąt – powiedziałam, podając jej butelkę prosecco.

– Och, oddaj tacie. Ja nie mogę teraz pić przy tych wszystkich lekach, ale dziękuję ci, jestem pewna, że jakoś to wykorzystamy, prawda, Paul?

– Z całą pewnością – odparł tato i wziął ode mnie butelkę. Szeptem, tak żeby mama nie usłyszała, dodał: – No to dwa prezenty dla mnie.

Królowa z podręcznikowym profesjonalizmem rozpoczęła swoją roczną mowę do poddanych, która okazała się równie nudna i męcząca jak poprzednie. Jak długo potrwa? Dziesięć minut? Piętnaście? A jeśli będzie się ciągnąć przez godzinę?

– Ty nie przepadasz za rodziną królewską – odezwała się mama.

To właśnie z tego rodzaju komentarzami musiałam się mierzyć. Takie uwagi były niczym pociski, które mama wypuszczała zupełnie bezwiednie i które nieuchronnie kończyły rozejm między nami – a przynajmniej tak

bywało w przeszłości. W pewnym momencie jedna strona, ta silniejsza, musiała okazać wyrozumiałość. Nie miałam już piętnastu lat.

– Są w sumie interesujący. – Tym razem to ja wzniosłam się ponad uprzedzenia, choć oczywiście nie omieszkałam dodać: – Na swój sposób.

Później tego wieczoru tato zrobił mi kolację i zaproponował sherry. Korzystając z okazji, odmówiłam, tłumacząc się tym, że powinnam jechać i namierzyć jakiś niedrogi pensjonat, aby spędzić więcej czasu z przyjaciółmi.

Tato naturalnie połknął haczyk.

– Zatrzymaj się u nas, skarbie. – Zdążył już mi nalać sherry do kieliszka i ciężko oddychał po krótkim spacerze do kuchni i z powrotem.

– Wolny pokój jest cały zagracony – odezwała się mama.

– Ja tam posprzątam, ale nie chcę nadużywać waszej gościnności. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak długo tu zostanę.

– Możesz zostać tak długo, jak tylko chcesz – oświadczył tato.

Kiedy z kieliszkiem sherry w dłoni wchodziłam po schodach, usłyszałam, jak mama pyta tatę:

– Nie zamierzasz uprzątnąć tego pokoju?

– Adeline się tym zajmie.

Ona go zabije; to tylko kwestia czasu.

Zdjąwszy z mojego dawnego łóżka kartony, stare zasłony i koce, wyjęłam tablet i spróbowałam namierzyć Xana online. Nie udało mi się, więc postanowiłam pójść wcześniej spać.

Kiepsko spałam, jak zawsze w obcych pokojach, zwłaszcza takich z pajakami na suficie. Gdy tak leżałam w ciemnościach, pomyśl, iż niezdarzy, ciapowaty Will mówił wtedy poważnie, zaczął nabierać kształtów. A jeśli rzeczywiście zamordował dwie osoby, to kto będzie następną ofiarą?

Telefon miałam wyłączony przez całe popołudnie, kiedy więc rankiem go uruchomiłam, od razu zaczęły przychodzić zaległe wiadomości. Zdecydowano, że w porze lunchu spotkamy się u Rupesha. Jen odkryła coś interesującego, o czym chciała z nami pogadać.

Zjadłszy śniadanie, zadzwoniłam przez Skype'a do Xana.

– Addy. – Jego twarz stała się wyraźna dopiero po chwili, gdy kamera w jego komputerze poradziła sobie z poziomem światła.

Sam widok jego wielkiej, łysej głowy i bujnej brody wywołał u mnie uśmiech. On także się uśmiechnął. Wiszące na ścianie za nim plakaty wskazywały, że Xan jest teraz w studio, a nie w domu – pewnie kolejna kłótnia z chłopakiem – i prawdopodobnie montuje podcast dotyczący *Świątyni Zagłady*.

– Jak tam, dorwałaś już Cusacka?

Zaśmiałam się. Co miałam do powiedzenia? Niewiele, a przynajmniej na razie. Zamiast tego streściłam mu całą sprawę z Willem. Wiedziałam, że to go zainteresuje.

– Kurde, Adeline. Wyobrażasz sobie, jaką mielibyśmy reklamę, gdybyś rozwiązała zagadkę cholernego morderstwa? Moglibyśmy nakręcić o tym cały podcast. A nawet serię. Tyle że z odpowiednim zakończeniem. Chodzi mi o to, że każdy zna kogoś, kto, gdyby zapukała do niego policja i zapytała: „Utrzymujesz kontakt z tym i tym? Zabił właśnie mnóstwo ludzi”, toby odpowiedział: „Owszem, znam, i wcale mnie to nie zaskakuje”. Ktoś przecież musiał być kumplem tego znanego mordercy, Freda Westa, i myśleć: „Fred jest w porządku, ale nie zostawiłbym z nim dzieci”. Hej, a może jeśli zrobimy podcast kryminalny, który chwyci, ty nie zostawisz mnie dla BBC.

No proszę. Wytrzymał całą minutę bez wzmianki o tym. Od listopada prowadziliśmy rozmowy z pełnymi entuzjazmu grubymi rybami z BBC, chcącymi przekształcić nasz podcast w półgodzinną audycję radiową: okrojona wersję „Szczypty nostalgii”. Ale Xan, który zazwyczaj był mniej

ostrożny od nas, taktował to sceptycznie i wieszczyl, że chcą najzwyklejszego programu z recenzjami filmów, korzystającego z naszej marki. Sądząc po ich wypowiedziach, miał właściwie rację. Ale kiedy siedzieliśmy potem w pubie, a Xan poszedł po kolejkę, razem z Jonem zaczęliśmy dumać o innych kwestiach, jakie wypłynęły podczas spotkania. Kontrakty. Stawki. Możliwość pracy przy różnych audycjach BBC.

– Nie zostawiam cię na razie dla nikogo i niczego – rodparłam. – To ty podjąłeś decyzję.

– Potrafię czytać między wierszami, Adeline. I wyczytuję takie słowa jak monogamia, hipoteka, dzieci, napisane twoim uroczym charakterem pisma.

– Monogamia i dzieci? – zapytałam, udając obrzydzenie.

– Twoje słowa. Zwłaszcza kiedy jesteś pijana. Daj spokój, nie kłam, że pojechałaś na to spotkanie po latach z innego powodu.

Niepotrzebnie z nim piłam. Nie byłam nastawiona negatywnie do tego, o czym mówił, tyle że wolałam, aby te rzeczy towarzyszyły innym, konkretnym rzeczom.

– Nie chcę dzieci *qua* dzieci – oświadczyłam. – Kiedy tak to przedstawiasz, wydają się taka konwencjonalna.

– *Qua*? Czy ty rzucasz mi tu łaciną? Słuchaj, panno Cambridge, nie ma nic złego w byciu czasem konwencjonalnym. Wdychasz tlen, prawda? Pijesz wodę. Jeździsz samochodem, a nie konno. Niektóre konwencje są w porządku. I BBC to dobra konwencja. Ma długą historię. Jest wiarygodne. Tyle że nie uważam, iż po to właśnie zajmuję się podcastami. Mam gdzieś karierę, jeśli miałbym robić coś, co mi nie leży.

– Dla ciebie to sztuka, co? – Ugryzłam się w język i nie wspomniałam o pokaźnym spadku, dzięki któremu zyskał wolność wyboru. – Wcale nie uśmiecha mi się myśl o powrocie do biura i parzeniu kawy ludziom, których ledwie znoszę, więc chcę to dobrze przemyśleć. Możemy i pracować dla BBC, i kręcić „Szczyptę nostalgii”. To ty dokonujesz wyboru.

– Masz sprzeczne priorytety, a to nie fair wobec donatorów.



– Cóż, Jon uważa, że mogłoby nam się udać jedno i drugie i że po prostu robisz nam na złość, bo nie spodobał ci się żaden film od czasu *American Beauty*.

– Nawet jeśli tak robię, to nieświadomie. Komu potrzebny kolejny program recenzujący nowe filmy? Dla mnie nie ma to sensu. WYROBIENIE sobie opinii wymaga czasu, nie da się raz obejrzeć filmu i mieć do powiedzenia na jego temat coś znaczącego. Era mediów społecznościowych jest tak cholernie skupiona na teraźniejszości.

– Chwila, ale przecież cała idea „Szczypty nostalgii” bazowała na tym, że te klasyki nie zawsze są takie wspaniałe, jak...

– Cicho sza! – Xan uniósł rękę. – Wiedziałem, że powiesz coś w tym rodzaju.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, po czym tato zajrzał do pokoju.

– Przyszedł do ciebie jakiś mężczyzna.

– Do mnie? – Nikogo się nie spodziewałam. Czyżby Steve? – Dzięki, tato – rzuciłam, a on kiwnął głową i się wycofał. – Xan, muszę kończyć.

– To ten twój?

– Nie wiem. Rozłączę się teraz, ale pamiętaj, że tak być nie musi, bez względu na to, jaką decyzję podejmiemy ja i Jon.

– Przemyślcie wszystko.

Zakończyłam połączenie i zeszłam na dół. Pewnie Steve nie wiedział, co ze sobą począć, lub przed spotkaniem z pozostałymi chciał najpierw pogadać ze mną.

Tyle że to nie był Steve. Zamiast niego w drzwiach stał brat Willa.

## Jen, 1997

Jest wczesne popołudnie i Jen bezskutecznie próbuje się zdrzemnąć. Jej studiująca siostra Andrea przyjechała do domu na wakacje i strasznie się rządzi. W salonie dudni głośno kanał muzyczny, słycać *Stupid Girl* w wykonaniu zespołu Garbage. Kiedy rodzice są w pracy, nie ma szansy przed nią uciec. Jen jest wykończona. Do trzeciej w nocy Andrea nadawała przez telefon ze swoim chłopakiem. Nie pozwalały jej zasnąć nie tylko śmichy-chichy i paplanie o niczym, ale także rosnący gniew z powodu siostrzanego egoizmu.

Teraz też nie uda jej się zasnąć. Humor poprawi jej zemsta. Wślizguje się do pokoju Andrei, z szuflady stolika nocnego kradnie miniaturowe butelki z wódką, po czym przelewa alkohol do butelki po wodzie i wychodzi na dwór, aby poszukać partnera do picia.

Od czasu incydentu z cegłą niewiele czasu spędzali razem, a Adeline w ogóle się nie pokazywała. Ale oto wyłania się teraz z Drogi Umarlaka. Nie widzi Jen i zdecydowanym krokiem rusza w stronę wylotu z Elm Close. Dokąd ona idzie? Tylko dwie osoby mieszkają w tamtej okolicy: Will i Rupesh, i na pewno nie będzie to Will, jedyny, który pozostaje nieczuły na jej wdzięki. Co ona kombinuje?

Jen woła jej imię i dogania ją na rogu Elm Close.

– Gdzie się podziewałaś?

– Miałam szlaban. Próbowałam dodzwonić się do Steve'a. Co u niego?

Do Jen dociera, że Adeline nie wie o przyjeździe taty Steve'a. Obecnie rzadko się zdarza, aby ona wiedziała o czymś, o czym nie wie Adeline, i ta świadomość zdecydowanie poprawia jej humor.

– Nie wiesz? – pyta, obserwując uważnie jej twarz.

– Nic nie wiem. Wybierałam się właśnie do Rupesha, żeby go o to zapytać. – Gęste brwi Adeline są ściągnięte. Jest autentycznie zmartwiona. – Co się dzieje?

Pomijając fakt, że idzie najpierw do Rupesha zamiast do niej, wygląda na to, że Steve się z nią nie pożegnał, co jest nefajne – zwłaszcza po tym, czego ona i Rupesh byli świadkami na polu kukurydzy. Jen triumfuje, że to ona jest dobrze poinformowana, choć naprawdę lubi Adeline. No dobrze, trochę irytujące jest to, że pojawiła się tutaj i tak szybko zawróciła Steve’owi w głowie. I że zjednała sobie całą grupę, zwłaszcza Rupesha, bez żadnego wysiłku, tylko tym, że inaczej wygląda i jest pewna siebie. Teraz jednak Jen jej współczuje. Chłopcy bywają tacy bezmyślni. *Girl power* i w ogóle.

– Jego tata musiał przylecieć na spotkanie z policją – wyjaśnia Jen. – No bo wiesz, Steve w sumie nie powinien sam tak mieszkać. I był naprawdę wkurzony, więc wyłożył kasę, żeby Steve wcześniej wrócił do szkoły.

Z wyrazu twarzy Adeline Jen wnioskuje, że ona nie miała pojęcia o jego szkole.

– Wrócił do King George’s.

– King George’s? – powtarza Adeline.

– Szkoły z internatem.

– Co takiego? Uczy się w szkole z internatem?

Po jej minie widzi, że do Adeline zaczyna wszystko docierać. Nie będzie spotkań po szkole czy podczas weekendów. Nie teraz, kiedy ona mieszka tutaj, na tym zadupiu. Zostanie z myślami o tych wszystkich dziewczynach w szkole, którym Steve może się podobać, i o tym, że o niej zapomni. Zdecydowanie czuje w tym momencie to, co Jen dręczyło przez całe lato.

– Biedny Steve – mówi Adeline. – W mojej poprzedniej szkole mieliśmy uczniów, którzy mieszkali w internacie. Żał nam ich było, takich porzuconych. Czemu mi nie powiedział?

Jen nie jest zaskoczona faktem, że Adeline także uczęszczała do tego typu szkoły – nie potrafiła nawet naprawić łańcucha w rowerze – choć wspomniała o tym po raz pierwszy.

– Skąd o tym wiesz?

– Powiedział mi przed wyjazdem. Przykro mi.

Adeline kręci głową, wzdycha i ma taką minę, jakby się miała rozpłakać. Przez chwilę obie milczą. W końcu Jen bierze koleżankę w ramiona.

– Idiota z niego – orzeka.

Jeśli Adeline płacze, robi to bardzo cicho i bez żadnego ruchu.

– Chcesz coś porobić? – pyta Jen, unosząc plastikową butelkę. – Mam alkohol.

– Dzięki, ale chyba pójdę się położyć. Gdzieś na polu mignął mi Will – mówi z lekką tylko nutką sarkazmu.

– Okej. No to do zobaczenia w szkole – rzuca Jen.

Wątpi w to, bo przerwy na lunch ma zajęte albo chórem, albo kółkiem teatralnym. Na pewno jednak gdzieś na siebie wpadną. A jeśli nie, to Adeline bez problemu nawiąże nowe znajomości. Na Rupesha i Willa nie może liczyć, bo obaj uczęszczają do szkoły w Knowle. Wiedziała o tym? Będzie musiała zacząć od zera.

– Jasne – odpowiada Adeline.

Jen udaje się do Rupesha w nadziei, że może on będzie miał ochotę się napić. Na początku wakacji liczyła, że zaiskrzy między nimi. A teraz czas ucieka. Zawsze łączyła ich nić porozumienia, ale nie sądziła, że to uczucie przetrwa. Adeline trochę namotała, choć trudno określić jak bardzo. Tak jak wtedy, kiedy Jen zaproponowała mu wódkę po tamtej głupiej zabawie w dinozaury. Zazwyczaj przystawał na coś takiego, jednak Adeline odmówiła, więc on zrobił to samo.

Humor się jej nie poprawia, kiedy Rupesh otwiera drzwi i wita ją słowami:

– Hej, Jen. Gdzie Adeline?

Po co w ogóle zawracała sobie głowę?

– A skąd mam wiedzieć?

– Widziałem was obie przez okno.

– Och. Źle się poczuła. Nudzi mi się. Masz ochotę coś porobić? Mogłabym zdobyć więcej wódki i... – Ale on już kręci głową.

– Mam na wieczór obowiązki domowe – mówi Rupesh.

– Jasne. No to do zobaczenia.

Nie liczy na to, bo ostatnio też tak było, że spotkali się dopiero w kolejne wakacje.

Idzie powoli do domu, nie spiesząc się do bycia ignorowaną, podczas gdy Andrea i mama będą rozmawiać o tym, jak dobrze mama się bawiła w czasie studiów.

Czy teraz, kiedy pojawiła się Adeline, Rupesh nie jest już nią zainteresowany? Czy istnieje jakiś sposób, żeby go odzyskać? Jej zwyczajowe sztuczki – inicjowanie walk kciuków, żartobliwe kuksańce – nie zdają egzaminu. Szkolne koleżanki Jen malują się mocniej od niej i może właśnie tego musi spróbować. Z kolei Adeline podkreśla tylko oczy. A może to wcale nie jej wina? To Rupesh popełnia błąd. Nie zdaje sobie sprawy z tego, co ma pod samym nosem. Cóż, musi go sobie wybić z głowy. Wróci do szkoły i spiknie się z jakimś innym chłopakiem. Zupełnie innym, takim który będzie patrzył na nią tak jak kiedyś Rupesh. Dan Evans zawsze się do niej uśmiecha. Jest wysoki i wcale nie lubi go tak jak Rupesha, ale kryje się w nim coś niebezpiecznego, a jeśli Rupesh się dowie, to może dotrze do niego...

Z jej gardła wydobywa się krzyk, gdy w momencie, kiedy zamierza przejść przez ulicę, z Drogi Umarlaka wyłania się Will.

– Sorki – mówi. Bawi go jej reakcja.

– Śmiertelnie mnie przestraszyłeś – śmieje się Jen.

– To ty mnie przestraszyłaś – oświadcza, choć wcale nie wygląda na przestraszonego. Jak zawsze sprawia wrażenie spokojnego i jakby myślami

błądził zupełnie gdzie indziej. – Chcesz coś porobić? – pyta. – Zgniatać rzeczy na torach?

Jen przez chwilę się waha, po czym dochodzi do wniosku, że tak, chętnie spędzi czas z Willem. W te wakacje odzywał się do niej częściej niż pozostali.

Całkiem dobrze dziś wygląda, a spod czapki z logo Nirvany wystają mu kępki jasnych włosów. W sumie to wydaje się niemal przystojny.

– Chcesz się napić? – pyta Jen.

Will wzrusza ramionami.

– Zawsze.

Usta ma mocno czerwone i chyba przydałby im się balsam. Jak by to było je pocałować? Na tę myśl dopada ją ciekawość zmieszana z konsternacją. Jedno jest pewne, tym akurat zwróciłaby na siebie uwagę Rupesha.

Zajmują nieporośnięty trawą skrawek ziemi na nasypie, spory kawałek od miejsca, w którym Steve znalazł Obiego. Ścieżka za nimi zdaje się prowadzić do zachwaszczonej dżungli otaczającej słup wysokiego napięcia. Siedzą na tyle blisko siebie, że stykają się ramionami. Kilka przyjemnych minut upływa im na pociąganiu z butelki.

Will pokazuje na leżące na torach martwe zwierzę.

– Obserwuję tę wiewiórkę i wcale się nie rusza, kiedy przejeżdża nad nią pociąg. Zawsze słyszałem, że ciśnienie unosi wtedy przedmioty, ale wygląda na to, że nie. Pewnie można się położyć pod pociągiem, a on nad tobą po prostu przejedzie.

Jen wcześniej nie zwróciła uwagi na to, że jego palec jest taki długi, jakby potrzebował dodatkowych knykci do prawidłowego funkcjonowania. W głowie kręci jej się od wódki i wszystko, co robi i mówi Will, jest zabawniejsze i dziwniejsze niż zazwyczaj.

– Ty nie jesteś wiewiórką. Ty byś zginął.

– Nie boję się śmierci. To jak sen. Albo jak ten czas, kiedy się jeszcze nie urodziło.

– No ale już na zawsze. Wyobrażasz to sobie? Na zawsze, zawsze, zawsze.

– Wszystkich nas to czeka. – Wzrusza ramionami.

Mama Jen często mówi o kolegach z pracy, że są uosobieniem czegoś: głupoty, bezmyślności. Will jest uosobieniem wzruszania ramionami.

– Niektórzy jednak żyją dalej, no nie? – pyta teraz. – Szekspir. Eee, Freddie Mercury. Marilyn Monroe.

– Mówisz jak moja mama. – Will zrywa źdźbło trawy, obraca je w długich palcach, po czym wyrzuca: – Galaktyka gwiazd.

– O czym ty gadasz?

– Nieważne.

Jen wie, że mama Willa należy do kółka teatralnego Knowle Players i że zagrała epizodyczną rolę w mało popularnym serialu telewizyjnym, i choć nie do końca ma pewność, co oznacza to określenie, wydaje jej się, że trochę je rozumie. Kojarzy jej się z odciskami dłoni w betonie i greckimi legendami, Andromedą i Perseuszem, unieśmiertelnionymi na nocnym niebie. Już-już ma zadać kolejne pytanie, gdy w oddali pojawia się pociąg dalekobieżny i chwilę później przemyka obok nich ze świstem, na tyle blisko, że Jen czuje na twarzy pęd powietrza. Kiedy pociąg znika, odwraca głowę i widzi, że Will na nią patrzy. To znaczy najpierw na jej piersi, a potem przez moment na twarz. Następnie odwraca wzrok na tory.

– Głośny był – stwierdza.

Spod wycięcia pod pachą lekko wystaje jej stanik, więc go poprawia. Właściwie po co? Niech sobie Will patrzy, jeśli ma ochotę. To przecież on z nią tutaj siedzi, on z nią pije.

Jen kładzie się na trawie, ale że jest jej niewygodnie, pyta:

– Will, mogę położyć ci głowę na kolanach?

– Jeśli chcesz.

Tak właśnie robi i zamyka oczy. Jego spodnie śmierdzą lekko sikami, ale ona wie, że to po prostu zapach wilgoci, tak jak w przypadku ręczników w łazience, którym nie pozwoli się porządnie wyschnąć. W normalnych okolicznościach byłoby to odpychające, ale teraz czuje więź z Willem i wcale jej to nie przeszkadza. Niemniej wzdryga się, kiedy jego palce dotykają jej czoła. Po chwili palce znikają z linii jej wzroku i wyczuwa, jak powoli wsuwają się we włosy. Początkowo się spina, ale w sumie to przyjemne doznanie. Gdy jego paznokcie drapią skórę głowy, przez jej ciało przebiega dreszcz.

Mama Willa pewnie jest zbyt pochłonięta aktorstwem, żeby zajmować się praniem i suszeniem tak jak jej mama. Może powinna z nią kiedyś porozmawiać o tym, jak udało jej się dostać do obsady serialu i czy kółko teatralne Knowle Players przyjmuje także nastolatków.

Palce przestają przeczesywać jej włosy. Coś zimnego i suchego przyciska się do jej ust. Całuje ją. Will ją całuje. Jen stara się nie reagować i wstrzymuje oddech. Udało mu się nachylić i pocałować ją do góry nogami. Czy ona tego właśnie chce? Jego język napiera na jej wargi i Jen nie jest go w stanie powstrzymać. Czuje smak wódki, papierosów i chyba orzeszków ziemnych. Will źle to robi, może dlatego, że do góry nogami. Wsuwa język za głęboko i Jen ma wrażenie, że zaraz się zakrztusi.

Siada i bierze głęboki oddech.

– Wszystko w porządku? – upewnia się Will. Głos ma niski i spokojny.

– Przepraszam, nie spodziewałam się tego. – Uśmiecha się przy tym, żeby nie sprawić mu przykrości.

Sięga po butelkę i widzi, że została jedna czwarta zawartości. Wypija niemal wszystko, po czym podaje resztę Willowi. Znikają niechęć i opór.

– Możemy zrobić to jeszcze raz? – pyta Will.

Jen nie protestuje. Uśmiecha się. Chce być dla niego miła, bo tylko on dostrzegł, że jest w niej coś wyjątkowego. Wcale nie jest brzydki. I przecież



czuła się dobrze, kiedy ją gładził po włosach.

– Czyli nie podoba ci się Adeline?

– Nie zastawiałem się nad tym.

Przysuwa się do niej i nachyla w jej stronę.

– Delikatnie – mówi Jen.

I tym razem rzeczywiście robi to wolniej, ale jego język i tak jest dla niej intruzem. Nie chce się z nim całować. Powinien to być Rupesh, a nie Will. Ale może być przecież tak, że powie o tym pozostałym i że ona, Jen, źle coś robiła, a to byłoby okropne. Więc dopiero gdy jego długie palce zaciskają się na jej prawej piersi, przerywa pocałunek i odsuwa jego rękę.

Co ma mu teraz powiedzieć? Jak się zachować, żeby oboje nie czuli się zażenowani?

– Możemy wrócić do tego, co robiliśmy wcześniej?

Wzruszenie ramion. Zero emocji na jego twarzy.

– Aha.

Jen kładzie głowę na jego kolanach i cicho wzdycha. Mija trochę czasu, nim znowu jest się w stanie rozluźnić. Nim cieszy się, że on jej nie nienawidzi, i pozwala sobie na zamknięcie oczu.

Kiedy znowu je otwiera, napotyka spojrzenie Willa. Światło się zmieniło, zaczyna się ściemniać. Na policzku ma ślinę, a palce Willa nadal gładzą jej włosy. I jeszcze jedno – czuje na szyi jakiś nacisk, a gdy dochodzi do tego pulsowanie, dociera do niej, co to takiego. Siada szybko i wyciera usta. Krzywi się. Wódka; głowa. Ma wrażenie, że rozsadza jej lewy oczodół.

– Która godzina?

– Bo ja wiem – odpowiada Will.

– Długo spałam?

– Bo ja wiem. Ze dwie godziny.

Dwie godziny? Przyszli tu wczesnym popołudniem. Skoro zaczyna się ściemniać, to musi być... prawie pora kolacji. A przez cały ten czas on siedział, gładził jej włosy i się przyglądał.

W czasie drogi powrotnej nie może się przemóc, aby coś do niego powiedzieć. On się czasem odzywa, bąka o tym, że na tych polach są ukryte przedmioty należące do Rzymian i że Rzymianie żyć będą wiecznie. Jen go jednak nie słucha. Powinien był ją obudzić.

Pożegnawszy się, ona udaje się do swojego pokoju i wślizguje pod kołdrę. Pęka jej głowa, a płacz jeszcze potęguje ból. Z dołu dobiega brzęk talerzy. Mama i Andrea szykują razem kolację, cholerna szczęśliwa rodzina. Czemu dała Willowi się pocałować? Czemu w ogóle tam z nim poszła? Głupia, głupia dziewczyna.

## Zima 2015

Na moje pytanie o to, skąd wiedział, gdzie mieszkam, brat Willa odparł:

– Wszyscy wiedzieli, który dom jest twój.

A kolejne słowa („No więc co Will zmalował tym razem?”) wystarczyły, żebym chciała wysłuchać, co ma mi do powiedzenia.

W kuchni krzątał się tato, więc zaproponowałam, abyśmy zamiast stać w progu, poszli na spacer. Było chłodno, a ja niestety nie założyłam kurtki. Za późno – nie chciałam wracać do domu, żeby nie odebrał tego przypadkiem jako oznaki, że spodziewam się długiej przechadzki. Na końcu podjazdu spojrział na posesję należącą dawniej do pana Strachana i pokręcił głową.

– Pamiętam także, kto mieszkał w tamtym domu. Ten drań odpowiada za sporo rzeczy. Po tym wszystkim Will nie był już taki sam.

– Wiem, to okropne. – Tyle tylko przyszło mi do głowy. – Myślisz, że to go zmieniło?

– Zdecydowanie. Widzisz, on się po tamtym po prostu wycofał. Sporo pił i ćpał.

– A czy Strachan w ogóle wyjaśnił, dlaczego...

– Nigdy. Przyznał się do winy, ale ani słowa wyjaśnienia. Mogę sobie tylko wyobrazić, że tamtego dnia Will powiedział coś, przez co Strachan wpadł w szal. Uszkodził mu na stałe oko, wiesz?

– O rany.

Skęciliśmy w lewo, w stronę wylotu Elm Close. Miałam w planach przejść się dawnymi ścieżkami, zobaczyć, jak zmodernizowano dom

Steve'a, ale coś w bracie Willa, być może łączące ich podobieństwo, sprawiło, że wolałam się trzymać głównej drogi.

– Dlaczego zapytałeś, czy Will coś zmalował?

– W sumie to martwiłem się o was – odparł. Miał taki tik, że tuż przed odezwaniem się głośno wciągał powietrze. – Po co do nas przyszliście w Boże Narodzenie?

Widać było, że zjawił się tu nie bez powodu, i nie chciałam, aby przyłapał mnie na kłamstwie.

– Cóż, zorganizowaliśmy spotkanie po latach, na którym Will się nie pojawił. Próbowaliśmy się dowiedzieć, co się z nim dzieje.

– No tak. – Analizował przez chwilę moje słowa. – Więc on nie... on nic wam nie zrobił?

– Nie – odparłam, po czym uczciwie dodałam: – Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

– Wczoraj wyszedłem za wami i zobaczyłem, że w samochodzie siedzi was czworo. Po prostu martwię się, kiedy ludzie zaczynają przychodzić i pytać o Willa.

To była szansa na dowiedzenie się więcej o Willu, czym później mogłabym się podzielić z pozostałymi.

– Jeśli wolno mi spytać, czym się martwisz? Nadal chcemy go odnaleźć. To zły pomysł?

– Widzisz, Will ma problem z zachowaniem granic. Pojawiają się u niego obsesje. Zwłaszcza kiedy... dziewczyna jest taka ładna jak ty. – Nie zareagowałam na ten komplement. – Po fiasku ze studiami przez jakiś czas mieszkał ze mną. Popalał trawkę, szukał pracy. Pamiętam, że często chorował, bo fatalnie się odżywiał. Mieliśmy współlokatorkę, śliczną, a on się jej uczeplił, bo była dla niego miła. Po sześciu miesiącach Gemma się wyprowadziła. Will nie wiedział, że to przez niego, że wcale się nie cieszyła, gdy zjawiał się w jej pokoju na nocne pogawędki. Szczerze mówiąc, miała problemem z mówieniem „nie”, sądziła, że pomaga mu po

tym wszystkim, przez co przeszedł. Taki już właśnie był w kontaktach z kobietami, nie rozumiał obowiązujących zasad.

Doszliśmy do końca Elm Close i skręciliśmy w lewo w Blythe Lane. Objęłam się rękami, żeby było mi cieplej.

– Następnie Will przechodził fazę niewychodzenia i siedzenia przez cały czas w swoim pokoju. Uznałem, że taki już jest. A potem musiałem odebrać go z komisariatu z powodu czegoś, co wydarzyło się u Gemmy. Kiedy w samochodzie zapytałem go o to, wyjaśnił, że pokłócił się z nią w jej mieszkaniu, bo słyszał rozmowę, w której ona go obsmarowywała. Widzisz, ja nawet nie wiedziałem, że pozostaje z nią w kontakcie, co w sumie było dziwne, zważywszy na powód jej wyprowadzki. Nie miało to dla mnie sensu, więc przycisnąłem go i się dowiedziałem, że Will nadal się z nią kumpluje, że wpada do niej na pogawędki i że raz podsłuchał, jak komuś opowiadała o nim niefajne rzeczy. Powiedział mi, że się z nią skonfrontował, ale mnie interesowało tylko, w jaki sposób ją podsłuchał. Skąd miał jej adres? Wszystko stało się jasne, kiedy Gem przyszła, żeby ze mną o tym pogadać. Ciągłe się u niej zjawiał, a ona zawsze była zbyt uprzejma, ale w końcu mu powiedziała, że jej chłopak nie jest zadowolony z jego wizyt i że musi z nimi skończyć. Pewnego wieczoru Will przyszedł do niej wzburzony, a ona obwieściła, że koniecznie musi przestać to robić. On zaczął na nią krzyczeć, oskarżać ją o to, że go obgaduje, płakać, histeryzować. Rozbił kubek o ścianę nad jej głową i jej chłopak, który siedział w sąsiednim pokoju, wezwał policję, a potem musiał go obezwładnić. Problem w tym, że to, co Will wykrzykiwał, to rzeczy, o których ona i jej chłopak rzeczywiście rozmawiali przed pójściem spać. Naprawdę konkrety, całe zdania i w ogóle. Gemma twierdzi, że miała otwarte okno, a potem na dnie szafy znalazła ślady błota.

– Cholera, to okropne – powiedziałam. Możliwe, że spędził tam całą noc, dusząc w sobie nienawistne myśli, czekając, podczas gdy oni spali.

Monks po raz kolejny wziął syczący oddech.

– Pokłóciłem się z nim o to. Will się wyprowadził i od tamtej pory nie rozmawiamy ze sobą. Przez jakiś czas miałem go na oku, ale on nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Posprzeczał się także z mamą i Rogerem. Wciąż chciał od nich pieniędzy, a z powodu tego, co wydarzyło się w czasie studiów, Roger zawsze uważał, że na dragi.

Zbliżaliśmy się do pubu, który za naszych czasów nazywał się Głowa Jędzy. Na schodku siedział jakiś palacz. Podziękowałam Monksowi za troskę o nas i po raz kolejny go zapewniłam, że jedyne, czego chcieliśmy, to dowiedzieć się, dlaczego Will nie pojawił się na naszym spotkaniu, choć obiecał, że to zrobi.

– Dziwię się, że w ogóle wam odpisał. Hej, skoro już tu jesteśmy, może masz ochotę na drinka? Moglibyśmy jeszcze trochę pogadać.

Odmówiłam i oświadczyłam, że jest mi zimno i chcę wrócić do domu.

– W pubie mają kominek – oznajmił, nie rozwiewając tym wcale moich przypuszczeń, że przyszedł do domu moich rodziców tylko po to, żeby wyciągnąć mnie na drinka.

– Dzięki, ale nie.

W drodze powrotnej towarzyszyło nam skrępowanie. Próbując nieco rozluźnić atmosferę, zapytałam, jak ma naprawdę na imię.

– Michael. Mike. Monks był... to długa historia, ale w skrócie wygląda to tak, że nasza siostra Liz nie potrafiła powiedzieć „Michael”, więc mówiła „Monks”.

Nie wiedziałam o istnieniu siostry. Była w domu podczas naszej wizyty?

– Dasz mi swój numer telefonu? – zagadnął, gdy dotarliśmy pod dom moich rodziców. Na widok mojej miny szybko dodał: – Dam ci znać, jeśli Will się z nami skontaktuje. Nigdy nic nie wiadomo. Adeline, zadzwonisz do nas, gdybyście rzeczywiście się z nim widzieli albo rozmawiali? Myślę, że mama i tak bardzo się ucieszy, kiedy jej powiem, że niedawno się do was odezwał.

Wymieniliśmy się numerami, po czym rzuciłam:

– Widzieliśmy, że jego zespół nadal występuje. Nawet dzisiaj, w Manchesterze.

– Naprawdę? No to fajnie. Will twierdził, że zamierza odejść z zespołu i działać solo. Był taki moment, że nawet dobrze sobie radzili. Raz nawet puścił ich John Kennedy. Wybieracie się?

Zaśmiałam się tak, jakby to był najbardziej szalony pomysł na świecie.

– Myślisz, że gra z nimi jeszcze?

Wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem. – Nim odszedł w stronę samochodu, dodał: – Nie chciałem cię przestraszyć.

– Co masz na myśli? – zapytałam.

– On w gruncie rzeczy jest niegroźny. Po prostu... nie chcę, żeby powtórzyło się to, co się przytrafiło Gemmie.

– Rozumiem – odparłam i ponownie oczami wyobraźni ujrzałam Willa kucającego w szafie i nasłuchującego nocnych, intymnych odgłosów kochanków, niemających pojęcia o jego obecności.

Siedzieliśmy w salonie Rupesha wokół okrągłego stołu, racząc się kawą i herbatą. Nie zdążyłam się jeszcze rozgrzać po wcześniejszym spacerze i usadowiłam się z kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej. Podzieliłam się z grupą tym, czego się dowiedziałam od Mike'a.

Kiedy skończyłam mówić, Steve zakomunikował:

– Nie dostałem jeszcze odpowiedzi z tej strony internetowej. Numer okazał się nieaktualny...

Urwał i wszyscy milczeliśmy, pogrążeni w myślach.

– O czym nam chciałaś powiedzieć, Jen? – zapytał w końcu Rupesh.

– Słuchajcie. – Wyprostowała się. – Na strychu panuje straszny bajzel, więc nie znalazłam jeszcze pamiętników. Ale wczoraj tak się wynudziłam, no wiecie, tyle biegających po domu dzieci, których nie można spuścić

z oka, że zaczęłam raz jeszcze przeglądać artykuły o tych rzekomych samobójstwach. Więcej pisano o tym incydencie podczas Manifestu, bo dziennikarze dotarli do dokumentu z dochodzenia przyczyny zgonu, w którym śledczy napisał, iż dziewczyna wzięła paroksetynę. Lek ten może wywołać myśli samobójcze, a jej nie przepisał go żaden lekarz. Rekomendacją śledczego było więc zlikwidowanie luk prawnych, jeśli chodzi o apteki internetowe. W każdym razie ta dziewczyna miała w przeszłości problemy ze zdrowiem psychicznym: depresja, próby samobójcze, uzależnienia; była dobrze znana placówkom zdrowia psychicznego. Z głupia frant postanowiłam wpisać w wyszukiwarce jej nazwisko i frazę „szpital psychiatryczny”, no i proszę, okazało się, że pracowała w szpitalu Wallgrove. A wiecie, gdzie mieści się ten szpital? W Yorku.

Jen otworzyła artykuł w telefonie, który położyła na stole, żebyśmy mogli go zobaczyć. Nachyliłam się. Większą część wyświetlacza zajmowało zdjęcie: pięć uśmiechniętych kobiet, stojących przed nowocześnie wyglądającym budynkiem. *Personel szpitala zebrał 2000 funtów dzięki wyzwaniu z krokomierzem* – głosił nagłówek. Pod zdjęciem wymieniono nazwiska kobiet.

– To ta sama Ellie Kidd – wyjaśniła Jen. – Ta sama twarz jest na zdjęciu wykorzystanym w artykułach o dochodzeniu.

– York to duże miasto – odezwał się Steve, ale na jego twarzy oprócz uznania malował się niepokój.

– No tak – dodał Rupesh. – Pracowałem tam i studiowałem. – On także nie wydawał się przekonany. Ten zbieg okoliczności był zbyt dziwny.

– Jestem pewny, że każdy ma jakieś powiązania z tego typu miastem uniwersyteckim – stwierdził Steve. – W sumie to żaden dowód przeciwko Willowi.

– Zaczekajcie – wtrąciła Jen. – Znalazłam trochę informacji o tej kobiecie z Loch Ness. Nazywała się Sara Kuzmenski i w raporcie z dochodzenia



także napisano o problemach psychicznych. Lęki, depresja. Przytoczono słowa jej brata, który twierdził, że w przeszłości Sara próbowała się zabić. Ostatecznie jednak śledczy orzekł, że nie sposób spekulować w kwestii powodu, dla którego weszła do wody, więc napisał po prostu, że utonęła i że możliwe, iż miały w tym swój udział alkohol i leki. Między wierszami można wyczytać, że rodzina uważa to za samobójstwo. Zarówno w jej organizmie, jak i samochodzie znaleziono trawkę, alkohol i antydepresanty. Według jej mamy kochała przyrodę i nie było niczym dziwnym, że pojechała do Szkocji. Tyle że Sara pochodziła z Boston Spa. – Milczeliśmy, więc dodała: – Niedaleko Yorku. Dochodzenie prowadziło nawet to samo biuro śledcze. Tak więc te dwa samobójstwa łączy nie tylko to, co pamiętamy, ale również to, że obie ofiary mieszkały w tej samej okolicy i miały na tyle poważne problemy ze zdrowiem psychicznym, że ani rodzina, ani śledczy nie kwestionowali faktu odebrania sobie życia w nietypowych lokalizacjach. Nie sądzicie, że dzięki przebytych chorobom psychicznym obie były oczywistymi kandydatkami, jeśli się chciało, aby zabójstwo wyglądało jak samobójstwo? Do tego powiązania Willa z Yorkiem...

– Niezależne powiązania – odezwałam się i spojrzałam na Rupesha. – Co oznacza, że nie ma z nim kontaktu, mamy niezależne powiązania...

– A jeśli chodzi o profil charakteru, jakiego potrzebowałeś, Rupesh – dodała Jen – to słowa Adeline i ta ściana w domu rodziców są dość...

– Niejasne? – zapytał Steve.

– Popieprzone – dokończyła. – Uważam, że jeśli chcesz mieć motyw, to według mnie jest nim niepoczytalność Willa.

– Czy coś takiego może być motywem? – zapytał Rupesh, unosząc brwi. Jen wydawała się urażona.

– Chodzi mi o to, że chłopak ma jakieś problemy z głową. Może nienawidzi kobiet. Żadne morderstwo nie jest dokonywane przypadkowo, tak przynajmniej mówią w programach kryminalnych. To oznacza, że

zostały spełnione wszystkie twoje kryteria. A to jeszcze nie koniec. Jakiś idiota zostawił paskudny komentarz, że Ellie Kidd była znaną ćpunką i że w artykule nie podano informacji, iż według raportu w chwili śmierci była pod wpływem GHB. Swego czasu widziałam ludzi po GHB i coś wam powiem. Jeśli chcecie nafaszerować kogoś narkotykiem, przez który można doprowadzić go do takiego stanu, żeby wyglądało, jakby sam się powiesił, to GHB nadaje się do tego idealnie.

– To prawda – przytaknął Rupesh.

– Ciekawe, czy GHB było jednym z narkotyków, jakie znaleziono w ciele Sary.

– Myślę, że to wyszłoby podczas rutynowego testu toksykologicznego – oznajmił Rupesh, myśląc na głos. – Z kolei obecności na przykład rohypnolu by nie wykryto, a ten lek też sprawia, że człowiek staje się uległy. Nie wiem, jak jest z ketaminą. Gdyby to było GHB, jestem pewny, że śledczy dostrzegłby powiązanie. A może nie.

– Zastanawiałam się, czy nie udałoby się zdobyć kopii tych raportów. Sprawdzić GHB. No i czy wzięła paroksetynę. Pomyślcie tylko, gdyby się chciało, aby śledczy uznał, że ofiara miała myśli samobójcze, wystarczy nafaszerować ją lekiem, którego skutki uboczne to takie właśnie myśli. Sprawdziłam to w necie i istnieje możliwość wglądu do raportów, ale nie każdy ma do nich dostęp. Generalnie leży to w gestii śledczego, ale Rupesh, z twoim wykształceniem na pewno...

– Nie ma mowy – przerwał jej ze śmiechem.

Jen zacisnęła usta i wbiła w niego wzrok. Następnie rzekła:

– Okej. Will brał narkotyki, prawda? Chodzi mi o to, że wiedziałby, jakich środków użyć, żeby ktoś odpłynął na tyle, by upozorować samobójstwo. Może nawet był jej dealerem.

– Tego nie wiem – odezwał się Rupesh. – Wszystko jest interesujące. Także to, że Will miał problem z uzależnieniami, przez co teoretycznie mógł nawiązać bezpośredni kontakt ze szpitalem Wallgrove. Tak samo ta

dziewczyna z Loch Ness. Te trzy związki to już coś. Fragmenty układanki. Ale jak mielibyśmy pójść z tym na policję? I założmy, że potraktowano by poważnie nasze słowa, w co szczerze wątpię. No więc nasyłamy policję na Willa i okazuje się, że nie mamy racji. Co on wtedy o nas sobie pomyśli? Jak się pocujemy my, zrobiwszy coś takiego Willowi? Zwłaszcza że to, czego się do tej pory dowiedzieliśmy, wskazuje na jego wrażliwość.

– Albo jeszcze gorzej – wtrąciłam. – Wyobraźcie sobie, co by od nowa przeżywały rodziny tych kobiet, gdyby się okazało, że się pomyliliśmy.

– A gdybyśmy mieli jednak rację? – zapytała Jen.

Zapadła cisza.

Rupesh wyszedł do kuchni po wodę dla Jen, o którą go poprosiła. Kiedy wrócił, powiedział:

– Jeśli Will występuje w Manchesterze, to oznacza, że nie zniknął, prawda? A my wrócilibyśmy do punktu wyjścia.

– W takim razie musimy tam jechać – stwierdziła Jen. – Problem tylko w tym, że ja nie mogę. Strasznie bym chciała, ale mam cholerny wieczór gier.

– Wieczór gier? – zdziwił się Steve.

– Owszem. Cholerny wieczór gier. Moja starsza siostra zmusza do tego co roku całą rodzinę.

Zdażyłam zapomnieć o starszej siostrze Jen, głównie dlatego, że kiedy się przeprowadziłam do Blythe, Andrea – tak miała na imię, prawda? – już studiowała, a dla nas był to wtedy zupełnie inny świat.

– Tak mi przykro – powiedziała teraz Jen – ale i tak jestem już na cenzurowanym za to, że tyle czasu spędzam z wami. Jednak wy powinniście jechać, przecież może chodzić o czyjeś życie, prawda? O ile Will nadal ma w planach trzecie zabójstwo. Przed następnym spotkaniem postaram się znaleźć na strychu te pamiętniki.

– Muszę przyznać, Jen, że jestem pod wrażeniem tego, ile udało ci się dowiedzieć do tej pory – oświadczył Rupesh, a ona cała się

rozpromieniła. – Pojechałbym, ale pracuję dziś wieczorem.

– To co, masz ochotę na wycieczkę do Manchesteru? – zapytał mnie Steve. Pozostali nie dostrzegli sugestywnie uniesionej brwi.

– Niech będzie – odparłam. – Wygląda na to, że nie mamy wyjścia.

– Informujcie nas na bieżąco, żebyśmy wiedzieli, że jesteście bezpieczni – poprosiła Jen.

– Jasne, ale nic nam się nie stanie – odpowiedział Steve. – To miejsce publiczne. Ja się nie martwię.

## Steve, 1998

Steve klęczy przy żywopłocie ciągnącym się wzdłuż trawnika przed domem i udaje zajętego, na wypadek gdyby tata miał akurat wyjrzeć przez któreś z okien. Tymczasem tak naprawdę odpoczywa, coraz bardziej wściekły z powodu niesprawiedliwości dotyczącej wykonywanych prac. Tata może je sobie nazywać „umową”, ale to w rzeczywistości kara. Zardzewiałym sekatorem ucina jedną z gałązek, które umknęły elektrycznej przycinarce, a wokół głowy zaczyna mu fruwać osa. Odgania ją ręką, po czym rzuca gałąź pod krzak.

Początkowo ta cegła w szybie Strachana przed rokiem wydawała się idealną reakcją na powrót psa do ogrodu. To nie Steve ją rzucił, ale dumny był z osoby, która postanowiła wyrównać rachunki. Kimkolwiek ona była. Tyle że w sprawę zaangażowała się policja, więc tata odwołał spotkania i przyleciał z Singapuru. Od tamtej pory nie jest lekko: najpierw został wcześniej odesłany do szkoły, musiał tam spędzić przerwy międzysemestralne, a na Boże Narodzenie i Wielkanoc pojechał do dwóch przyprawiających o depresję rodzin goszczących. Błagał tatę, żeby uniknąć latem podobnego losu – dlatego właśnie przed końcem czerwca musi uprzątnąć ten ogrodowy bajzel. Jakoś sobie radził, zwłaszcza odkąd zdał egzaminy końcowe. Kiedy jednak zgodził się na uporządkowanie ogrodu, sądził, że uda mu się to załatwić na skróty. Wrzuca pod krzak kolejną gałązkę. Tym sposobem nie musi zbierać wszystkiego razem i zanosić do beczki do późniejszego spalania.

Fajnie by było, gdyby Will wrócił. Zjawił się tego popołudnia, gdy taty akurat nie było, i Steve, wykorzystując sztuczkę Tomka Sawyera, nakłonił

go do przycięcia wszystkich iglaków za domem. Wystarczyło, że powiedział, jak fajnie się używa przycinarki. Dorzucił do tego dychę, głównie dlatego, że Will nie dostaje kieszonkowego, a poza tym naprawdę dużo mu pomógł. Zostało tylko kilka dni do końca czerwca i niewykluczone, że Steve się do tego czasu nie wyrobi. A nie chce się dowiedzieć, czy tata dotrzyma wtedy słowa i go stąd odeśle. Zwłaszcza że pokłosiem zeszłego lata stała się jeszcze większa groźba: przeprowadzka do Londynu. W interesie Steve'a leżało zadowalanie taty i niepozwalanie, aby wrócił do tego pomysłu.

Steve zaczyna czuć drętwienie w łydkach. Wstaje i strzela mu w kolanach. Ponad żywopłotem widzi całe Elm Close. Tył samochodu znika właśnie na podjeździe Adeline, a krótko potem dziewczyna wychodzi na ulicę. Idzie w stronę jego domu i Steve sprawdza, czy na swoim T-shircie nie ma śladów od potu. Poznawszy przed rokiem Adeline, czuł mniejszą potrzebę zawierania w szkole kompromisów. Istnieli ludzie, których autentycznie lubił, po co więc zawracać sobie głowę udawaniem? Wypiął się na kilku przyjaciół – właściwie zaledwie znajomych – i ich niemądre opinie. Stawiał się tym nauczycielom, którzy według niego opowiadali bzdury. Postrzegał siebie jako kogoś w rodzaju sokratejskiego superbohatera. Inni jednak widzieli w nim zupełnie kogoś innego.

Adeline ma na sobie szkolny mundurek: białą koszulkę i szarą spódnicę kończącą się tuż nad kolanami. Na jej twarzy widnieje uśmiech, który jest albo niespokojny, albo konfrontacyjny – no bo przecież nie rozmawiali ze sobą od prawie roku. Jest tak ładna, jak zapamiętał, i serce mocniej mu bije. Nie było dnia, żeby o niej nie myślał.

– Proszę, proszę, Steve Litt – mówi, zatrzymując się po drugiej stronie żywopłotu.

– Dzień dobry, Adie Thomas. – Steve próbuje zachować powagę, ale bezskutecznie.

– A więc jesteś. Widziałam się już z pozostałymi, ale postanowiłam sprawdzić, czy masz nas wszystkich gdzieś. Słyszałam, że przyjechał twój tato.

– Aha, wziął urlop, żeby mieć mnie na oku. Nadal spłacam postrachanowy dług z zeszłego roku. – Ogląda się na dom, chcąc sprawdzić, czy nie jest obserwowany.

– Naprawdę?

– Strasznie to wnerwiające, bo kiedy się tu wprowadziliśmy, zasugerowałem, że powinien zatrudnić ogrodnika. On jednak odmówił i oświadczył, że chce mieć duży ogród, a praca w nim będzie go relaksować. Wiedziałem, że tak się nie stanie. Ale nikt mnie nie słucha. – Po chwili zmienia temat: – No a jak zareagowali twoi rodzice, gdy zjawiała się policja?

Adeline wzrusza ramionami.

– Tato mnie bronił. Mama próbowała mnie wydać. Pokłócili się. – Unosi oba kciuki.

– Poważnie?

– Strachan dał policji tamten list, a kiedy policjanci zapytali moich rodziców, czy go poznają, mama powiedziała coś w rodzaju: „Hmmm, niech się zastanowię, to pismo rzeczywiście wydaje mi się ciut znajome”. No a potem dała mi szlaban. Jakbyśmy grali w jakimś cholernym amerykańskim sitcomie.

– O rany.

Zbliżają się do rozmowy o tym, jak się zakończyło zeszłe lato, a on wcale nie ma na to ochoty. W końcu będą musieli to zrobić, ale nie jest pewny, czy uda mu się wytłumaczyć, jak szybko się wszystko działo i że nawet gdyby dał radę przemycić do niej jakąś wiadomość, i tak nie potrafiłby wyrazić tego, co chciałby jej przekazać. No ale Adeline jest tu i z nim rozmawia. Może sprawiła to bożonarodzeniowa kartka, którą jej wysłał.

– Masz jeszcze egzaminy? – pyta Steve, zerkając na jej spódniczkę. W towarzystwie tej dziewczyny nie jest łatwo zachować trzeźwość umysłu. Jest taka niesamowita: kruczoczarne włosy, jasna cera. Zdecydowanie najbardziej ekstremalnie wyglądająca dziewczyna, jaką zna.

– Właśnie zdałam ostatni.

– Czyli wszyscy mamy już wakacje?

– Aha. Pozostali mają zjawić się po kolacji u mnie. Jak chcesz, to też przyjdź.

– Lepiej przyjdźcie do mnie – proponuje Steve.

– No a twój tata?

– Wieczorem go nie będzie.

Steve ma wielkie plany związane z ich paczką i chce, aby wpadli w rytm najszybciej, jak się da. Tak naprawdę nic nie może się rozpocząć, dopóki tata nie wróci w przyszłym tygodniu do pracy, ale dzisiaj mogliby zrobić rozgrzewkę.

Jego uwagę przyciąga podjazd sąsiadujący z domem Adeline. Pan Strachan zabiera się właśnie do mycia swojego samochodu.

– Nasz dawny przyjaciel właśnie się pojawił – mówi i dodaje, nim Adeline zdąży się odwrócić: – Nie patrz.

Strachan ma na sobie obcisły biały T-shirt i jak na starszego faceta wygląda na całkiem silnego – klatkę piersiową i ramiona ma mocno umięśnione.

– Podobno nieźle przypakował – szepcze Adeline.

– Nie sądziłem, że podobają ci się mięśniacy?

– Nie podobają. To pewnie ten typ palanta, który cały wolny czas spędza na siłowni, jakby powodem, dla którego zostawiła go żona, był brak mięśni, a nie fakt, że jest bezmyślnym głąbem.

Steve mimowolnie wybuchą śmiechem, a Strachan piorunuje ich wzrokiem. Niemożliwe jednak, żeby ich usłyszał.



Kiedy Adeline udaje się do domu, idzie środkiem ulicy, jak najdalej od Strachana. Nie do końca wiedząc dlaczego, Steve zaczyna liczyć w myślach. Odlicza do pięciu i wtedy Adeline odwraca się w jego stronę i uśmiecha. To takie prawo. Prawo oglądania się. Im szybciej ktoś to robi, tym bardziej cię lubi. Nieważne, czy sam to wymyślił, czy gdzieś usłyszał, niemniej wydaje się prawdą. Teraz Steve nie może się doczekać wieczoru. Nie ma takiej opcji, żeby nie zdążył z ogrodem do końca czerwca.

Tego wieczoru u Steve'a jednym okiem oglądają film i jednocześnie opowiadają sobie o tym, co się wydarzyło w minionym roku. Adeline zaskakuje Steve'a tym, że po jednej usłyszanej kwestii rozpoznaje nazwisko aktorki.

– Na Boże Narodzenie dostałam prenumeratę magazynu „Empire” – wyjaśnia.

Zarówno Will, jak i Rupesh są wyżsi niż przed rokiem, a Will nosi teraz cienkie wąsy – zupełnie jak Strachan. Podczas gdy Jen nie wydaje się fizycznie większa, jakimś cudem zabiera więcej przestrzeni niż do tej pory. Zniknęła niepewna dziewczyna. To jest gwiazda Jen, grająca główne role w trzech szkolnych przedstawieniach i świeżo po rozstaniu z jakimś przygłupem, który według szkolnych kryteriów był niezłym ciachem. Włosy ma krótkie, przez co wygląda na starszą.

Adeline wspomniała wcześniej, że w czasie roku szkolnego ścieżki jej i Jen rzadko się krzyżowały; że Jen kumplowała się z dziewczynami, z którymi Adeline nie chciała mieć nic wspólnego. Steve przewidywał, że tak właśnie będzie. Wiedział, że Jen należy do grupy dziewczyn, które notorycznie karcono za zbyt krótkie spódniczki i zbyt mocny makijaż – konwencjonalnych dziewczyn, a nie takich, którym Adeline poświęcałaby czas. Poza tym po co miała się wysilać, skoro trafiła do tej szkoły tylko na

rok? On także przyjął taką postawę, kiedy sprawy w King George's zaczęły się obracać przeciwko niemu.

Atmosfera jest tak swobodna, że ma się wrażenie, jakby od ich ostatniego spotkania minął zaledwie tydzień. To oczywiście, że grupa potrzebuje całej piątki i że ma własną, wyjątkową dynamikę.

Kiedy film dobiega końca, Steve pyta:

– Tak przy okazji, czy któreś z was zauważyło coś po drodze?

Zauważyli całe mnóstwo rzeczy, ale żadna z nich nie okazuje się tym, o co chodzi Steve'owi.

– Pies Strachana – mówi w końcu. – Już go tam nie ma. Nawet palik zniknął.

Rozgląda się, ale widzi, że pozostali robią to samo, czekając na wyznanie. Nikt się jednak nie odzywa, więc Steve oświadcza:

– Bez względu na to, które z was to zrobiło, dobra robota.

Tydzień później tata Steve'a wraca do pracy. Steve'owi udaje się zdążyć z uporządkowaniem ogrodu, aczkolwiek tata oświadcza, że teraz, kiedy jest tak ładnie, spodziewa się, że dalej będzie go utrzymywał w takim stanie. „Dopisek małym druczkiem”, dodaje.

W pierwsze popołudnie, które ma tylko dla siebie, zachodzi do Adeline, ale jej nie zastaje. Rupesh wyjechał z rodziną do Indii. Nie chcąc rozmawiać z siostrą Jen, udaje się do domu Willa.

– Widziałem, jak wcześniej razem wychodzili – mówi starszy brat Willa w T-shircie z Metallicą. – Ta zgrabna mówiła coś o torach.

– Dzięki – odpowiada Steve, starając się nie zbliżyć za bardzo do drzwi, zza których dochodzi dziwny, stęchły zapach.

– Ma chłopaka? – pyta brat Willa. – Ta Wednesday Addams. Jest całkiem niezła.

Steve wzrusza ramionami. Jest pewny, że Adeline nie zainteresowałby ten koleś, mimo że dziewczyny generalnie lubią starszych chłopaków. Większość dziewczyn z King George's woli starszych, bo mają prawo jazdy i wolno im kupować alkohol.

– Tak, ma kogoś. – Po tych słowach odchodzi.

Zgodnie z przewidywaniami znajduje ich przy torach. Czy znowu próbują zgniatać monety? To dziwne, bo kiedy przed rokiem proponowano coś takiego, Adeline kwitowała to lekceważącym prychnięciem. Zakrada się wzdłuż nasypu i chowa w wysokiej trawie, chcąc ich zaskoczyć. Dzięki temu słyszy, o czym rozmawiają.

– Coś mi przyszło do głowy – mówi Will. – Zastanawialiście się kiedyś, czemu ludzie jedzą gluty z nosa, ale nie woskwinę?

– Fuj – mówi z rozdrażnieniem Jen. Siedzi na trawie i zgina się teraz wpół. – Ale mi się nudzi. Adeline, powiedz mu coś.

– No ale co?

– Był na mnie naprawdę zły, kiedy go zapytałam, ile to jeszcze potrwa – oświadcza Jen.

Rzeczywiście Steve był na nią trochę zły. Po pierwsze rozczarował go fakt, że to nie Adeline, a po drugie jasno dał do zrozumienia, że ich poszuka, kiedy uzna, że nadszedł odpowiedni moment. Przez wysoką trawę widzi, że siedzą na przeciwległym nasypie. Jen rzuca kamieniem w plastikową butelkę, którą ustawili po drugiej stronie torów. Butelka pozostaje na miejscu. A więc nie monety, ale niewiele lepiej. Są beznadziejni, jeśli chodzi o organizowanie sobie wolnego czasu. Przejeżdża pociąg i żadne z nich, Adeline, Jen ani Will, nawet się nie wzdryga. Coś dziwnego dzieje się z Jen i Willem – siedzą wyjątkowo daleko od siebie. Adeline następna rzuca kamieniem i pudłuje.

– Nie wiem, czy mi powie – mówi.

– Oczywiście, że tak – odzywa się Will.

– On cię przecież kooooooocha – oświadcza Jen.

Czy to aż tak oczywiste?

– Wcale nie – zaprzecza Adeline, odwracając od nich wzrok. Steve widzi, że się uśmiecha. – Pewnie jest ostrożny po tym, co się wydarzyło rok temu – dodaje.

– A skoro o tym mowa, to czy któreś z was chce się przyznać? – pyta Jen. Zerka na Adeline.

– Nie patrz na mnie – protestuje Adeline. – Myślałam, że to Rupesh.

Jej słowa przykuwają uwagę wszystkich, łącznie ze Steve'em. Przecież oczywisty kandydat to Will, prawda? Will, który kilka godzin wcześniej zasugerował, że to właśnie zrobił.

Kolejny pociąg.

– Nie potrzebujemy Steve'a, żeby dobrze się bawić – stwierdza Adeline, kiedy pociąg znika w oddali.

– A może przejdziemy się do sadu i wypuścimy z uli wszystkie pszczoły? – proponuje Will.

Patrzą na niego wzrokiem pełnym niezrozumienia.

– Nie wydaje mi się, żeby pszczoły były tam więzione – mówi w końcu Adeline.

– Wchodzą i wychodzą, kiedy mają na to ochotę – dorzuca Jen.

– Zresztą to i tak kiepski pomysł – dodaje Adeline. – Mam na nie alergię.

– Silną? – pyta Will.

– Kojarzycie film *Moja dziewczyna*? Mama zawsze krzyczała, kiedy podlatywały do mnie, gdy byłam mała, więc pewnie silną. Więc ja dziękuję za taki pomysł.

– Możemy poszukać Sparky'ego – proponuje Jen. – Nie wrócił do domu ani wczoraj, ani przedwczoraj.

– Koty już tak mają – zauważa Will. – Zjawi się, kiedy będzie chciał. Słyszałem o kocie, który przeszedł tysiąc kilometrów, żeby wrócić do

dawnego domu. Zresztą chyba właśnie o tym była ta piosenka Proclaimersów. – Zaczyna śpiewać wysokim głosem i z kiepskim szkockim akcentem.

– To miejsce jest jak trójkąt bermudzki dla zwierząt – orzeka Adeline. – Mama powiedziała, że według pana Strachana ktoś porywa zwierzęta. W sumie to powiedział, że Cyganie, ale według mnie jest rasistą. Parę zwierzaków ze wsi zaginęło.

– Nie mów tak. Sparky wróci.

– Oczywiście – zapewnia ją Will. – Bez sensu go jednak szukać. Jeśli nie chce, żeby go znaleziono, to go nie znajdziemy.

Wyczuwając dobry moment na przyłączenie się do nich, Steve wstaje i mówi:

– Może to Strachan stoi za tymi porwaniami.

Zdumieni patrzą w jego stronę. Po minie Adeline widzi, że ta się zastanawia, od jak dawna tam stał i ile zdążył usłyszeć.

– Dobra wiadomość. Tata wrócił do pracy. Nie mam pojęcia, czy będzie tak swobodnie i bezproblemowo jak przed rokiem. Prawdopodobnie teraz częściej będzie przyjeżdżał, ale mój dom znowu jest waszym domem. A kiedy wróci Rupesh, będziemy mogli zacząć. – Siada między Willem i Adeline.

– Co zacząć? – pyta Will, bawiąc się sznurówkami czerwonych conversów, w których bez przerwy chodzi.

– Realizować mój plan na lato. Ale na razie nie zawracajcie sobie tym głowy. Wyjaśnię wszystko, kiedy będziemy w komplecie. Tak na marginesie, mówiłem poważnie o Strachanie. – Rzuca kamieniem i za pierwszym razem udaje mu się przewrócić butelkę. – Nie chodzi mi o zwierzęta. Czy któreś z was słyszało o tym, że jakiś człowiek jeździ po okolicy srebrnym vanem i zaczepia dzieciaki?

– Aha – odpowiada Jen. – Były przecież zebrania w tej sprawie, no nie? Adeline przytakuje.

– Jedna z dziewczyn z naszej szkoły opowiadała, że zagadał do niej facet siedzący w vanie i zaproponował, żeby z nim pojechała, bo ma magazyn pełen perfum. Tyle że ta dziewczyna lubi koloryzować i zdarzyło się to zaraz po tamtym pierwszym ataku, więc...

– Parę osób z mojej szkoły mówiło, że po zebraniu zaczepił je jakiś koleś w srebrnym vanie – dodaje Will. – Jednego chłopaka zapytał o drogę. Na fotelu pasażera położył mapę i kazał mu podejść bliżej.

– Myślicie, że to Strachan? – pyta Adeline.

– Cóż, a znasz jeszcze kogoś, kto ma srebrnego vana? – odpowiada Steve. – Zresztą pomyśl. Pierwszy raz zdarzyło się to pomiędzy Marlstone i Solihull, niedaleko Catherine-de-Barnes, no nie? Drugi raz w Balsall Common. W szkole jest chłopak, którego tata pracuje w policji i twierdzi, że o wielu historiach w ogóle się nie mówi, żeby ludzie nie wpadali w panikę. Jedno zdarzenie w Hatton. Jedno w Marston Green. Zawsze na wiejskich drogach, którymi dzieci chodzą do domu. Na naszym zebraniu mówili, że ten facet ma wąsy.

– A na naszym, że brodę. No ale ludzie czasem plotą trzy po trzy – stwierdza Will.

– Nawet jeśli połowa historii jest wymyślona, to jeśli spojrzysz na mapę, miejsca tych zdarzeń zataczają okrąg wokół Blythe – wyjaśnia Steve. – Ten chłopak mi pokazywał.

Adeline się śmieje.

– No co? – pyta Steve. – Mówię poważnie. A kiedy udaje mu się zwabić dzieciaki do samochodu, to one nie chcą o tym opowiadać, bo za bardzo się wstydzą.

– On nie jest pajakiem z *Arachnofobii* – oświadcza Adeline. Pozostałym podoba się jej filmowa aluzja.

– Śmiećcie się, jeśli chcecie – mówi Steve. – Ma srebrnego vana, mieszka w podobnej odległości od wszystkich miejsc, w których doszło do zdarzeń, rzadko bywa w domu, wieczorami często wyjeżdża.

- Jest okrutny wobec zwierząt – uzupełnia Jen.
- Właśnie. Mówię jedynie, że należy na siebie uważać.
- No dobra, to co dla nas przygotowałeś? – docieka Jen. – Będzie się to działo na polach? Chcesz przypuścić atak na Strachana?
- Może tak, może nie. Będziecie musieli wykazać się cierpliwością.

Nudzi im się siedzenie przy torach i późnym popołudniem wracają na Elm Close. Kiedy Jen i Will udają się do siebie, Steve odprowadza Adeline do domu.

- Opowiesz mi o tym swoim wielkim planie? – pyta go.
- Nie chcę tego psuć. Zresztą nie jestem pewny, czy wszyscy będą chcieli w to wejść.
- Dlaczego?
- Bo ten plan ma pewne dziwne... – Zastanawia się nad doborem właściwych słów. – Warunki.
- W grę wchodzi seks? – pyta Adeline.
- Steve wpycha rękę do kieszeni, żeby ukryć napływ krwi do członka.
- Cóż, na ten moment nie. – Uśmiecha się i przez krótką chwilę patrzy jej w oczy, po czym spuszcza wzrok.
- W takim razie co?
- Nie, muszę to powiedzieć, kiedy będziemy w komplecie – wyjaśnia Steve. – Może uznasz, że to kiepski pomysł, a ja wtedy stracę entuzjazm.
- Nie wydaje mi się, że bym wywierała na ciebie aż taki wpływ. Poza tym mam otwarty umysł.
- Okej, a jeśli w grę rzeczywiście wchodzi seks?
- Adeline wzrusza ramionami.
- Zależy z kim.
- Steve kiwa głową.
- Nie wchodzi, ale dobrze wiedzieć. Powiem ci tyle, że jest to gra.

Kiedy Steve się oddala, liczy w myślach do pięciu. Właśnie ma się obejrzeć, kiedy na końcu Elm Close dostrzega Strachana, któremu towarzyszy ten jego brzydki pies. Mężczyzna niesie coś, co wygląda jak kielnia. Pewnie po to, żeby sprzątać po psie. Jeszcze go z czymś takim nie widział. A może coś knuje? Zakopuje dowody? Nie mając nic lepszego do roboty, Steve przez jakiś czas śledzi Strachana. Nie do końca żywi przekonanie, że to on jest porywaczem, ale nie jest to także wykluczone. Warto w każdym razie zachować czujność.

Idzie za nim przez dziesięć minut, nie wiedząc, czego się spodziewać. W pewnym momencie Strachan znika pośrodku pola kukurydzy. Robi się chłodno, poza tym Steve powinien coś zjeść, nim pozostali zjawią się na oglądanie filmów. Odwraca się, aby wrócić do domu, i po zaledwie kilku krokach Strachan wychodzi przed nim z pola, a przy jego nodze idzie pies. Steve podskakuje, ale udaje mu się powstrzymać głośny okrzyk.

– Mogę ci w czymś pomóc? – pyta Strachan, a pies warczy.

– Nie.

– Śledzisz mnie?

– Chciałby pan – rzuca Steve i krzywi się, żeby wyglądać na hardego.

– Lepiej pilnuj się w to lato – oświadcza Strachan. – Wiem, że to ty jesteś prowodyrem. Widzę, jak pozostali robią, co im każesz, chuj wie czemu.

Przekleństwo w ustach Strachana oraz to, że deprecjonuje pozycję Steve'a, okazują się kroplą, która przelewa czarę.

– Pan też się powinien pilnować – rzuca Steve. To groźba bez pokrycia.

– Radziłem już sobie ze starszymi od ciebie. – Mówi to tak spokojnie, że to musi być prawda. Steve jest wyższy od Strachana, ale w tej chwili czuje się malutki. – Rozumiesz?

Steve próbuje odzyskać kontrolę nad swoimi myślami, tymczasem Strachan kręci głową i go wymija.



W domu, żeby się uspokoić, Steve zaczyna oglądać film. Nie umie się jednak skoncentrować. „Pilnuj się”. Może to i czcza pogróżka, ale po tym, jak zakończyło się zeszłe lato, jakoś na to nie wygląda. A jeśli Strachan jeszcze z nimi nie skończył i w te wakacje ma dla nich w zanadrzu coś więcej? Coś, co zrujnuje wszystkie plany Steve’a.

Pilnuj się.

Oczywiście dla Strachana sprawiedliwości nie stało się zadość. Jak Steve mógł być na tyle głupi, aby w to wierzyć? To jasne. Nie widział spojrzenia, jakim Strachan obdarzył jego i Adeline? Strachan rozmawiał także z mamą Adeline. Innym razem z Willem. Steve zaobserwował, jak gadali o czymś przez chwilę przy ogrodzeniu, a potem Will się oddalił. Will, który jest lojalny i podatny na manipulację. To zagrywki wojenne Strachana zmierzające do czegoś poważniejszego. Przeczucia Steve’a często okazują się prawdziwe. Wystarczy wspomnieć tatę i ogród. Możliwe, że pozostali jeszcze w nim tego nie dostrzegli. Myśli o takich rzeczach częściej niż inni ludzie, martwi się nimi. To oznacza, że ma doskonałą intuicję. I wie jedno: nieprzejmowanie się Strachanem to błąd, na którego popełnienie nie mogą sobie pozwolić.

## Zima 2015

Krótko po czwartej po południu samochodem Steve'a wyruszyliśmy do Manchesteru. Coraz mocniej padał deszcz. Kiedy rozmowa nie dotyczyła Willa, chwilami wydawała się wymuszona. Jednak udało mi się dowiedzieć czegoś o wielkim rozstaniu. Otwarcie go o nie zapytałam.

– Nic ciekawego – odparł Steve. – Miała na imię Emily i w Cardiff studiowała rok niżej. Poznaliśmy się, gdy miałem dwadzieścia dwa lata, a rozstaliśmy, kiedy miałem dwadzieścia dziewięć. Siedem lat związku, który na ogół był dobry.

– Byłeś zakochany? Nie odpowiadaj, jeśli nie masz ochoty, ja tylko...

– Co tu dużo mówić. Było łatwo. Zaczęło się od wspólnego wyjścia, a potem żadne z nas nie miało powodu, aby to kończyć.

– Dobra stara brytyjska tradycja.

– Cóż, kiedy ją poznałem, miałem dosyć tej szaleńczej, nastoletniej intensywności. W tamtym czasie wszystko było niczym beczka prochu. Rozumiesz, co mam na myśli? Byłem wykończony.

Kiwnęłam głową, choć sama nigdy nie trwałam w związku, gdy przestawało iskrzyć. Właściwie to od ponad roku nie byłam w żadnym związku.

– Tak naprawdę w momencie, kiedy się poznaliśmy, pragnąłem mieć przyjaciela, a nie partnera sparingowego. Byłem zmęczony tymi bzdurnymi myślami o dziewczynie z marzeń. Emily była ode mnie młodsza, bezproblemowa, umiarkowanie ambitna.

– Czy ja mam w tym swój udział? – zapytałam i natychmiast pożałowałam tych słów, bo zabrzmiało to tak, jakbym skupiała się

wyłącznie na sobie.

– W żadnym razie – odparł Steve ze śmiechem. – Myślę, że zbyt wysoko ustawiłaś poprzeczkę. Żadna nie mogła się z tobą równać.

– Chyba żartujesz.

– Mówię poważnie.

Dobrze, że Steve patrzył na drogę, bo czułam, że płoną mi policzki.

– Byliśmy tylko dziećmi – bąknęłam.

– Czasem tak, czasem nie.

– No więc co poszło nie tak z Emily? – dociekałam.

Przez chwilę się zastanawiał.

– Uznała, że lubi zapach napalmu o poranku. Dostała pracę w londyńskiej agencji reklamowej i po kilku miesiącach wychodziła praktycznie co wieczór. Sądziłem, że jestem naprawdę wyrozumiałym chłopakiem, bo ignorowałem to, jak bardzo doskwiera mi fakt, że w ogóle się nie widzimy. A ona zasypywała mnie pytaniami. Próbowalesz koki? Co sądzisz o trójkątach? Co i rusz rzucała pytanie tego typu, jakbyśmy po prostu teoretyzowali.

Brzmiało to tak konserwatywnie. Co u licha pomyślałaby o dziesięciu ostatnich latach mojego życia?

– Widzę twoją minę, Adie, ale musiałabyś znać Emily, żeby zrozumieć, dlaczego to wszystko było takie dziwne. Piła najwyżej dwa kieliszki wina w weekend. Nigdy nie była na festiwalu ani nie próbowała narkotyków. Zanim zaczęliśmy się spotykać, uprawiała seks tylko z jednym facetem. A ja dotarłem do etapu, w którym dosyć miałem eksperymentów, rozumiesz? Miałem wrażenie, że swoim życiem mógłbym obdzielić kilka osób.

Rozumiałam. W Cambridge nie interesowały mnie dziecinne stowarzyszenia, od których otrzymywałam zaproszenia, bo picia i wszystkiego, co się z nim wiązało, doświadczyłam już w liceum i razem z paczką.

– Ostatecznie zdradziła mnie z kolegą z pracy. W pracy. Bzyknęli się w schowku na szczotki. Uczciwość bywa często najgorszą zasadą.

Nie do końca świadomie położyłam mu dłoń na udzie.

– Przykro mi, że cię zdradziła.

Steve odezwał się po jakimś czasie:

– Przynajmniej było to coś ostatecznego. Nie tak jak my.

– Och, daj spokój. – Jego uśmiech miał sugerować, że tylko żartuje, ale pieprzyć to. – To ty się wyprowadziłeś.

– A ty się do mnie nie odzywałaś.

– Gówno prawda, Steve. Byłam w tobie zadurzona.

– Zadurzona? – zapytał, a ja nie wiedziałam, czy drwi, czy wprost przeciwnie. – To właśnie czułaś?

– Naprawdę zamierzasz do tego wracać? Przestałeś do mnie pisać – oświadczyłam i szturchnęłam go w ramię, nie do końca żartobliwie. Wyglądało na to, że po tylu latach drzemie we mnie jeszcze odrobina gniewu.

– Nieprawda, to ty przestałaś pisać do mnie.

Już-już miałam zaprotestować, ale ugryzłam się w język. Może rzeczywiście wina leżała po mojej stronie. To było tak dawno temu. I może ostatni rok w liceum odciągnął moje myśli od Steve'a.

– Kto wie, jak było naprawdę? – odezwałam się.

– Masz jeszcze te listy, które do ciebie pisałem?

– Nie – odparłam. – Niewykluczone, że w gniewie je spaliłam. A ty?

– Ja trzymam wszystko.

Po odstaniu swojego w korkach, zgubieniu się w centrum, a potem zaparkowaniu kilometr dalej, pod klubem natrafiliśmy na następną kolejkę. Wyglądało na to, że dużo osób miało w tym roku ochotę „pieprzyć święta”. Z piwnicy docierały zapachy alkoholu i potu oraz dźwięki muzyki na żywo.

Sądząc po wielkości czcionki, jaką na plakatach umieszczono nazwę The Geppettos, będą grali jako drudzy.

Zaczęliśmy schodzić po schodach, kiedy poczułam, że wibruje mi telefon. Jen. Steve'owi pokazałam na migi, aby zszedł do klubu, a sama wyszłam na ulicę, by odebrać.

– Jest tam? – zapytała. – Znaleźliście go, Adeline?

– Jeszcze nie.

– Dotarłam do pamiętników. Znalazłam je. I myślę, że on to rzeczywiście zrobił. – W jej głosie pobrzmiwała nutka hysterii.

– Dopiero co przyjechaliśmy – powiedziałam, a żeby ją uspokoić, dodałam: – Nie macie przypadkiem wieczoru z gramami?

– Cóż, musiałam zająć się czymś użytecznym, skoro wy pojechaliście na ten koncert. Zresztą to śledztwo jest uzależniające. Andrea wydarła się na mnie, że nie potrafię się bawić, Wszyscy są teraz na dole. Mam trzydzieści trzy lata, ona trzydzieści sześć i kłócimy się jak dzieci. Ale słuchaj, to poważna sprawa.

– Co znalazłaś w pamiętniku?

– Po kilku dniach opisałam tamten wieczór ze szczegółami – wyjaśniła Jen. – Przeczytam ci najważniejsze. „Will był ostatni i oświadczył, że zostanie seryjnym zabójcą. I że popełni te morderstwa tak, żeby wyglądały na samobójstwa. CO ZA PSYCHOL! Było jednak zabawnie. Powiedziałam, że na każdej z ofiar powinien zostawić naklejkę z lubianym przez niego zespołem, żebyśmy wiedzieli, że to na pewno on, a on odparł, że to świetny pomysł. No i nawet jeśli żartował, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby rzeczywiście to zrobił”. Ha, ha. No i słuchaj, jeszcze jeden fragment. „Najbardziej przerażające było jednak to, co powiedziała Adeline: że jeśli chciałby popełnić jedno morderstwo w Blythe, to jego ostatnią ofiarą powinno być któreś z nas! Will odparł, że to ekstra pomysł i że metodę zachowa dla siebie jako niespodziankę! Super, czemu musiał coś takiego

powiedzieć? To będzie jej wina, jeśli zabije mnie, co pewnie zrobi, zważywszy na to, że to przecież Will”.

Nie przypominałam sobie, abym sugerowała coś takiego, i nie miałam pojęcia, czemu dla Jen było to takie ważne.

– Interesujące. Powinniśmy się jutro spotkać i to przedyskutować.

– Nie rozumiesz? Trzecie miejsce to z całą pewnością Blythe, tak jak myśleliśmy. W ostatnim czasie nie doszło tu do żadnego samobójstwa. I, Adeline, ostatnią ofiarą może się stać jedno z nas. A co, jeśli Will dlatego właśnie zgodził się przyjechać na spotkanie, a potem się nie pojawił?

Już miałam zaprotestować, kiedy coś mi się przypomniało. Coś, co nie dawało mi spokoju, a co non stop odsuwałam od siebie. Uśmiechnięta buźka Nirvany na samochodzie Steve’a. Kiedy powiedziałam o tym Jen, ta wciągnęła głośno powietrze.

– On się z nami bawi – oświadczyła. – Musicie być ostrożni. Może wróćcie od razu i chodźmy na policję.

Teraz, gdy tu byliśmy, tłum zapewniał nam bezpieczeństwo. Jen najpewniej przesadzała. Niemniej udało jej się wzbudzić we mnie niepokój.

– Są tu jeszcze inne rzeczy, które mi uzmysłowiły, dlaczego żywiłam do niego takie, a nie inne uczucia. Na przykład jestem przekonana, że zamordował Sparky’ego, mojego kota, który kiedyś zniknął. A czy mordercy nie zaczynają właśnie od pozbawiania życia zwierząt?

Zaśmiałam się, chyba tylko po to, żeby poczuć się lepiej. Tak przynajmniej było w kryminałach, choć niczego to oczywiście nie dowodziło. Ale czy nie miałam żadnych wspomnień związanych z Willem i martwymi zwierzętami? O właśnie, przypomniałam sobie o tym na ruchliwej ulicy w Manchesterze. Tego dnia, kiedy się dowiedziałam, że Steve został odesłany do szkoły, widziałam Willa na polu, jak zakopywał szczura czy coś podobnego. A gdy go o to zapytałam, zbył mnie jakimiś bzdurami o tym, że próbuje w ten sposób pomóc czy jakoś tak.

– Cholera – rzuciła Jen, kiedy jej o tym powiedziałam.

– Czy w artykułach była jakaś wzmianka o naklejkach? – zapytałam.

– Wątpię, ale sprawdzę jeszcze raz. – W tle usłyszałam jakieś wołanie. – Słyszysz? To Andrea... Już idę! Musimy się spotkać jutro z samego rana.

– Koniecznie – odparłam. – A jeśli dowiemy się czegoś, to napiszę.

– Dobry pomysł. Trzymaj się – dodała, a ton jej głosu nagle uległ zmianie. – Wyobrażasz sobie, co by było, gdybyśmy rzeczywiście zapobiegli morderstwu? Ty, słynna podcasterka.

Nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć, wymamrotałam jedynie:

– Nie jestem sławna.

– Niezły temat na podcast, no nie? Pewnie wszyscy stalibyśmy się wtedy sławni.

– Może. – Mówiła teraz jak Xan. – Niedługo się odezwę.

Zeszłam do baru i poszukałam Steve'a. Wręczył mi kieliszek wina. Wypiłam połowę i opowiedziałam, po co dzwoniła Jen. Zapytałam, czy to on narysował na tylnej szybie swojego samochodu logo Nirvany.

Oczywiście zaprzeczył.

## Will, 1998

Problemy, problemy, problemy – niekończące się problemy w domu. Cieszy się, że po takim, a nie innym poranku idzie przez pola ze szpadlem na ramieniu i papierosami w kieszeni, a słońce grzeje mu policzki. Poszuka miejsca, gdzie będzie mógł w spokoju pokopać i na jakiś czas się wyłączyć. To w gruncie rzeczy jedyne, co lubi robić, kiedy nie spotyka się akurat z pozostałymi. Rupesh przyjeżdża dzisiaj z Indii, więc wkrótce wszyscy wrócą do tego, co im wychodzi najlepiej.

Wcześniej nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie znaczenie dla grupy ma dom Steve'a. Rodzice Jen, Rupesha i Adeline niespecjalnie lubią, gdy ich dzieci mają gości – są tacy surowi. Choć jego mama i tata nie są surowi, właściwie wprost przeciwnie, to jednak mają własne dziwactwa, a on zdecydowanie nie chce wtajemniczać w to paczki. Mama miała dzisiaj kolejny z tych swoich smutnych poranków i nie mógł zostawić jej samej siedzącej w kuchni w jednej z peruk. Zwłaszcza czarnej. Elizabeth Taylor czy może Audrey Hepburn? Nie znaczy to, że jest podobna do znanych aktorek, wygląda po prostu jak mama w... Ranek spędził więc na uspokajaniu jej, rozmawianiu z nią o tym wszystkim, co konieczne, aby wróciła do normalności – o Liz, czyli o tym, o czym tato i Monks nie chcą już z nią rozmawiać.

Szczur w klatce – oto jak się czuł. Teraz jednak jest w innym nastroju, idzie Drogą Umarlaka, a kiedy znajdzie odpowiednie miejsce, zacznie...

– To znowu ty.

Głos dobiega z jego lewej strony. Za żywopłotem odgradzającym posesję stoi pan Strachan. Czego chce? Wczoraj także się z nim przywitał,



powiedział, że jego nierównomiernie pofarbowany T-shirt go oślepia. Chciał wiedzieć, czy Will ma spodnie do kompletu.

– Dzień dobry.

– Idziesz zakopywać zwłoki?

– Nie – zaprzecza szybko, zbyt szybko, i nie przestaje iść. To jednak żart, coś zabawnego, co można rzec do kogoś niosącego szpadel, wypowiedziany nie dlatego, że rzeczywiście uważa, iż Will zamierza cokolwiek zakopać. – Szukam rzeczy po Rzymianach.

– Naprawdę? – pyta Strachan. – A co ty wiesz na ten temat?

Will się zatrzymuje. W tym akurat temacie ma dużą wiedzę. Dobrze zna historię warowni i fortów, i piramid, i szalonych bogów będących w połowie ludźmi, w połowie zwierzętami. Część tutejszych mieszkańców uważa, iż Blythe mogło być kiedyś małym rzymskim bastionem, a może nawet osadą; jednym z nich jest tata Rupesha, który mu powiedział, że na emeryturze zamierza włóczyć się po polach z wykrywaczem metali. Trochę nietypowy lekarz z tego taty Rupesha, oprócz historii pasjonują go także UFO, potwór z Loch Ness i tym podobne. Will go lubi, uważa go za...

– Dobry Boże – odzywa się Strachan – łapiesz buzią muchy czy po prostu myślisz?

Z pewnością myśli, bo muchy woli łapać za pomocą tych lepkich pasków żółtego papieru, choć żałuje, że nie ma jednego z tych elektrycznych urządzeń przeciwko owadom.

– Słyszałem, że można tu znaleźć monety – mówi Will i wzrusza ramionami.

– Naprawdę?

– Tata mojego kolegi mówi, że paru ludzi z Głowy Jędzy znalazło różne przedmioty... artefakty. – Cieszy się, że zapamiętał to słowo. – Mówi, że nikt nigdy nie przeszukał okolicy tak na poważnie. Uważa, że miejscowi chcą zatrzymać te rzeczy dla siebie.

– Możliwe, że coś w tym jest – stwierdza Strachan. – Uprzedziłeś rolników, że będziesz kopał na ich terenie?

– Nie – odpowiada Will. – Nie wiedziałem...

– Nie przejmuj się, mały, mnie to nigdy nie powstrzymywało. – I puszcza do niego oko.

Strachan wydaje się w porządku. Przed rokiem tak bardzo go wszyscy nienawidzili, a mimo to rozmawia z nim teraz o Rzymianach, jakby nie rozbito mu cegłą szyby i nie zostawiono na samochodzie listu o... Pies! Dlatego go nienawidzili. Był dla niego niedobry, zostawiał go samego przez cały czas.

– Co się stało z pana psem? – pyta Will.

Cholera. Nie powinien był nic mówić. Teraz wszystko staje się oczywiste.

– Jest w domu. Bezpieczny. Jak masz na imię? Często cię widuję razem ze Słynną Piątką.

Powinien skłamać, ale zawsze sprawia mu to trudność.

– Will.

– No dobrze, Will, miło cię poznać. Wiesz, jak ja mam na imię?

Will wzrusza ramionami.

– Bill. Zdrobnienie od Williama, tak samo jak u ciebie – mówi Strachan. – Twoi przyjaciele chyba mnie nie lubią, co?

Ponownie wzrusza ramionami. Zarzekał się, że nie lubi Strachana. Teraz nie jest już tego taki pewny.

– Widział pan jakieś pozostałości po Rzymianach? – pyta Will.

– Niewykluczone – odpowiada Strachan. – Jak chcesz, to mogę ci pokazać.

Już-już ma się zgodzić, bo bardzo chciałby zobaczyć kolekcję starożytnych przedmiotów, przekonać się, czy to takie samo badziewie jak to, co udało mu się znaleźć w ostatnich latach, ale tak przecież usypiają czujność swoich ofiar pedofile i zbrojeńcy. A on prawie się dał nabrać.

– Nie teraz – mówi i odchodzi.

Słyszy, jak Strachan mruczy pod nosem:

– Jak sobie chcesz.

Ma nadzieję, że nie zrozumiał opacznie jego odmowy. Steve może mieć rację co do Strachana, a jeśli z nim teraz pójdzie... cóż, tak właśnie to wszystko się dzieje: zwabiają cię samego do swojego domu. Ale jeśli Strachan nie jest pedofilem, to niegrzecznie było tak odejść. Ma przy sobie szpadel, który w razie czego mógłby się okazać całkiem skuteczną bronią. Oczami wyobraźni Will widzi, jak uderza nim Strachana – nie w głowę płaską częścią narzędzia, o nie. Walnąłby go w miejsce między brodą a jabłkiem Adama. Jeden szybki cios, tyle tylko byłoby trzeba. A potem stanąłby nad nim, krztuszającym się i plującym, walczącym o oddech i...

Podnosi głowę. Przed swoim domem na końcu Elm Close stoi Steve i patrzy na Willa. W żółtych rękawicach ponownie strzyże żywopłot. Po chwili macha do niego. Will odmachuje, ale szybko się oddala Drogą Umarlaka. Dzisiaj nie jest w nastroju na pogawędkę ze Steve'em. Mogłoby się to skończyć tak, że znowu by pomagał mu w ogrodzie, a ta elektryczna przycinarka nie okazała się nawet w połowie tak fajna, jak ją przedstawiał Steve. Kiedy Will jest już prawie na końcu Drogi Umarlaka, zatrzymuje się. Dociera do niego, że chciałby zadać Strachanowi więcej pytań. Na przykład co według niego robili tu Rzymianie. I dlaczego nie znaleziono po nich żadnych skarbów. Ze szpadlem w ręce nie musi się przecież niczego obawiać. Poza tym jeśli mężczyzna coś knuje, to Will go na tym przyłapie. Zostanie bohaterem.

Zawraca i sprawdza, czy Steve go nie widzi. Droga wolna, więc puszcza się biegiem w stronę domu Strachana.

Steve stoi na środku salonu niczym konferansjer, a w telewizorze za nim przewijają się napisy końcowe filmu *Scooby-Doo*, który oglądali w zeszłe

lato. Steve nie może się doczekać rozpoczęcia wakacji na dobre i przedstawienia swojego pomysłu, jednak Will nie ma pojęcia, co ma z tym wspólnego pies z kreskówki.

– Będziemy się bawić w grę zwaną Poświęceniem – oświadcza Steve. – Luźno opartą na tym, co właśnie obejrzeliliśmy. W sumie nie musieliśmy oglądać całego filmu.

Wszyscy jęczą, łącznie z Rupeshem, którego powrót skłonił dziś Steve'a do zebrania ich tutaj.

W filmie Kudłaty dostaje w spadku po zmarłym wujku wielką rezydencję. Reszta rzeczy – złoto, biżuteria i tym podobne – jest schowana w różnych miejscach i można je znaleźć tylko dzięki rozwiązaniu niemądrych zagadek, ukrytych na terenie całej posiadłości. Okazuje się, że właśnie te niemądre zagadki stały się inspiracją dla gry Steve'a. Mógł to po prostu nazwać szukaniem wskazówek i wszyscy by zrozumieli, o co chodzi. Ach, ten Steve i jego chęć sprawienia, aby wszystko było interesujące.

Rupesh marszczy czoło.

– W skrócie wygląda to tak, że każdy z nas będzie po kolei Mistrzem Zagadek – wyjaśnia Steve.

– Mistrzem... czego? – pyta z chichotem Will.

– Słyszałeś – odpowiada niezrażony Steve. – Mistrz Zagadek wyznaczy pozostałym zadanie...

– Musisz wymyślić jakieś lepsze określenie – wtrąca Jen.

– Ćśś, pozwól mu skończyć – odzywa się Adeline.

– Dziękuję, Adeline. – Steve ma surowy wyraz twarzy. – No więc każdy z nas będzie po kolei Panem Zagadką...

Tym razem nawet Steve nie potrafi zachować powagi. Will przewraca się na bok i głośno kwiczy. Jen wywraca oczami.

– Następnie pozostali będą musieli rozwiązać wszystkie łamigłówki – kontynuuje Steve. – Celem jest dotarcie do miejsca, gdzie będzie czekać Pan... osoba przygotowująca zagadki.

Patrzą na niego bez zrozumienia. Rupesh podnosi rękę.

– Nie kumam tego – przyznaje.

– Okej, powiedzmy, że to ja jestem osobą zostawiającą wskazówki.

– Panem Zagadką – wtrąca Will z uśmiechem.

– Tak, jestem Panem Zagadką. Zostawiam wam wskazówki. Na przykład taką: „Idźcie tam, gdzie ktoś rzucił cegłą w szybę samochodu”. Oczywiście ma to być coś lepszego i nieco bardziej tajemniczego, ale nie zbyt tajemniczego, bo chcemy, żeby wszyscy to zrozumieli. Na podstawie tej wskazówki truchcie wszyscy pod dom pana Strachana, a tam będzie czekać na was nowy trop. I tak dalej, i tak dalej, aż ostatnia wskazówka zaprowadzi was do mnie, Pana Zagadki.

– Musimy truchtać? – pyta Will.

– Truchtanie jest opcjonalne – mówi Adeline.

– Co się dzieje, kiedy cię znajdujemy? – chce wiedzieć Rupesh.

– Cóż, to coś w rodzaju wyścigu – wyjaśnia Steve. – Pierwsza osoba, która do mnie dotrze, zdobywa cztery punkty, następna trzy, kolejna dwa, a ostatnia jeden punkt.

– Czemu pierwsza osoba nie jest po prostu zwycięzcą? – dopytuje Jen.

– Jest, ale tylko tej rundy – odpowiada Steve. – Każdy z nas będzie po kolei Panem Zagadką.

– W jaki sposób decydujemy o tym, kto jest Panem Zagadką? – pyta Rupesh.

– Moja zaufana asystentka, Adie, znalazła idealne rozwiązanie tego problemu.

Adeline w jednej ręce trzyma połamane pałeczki, a drugą pokazuje mu środkowy palec; to on jest jej cholernym asystentem.

– O rety – mówi Rupesh. – To mi się podoba.

To ciekawy pomysł, gra, która trwa dłużej niż jedno popołudnie. Jednak łączą się z tym pewne komplikacje i Will ma kilka pytań.

– Skoro wszyscy będziemy podążać trasą wyznaczoną przez te same wskazówki, to co się stanie, jeśli wpadniemy na siebie?

– To właśnie stanowi część tej gry – wyjaśnia Steve. – Trzeba się starać unikać pozostałych, żeby zdobyć przewagę w wyścigu.

– Okej. – Will kiwa głową. – A można na przykład zniszczyć wskazówkę, kiedy się ją odczyta, żeby inni mieli trudniej?

Jen cmoka z niezadowoleniem, a Adeline chichocze. Zawsze się śmieje z tego, co on mówi, ale czasem Will ma wrażenie, że to dlatego, że jest jej go żal. Adeline jest w porządku i ma doskonały gust muzyczny, chociaż trochę zadziera nosa. To jedna z tych dziewczyn, które są przyzwyczajone do tego, że inni o nie zabiegają, więc Will nie chce okazywać jej zainteresowania. Trzeba się opierać temu urokowi. „Daj im palec i tak dalej”, tak mawia o kobietach tata. Will jest na tyle bystry, aby wiedzieć, że tacie chodzi przede wszystkim o mamę, choć pewnie uważa, że z Liz nie stałoby się to, co się stało, gdyby był dla niej bardziej surowy. Gdyby nie pozwalał jej tak ciągle wychodzić.

– To by nie tylko utrudniło dalszą grę, ale wręcz by ją uniemożliwiło – stwierdza Rupesh.

– Nie róbcie tego – mówi Steve. – To byłby koszmar. A podczas wymyślania zagadek starajcie się mieć otwarty umysł, okej? Nie musimy się ograniczać do Blythe. Myślę, że jedna runda Poświęcenia zajmie cały dzień, więc nie powinniśmy na siebie wpadać, bo będziemy rozwiązywać zagadki o różnej porze i korzystać z różnych tras, by dostać się do celu.

– A co z łączeniem sił? – pyta Jen.

– Czemu ktoś chciałby tak robić? – dziwi się Steve. – Punktów nie da się podzielić.

– Może powinno być tak, że pomagamy sobie w rozwikływaniu wskazówek, a na koniec się ścigamy.

– A jeśli dwie osoby dotrą do ciebie w tym samym momencie? – zastanawia się Will.

– To wyścig – odpowiada Steve. – Trzeba dotknąć Pana Zagadkę, żeby go zakończyć.

– Można sabotować ludzi w jakiś inny sposób? – chce wiedzieć Will. – Na przykład przecinać im linki hamulcowe w rowerach?

– Na litość boską, Will. Nie próbuj sabotować innych – mówi Jen.

– W sumie to zależy od was – stwierdza Steve. – Ale, no wiecie, w granicach rozsądku. Nie jestem pewny, czy ktokolwiek będzie się dalej przyjaźnić z osobą, która zepsuła mu rower.

– Słusznie – zgadza się Will.

– Ile wskazówek przypada na każdą rundę? – pyta Adeline.

– Decyzję podejmuje ten, kto je układa – odpowiada Steve. – Według mnie trzy albo cztery to minimum. Żeby było sprawiedliwie, ta osoba będzie także musiała obmyślić sposób, w jaki powiadomi o rozpoczęciu gry pozostałych: o tej samej porze, bez względu na to, gdzie kto mieszka. Może do nich zadzwonić albo zostawić wskazówkę, którą wolno otworzyć o konkretnej godzinie tylko w obecności innych uczestników. Wszystko jak na razie jasne?

– Mniej więcej – rzuca Will.

Coś mu się wydaje, że podczas tej zabawy paczka mało czasu będzie spędzać razem. No ale będą ganiać po polach, więc on może zabrać ze sobą szpadel i za jego pomocą zabijać czas.

Pozostali kiwają głowami, z wyjątkiem Rupesha, który ma taką minę, jakby rozgryzł cytrynę.

– Czy tylko ja uważam, że będzie z tym wszystkim mnóstwo zachodu? Ma to być naprawdę fajne czy ma oznaczać dużo ciężkiej pracy? Rozszyfrowywanie wskazówek, chodzenie po całej okolicy.

– Będzie fajnie – zapewnia go Jen. – Cała paczka na polu, skradająca się i chowająca przed pozostałymi.

– Nie, kiedy grasuje tu Księżycan – odzywa się Will.

– Kto? – dziwi się Steve.

Will w szkole próbował już używać tej ksywy, ale nie chwyciła. Teraz może będzie inaczej.

– Księżycan. No wiecie, facet w vanie. Bo to srebrny van.

– Och, masz na myśli Strachana? – pyta Steve.

– Skoro tak go wolisz nazywać.

– Nie mów tak, Will – rzuca Jen. – Przyprawiasz mnie o gęsią skórkę.

Wzbiera w nim gniew. To niesprawiedliwe: o gęsią skórkę przyprawiało to, co mówił, a nie on sam. Czemu tak powiedziała? Pewnie po to, żeby go zranić, dać mu do zrozumienia, że nie zapomniała o tamtym popołudniu, kiedy się na niego wkurzyła. A przecież on jedynie próbował być miły, pozwolił jej położyć się na nim, mimo że bolały go plecy, bo mu wyjawiała, że z powodu siostry nie spała całą noc. Tak ładnie wyglądała w słońcu, jej włosy i zęby, i usta...

– Nie pozwolimy, aby ten człowiek zrujnował nam wakacje – oświadcza z mocą Steve. – Zresztą tutaj i tak pewnie nie zaatakuje. Pokazywałem wam mapę.

Mapa Steve'a opiera się na rzekomych słowach ojca jego kumpla. Mniejsza z tym, w sumie mało go to obchodzi. Nie boi się tego, że ktoś go porwie. Podkreślanie atmosfery jest po prostu typowe dla Steve'a.

– No to skoro jak na razie wszyscy w to wchodzą, następna sprawa może się okazać decydująca i lekko kontrowersyjna. Nasza gra nie może obejść się bez konsekwencji.

– Stawka! – wykrzykuje Will.

– Głodny zwycięstwa? – pyta Rupesh.

– Zwycięstwo to łakomy kąsek. Żeby lepiej smakowało, w grze potrzebna jest stawka.

– Otóż to – przytakuje Steve.

– Jestem na diecie – mówi Rupesh.

– Jak nagroda, kara czy coś w tym rodzaju – dodaje Will.



– Właśnie tak. – Steve patrzy po pozostałych. – Mam kilka pomysłów. Uznałem jednak, że najpierw wysłucham waszych propozycji.

Po długim milczeniu odzywa się Rupesh.

– Nie możemy po prostu mieć dla zwycięzcy jakiejś nagrody?

– A konkretnie? – pyta Steve.

– Nie wiem. Na przykład jeden z twoich filmów. Masz ich wystarczająco dużo.

– Och, Rupesh – mówi Jen. – Słodki jesteś. – Wyciąga rękę i gładzi go po ramieniu.

Will nie ma pewności, jak to odebrać. Irytuje się, mimo że Jen nieustannie wszystkich szturcha, przytula i głaszcze. To znaczy wszystkich oprócz niego.

– Jeśli ma się to udać, nagroda musi mieć sporą wartość – oznajmia Steve. – Rup, jeśli przychodzi ci do głowy rzecz, dla której zrobiłbyś wszystko, by wygrać, to zamieniam się w słuch. Nie jestem pewny, czy komuś rzeczywiście będzie tak zależało na używanej, pirackiej kopii *Zakochanego Szekspira*, bez względu na to, jak bardzo lubi Gwyneth Paltrow. – Podczas wypowiedzania tych słów patrzy na Willa.

– Gdyby nagrodą była sama Gwyneth Paltrow, to sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej – mówi Will.

Pozwala sobie na żarty, ale się denerwuje. To jasne, że Steve ma jakiś plan, a on nie zawsze lubi plany Steve'a.

– Mój pomysł jest taki, że przegrany otrzyma zakaz wstępu tutaj.

Ze ściągniętych ust Willa wydobywa się ciche „ooo”. Jen wypuszcza głośno powietrze. Rupesh wygląda na przerażonego.

– Na zawsze? – pyta. – To będzie oznaczało wykluczenie z grupy.

Nie wiadomo, co myślą pozostali. Wahają się, to poważna decyzja. Sęk w tym, że o to im właśnie chodziło: o odrobinę ekscytacji. A Steve im jej dostarczył.

– Teoretycznie jestem temu przeciwna – odzywa się Adeline – ale stawka rzeczywiście zmienia postać rzeczy. Szczerze mówiąc, zakładam, że kolejne rundy będą rozłożone w czasie – Steve kiwa głową – więc kiedy skończymy, prawdopodobnie i tak lato dobiegnie już końca. A kto wie, co będzie potem? Wszyscy się rozjedziemy na różne uczelnie.

– I może się okazać, że wcale nie będzie tak źle – zapewnia Steve.

Siada na swoim fotelu i wyjaśnia, że zwycięzca wylosuje jedną z trzech „nagród”. Pierwsza jest taka, że przegrany po prostu otrzyma zakaz wstępu do domu Steve’a. Może to i nieprzyjemna perspektywa, ale niewykluczone, że w ogóle do tego nie dojdzie. Druga: zwycięzca będzie miał decydujący głos w kwestii filmów, jakie będą oglądać. Trzecia: nic się nie stanie. Nic. Wszystko pozostanie tak jak do tej pory.

– Nie zamierzam przegrać, więc wchodzę w to – rzuca Will.

– Przechwałki – odzywa się Jen. – Naprawdę nie sądzę, żebyśmy potrafili kogoś stąd wykopać. Owszem, zgadzam się, ale tylko po to, by mieć spokój.

– Wiesz, Steve, musisz się okazać twardy – mówi Will. – Zero współczucia. W przeciwnym razie nie ma to sensu. Jeśli przegram i dostanę zakaz, no to koniec. Zakaz to zakaz.

Na twarzy Rupesha maluje się wyraz udręki, jakby rzeczywiście był przekonany, że to on, a nie ktoś inny zostanie wyrzucony z grupy.

– Nie mam wyboru, co? – pyta. – I tak skończy się to płaczem.

– Doskonale – mówi Steve i wstaje z fotela. – Głosujmy. Ci, co nie chcą się bawić w Poświęcenie, niech podniosą ręce.

Nikt tego nie robi. Zadowolony z wyniku, przynosi butelkę whisky swojego taty.

– To rozumiem – odzywa się Will i sięga po alkohol.

– Nie – protestuje Steve. – Najpierw pałeczki.

Adeline wyciąga rękę i osoba, która losuje, dostaje także łyk whisky. Przy takiej okazji nikt nie odmawia. Rupesh bierze przedostatnią pałeczkę, która

wydaje się najkrótsza, i już ma zacząć narzekać, gdy Adeline losuje swoją, jeszcze krótszą, najwyższą trzycentymetrową. Widząc to, Rupesh zaczyna machać rękami i śpiewać *We Are the Champions*.

Jest już ciemno i wszyscy są trochę wstawieni. Oglądają *Pogromców duchów*. Ni z tego, ni z owego Rupesh pyta:

– Dlaczego ta gra nazywa się Poświęcenie?

Will w sumie się nad tym nie zastanawiał. Uznał, że to po prostu jedno z tych słów, którymi Steve i Adeline lubią rzucać, popisując się między sobą. To „poświęcenie” to właściwie dziwne wyrażenie. Na myśl o nim wyobraża sobie kościół pełen ludzi śpiewających hymny albo maratończyków biegnących, mimo że nikt ich nie goni.

– Bo pokazuje wasze poświęcenie dla grupy – wyjaśnia Steve.

Ma to sens. Najmniej oddany jest ten, kto przegra. Coś mu teraz przyszło do głowy. Jeśli przegrany otrzyma zakaz wstępu do domu Steve’a, no to jak...

– A co z tobą, Steve? – pyta Will. – Zakażesz sam sobie wstępu, jeśli przegrasz?

Z ust Jen i Rupesha wydobywa się ciche „o”, bo to rzeczywiście dobre pytanie. Steve się śmieje, aczkolwiek jest to śmiech wymuszony.

– Nie przegram. – I wygląda na to, że wszystkich satysfakcjonuje taka odpowiedź. Na wszelki wypadek Steve dodaje: – Ale jeśli przegram, to coś wymyślę.

Willa to nie satysfakcjonuje i jest zdziwiony, że Rupesh nie zaczyna od razu atakować tak łatwego celu. Nic, co wymyśliłby Steve, nie mogłoby się równać z karą pozbawienia wstępu do tego domu. To w sumie zabawne, że Steve’owi prawie udało się z tego wywinąć.

Will już-już ma coś dodać, kiedy Steve mówi do niego:

– Widziałem parę razy, jak gadałeś ze Strachanem.

Will nie ma pewności, co to ma wspólnego z jego wcześniejszą uwagą. W tym momencie dostrzega, że Jen leży z głową na kolanach Rupesha. Nie wie, na co patrzeć ani na czym się skupić.

– Kumplujecie się, co? – pyta Steve, nie odpuszczając. Wydaje się z lekka poirytowany. Pewnie dlatego, że się nie spodziewał, iż ktoś może odkryć słabe punkty jego wielkiego planu na lato.

– E tam – odpowiada. – Raz zapytał, dokąd idę, a ja wypaliłem, że to nie jego sprawa. Pewnie chciał mnie wykorzystać.

– Will. – Jen cmoka z dezaprobatą. Adeline się śmieje, Steve także.

– Bądź ostrożny – rzuca. – Mówię poważnie. Możliwe, że chce się na nas odegrać za zeszły rok.

– Nie sędzę, żeby go to jeszcze obchodziło – mówi Will.

– Obchodzi – upiera się Steve. – Uwierz mi, że obchodzi.

## Zima 2015

Kiedy zeszliśmy na dół, ja w szponach przerażenia złagodzonego nieco winem, stało się jasne, że bez walki nie dopchamy się bliżej sceny. Prawie setka osób gniotła się w pomieszczeniu przeznaczonym dla połowy tej liczby. Pierwszy zespół o nazwie All Lay Down Before Me You Extraordinary Apes, grający post rocka, spotkał się z chłodnym przyjęciem. Kiedy skończyli występ, w głośnikach rozległ się głos:

– Hejka, witają was The Geppetwo, *three, four...* – I zespół zaczął grać.

Nie brzmiało to tak źle, trochę thrashowo. Byli głośni i, cóż, wydawali się zadziorni – nie był to styl, jaki łączyłam z Willem Oswaldem. Monks miał rację. Pokazałam Steve’owi, żeby się ku mnie nachylił, a gdy to zrobił, krzyknęłam:

– Widzisz go?!

Stanął na palcach i pokręcił przecząco głową.

– Idę tam.

Udało mi się przecisnąć przez tłum i dotrzeć pod scenę, kiedy to jednak robiłam, ktoś się przepychał w przeciwnym kierunku i straciłam na chwilę równowagę. Gdy ją odzyskałam, odwróciłam się, żeby udzielić temu komuś reprimendy, ale zdążyłam jedynie dostrzec tył męskiej koszuli w kratę i kawałek twarzy, bo inny uczestnik koncertu od razu zajął miejsce, które się zwolniło. Przez sekundę byłam przekonana, że to Will, i puls mi przyspieszył. Ulżyło mi, kiedy się rozejrzałam i dostrzegłam całe mnóstwo innych Willów wpatrujących się w scenę, gdzie powinien być prawdziwy Will.

*This is rebel heeeeeeeell! This is rebel heeeeeeeell!*

Tłum zepchnął mnie w pobliże kolumny ustawionej w lewej części sceny i ryki wokalisty drażniły mi błonę bębenkową.

*This is rebel heeeeeeeell!*

Cała trójka muzyków miała na twarzach gumowe maski. Frontman, a zarazem gitarzysta, ubrany był w obcisłe džinsy i neonowopomarańczowy podkoszulek. Twarz zakrywała mu maska Pinokia, pod którą umieszczono mikrofon. Basista, znajdujący się najbliżej mnie, miał maskę Goofy'ego i podskakiwał na scenie niczym Nicky Wire. Perkusista był Kotem z Cheshire. Nie dało się stwierdzić, czy kamuflaż skrywa twarz Willa. Moja wizja opierała się wyłącznie na obrazie, jaki stworzyłam sobie przez kilka ostatnich dni: połączenie wspomnień o nim jako nastolatku, paru zdjęć z mediów społecznościowych sprzed kilku lat i tego, co mi podpowiadała wyobraźnia. Perkusistą mógł być Will – z tatuażami, umięśnionymi ramionami i sceniczną charyzmą. Przekonałabym się o tym jednak dopiero wtedy, kiedy zdjąłby maskę. Stałam więc pod sceną przez dwadzieścia minut, aż The Geppettos zagrali ostatni kawałek, dwuminutowe szaleństwo zapowiedziane jako *Your Last Friends*. Publiczność klaskała i wołała o więcej, ale gitarzyści zeszli ze sceny, nadal w cholernych maskach. Perkusista nurzał się w aplauzie, wychodząc na skraj sceny i unosząc dłonie zaciśnięte w pięści. Moje spojrzenie pomknęło ku jego stopom. Czerwone conversy, znak firmowy Willa Oswalda. Rzucił pałeczki w tłum i zszedł ze sceny, po czym zniknął za przepierzeniem.

Ludzie zaczęli się przeredzać, jako że konieczność dokonania sporych zmian na scenie przed występem kolejnego zespołu zaowocowała przerwą. Odwróciłam się w poszukiwaniu Steve'a, ale nie mogłam go nigdzie dojrzeć. Kiedy ponownie odwróciłam głowę, w ciemnościach na prawo od sceny, tam gdzie przed chwilą zniknął zespół, pojawił się jasny prostokąt. Ktoś otworzył prowadzące na taras drzwi przeciwpożarowe. Dwóch członków zespołu, w których rozpoznałam basistę i frontmana, teraz bez masek, niosło swój sprzęt. A perkusista? Być może to on otworzył te drzwi,

a teraz coraz bardziej się oddalał. Wspięłam się na scenę, ale nim dotarłam do wyjścia, zamarłam. Perkusista siedział na brzegu sceny po mojej lewej stronie, ukryty za przepierzeniem. Jego twarz nadal zakrywała maska Kota z Cheshire.

– Will?

Kot z Cheshire obserwował, jak się zbliżam. To musiał być on. Uśmiechnęłam się, wyciągnęłam rękę, po czym się zawahałam. Pod tą maską zobaczę kolejnego Kota. A pod nią jeszcze jednego. To był sen. Obudzę się w swoim łóżku w Londynie, a spotkanie po latach będzie się miało dopiero odbyć.

Chwytałam Kota z Cheshire za prawe ucho i maska się zsunęła bez żadnego oporu.

– Nie mam na imię Will – odezwał się perkusista.

Nie był Willem ani kolejnym Kotem z Cheshire. Wpatrywał się we mnie siwowłosy facet koło pięćdziesiątki z potądzikowymi bliznami na policzkach.

– Ale możesz mówić na mnie, jak tylko masz ochotę – dodał.

– Przepraszam – powiedziałam. – Myślałam, że to ktoś inny.

– Jestem kimś innym.

Obdarzyłam go bladym uśmiechem i cofnęłam się do drzwi. Nie chcąc być niegrzeczna, odwróciłam się i rzuciłam:

– Dobrzy byliście.

Ale perkusista zdążył już zniknąć. Rzeczywiście byłam w cholernej Krainie Czarów.

Na dworze mżyło. Taras stanowił część należącego do pubu ogródka piwnego. Tuż przed bramką kończyła się stroma droga. Poczulałam konsternację. Aby dostać się do piwnicy, musiałam zejść po schodach, a teraz znowu znajdowałam się na poziomie ulicy. Wokalista i basista pakowali schowane w pokrowcach gitary i wzmacniacze do bagażnika

starego kombi. Podeszłam do wokalisty. Na mój widok uśmiechnął się, prezentując szparę między przednimi zębami.

– Podobał mi się wasz występ – oświadczyłam. Uśmiech mężczyzny stał się jeszcze szerszy. – Nie macie swojej płyty?

– O nie, przykro mi, my tak naprawdę... My już nie nagrywamy. Powinienem powiedzieć, że nie jesteśmy nawet prawdziwym zespołem. – Mówił z miękkim, irlandzkim akcentem.

– No bo nie jesteśmy – wtrącił basista i minął nas, wracając pewnie po kolejny sprzęt.

– Miałem na myśli to – kontynuował wokalista – że kiedyś występowaliśmy i sprzedawaliśmy płyty, ale teraz robimy to tylko dla zabawy. Zresztą wszystkie nasze stare kawałki można znaleźć w necie. Mogę podać ci adres, chcesz?

– Prawdę mówiąc, już tam zaglądałam – odparłam.

– Naprawdę?

– Cóż, nie jestem pewna, ale ja i mój kolega, który gdzieś się tu kręci, sądzymy, że przyjaźniliśmy się kiedyś z waszym perkusistą.

– Dansonem?

– To Kot z Cheshire? – zapytałam.

– Tak.

– W takim razie nie z Dansonem. Chodzi o chłopaka, to znaczy mężczyznę, o imieniu Will. Will Oswald. Miał jasne włosy i...

– No tak. Oczywiście, że znamy Willa. – Już się nie uśmiechał.

– Liczyliśmy na to, że nadal gra w zespole.

– Niestety nie.

Pojawił się basista taszczący wielki wzmacniacz. Zapakował go do samochodu, zatrasnął bagażnik, po czym wycofał się po coś jeszcze.

– Dlaczego sądziłaś, że nadal z nami gra?

– Wspomniał o tym inny znajomy. Mieliśmy coś w rodzaju spotkania po latach i nie udało nam się namierzyć Willa.



– No tak. Dawno go nie widzieliście?

– Dostyc.

– Jeśli mam być szczery, to kiedy spotkałem go po raz ostatni, nie było z nim najlepiej. – Unikał mojego wzroku i wyczuwałam jego skrępowanie.

Wrócił basista i przechodząc, rzucił wokaliście znaczące spojrzenie.

– Przepraszam, jak masz na imię? – zapytał mój rozmówca.

– Adeline.

Wyciągnął rękę.

– Jestem Gaz Geppetto. Może chcesz pogadać na gorze? Nie wiem, ile chciałabyś wiedzieć...

– Dałoby się tak zrobić? Bylibyśmy wdzięczni za wszystko, co możesz nam powiedzieć – odparłam. I zaraz dodałam: – Co pijesz?

Steve czekał już w barze na gorze. Zamówiliśmy kolejkę i zajęliśmy stół w rogu. Po chwili dołączył do nas Gaz. Upił łyk piwa.

– To moja ulubiona część występu. Wiecie co, to zabawne, że akurat dzisiaj się tu zjawiliście. Ostatnio myślałem o Willu. – Skrzywił się i nagle zaintrygowały go wzory na ceracie.

– Wydawało mi się nawet, że go widziałam podczas występu, ale potem zobaczyłam, że jest tu mnóstwo identycznie wyglądających facetów – powiedziałam.

– Rzeczywiście go zaprosiłem, więc kto wie. Tajemniczy z niego mężczyzna. – W jego głosie nie było słycać przekonania.

– Jak go poznałeś? – dopytywał Steve. – Nie widzieliśmy, że gra na perkusji.

– Przyszedł do nas na przesłuchanie, kiedy zaczynaliśmy w... 2010 roku. W Yorku.

– Nadal tam mieszkacie? – zapytałam.

– Aha. Wszyscy zostaliśmy tam po studiach. Dawał sobie radę, no wiecie, bang, bang, bang. I dobry był, jeśli chodzi o dbanie o wizerunek zespołu. Nazwa The Geppettos to był jego pomysł. Uwielbiał tego cholernego disneyowskiego *Pinokia* i wymyślił maski. Chciał, żebyśmy wszyscy nosili maski Pinokia, ale Rudo, basista, i ja przegłosowaliśmy go i zdecydowaliśmy się po prostu na maski bohaterów Disneya. – Napił się piwa. – Ale po jakimś czasie stało się to problemem.

– To znaczy? – dociekał Steve.

– Will był szalony. Zaczęło się niewinnie i próbowaliśmy to ignorować. Picie, dragi, generalnie odchyły. Perkusistów nie ma wielu, więc zazwyczaj szuka się usprawiedliwienia dla ich czynów. Rudo nazywa je Grzechami Perkusisty. Ważą połowę tego, co normalny grzech.

– Kiepsko było? – wtrącił Steve.

– Na początku wyglądało to po prostu na lekką obsesję. Nigdy nie był zadowolony ze swojego odliczania. Raz-dwa-trzy. Przy każdym kawałku robił to nawet dwadzieścia, trzydzieści razy, każąc zaczynać nam od nowa. Cholerne odliczanie. Skończyło się to tak, że sami je robiliśmy, jak The Ramones. Prawdziwe dziwactwo. Często też chorował, głównie na grype i infekcje ucha. Nie dbał o siebie i nie pojawiał się na próbach. Wiedzieliśmy, że lubi zaszaleć, ale w pewnym momencie zaczął przychodzić na próby nawalony i nie pamiętał rzeczy, których uczyliśmy się całymi godzinami. Grał w zwolnionym tempie i marudził, że talerze są miękkie jak cukrowe pianki. Zgoda, bywało to zabawne, no ale po jakimś czasie wymknęło się spod kontroli. Gadał coraz bardziej od rzeczy.

– Co takiego mówił? – zapytałam.

– Och, nie pamiętam. Raz się pokłóciliśmy o to, czy George W. Bush jest cholerną jaszczurką. Plół trzy po trzy, że potwór z Loch Ness to kosmita, o uprowadzeniach, teoriach spiskowych. Non stop.

Steve spojrział na mnie. Gaz pociągnął spory łyk piwa. Uniosłam swój kufel, po czym jednak go odstawiłam. Musiałam zwolnić.

– W końcu miarka się przebrała. Mieliśmy zaplanowaną sesję w BBC, jakieś trzy... nie, niemożliwe. – Urwał i widać było, że dokonuje w myślach obliczeń. – Nie, to chyba było tylko dwa lata temu. Mam wrażenie, że od tego czasu minęła cała wieczność. Mieliśmy zabukowanych kilka festiwali i rozkręcaliśmy promocję. Dla takiego zespołu jak nasz to nie byle co. No więc podjechaliśmy po niego naszym vanem i go nie zastaliśmy. Odchodziliśmy od zmysłów. Skończyło się to tak, że nie dotarliśmy na tę cholerną sesję. Dokooptowaliśmy Danson, kumpla mojego taty. Will nie odbierał telefonu, nie odpisywał na maile, nic. Świetnie się bawiliśmy na tych festiwalach z Dansonem, a on akurat szukał nowego zespołu. Kiedy miesiąc później wreszcie udało nam się skontaktować z Willem, oświadczyliśmy mu, że to koniec naszej współpracy.

– Jak to przyjął? – chciał wiedzieć Steve.

– W sumie dość spokojnie. Myślę, że spodziewał się tego. Później od jednego z jego współlokatorów dowiedzieliśmy się, że tego ranka, gdy miała się odbyć sesja, on miał w supermarkecie coś w rodzaju napadu. Atakował ludzi, wrzeszczał i w ogóle. Nie zjawił się dlatego, że trafił do psychiatryka.

– Cholera – powiedziałam.

– Aha. W szpitalu spędził kilka tygodni, i to wcale nie był jego pierwszy raz. Trafił tam co jakiś czas. Nie mieliśmy o tym pojęcia. No wiecie, przez trzy lata byliśmy kumplami, ale nie na tyle bliskimi, żeby gadać o jego życiu, więc się po prostu na niego wypięliśmy, co z perspektywy czasu wydaje się nie w porządku z naszej strony. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że autentycznie ma problemy psychiczne. Choć właściwie co mogliśmy zrobić?

Gaz dopił piwo.

– Wiesz może, czy Will nadal mieszka w Yorku? – zapytał Steve.

– Kiedy widziałem się z nim po raz ostatni, to owszem. Chyba w mieszkaniu socjalnym. Wydawał się trochę chudszy, jakiś taki wyniszczony. Mówił, że zastanawia się nad powrotem do Birmingham.

– Kiedy to było? – Adeline nie dawała za wygraną.

– Co najmniej półtora roku temu.

– Mówił konkretnie dokąd w Birmingham? – spytał tym razem Steve.

– Nie, rozmawialiśmy tylko przez chwilę. W sumie ucieszyłem się, że ma jakieś plany, ale może tylko próbowałem poprawić sobie nastrój. Dlatego właśnie wysłałem mu zaproszenie na dzisiejszy koncert, ale on nie odpisał ani nie zadzwonił. No ale to był stary numer, może już nieaktualny.

Gaz oświadczył następnie, że mimo wszystko Will był równym gościem. Nie czułam się dobrze z tym, że przez nas musiał przeżywać to raz jeszcze.

– Pewnie nie pamiętasz, do jakiego szpitala trafił Will? – zagadnął Steve.

Widać było, że Gaz szykował się już do odejścia.

– Pamiętam, to taki ośrodek niedaleko wielkiego cmentarza – odparł. – Wallgrove, tak się chyba nazywa.

Steve kopnął mnie pod stołem.

– Wybaczcie, że tak kręcę z tym, co chcę wam powiedzieć. – Głos Gazy był jeszcze cichszy niż do tej pory. – Może to tylko plotki, ale nie chcę wam tego nie powiedzieć, tak na wszelki wypadek. Jeśli mam być szczery, to zaskoczyliście mnie dzisiaj pytaniem o niego.

– A to czemu? – zapytał Steve.

– Ktoś w sumie nie tak dawno temu mówił... Mówił, że Will nie żyje.

## Część II

Dlaczego ta gra nazywa się Poświęcenie?

## Zima 2015

W drodze powrotnej pożałowałam trzeciego kieliszka wina, ale po pożegnaniu z Gazem okazał się konieczny. Zważywszy na to, jak trudno było odnaleźć Willa, jego śmierć wydawała się potwornie prawdopodobna. Ta wiadomość towarzyszyła nam w samochodzie niczym niepożądany pasażer. I pomyśleć, że byłam już gotowa udać się na policję i oświadczyć, że Will to morderca. Trzeba było wszystko przeanalizować od nowa i zastanowić się, jak zyskać pewność. Zwłaszcza że stała przed nami okrutna perspektywa przekazania rodzinie Willa, że on nie żyje. Jakie to miało znaczenie dla tego, co odkryliśmy? Czy to wszystko rzeczywiście było jedynie zbiegiem okoliczności? Zrobiło mi się niedobrze. Niewykluczone, że wszystko sobie wymyśliliśmy.

Bez entuzjazmu przeczytałam Steve'owi fragmenty pamiętnika Jen, które w formie zdjęć przesłała nam na grupę. Zbyt dużo trzeba było przemyśleć i Steve wydawał się wyciszony. Wiedzieliśmy, że temat musi zaczekać do jutra, kiedy spotkamy się z pozostałymi. Przyglądałam się mijanym budynkom, a Steve mruknął, że to on zaznajomił Willa z *Pinokiem* po tym, jak chciał rzucić szkołę. Zacytował fragment piosenki, coś o tym, że z małych rzeczy, w które wierzymy, wyrastają wielkie dzieła. Opuściłam szybę i pozwoliłam, aby pęd powietrza chłodził mi policzek; liczyłam, że trochę mnie tym otrzeźwi.

Kiedy Steve zjechał z drogi M42, na rondzie włączył lewy kierunkowskaz, żeby skręcić w stronę Knowle i Blythe. Na prawo od ronda mieścił się duży hotel Premier Inn.

– To tam mieszkam – powiedział, gdy czekał, aż przejadą dwa samochody.

Nie miałam ochoty jechać do domu, nie miałam ochoty spać sama w tamtym zapomnianym pokoju. Nie dawały mi spokoju myśli o Willu.

– Przyjemnie tam?

– Raczej niskobudżetowo.

– Są pająki?

– Żadnego nie widziałem. – Spojrzał na moją nogę, na której opierałam dłoń. Świadoma tego, jak wyglądają moje paznokcie, szybko schowałam obie dłonie między nogami.

Lekko drżącym głosem zapytałam:

– Mogę zobaczyć twój pokój?

Po tylu latach znowu do tego doszło. W pokoju hotelowym. Seks ze Steve'em Littem. I choć trwało trochę, nim odnaleźliśmy wspólny rytm – nie uniknęliśmy zderzenia się zębami i niekomfortowych pozycji – dla mnie i tak był to najlepszy seks od lat. Nie mogłam zasnąć, miałam głowę pełną wyobrażeń, jak się wszystko teraz pochrzani. Koło piątej nad ranem w końcu dałam za wygraną i postanowiłam jechać do domu. Kiedy się ubierałam, Steve się przebudził.

– Chyba nie wychodzisz, co? – zapytał.

– Powinam wrócić, zanim rodzice się obudzą. Nie mam ochoty odpowiadać na t a k i e pytania.

Ignorując moje protesty, nalegał, aby mnie odwiedzić. Gdy zaparkował pod domem, powiedział:

– Przepraszam. Byłem dziś trochę skrepowany.

– Mnie było dobrze – odparłam i pocałowałam go w policzek. – Do zobaczenia.

Wysiadłam z samochodu i weszłam do domu rodziców. Zapach farby wyzwolił we mnie dziwną nostalgię.



## Adeline, 1998

Adeline zabierze ich do Brindley Place usytuowanego nad kanałami w centrum Birmingham. Lokalizacja reszty wskazówek nie ma większego znaczenia; zostawi je po prostu gdzieś po drodze. Liczy się miejsce docelowe. Odgrzebie je ze starego życia, sprzed Blythe, i umieści w rzeczywistości.

Oświadcza pozostałym, aby byli w domu około jedenastej w poniedziałek, dwa dni po przedstawieniu przez Steve'a pomysłu Poświęcenia. O dziewiątej Adeline wychodzi z domu i udaje się w stronę Drogi Umarlaka. Pole, na którym kiedyś przyłapała Willa na zakopywaniu zwierzęcia, zostało w tym roku obsiane kukurydzą, wysoką już na blisko dwa metry. W jej gąszczu panuje bezruch zawsze wywołujący w człowieku niepokój. Dzisiaj jeszcze większy niż zwykle. Być może z powodu tej całej gadki o Strachanie, czy też osobie, która próbuje porywać dzieciaki. A może po prostu dlatego, że ma to związek z Willem. Adeline się cieszy, że kiedy Will wyruszy na łowy, ona będzie bezpieczna w Birmingham. Łowy, tak, to dobre określenie. Z tym swoim wzrokiem wilka. To sformułowanie krąży w jej głowie, odkąd lepiej poznała Willa. Bywa zabawny, ale generalnie jest dla niej jak...

W miejscu, gdzie teren opada, znajdują się zagajnik sosnowy i kładka dla pieszych, na balustradzie nadal widać wyryty przez nią napis „WSIOKI”. Pod ostatnim stopniem stawia należącą do taty niebieską stalową skrzynkę. W zamku zostawia kluczyk, a w jednej z małych plastikowych przegródek złożoną kartkę – drugą wskazówkę.

POCIĄGNĄĆ SIĘ RACZCIE DO HAMPTON-IN-ARDEN,

Kolejna wskazówka w ściennej szparze się znajdzie.

Ta wskazówka jest najtrudniejsza, ale Adeline zaimponuje Steve'owi, jeśli ustawi wysoko poprzeczkę.

Pozostała część drogi do Hampton, a konkretnie nieprzyjemny fragment za ulami, przed rokiem została wykarczowana, dzięki czemu teraz idzie się łatwiej i szybciej. Kiedy w końcu dociera do budki telefonicznej w Hampton, wyjmuje kartkę z numerami, gotowa wszystkich obdzwonić, zaczynając od osoby, która ma najdalej do Drogi Umarlaka, czyli Willa. Bierze do ręki słuchawkę, ale się waha. W sumie to nie byłoby tak źle, gdyby Will przegrał; przynajmniej nie musiałaby siedzieć z nim sama w Birmingham, czekając na pozostałych. Może powinna zadzwonić do niego jako ostatniego? Nikt by się nie dowiedział.

Jednak to nie byłoby w porządku. Także dlatego, że te dziwne rzeczy, które opowiada, i zakopywanie przez niego zwierząt to tylko wierzchołek góry lodowej. Prawdę mówiąc, w Willu przeszkadza jej najbardziej to, jak się wobec niej zachowuje. W przeciwieństwie do niego Steve, Rupesh i Jen reagują na jej obecność. Przez to Adeline ma ciągle ochotę zaczepiać Willa. Albo nawet sprawdzać, czy sama nie jest przypadkiem niewidzialna. I choć nigdy nie uchodziła za najpopularniejszą czy najładniejszą dziewczynę w szkole – w sumie to było dokładnie na odwrót, zwłaszcza gdy zaczęła liceum w okularach i aparacie na zębach – przez kilka ostatnich lat przyzwyczała się do tego, że wywiera jakieś wrażenie. Na tyle, że sytuacja, kiedy tak się nie działo, wydawała jej się podejrzana, wręcz irytująca. Jakby Will robił to celowo, żeby jej dokuczyć.

Dzwoni jednak najpierw do niego. Potem do Rupesha, Jen, a na końcu do Steve'a.

Na Drodze Umarlaka nie pachnie za ładnie,  
Więc dać wytchnienie nosom przy sosenkach wypadnie.

– Doskonale – orzeka Steve, kiedy słyszy wskazówkę.

Adeline się rozłącza i z malującym się na twarzy uśmiechem rusza w stronę stacji. Kiedy się zjawia na miejscu, do odjazdu pociągu ma tylko dwie minuty. Dworzec jest wyludniony, brak nawet kasjera w okienku. No i dobrze, bo to oznacza, że z automatu na peronie można pobrać tajemnicze „zezwolenie na podróż”, dzięki któremu bez wyrzutów sumienia unika się opłaty za przejazd. Staje na palcach i w szczelinę w murku wsuwa kopertę tak, że jeden róg nieco wystaje, widoczny dla osoby, która wie, gdzie szukać. Ta wskazówka każe im wsiąść do pociągu, co czyni właśnie Adeline. Następny trop pozostawia pod dużym, czarnym kamieniem nad jeziorkiem w Centrum Wystawienniczym, gigantycznym kompleksie, gdzie organizowane są kongresy i koncerty. Tutejsza stacja nosi nazwę Birmingham International, choć do Birmingham stąd jeszcze daleko. Adeline wsiada następnie w pociąg do Balsall Common i wraca tą samą trasą, którą niedawno przyjechała. Zostawia wskazówkę pod wiaduktem tuż przy stacji, ukrytą pod wiszącym na ścianie oświetleniem. A potem jedzie pociągiem do stacji Birmingham New Street, prawdziwego Birmingham. Im bliżej miasta, tym mniej trawy, a więcej graffiti.

Jest tak, jak sobie wcześniej wyobrażała: słońce i wielkomiejski zgiełk, i zamęt, poczucie, że wokół niej dzieją się ważne rzeczy. Tutaj kanał nie wygląda tak samo, jak te widziane z okna pociągu na obrzeżach miasta. Tutaj w budynkach z czerwonej cegły po obu stronach mieszczą się puby i restauracje, które chętnie się widokiem na wodę.

Dwóch nieśmiałych skejtów wyglądających na ciut starszych od niej mijają ją dwukrotnie, po czym podchodzi i pyta, czy chce popatrzeć, jak wykonują różne akrobacje na rampie.

– Czekam na chłopaka – odpowiada Adeline, choć podejrzewa, iż czują, że to ściema.

Grzecznie odchodzą, zostawiając ją samą. Rok temu od razu by przystała na ich propozycję – przystojni, wyglądający nieco niechlujnie chłopcy to fajny aspekt życia w mieście. Jednak dzisiaj interesuje ją tylko gra. I Steve. Kto dotrze do niej jako pierwszy? Jeśli Steve – oby tak właśnie się stało – to okoliczności zmuszą ich do spędzenia trochę czasu sam na sam, a to często prowadzi do czegoś interesującego. Musi być jednak ostrożna; zeszłe lato zakończyło się bólem, a kilka ostatnich tygodni wcale nie wyjaśniło powodu, dla którego Steve napisał do niej dopiero w okresie Bożego Narodzenia, ani w jakim kierunku zmierza ich przyjaźń. Nadal coś ich do siebie niezaprzeczalnie przyciąga, ale wygląda to tak, jakby on się opierał.

To nie Steve idzie szybko w jej stronę, ale Jen. Jakżeby inaczej. Pełna zapału Jen, przed Steve'em.

– Wygrałam? – pyta bez tchu. Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Wygrałaś – potwierdza Adeline.

Jen kręci głową.

– Przez całą drogę Steve prowadził, ale zgubiłam go na Birmingham International.

Super.

– Sądziłam, że już tu będzie. Twoje wskazówki były odjazdowe.

– Cieszę się, że zabawa się udała.

– Ja też. Martwiłam się, że przy kanale pójdę w niewłaściwym kierunku i dotrę do Szkocji. – Jen zerka na zegar na wieży, o którym była wzmianka w ostatniej wypowiedzi Adeline. – Wpół do czwartej? Jasny gwint, prawdziwa misja.

Dziesięć minut później zjawia się Steve.

– Dotarłaś przede mną – mówi do Jen, po czym posyła Adeline przepaszające spojrzenie, sugerujące, że on także miał nadzieję na trochę czasu sam na sam.

Następny jest Will. Biegnie ku Adeline, choć nikt go przecież nie goni. Wyciąga rękę, aby jej dotknąć, i Adeline sądzi, że celuje w ramię, ale jego

dłoń zsuwa się zbyt nisko i muska pierś.

– O cholera, przepraszam, Adeline – rzuca Will.

To oczywiście przypadek i Adeline stara się tego nie rozpamiętywać. Will stoi z rękami wspartymi na biodrach, twarz ma czerwoną, a jego klatka piersiowa unosi się i opada.

– Dwa punkty – oświadcza Adeline. – Mimo tego, że bardzo się starałeś.

– Co oznacza – odzywa się Steve – że Rupesh, tak jak można się było spodziewać, jest pierwszym przegranym. Widziałeś go gdzieś za sobą?

Will kręci głową.

– W ogóle go nie widziałem. Po prostu nie chciałem przybiec jako ostatni.

Siedzą na kamiennym murku nad kanałem i opowiadają o swoich przygodach w drodze do Brindley Place. Dla Adeline niektóre z uwag Jen i Willa brzmią jak skargi. Steve za to uważa, że jej runda była przednia i że wysoko ustawiła poprzeczkę dla pozostałych.

Czekają na Rupesha do czasu, aż słońce chowa się za chmurami. Gdy wskazówki zegara zbliżają się do piątej, Adeline zaczyna się niepokoić. Tak bardzo chce im pokazać parę swoich ulubionych sklepów, sprawić, aby ich wspaniała podróż okazała się niezapomniana. Kiedy jednak ich rozmowa przestaje się kleić, Adeline porzuca nadzieję. Jest za późno; sklepy wkrótce zostaną zamknięte. Jeśli chcą uniknąć wracania po ciemku, muszą się niedługo zbierać. Cholerny Rupesh. W porządku, może się zgubił lub źle odczytał którąś ze wskazówek, ale od samego początku nie chciał tej zabawy. Najpewniej w ogóle nie wyszedł dzisiaj z domu. Postanawiają udać się powoli na stację New Street. Jeśli Rupesh się tu kieruje, to wpadną na niego, co nie znaczy, że Adeline czy Steve w to wierzą.

– Zobaczył pierwszą podpowiedź i nie spodobała mu się perspektywa pójścia na stację do Hampton – stwierdza Steve.

Dopiero wtedy Adeline coś sobie uzmysławia: Rupesh i pociągi, pociągi i Rupesh. Tego dnia, kiedy się z nimi zapoznała i kiedy zginął Obi, Rupesh nie poszedł z nimi. Został z tyłu. Zresztą teraz, gdy się nad tym zastanawia, dociera do niej, że zawsze wybierają się w stronę torów sami, bez niego. Boi się pociągów? Dlatego się tu nie zjawiał?

Idą rampą prowadzącą do małego centrum handlowego nad dworcem, a Adeline dzieli się swoimi przypuszczeniami z pozostałymi. Will się zatrzymuje i zasłania usta dłonią.

– Cholera.

Wszyscy przystają i schodzą na bok, żeby nie blokować przejścia.

– Niech to szlag – mówi Jen.

– Co? – pyta Steve.

– W ogóle o tym nie pomyślałam – wyznaje Jen.

– Ja też nie – dodaje Will.

– Sądziłem, że jego rodzice po prostu nie chcą, żeby zbliżał się do torów – stwierdza Steve, po czym zwraca się do Adeline: – Jego krewny wpadł w Indiach pod pociąg. No ale to chyba nie znaczy, że nie wsiądzie do pociągu jako pasażer, no nie? – Wpatruje się w Willa i Jen, czekając, aż powiedzą coś, co zada kłam jego słowom. Oni jedynie patrzą na siebie ze zbolałymi minami, ale nic nie mówią. – Po prostu nie miał ochoty na zabawę. – Zerka na Adeline. – Nie ma usprawiedliwienia. Pieprzyć go. – Odwraca się i zaczyna iść.

Do Hampton docierają około siódmej. Zmierzcha już. Kiedy niemal dwie godziny później w końcu schodzą z Drogi Umarlaka, Steve skręca w prawo w Elm Close.

– Dokąd idziesz? – pyta Jen, doganiając go.

– Chcę się przekonać, czy jest w domu – wyjaśnia Steve. – Jeśli macie ochotę, możecie iść do mnie i poczekać.

– Co mu powiesz, jeśli go zastaniesz? – dąży Jen. – Robi się późno.

– Zapytam go tylko, czemu zrujnował Poświęcenie Adie.

– Nic się nie stało – wtrąca Adeline, choć w sumie to miłe, że jest wkurzony w jej imieniu.

Jen patrzy na Willa, Will na Jen.

– Powiedzmy mu – mówi Will.

Steve nie jest tym zainteresowany albo nie słyszy. Zdecydowanym krokiem idzie dalej. U Rupesha bramka jest otwarta i Steve wchodzi na podjazd, zaś cała reszta depcze mu po piętach. Na wypiełgnowanym trawniku znajduje się posąg słonia z ludzkimi rękami.

– Steve, czy możesz chwilę poczekać? – pyta Jen.

Ale on wciska dzwonek. Will i Jen natychmiast zaczynają się cicho sprzeczać. Drzwi otwiera tata Rupesha, otyły mężczyzna o życzliwym uśmiechu. Adeline trudno sobie wyobrazić, że to jemu Rupesh tak bardzo się obawia przeciwstawić. Idzie po syna. Steve odwraca się w ich stronę z wyrazem twarzy, jakby chciał dodać: „A nie mówiłem?”. Pojawia się Rupesh z miną winowajcy. Nagle Adeline ma ochotę wziąć go w obronę.

– Co się stało, stary? – pyta Steve.

Rupesh wychodzi na werandę i pociąga za sobą drzwi, tak że są niemal zamknięte.

– Rodzice mi nie pozwolili...

– Poważnie? – Steve stara się być niefrasobliwy i śmieje się z tego, co mówi Rupesh, ale słysząc, że jest wściekły. – Może się to skończyć tak, że zostaniesz wyrzucony z grupy.

Rupesh wzrusza ramionami i nie wie, gdzie uciec wzrokiem.

– Przepraszam, nie mogłem przyjść.

Adeline próbuje coś wtrącić, ale Steve unosi rękę, nie dając jej dojść do słowa.

– Nie, Adeline, naprawdę się napracowałam, żeby to była fajna runda. I czekaliśmy kilka godzin na...

– Wcale nie kilka godzin – odzywa się Jen.

– Przynajmniej godzinę – kontynuuje niezrażony Steve – a ty w ogóle nie brałeś w tym udziału. Co z pozostałymi rundami? Będziesz w nich uczestniczyć?

– Tak. Tylko w tej akurat nie mogłem.

– Bo rodzice nie pozwolili ci bawić się koło torów?

Rupesh unosi brwi i otwiera buzię.

– Co? – pyta. Patrzy na Willa, potem na Jen. – Nie. Ja tylko...

– I boisz się rodziców? Bądźmy szczerzy, dlatego właśnie nie przyszedłeś, prawda? Zobaczyłeś wskazówkę o dworcu i wróciłeś do domu. Masz przecież szesnaście lat. Sam możesz decydować, Rup, nie musisz robić wszystkiego, co ci każą rodzice.

Will wzdycha głośno.

– Powiedz mu – rzuca.

Steve go nie słyszy. Dobrze się bawi. Myśli, że ma grupę po swojej stronie, a tymczasem jest dokładnie na odwrót.

– Po prostu uważam, że zanim się natrudzimy przy kolejnych rundach, to powinniśmy wiedzieć, co się dzieje.

– Rupesh, skarbie. – Ton głosu Jen jest tak odmienny od tonu Steve'a, że spojrzenia wszystkich kierują się na nią. – Myślę, że gdyby Steve wiedział o tym, co powiedziałaś mnie i Willowi, toby się pewnie przymknął. Nie sądzisz, Will?

– Co? Ja? Przymknął się? Jesteś po jego stronie?

– Nie ma niczyjej strony, Steve – mówi Jen. – Po prostu na chwilę przestań być egoistą.

Steve ma taką minę, jakby uderzyła go w twarz.

– Rupesh? – Jen zwraca się do niego.

Rupesh kiwa głową.

– Mogę wpaść, jak skończę zmywać? – pyta Steve'a.

Ten w geście poddania unosi ręce.



– W porządku. Nie mam pojęcia, co się dzieje, i zamierzam się przymknąć. Wygląda na to, że wszyscy tego chcą. Jestem jedynie zły w imieniu Adeline i...

Adeline słyszy teraz w jego głosie wstyd: boleśnie powrócił do rzeczywistości. Dotyka jego ramienia. Steve patrzy zaskoczony na jej dłoń. Nie wiedząc, co jeszcze mogłaby zrobić, Adeline kiwa głową, próbuje tym samym przekazać, że się z nim solidaryzuje i że powinni sobie pójść. Po chwili Steve przytakuje i we czwórkę udają się do jego domu.

W salonie pachnie pizzą z mikrofalówki i keczupem. Steve zajmuje swój tron. Rupesh siedzi na zakurzonej sofie razem z Jen, a Adeline na podłodze obok fotela Steve'a.

– Nie chcę nigdy więcej o tym mówić – oświadcza Rupesh. – To takie krępujące.

Steve milczy. Wie, że usłyszy coś, przez co sam wyjdzie na idiotę, ale nie wie jeszcze, jak bardzo.

– Nie lubię pociągów – wyznaje Rupesh. – W sensie zdrowotnym.

W tym momencie Will się śmieje, co zaskakuje Adeline, aczkolwiek Rupeshowi zdaje się to nie przeszkadzać.

Gdy nikt nie reaguje, Rupesh dodaje:

– No i tyle. Kiedy tylko zbliżam się do nich, trzęsą mi się nogi i robi mi się niedobrze. Nawet kiedy je słyszę.

Jen gładzi go po plecach.

– Powiedz im dlaczego, a zrozumieją – zachęca.

– Zasadniczo chodzi o moją mamę. Przez większość czasu nic jej nie dolega, ale czasami nie chodzi do pracy, bo ma akurat okres smutku. Wtedy musimy być dla niej wyjątkowo mili, ponieważ tam, gdzie wcześniej mieszkaliśmy, zdarzało jej się znikać.

Serce Adeline zamiera. To na pewno będzie coś niedobrego.

– Tata zabierał mnie ze sobą, kiedy jej szukał – kontynuuje Rupesh – no i zawsze ją znajdowaliśmy. W kawiarni albo na cmentarzu. Czasem mówiła, że musi odnaleźć swoje myśli. Pewnego razu zaginęła i tata strasznie się martwił, a gdy wrócił do domu, wiedziałem, że stało się coś złego. Odnalazł ją na dworcu, ale wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, co to oznacza. Podśluchałem, jak mówi moim dziadkom przez telefon, że miała w torbie jakąś rosyjską powieść, i tego też nie rozumiałem. Przypuszczałem jedynie, że mamie stało się coś złego i że miało to związek z pociągiem.

– Ile miałeś lat? – pyta Adeline.

– To się dzieje, odkąd sięgam pamięcią – odpowiada Rupesh. – Ale wtedy akurat miałem sześć albo siedem lat. No i potem za każdym razem, kiedy mijalem dworzec albo słyszałem pociąg, dopadało mnie przerażenie. Już wiem, o co wtedy chodziło. W tamtej książce kobieta rzuca się pod nadjeżdżający pociąg. Od tamtej pory znajdowaliśmy mamę na wiaduktach i na klifach. Tata zdecydował o przeprowadzce do Blythe, aby uciec przed niebezpieczeństwem. A ja nadal mam problem z pociągami. To niemądre. Wybaczcie.

Nikt się nie odzywa. Rupesh, który wcześniej siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę, podnosi głowę i patrzy na Adeline.

– Zrozumiałem wskazówkę i w ogóle – mówi. – Była super. Ale na sam widok słowa „POCIĄGNĄĆ” zrobiło mi się niedobrze. Bałem się, że się przewrócę i wpadnę na tory.

– To nasza wina – zapewnia Jen. – Powinniśmy ci byli powiedzieć, Adeline, żebyś omijała tory. Rupesh, żadne z nas o tym nie pomyślało, dopóki nie czekaliśmy na ciebie w Birmingham.

– Paskudna sprawa, stary – mówi Steve i patrzy na niego. – I przepraszam, no wiesz, za tamto.

– Też powinienem był wam powiedzieć – oświadcza Rupesh. – Tyle że to jest trochę żałosne.

– Wcale nie – zapewnia Steve i w tym momencie atmosfera w pokoju zaczyna wracać do normalności. – Zresztą to dopiero pierwsza runda – dodaje.

– Będzie jeszcze okazja, żeby to nadrobić – odzywa się Will.

– Właśnie – potwierdza Steve.

Jen przestaje gładzić plecy Rupesha. Już-już ma coś powiedzieć, ale Steve wstaje i wychodzi do kuchni.

– To nie fair – mówi wtedy Jen. – Powinniśmy unieważnić pierwszą rundę.

– Ech – wzdycha Will. – Myślę, że niefajnie byłoby kazać Adeline robić to jeszcze raz. No i przecież ta runda jest fair, bo wszyscy otrzymali punkty.

– Mnie to nie przeszkadza – odzywa się Adeline.

– Pieprzyć tę zabawę – szepcze Jen. – To naprawdę okropne. Nie wiem, czy zniosę teraz wasze towarzystwo.

– W porządku – odzywa się Rupesh. Dotyka jej dłoni. – Mogę mieć jeden punkt. Nadgonię. Po prostu... zapomnijmy o temacie.

Jen próbuje uśmiechnąć się do niego. Dla Adeline wygląda to na zażyłość. A nawet coś romantycznego.

– Ty jednak jesteś następny, Rup – przypomina Will. – To oznacza, że aż do trzeciej rundy będziesz miał jeden punkt.

Jen wstaje z sofy.

– No to ja idę. Rupesh, jak chcesz, to cię odprowadzę.

– Dzięki – mówi.

Także wstaje, uśmiecha się do nich nieśmiało, po czym wychodzi razem z Jen.

– Trochę dziwne się to wszystko zrobiło – Will zwraca się do Adeline, kiedy zostają sami.

– Aha.

– Uważam, że dobra była ta twoja runda.

– Dzięki. Trochę się martwiłam, że niektóre wskazówki okażą się za trudne.

Coś tam mamrocze potakująco. Prawą stopę trzyma na kolanie i bawi się sznurowadłem.

– Ciekawe, jak to jest chcieć się zabić – rzuca.

W tym momencie wraca Steve.

– Gdzie reszta?

– Poszli do domu – odpowiada Will.

– Słuchajcie, przepraszam, ale właśnie sobie przypomniałem, że tata wraca dzisiaj, więc muszę posprzątać.

Will wstaje i kieruje się ku drzwiom. Adeline także się podrywa, kiedy jednak Will odwraca się do nich plecami, Steve kręci głową i mruga, dając znać w ten sposób, żeby została.

– Pomóc ci w sprzątaniu?

– Dzięki, Adeline – odpowiada Steve.

Will przygląda im się przez chwilę, po czym uśmiecha się krzywo. Wychodzi, zegnając się uniesieniem ręki.

Nie sprzątają. Steve proponuje, aby raz jeszcze obejrżeli *Zabijanie na śniadanie*, a Adeline nie protestuje, choć widziała ten film co najmniej trzy razy i zna na pamięć całe kwestie. Steve początkowo siedzi na fotelu. Teraz, kiedy są sami, odległość fotela od sofy wydaje się znacznie większa niż w rzeczywistości. Adeline to nie przeszkadza. Cieszy się, że w końcu może być z nim sam na sam.

To on zrobił pierwszy krok, więc teraz pora na nią. Prosi o koc, bo robi jej się chłodno, po czym nalega, żeby Steve się do niej przysiadł, bo coś takiego będzie bardziej ekologiczne niż zapalanie w kominku – w gruncie rzeczy boi się tego, że przy takim obchodzeniu się z kanistrem z benzyną w końcu podpali dom. Nie mija dużo czasu, nim trzymają się pod kocem za

ręce, a niedługo potem całują. Z otwartymi ustami. Jej dłonie wsuwają się pod jego ubranie, aby dotknąć skóry. Wszystko dzieje się tak łatwo. Czemu nie zrobili tego wcześniej?

Steve przerywa pocałunek, kiedy jej palce próbują się wsunąć pod gumkę jego bokserów. Uśmiecha się, przytula ją i skupia uwagę ponownie na filmie.

– Uważam, że byłaś dzisiaj niesamowita – oświadcza ze wzrokiem wbitym w telewizor. Dan Aykroyd mówi właśnie Johnowi Cusackowi, że powinni połączyć swoje siły.

– Dzięki.

– Wkurzyłem się, że Rupesh to zrujnował. Byłem za ostry?

– Nadal jesteś wkurzony?

– Nie. Nie do końca. Tak. – Śmieje się. – To nie fair, prawda?

– Sporo przeszedł.

Zirytował ją ten nagły koniec całowania. Chce do tego wrócić.

– Co ja poradzę na to, że wydaje mi się, iż on to robi celowo? Nie mam na myśli tego, co nam powiedział. Chodzi mi po prostu o to, że zawsze to on nas wystawia.

Adeline idzie do łazienki, a kiedy wraca, Steve wygląda przez okno.

– Nie zgadniesz, co właśnie widziałem. Will wychodził z domu pana Strachana.

– Co on kombinuje? – Też wygląda przez okno, ale nikogo już nie dostrzega.

– Dobre pytanie.

Naprawdę zrobiło się zimno i nagle Adeline uświadamia sobie, jak ponuro jest w domu Steve'a. Choć zawsze panuje tu względny porządek – Steve często sprząta śmieci i pali je w kominku, gdy tymczasem za bałagan odpowiada cała ich paczka – nie pamięta, kiedy po raz ostatni to miejsce zostało porządnie wysprzątane. Jeśli jego pokój wygląda tak samo, to lepiej, żeby go nie oglądała.

Wracają do filmu, ale już się nie całują. Adeline ma wrażenie, że Steve błądzi myślami gdzieś indziej. Ma nadzieję, że go nie zdenerwowała. Być może czuje się skrępowany i trudno mu się pogodzić z faktem, że dopiero teraz dowiedział się o czymś, o czym inni wiedzieli od dawna. Gdy daje mu buziaka w głowę i się żegna, Steve podnosi na nią wzrok. Jest zaskoczony, ale nie protestuje, choć mógłby. Tak trochę.

## Zima 2015

Kiedy wstałam, okazało się, że za godzinę mamy się spotkać u Rupesha. Rodzice już nie spali. Tato był w ogrodzie i, zważywszy na porę roku, robił nie wiadomo co. Drzwi do pokoju mamy pozostawały zamknięte, a zza nich dochodził głos telewizora. Zaparzyłam rodzicom herbatę, następnie się zebrałam i zjawiłam u Rupesha dziesięć minut przed czasem.

Rupesh brał właśnie prysznic, żeby po naszej wizycie być gotowy do wyjścia do pracy. Drzwi otworzyła mi Jen. Dziwne, bo na podjeździe nie stał jej samochód.

– Silnik nadal szwankuje, więc przyjechałam taksówką – wyjaśniła. – No dobra, co o tym wszystkim myślisz? Co powiedział ten gość, podał jakieś szczegóły?

– Nie bardzo – odparłam. – To były informacje z trzeciej ręki. Udało nam się wydębić od niego telefon do tego znajomego znajomego, no i Steve ma go spróbować złapać.

Kiedy zjawił się Steve, dowiedzieliśmy się jednak, że przez cały czas włącza się poczta głosowa. Usiedliśmy przy stole w jadalni, a już przebrany Rupesh podjął nas gorącymi napojami.

– To niewiele, prawda? – odezwała się Jen. – O ile to tylko plotki. W sieci nie znalazłam niczego na temat zmarłego Willa Oswalda, a jeśli złożymy wniosek do rejestru urodzeń i zgonów, rozpatrzenie go może potrwać kilka miesięcy. No ale jeżeli uznamy, że nie żyje, to czy nie wydaje się wam dziwne, że te samobójstwa wydarzyły się tego samego roku co jego śmierć? Mógł być przecież sprawcą.

– Problem w tym, że jeśli umarł, to nie wiemy kiedy – powiedział Steve. – To się mogło stać równie dobrze przed tymi samobójstwami, co by go z marszu wykluczyło. Gaz ostatni raz widział się z Willem półtora roku temu. Z tobą kontaktował się w grudniu. A nawet zakładając, że żył w czasie tego samobójstwa nad Loch Ness, nie mamy nawet pewności, czy to rzeczywiście było samobójstwo, chyba że znalazłaś coś więcej.

– To oczywiste samobójstwo – odparła Jen i machnęła ręką. – Will to tak upozorował. Ale ja nie jestem przekonana. Nie sądzicie, że gdyby nie żył, to jego rodzice już by się o tym dowiedzieli albo pojawiłaby się w necie jakaś wzmianka o niezidentyfikowanych zwłokach czy coś w tym rodzaju? To też sprawdziłam i niczego nie odkryłam.

– Celna uwaga – stwierdził Rupesh, a ona spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Wiemy tyle, że z jakiegoś powodu nie dawało się z nim skontaktować – powiedział Steve. – Może przybrał inne nazwisko? Jeśli nie miał przy sobie niczego, co pomogłoby go zidentyfikować, niewykluczone, że do tej pory to się nie udało. Nie wiem, ile trwają tego typu procedury. A wy?

– Można zrobić badania DNA i uzębienia – podsunął Rupesh.

– Ale na to wszystko zapewne potrzeba czasu – odezwałam się. – No i przecież badania bazują na istniejących archiwach, więc teoretycznie Will może leżeć niezidentyfikowany w jakiejś kostnicy.

– To możliwe – przyznał Rupesh. – Will miał jednak pewne problemy i nie wydaje mi się, żeby rzeczywiście nie udało się go zidentyfikować. Gdyby to była prawda, to w takiej sytuacji skąd by ten ktoś wiedział, że Will nie żyje?

Racja. To nie miało sensu.

– Chyba że – odezwał się Steve – zerwanie kontaktów z rodziną okazało się tak ostateczne, że osoba, która zajmowała się ustaleniami pogrzebowymi, nie poinformowała jej o tym na prośbę Willa.

– Mógł zostawić w testamencie stosowne wytyczne – podpowiedziałam.



– To wszystko spekulacje – wtrąciła Jen. Wydawała się coraz bardziej poruszona. – Z pewnością istnieje lista niezidentyfikowanych zwłok. Powinniśmy obdzwonić śledczych w Yorku.

– O ile umarł w Yorku – rzucił Steve. – A nie wiemy nawet tego. Nie wiemy także, czy nie został zidentyfikowany. W sumie moglibyśmy spróbować z tymi listami. Ale co, jeśli został oszpecony? Albo nie wygląda tak, jak nam się wydaje, i błędnie go zidentyfikujemy?

– Słuchajcie – rzekła Jen. – A czy tak samo prawdopodobne nie jest to, że ten człowiek, z którym rozmawialiście, coś opacznie zrozumiał?

– Oczywiście – odparł Steve. – Odniosłem jednak wrażenie, że osoba, od której Gaz się tego dowiedział, to wiarygodne źródło. Chociaż w świecie muzycznym wiarygodność może oznaczać jedynie punktualne stawienie się na próbie. Będę jeszcze dzwonił na ten numer, ale czuję się niezręcznie, kontynuując wątek Willa mordercy. Jeśli mam być szczery, to i tak nie do końca w to wierzyłem. I naprawdę nie chcę być osobą, która będzie musiała przekazać rodzicom Willa, że w trakcie dowiadywania się, czy ich syn był albo nie był seryjnym zabójcą, okazało się, że on nie żyje i że nikt im o tym nie powiedział. Nie na to się pisałem. Przepraszam, jeśli kiepsko to brzmi. Zbyt szybko to wszystko z dziwnego zrobiło się smutne.

– Czyli co, chcesz po prostu porzucić temat? – zapytała Jen. – Nie sądzisz, że jesteśmy to winni rodzinie Willa?

– Szczyrze? – Steve zerknął na mnie z ukosa. – Nie wiemy, co się dzieje w tamtej rodzinie. Jestem przekonany, że nie bez powodu Will wiódł takie, a nie inne życie, że coś go do tego skłoniło.

Miałam podobne odczucia, być może dlatego, że to on i ja byliśmy tam wczoraj, że to my wysłuchaliśmy tego, co miał nam do powiedzenia Gaz. Nie otrząsnęłam się jeszcze z uczucia wstydu – parę osób w średnim wieku zastanawiających się, czy ich dawny przyjaciel to morderca, bo tak się niefortunnie złożyło, że znalazł się na granicy marginesu społecznego.

– A co z tym wszystkim, czego ja się dowiedziałam? – dopytywała Jen. – A jeśli na ciałach znajdowały się naklejki? Musimy to zgłosić na policję. To nie koniec. No a to coś... twarz na twoim samochodzie? Jest jak... wizytówka. Jak cholerny Joker albo ktoś w tym rodzaju.

Wzruszyłam ramionami.

– W Birmingham pewnie nadal jest wielu fanów Nirvany. Samochód Steve'a stoi na hotelowym parkingu. Mógł to zrobić każdy.

– A więc teraz wierzymy w zbieg okoliczności? – ciągnęła Jen. – Nic się przecież nie zmieniło. – Obrzuciła spojrzeniem wszystkich po kolei.

– Zróbmy sobie przerwę i przemyślimy sprawę – zaproponował Rupesh. – Jen, masz rację, nic się nie zmieniło w kwestii tego, czego się dowiedziałas. Uważam, że powinniśmy zastanowić się, co to wszystko oznacza, jeśli Will nie żyje.

– Możliwe, że dalej na nas poluje – oświadczyła Jen. – A my mamy udawać, że nic się nie stało.

Chcąc uciec przed jej gniewnym wzrokiem, uwagę skierowałam na stojący pod ścianą regał. Na półkach znajdowały się bibeloty, ozdobne talerze i ceramiczne figurki o tematyce hinduistycznej. Na górnej półce wypatrzyłam coś, co nie bardzo pasowało do reszty: zieloną figurkę potwora z Loch Ness w kapeluszu w szkocką kratę. Jej obecność podziałała na mnie uspokajająco.

– Zgadza się z Rupeshem – powiedział Steve. – A te spekulacje dotyczące zdrowia psychicznego Willa i jego śmierci, o której rodzina nie została poinformowana... Sam nie wiem.

– Czuję się nieodpowiedzialna – wyznałam. – To nie jest miłe uczucie.

Nikt nic nie powiedział. Skoncentrowałam się na regale, nie mając pojęcia, co jeszcze dodać. Kiedy odwróciłam głowę w stronę stołu, Jen wyglądała właśnie przez okno i ręce miała skrzyżowane na piersi.

– Co będzie, jeśli on nie żyje, a ja się dowiem, że na ciałach znajdowały się naklejki?

Steve spojrział na mnie, a ja na Rupesha.

– W jaki niby sposób miałabyś się dowiedzieć? – zapytał Rupesh.

– Wyobraźcie sobie, że postanawiamy odnaleźć rodziny ofiar. Tak na wszelki wypadek. I dowiadujemy się, że te naklejki znajdowały się na...

– Nie róbmy tego – wtrącił Rupesh.

Zgadzałam się z nim. Nie chcieliśmy być jak ci szaleni detektywi z serwisu internetowego Reddit, którzy zajmują się wyjaśnianiem prawdziwych przestępstw, ci, z których Xan się śmiał, ale których darzył też podziwem.

– Teoretycznie, teoretycznie – powiedziała Jen – pytam was: jeśli to nie Will i nie jest to jakiś absurdalny zbieg okoliczności, to kto jeszcze wiedział o jego szale zabijania?

Po raz kolejny popatrzyliśmy po sobie.

– Żyje czy nie, i tak mamy problem – stwierdziła Jen. – No więc co dalej? Próbujemy się dowiedzieć, czy Will rzeczywiście umarł, w co osobiście nie wierzę, czy mam szukać naklejek, a potem zdecydować, kto z waszej trójki za tym stoi?

Rupesh zmarszczył brwi. Steve wyraźnie oniemiał.

– Mówisz poważnie? – zapytałam.

– Jeśli Will nie żyje, to owszem.

Rupesh raptownie wstał od stołu. Zerknął na zegarek.

– Muszę się zbierać, przepraszam. To wszystko zaczyna się robić niemądre. Moje zdanie jest takie, że to zbieg okoliczności.

– Oczywiście nie uważam, że to jedno z nas – zapewniła szybko Jen. – Nie o to mi chodziło. Mówię jedynie, że to nie koniec.

– Może i mówisz z sensem, Jen – powiedział Rupesh – ale ja naprawdę muszę...

– Nie jesteśmy jedynymi osobami, które o tym wiedzą – odezwał się Steve. – Tamtego wieczoru był tam ktoś jeszcze i prawdopodobnie także słyszał słowa Willa. To znaczy o ile rzeczywiście idziemy tym tropem.

Miał rację, ktoś tam był tamtego wieczoru. Widzieliśmy go i słyszeliśmy.

– Strachan – powiedziała Jen.

Steve kiwnął głową.

– Skoro ze względu na swoją przeszłość Will stał się naszym pierwszym podejrzanym, to co z facetem, który z jego powodu trafił do więzienia?

– No i wszyscy mieliśmy z nim złe doświadczenia – dodała Jen.

Rupesh westchnął.

– Warto się nad tym zastanowić, prawda? – rzekł Steve. – Ciekawe, co porabiał przez te wszystkie lata, czy nas pamięta?

Od razu wiedziałam, kto prawdopodobnie zna odpowiedzi na te pytania.

Gdy się zbieraliśmy, Rupesh złapał mnie za ramię i dał mi do zrozumienia, żebym została. Kiedy Jen i Steve wyszli, powiedział:

– Słuchaj, chciałbym z tobą o czymś porozmawiać. Skontaktowałem się ze znajomym, który pracuje w szpitalu Radcliffe’a w Oksfordzie nad eksperymentalnym lekiem o nazwie Fibrox. – Musiał dostrzec moją konsternację, bo dodał: – Choroba twojej mamy. Niewykluczone, że specyfik nie spełni kryteriów dopuszczających go do dystrybucji, no i może być tak, że twoja mama znajdzie się w grupie kontrolnej i otrzyma placebo. Ale jeśli załapie się na przyjmowanie tego leku, nad którym prowadzone są badania, możliwe, że zyska nawet dziesięć lat. A w mojej opinii raczej spełnia wymagania. – Wyraz twarzy miał poważny i unikał mojego wzroku.

– Dziękuję, Rupesh – powiedziałam, patrząc na niego oszołomiona. – To naprawdę miłe z twojej strony.

– Oczywiście to wcale nie musi być takie skuteczne, a twoja mama może nie chcieć jeździć tam i z powrotem, ale uznałem, że powinienem o tym wspomnieć. Dam znać, co radzi ten kolega.

Nie mogłam się powstrzymać; uściskałam go, a on, choć pozostał sztywny, zrobił to samo.

– Wszyscy pewnego dnia odejdziemy. – Zamyślił się. – Ale wiem, że nawet odrobina więcej czasu ma ogromne znaczenie.

Jeszcze raz go przytuliłam. Rupesh, jakby chciał zrównoważyć unoszące się w korytarzu emocje, dodał:

– Pamiętam, jak się miały sprawy z twoją mamą, Adeline, więc nie czuj się w obowiązku wykorzystywać tych informacji.

– Słucham?

– Cóż, pamiętam, że było ci trudno.

– Tak – przyznałam, nie mając pojęcia, dokąd to zmierza.

– Wiem, jak bardzo skomplikowane bywają relacje z rodzicami. Nie obrażę się ani nie będę cię osądzał, jeśli nie przyjmiesz tej propozycji. W moim zawodzie rutynowo podejmuje się decyzje w sprawie życia i śmierci...

W końcu pojęłam, o co mu chodzi, i się zaczerwieniłam.

– Rupesh, nie chcę, by mama umarła – oświadczyłam i zabrzmiało to bardziej defensywnie, niż zamierzałam.

– Nie, oczywiście, że nie. Sugeruję jedynie, że to kwestia jakości życia, a to akurat nigdy nie jest jednoznaczne. Ale w medycynie często tak bywa, więc nie czuj się źle... Po prostu zrób z tym, co uważasz.

Zapadła cisza, a ja cofnęłam się myślami do tych wszystkich rzeczy, które opowiadałam o mamie, przez co moi przyjaciele mogli odnieść wrażenie, że życzę jej śmierci. Jednak moją uwagę po raz kolejny zwróciła stojąca na regale figurka potwora z Loch Ness i rozważania obrały inny tor.

– Na co tak patrzysz? – zapytał Rupesh. Chyba też potrzebował zmiany tematu.

– Podziwiam twoją figurkę – odparłam i się zaśmiałam. Śmiech był dobry. Dzięki niemu nie czuło się takiego skrępowania.

– Należała do taty – wyjaśnił. – Nie uwierzysz, ale on uważał, że ten stwór naprawdę istnieje. Człowiek nauki, a mimo to twierdził, że nie można odrzucać tego, co mówią naoczni świadkowie.

– Trochę nie pasuje tu ta ozdoba.

– No tak, większość tych rzeczy należała do mamy. Ale tata kochał Loch Ness. Kupił nawet domek w Inverness.

Po tych słowach Rupesh ponownie spojrzął na zegarek i szybkim krokiem ruszył w stronę drzwi.

Kiedy wróciłam do domu, salon wyglądał jakoś inaczej. Dopiero na widok siedzącego na schodach taty, który „musiał trochę odsapnąć”, dotarło do mnie, co się zmieniło. Złożył plastikową choinkę i zaniósł ją na strych. Sam.

– Mama nie toleruje przedłużających się świąt.

– Tato, wiem, że wydaje ci się, iż masz trzydzieści lat, ale możesz poprosić o pomoc. Ta choinka jest naprawdę ciężka.

Machnął ręką.

– Gdzie ona jest? – zapytałam.

– Mama? W łóżku, skarbie.

Udałam się na górę i weszłam do jej pokoju. Zamknęłam za sobą drzwi, po czym podeszłam do łóżka. Mama nic nie mówiła, przyglądała mi się jedynie z lekkim niepokojem. Siedziała wsparta o poduszki, a kolorowy magazyn leżał opodal otwarty na artykule o nowym dziecku w rodzinie królewskiej.

– Mamo – odezwałam się.

– Tak.

– Muszę cię o coś zapytać. To naprawdę ważne. Chodzi o pana Strachana. Co się z nim działo po tym, jak został aresztowany?

Zacmokała i popatrzyła w stronę okna.

– Czemu miałabym wiedzieć cokolwiek w tej kwestii? – Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

Wzięłam głęboki oddech, czekałam, aż znowu spojrzy mi w oczy, po czym powiedziałam:

## Rupesh, 1998

Wszyscy czekają na Rupesha przed bramką pod jego domem.

– Okej – mówi. Zamyka za sobą furtkę i bierze głęboki oddech. – Pierwsza wskazówka brzmi tak: „Szukajcie niedaleko grobu z 1974 roku”.

Początkowo nikt nie reaguje. W końcu przynajmniej Will wydaje dźwięk, który może świadczyć o zaciekawieniu. Steve się nie odzywa, ale robi tę minę: mruży oczy i otwiera usta, jakby właśnie usłyszał coś najbardziej odrażającego na świecie. Jakby mówił: „To nie jest porządna wskazówka”. Ale Steve ma rację, nie jest. Wymyślił ją dziesięć minut temu, kiedy wracał z cmentarza. Zeszłej nocy mało spał, a rano wstał tak późno, że miał czas tylko na wymyślenie jednej wskazówki, no i na dodatek musiał ją gdzieś ukryć. Cmentarz znajduje się niedaleko jego domu, naprzeciwko Głowy Jędzy przy Blythe Lane.

– Mamy wyruszyć stąd wszyscy razem? – pyta Steve.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiada Rupesh, do którego dociera, że gdyby tak się stało, to grupa w tym samym czasie dotarłaby do wskazówki. – Wracajcie do domu, a potem wyjdźcie dokładnie o jedenastej.

– Ja mieszkam dalej od cmentarza niż Will – protestuje Steve.

– Niezupełnie – mówi Rupesh. – To mniej więcej taka sama odległość.

– Będziemy na siebie wpadać.

Kiepsko to zaplanował. To tylko potwierdza wszystko najgorsze, co musi myśleć o nim Steve. Sytuację ratuje Adeline, proponując, aby każdy wyszedł z domu o nieco innej porze, tak jak w jej rundzie. Choć nie jest to rozwiązanie idealne, pomysł satysfakcjonuje Steve'a. Odchodzą,



zostawiając Rupesha samego. Niedobrze mu. Musi wymyślić resztę Poświęcenia, a ma na to tylko piętnaście minut.

Wskazówka, nad której tworzeniem spędził cały ranek – ta na cmentarzu – nie jest wiele lepsza od pierwszej.

GRUZINOM STODOBAŁOBY SIĘ TUTAJ.

Najpewniej i tak okaże się najlepsza ze wszystkich, i to tylko dlatego, że napisał ją na wzór jednej z zagadek Adeline. Czy rozumieją, że chodzi mu o starą stodołę na polach za domem Steve'a? Równie dobrze mogą się skupić na „gruzie”. A jeśli uznają, że to oznacza cegły porozrzucane wokół jeziora albo ich bazę?

Drzewa w ogrodach po obu stronach Drogi Umarlaka rosną wysoko, blokując dostęp światła. Rupesh się wzdyga, idąc w stronę przejścia na samym końcu. Wyczuwa paskudny smród kompostu. Ta wskazówka będzie musiała wystarczyć, jest już za późno na wymyślenie czegoś innego. Nie potrafi poświęcić temu więcej namysłu. Ma dość tego, że zmusza się go do robienia rzeczy, na które wcale nie ma ochoty. Ma dość tej miny Steve'a, kiedy rzekomo dobrze się bawią. Gdyby nie Jen, zupełnie by odpuścił. Nie chce zapeszyć, ale od początku wakacji Jen zwraca na niego wyjątkowo dużo uwagi. On także nadal bardzo ją lubi i jeśli któreś z nich otrzyma zakaz wstępu do domu Steve'a, to zważywszy na nastawienie ich rodziców, naprawdę znajdą się w tarapatkach.

Rupesh z wielką ulgą wychodzi na pole, na którym przed rokiem poznał Adeline. Znowu znajduje się w słońcu i od razu robi się weselszy. Ale byłoby dobrze położyć się gdzieś i przespać. Ten skrawek ziemi nigdy nie jest obsiewany i generalnie stanowi nieużytek. Rupesh przechodzi na następne pole, to z kukurydzą. Idzie ścieżką między łodygami. Górują nad

nim, a kiedy słyszy szelest ocierających się o siebie liści, wzdłuż jego kręgosłupa przebiega znajomy dreszcz strachu. Przyspiesza. Czemu mu się wydaje, że ktoś go śledzi? E tam, niepotrzebnie się przejmuję. Ma takie wrażenie tylko dlatego, że nie widzi i nie słyszy niczego oprócz kukurydzy. Dociera do następnego przełazu i próbuje nad nim przeskoczyć, aby się dostać na kolejne pole, ze znacznie niższymi uprawami. W pośpiechu potyka się, jego stopa nie trafia na drewniany stopień po drugiej stronie i Rupesh ląduje tyłkiem w uprawach przypominających jęczmień. Spocony ogląda się na pole kukurydzy. Ale z niego tchórz. Nikogo tam nie ma. Śmieje się w głos. To z powodu tego durnego filmu, który wczoraj oglądali, tego o klaunie mieszkającym w kanale ściekowym. Dlatego zachowuje się tak żałośnie. Klaun siedział w jego głowie przez całą noc, jego śmiech i wielkie, żółte zęby. No i to całe gadanie o facecie porywającym dzieci, który wie, że są wakacje i że dzieciaki nie chodzą teraz szosą. Wie, że włóczą się po polach zupełnie bezbronne. Odsuwa od siebie te myśli. Jest za stary, aby bać się takich rzeczy.

Na przełazie za nim drżące nitki pajęczyny wiążą ziemię z drewnianym stopniem. Ten cholerny klaun na końcu okazał się pajakiem i Steve uznał to za rozczarowujące, ale Rupesh jest innego zdania. I patrząc na przełaz, rozumie, co go tak wystraszyło: czymże jest pajęczyna, jeśli nie fizycznym przejawem imponującej inteligencji drapieżnika? Już ma wstać, kiedy dostrzega pod schodkiem coś błyszczącego. Czołga się w stronę znaleziska, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Jest zasłonięte trawą i chwastami. Dojście blokuje także pokrzywy. Jeśli chce wyjąć tę rzecz, musi przełożyć rękę przez pajęczynę. Właśnie czegoś takiego chciałby od niego filmowy klaun. Czyż jego oczy nie lśniły w ciemności? Rupesh rozgląda się i dostrzega kij, za pomocą którego próbuje wyciągnąć tajemniczy przedmiot. Jest ciężki i udaje mu się dopiero po kilku próbach. W końcu spod stopnia wyłania się brązowy portfel. Jest otwarty i widać srebrne zapięcie, które teraz też połyskuje w słońcu. Rupesh bierze go do ręki. Jest cięższy niż portfel jego

taty. W środku znajduje dwa banknoty dwudziestofuntowe, pięć funtów w bilonie i cały plik kart kredytowych. Wyjmuje jedną i rozpoznaje wytłoczone na niej nazwisko: Pan W. Strachan.

Właśnie tu, w mateczniku pająka.

Musiał go zgubić, kiedy wyprowadzał psa, od którego przed rokiem zaczęły się wszystkie problemy. To takie dziwne, i wcale nie tylko dlatego, że całkiem niedawno Rupesh myślał o mężczyźnie w srebrnym vanie. Wkrótce się wzbogaci, tak mu przepowiedziała mama wczoraj wieczorem. Okej, zawsze tak mówi i nigdy dotąd jej słowa się nie sprawdziły. Niemniej... Patrzy na portfel. Tak, dziwne. I w sumie trochę przerażające. Gdyby się teraz odwrócił i zobaczył, że ktoś mu się przygląda, zacząłby krzyczeć jak małe dziecko.

Stodoła to wielka kryjówka dla owadów pomiędzy dwoma polami. Znajdują się w niej tylko trzy bele, zresztą już nie pierwszej świeżości. Rupesh siedzi na jednej z nich z portfelem na kolanach. Potrzebna mu wskazówka. Czas nieubłaganie płynie i niedługo zjawi się tu paczka. Rupesh w zamyśleniu bawi się zamkiem. W środku wyczuwa coś miękkiego. Rozgląda się, powoli otwiera przegródkę i zagląda do środka. Intensywnie czerwona folia i napis „smak truskawkowy” sprawiają, że od razu się wycofuje. W żadnym razie nie ma ochoty myśleć o panu Strachanie robiącym to. A tak w ogóle to ile on ma lat? Co najmniej sześćdziesiąt. Jen udało się zdobyć informację, że żona od niego odeszła, bo za dużo pracował, więc może ma teraz dziewczynę?

Rupesh wstaje i zaczyna chodzić wokół beli, próbując się skupić. Po przeanalizowaniu kilku potencjalnych wskazówek i miejsc ich ukrycia zastanawia się nad portfelem: czy da się go jakoś włączyć do Poświęcenia? Problem jedynie w tym, że w takiej sytuacji Steve przejmie nad nim kontrolę. Skończy się to tak, że każe Rupeshowi zrobić ze znaleziskiem

coś, czego on nie chce, na przykład spalić albo wyrzucić do jeziora. A co w takim razie chce z nim zrobić Rupesh? Na pewno nie to co Steve.

Czerpie przyjemność z tej odrobiny władzy, jaką ma nad kosmiczną siłą Steve'a Litta: może go rozczarować. W sumie nigdy nie robi tego rozmyślnie, ale pozostali za bardzo się boją, żeby mu się postawić. To nie znaczy, że Rupesh nie lubi Steve'a. Uważa go za zabawnego i inteligentnego, dostrzega te dobre cechy, które przyciągają do niego innych. Problem jedynie w tym, że taka intensywność cech w jednej osobie wydaje się niebezpieczna i przypomina mu czasy, gdy z jego mamą nie było tak źle. Kiedy całymi dniami eksperymentowała z przygotowywaniem potraw, których nie pozwalała nikomu jeść, albo zabierała się do bielienia sufitów.

Rupesh odkłada portfel na belę. Nie, nie wykorzysta go. Może napomknie o nim Jen po skończeniu gry. Albo Willowi. Natomiast teraz potrzebna mu wskazówka, jakakolwiek, nim czas dobiegnie końca.

W oddali słyhać ryk pociągu ekspresowego. Puls mu przyspiesza i czuje słabość w kolanach, ale szybko ponownie bierze się w garść, powtarzając w myślach: „Nie, nie, nie”. Stara się przemóc strach za pomocą siły woli i ta mantra nawet się sprawdza. W ciągu minionych sześciu miesięcy udało mu się zbliżyć do torów tam, gdzie znaleźli Obiego. O ile tylko nie jedzie wtedy pociąg, Rupesh jest w stanie podejść niemal do kładki na końcu jeziora i dopiero tam robi mu się niedobrze. Może powinien zostawić wskazówkę przy torach? Byłoby fajnie, wielkie „odwal się” dla Steve'a. I dla Adeline. Choć oczywiście jest ogromna różnica między znalezieniem się blisko szyn a podróżą pociągiem. W sumie ona może tak tego nawet nie postrzegać. Nawet jeśli istnieje szansa na to, że któreś z nich uzna go za naprawdę odważnego, Rupesh wie, że Steve po prostu robi tę swoją minę. I oświadczy: „Myślałem, że się boisz pociągów”. Tory nie wchodzą jednak w grę, nawet jeśli tym sposobem Ste...

Wiatr przynosi ze sobą głosy. Jak długo siedzi w stodole? Pozostali nadchodzą. Steve'owi to się nie spodoba. Powinien był wstać dziś wcześniej. Czemu tego nie zrobił? Do głowy przychodzi mu pewien pomysł i jest już za późno, żeby mu się oprzeć. Wyjmuje z kieszeni dzinsów długopis i notesik. Pisze coś, wyrywa kartkę, następnie kładzie ją pod leżącym na środku beli portfelem.

PROSZĘ MNIE ZANIEŚĆ DO DOMU!

Steve będący w posiadaniu portfela jest lepszy niż Steve znajdujący Rupesha w stodole.

Wybiega na zewnątrz i przeczołguje się pod ogrodzeniem. Kiedy dociera na wzniesienie, dostrzega trzy osoby. Ciemne włosy należą do Adeline, ogrodniczki do Jen. Za nimi idzie Will zatopiony we własnym świetle. Dlaczego przyszli tu razem i, co ważniejsze, gdzie jest Steve? Zbliża się do stodoły od strony, którą teraz Rupesh próbuje uciec? Przez pole, na którym bawili się przed rokiem. To za domem Steve'a, którego nikt nie zna tak dobrze jak on sam. Musi istnieć jakaś trzecia droga prowadząca do Elm Close. Musi. Niewiele myśląc, wspina się na ogrodzenie i przeskakuje na łąkę, której nie rozpoznaje.

Przez jakiś czas wszystko idzie dobrze, a na horyzoncie widoczne są dachy Elm Close. A potem Rupesh natrafia na kolejne pole kukurydzy i nie potrafi znaleźć wyjścia. Chodzi między rzędami, niszcząc niezliczoną liczbę pajęczyn. Do jego koszuli i twarzy przyklejają się części dawno nieżyjących owadów. Duży liść smaga go po policzku, a inny przecina skórę na ramieniu. Rupesh zaczyna biec. Oczami wyobraźni widzi wyłaniającego się spośród kukurydzy klauna trzymającego w ręce balon.

Albo jeszcze gorzej: pana Strachana, który z szerokim uśmiechem na twarzy zamierza zaprezentować Rupeshowi swoje sekretne życie.

Czuje się, jakby dopadł go atak astmy. Ostatni raz miał go jako dziesięciolatek.

W końcu pole się kończy, a dalej znajduje się las. Nie zważając na to, że ogrodzenie oplecione jest kolącym krzewem, Rupesh przechodzi przez nie i upada na ziemię pod drzewami. Kiedy wstaje, przekonuje się, że pod rękaw dostała mu się kolczasta gałązka. Próbuje ją wydostać, ale kolce wbijają się w skórę – jak w horrorze. W końcu mu się udaje i rusza w kierunku, który wydaje mu się właściwy. Ile minęło czasu? Dziesięć minut? Dwadzieścia?

Z lasu wychodzi na pole za domem Steve'a. Gdy dociera do Elm Close, nie dostrzega przed domem pana Strachana nikogo z paczki. Może jakoś to będzie. Idzie w tamtą stronę, mijając dom Steve'a. Teraz jedyne, co potrzebuje, to wskazówka i kolejny cel.

– Hej – odzywa się jakiś głos.

Rupesh podskakuje, po czym się odwraca. Na końcu podjazdu przed domem Steve'a stoi Jen. Rupeshowi robi się gorąco.

– Wszystko w porządku? – pyta Jen, patrząc na jego rękę.

– W porządku. Ja... trochę się zgubiłem.

– U Strachana miała na nas czekać kolejna wskazówka?

– Tak. Tyle że nawaliłem.

– Cholera.

– Aha. – Zerka na dom Steve'a. Pozostali patrzą na niego przez okno w salonie.

Wstyd, jaki czuje, wchodząc do domu, jest jeszcze większy niż wtedy, gdy jako dziesięciolatek został przyłapany na kradzieży cukierków z torby jakiejś pani na szkolnej imprezie. Wtedy przynajmniej był szczery, kiedy

doszło do konfrontacji z tatą. Wyznał swoją winę w nadziei, że dzięki temu kara okaże się mniej dotkliwa. Udało się i tata stwierdził, że podziwia jego uczciwość. Jeśli teraz powie pozostałym prawdę, będą dla niego mili. Zwłaszcza że wiedzą o jego mamie.

– Co tu robisz? – pyta Steve.

Siedzi na fotelu i wygląda jak bondowski czarny charakter. Pozostali nadal stoją przy oknie.

– Nawaliłem – oświadcza.

Steve patrzy na resztę, a reszta patrzy na niego.

– Próbowałem to zrobić. Naprawdę. Tyle że się zgubiłem.

– Nie rozumiem – mówi Steve. – Skąd wziąłeś ten portfel? A gdyby znalazł go ktoś inny i zabrał? Poza tym żadne z nas by nie wiedziało, kto dotarł do tej wskazówki jako ostatni. Jaki więc miałeś plan? Mógł tak leżeć przez cały dzień z tą zagadkową kartką.

Steve się uśmiecha i wydaje się rozbawiony, a nie zły. Rupesh zachowuje ostrożność. Przygryza wargę, spuszcza wzrok.

– Znalazłem go w drodze do stodoły i uznałem, że może da się go wykorzystać jako wskazówkę.

– Och – mówi Jen. Ton głosu ma zachęcający i Rupesh jest za to wdzięczny.

– A potem nie przychodziło mi do głowy, jak to zrobić, choć strasznie długo myślałem. No i nagle usłyszałem, że się zbliżacie, i wpadłem w panikę.

Opowiada im o ucieczce i polu kukurydzy. Wyznaje nawet, że bał się klauna, który mógł na niego wyskoczyć.

– Myślałem, że stałeś się rasowym kryminalistą – stwierdza Steve – i go ukradłeś, kiedy przed rokiem stłukłeś szybę w samochodzie Strachana.

Do czego zmierza Steve? Rupesh stara się naśladować jego uśmiech, do swojego dodając odrobinę konsternacji.

– Bardzo śmieszne. Znalazłem portfel pod przełazem.

– Wierzę ci – zapewnia Steve. – Paragony w portfelu mają niedawne daty.

– Poważnie. Nie potrafiłem tak szybko niczego wymyślić.

– Rozumiem – stwierdza Will, po czym przechodzi przez pokój i rzuca się na sofę. – Fajnie by było, gdybyś go wykorzystał jako wskazówkę.

– Aha – potwierdza Jen. – Powinieneś zdobyć punkty za kreatywność.

– Sądziłem, że ten, kto zjawi się jako ostatni, weźmie portfel albo... – Urywa, bo wygląda na to, że może mu się upiecze, i chce zakończyć temat, nim Steve zada kolejne pytania. – Nie przemyślałem wszystkiego i już.

Steve przygląda mu się uważnie, a w kącikach jego ust nadal błądzi uśmiech.

– Gdybyś nie znalazł portfela, to co byśmy teraz robili?

Rupesh musi przełknąć ślinę, ale nagle ciało odmawia posłuszeństwa. Jak zawsze Steve go przejrział. Tak jak wtedy, kiedy wykorzystuje bezwzględnie surowych rodziców jako wymówkę, aby się wykpić od robienia czegoś, na co nie ma ochoty. Nie dysponuje odpowiedzią na to pytanie. Zaczyna go ogarniać panika. Pociera ramię, przez co czuje jeszcze większy ból. Liczy, że uratuje go współczucie.

– Niech zrobi to jeszcze raz – proponuje Jen. – Może kontynuować od miejsca, w którym skończył.

– Może, jeśli rzeczywiście coś zaplanował, a nie improwizował – oświadcza Steve.

– Przygotowałem coś – zapewnia Rupesh.

– Z ręką wszystko w porządku? – pyta Adeline. Wygląda na zatroskaną.

– Leci ci krew – odzywa się Jen.

Rupesh spuszcza wzrok. Przez to pocieranie skaleczenia przerodziły się w prawdziwą ranę, z której spływa teraz strużka krwi.

– Do kuchni – zarządza Adeline, wstając.

– Ja to zrobię. – Jen się zrywa.

Od razu po wyjściu z salonu Rupesh doznaje uczucia ulgi. Jen myje zlew, po czym napełnia go ciepłą wodą. Podwija rękaw koszuli Rupesha. On wie,



że to tchórzostwo, i nienawidzi siebie samego za to, że to robi, ale mówi cicho:

– Nie mogę przygotować jeszcze raz całej rundy. A jeśli nawalę? A jeśli...?

Urywa, skupia się i stara zapomnieć o panice, jaka ogarnęła go na polu.

Nie, nie, nie, nie.

To działa. Jen papierowym ręcznikiem przemywa mu rękę i można odnieść wrażenie, że sprawia jej to ogromną przyjemność. Byłaby z niej fantastyczna pielęgniarka albo nawet i lekarka. Na pewno uda jej się osiągnąć to, co tylko będzie chciała, jest taka ciepła i mądra. Czemu on w jej towarzystwie zachowuje się tak żałośnie?

Jen przeskakuje na temat tego, co zrobić z portfelem. Według niej powinni odnieść go panu Strachanowi, razem z całą zawartością. Rupesh podziela jej zdanie. Wracają do salonu. Jen niesie w ręce połamane pałeczki.

– O nie – odzywa się Will.

– Rupesh chciał jeszcze raz zrobić swoją rundę Poświęcenia – oświadcza Jen – ale ja nie uważam, żeby to było fair, więc powinniśmy po prostu wylosować liczbę punktów i przejść do kolejnej rundy.

Nikt się nie odzywa, bo tak naprawdę decyzja należy do Steve'a. Bez cienia irytacji czy rozczarowania, jakie okazywał po pierwszej rundzie, wzrusza ramionami.

– Może nie jest to rozwiązanie idealne, ale w sumie... Okej, czemu nie?

Dla Jen jego postawa jest zaskoczeniem. Zresztą nie tylko dla niej.

– Przecież Rupesh i tak nie zdobywa w tej rundzie żadnych punktów – dodaje Steve. – Dobra, w takim razie losujemy.

Jen chowa w dłoni pałeczki, po czym podchodzi do każdej osoby po kolei z wyjątkiem Rupesha. Wygrywa Adeline, następna jest Jen, potem Will, a najkrótsza pałeczka, czyli jeden punkt, przypada w udziale Steve'owi, który przygląda się jej z krzywym uśmiechem.

– Wiesz co, Rupesh, Will i ja uważamy, że powinieneś jeszcze raz zrobić swoją rundę.

Wszyscy się śmieją, a Rupesh w końcu się rozluźnia. Dlatego właśnie trzymają się razem. Dlatego tak lubi spędzać z nimi czas.

Steve spod fotela wyjmuje zeszyt w formacie A4. Zaczyna coś pisać, po czym pokazuje grupie listę z punktacją.

Jen – 7

Steve – 4

Adeline – 4

Will – 4

Rupesh – 1

– Jestem na szarym końcu – stwierdza Rupesh.

– Nie przejmuj się – odpowiada Steve. – Masz jeszcze o co walczyć.

W połowie filmu poruszają temat portfela pana Strachana i tego, co z nim zrobić. Zatrzymają go, mszcząc się w ten sposób za to, że przed rokiem nasłał na nich policję, czy go zwrócą i poczują, że zrobili to, co należy? Steve zatrzymuje film i nalega na głosowanie. Jen i Will są za zwróceniem portfela. Dziwne, że akurat Will. Nie znosi przecież Strachana. Steve się krzywi. Adeline głosuje przeciwko.

– Nie lubię go i już – odpowiada, kiedy pytają ją o powód. Przygryza kciuk i szybko uderza stopą o podłogę. Przez całe popołudnie wydaje się nieobecna. – Czemu mamy pomagać draniowi? – Coś jest nie tak. Zbyt się denerwuje.

Oto szansa na odzyskanie zaufania Steve'a, prosty sposób, dzięki któremu zatrze złe wrażenie po tej rundzie. Rupesh głosuje za pozostawieniem portfela. Jego decyzja spotyka się z podobnym zaskoczeniem jak głos Willa, aczkolwiek w spojrzeniu Steve'a da się

dostrzec uznanie. Udało się. A Steve się niczego nie domyśla. Poza tym oddanie portfela byłoby równoznaczne z wejściem w interakcję ze Strachanem – a Rupesh wcale nie ma na to ochoty. Ich ostatnie spotkanie skończyło się tak, że Rupesh rzucił cegłą w szybę jego auta. Tamtego dnia wypił za dużo wódki i stwierdził, że to lepsze rozwiązanie niż jakikolwiek inny pomysł Steve'a. Tyle że potem, kiedy wytrzeźwiał, a do drzwi ich domów zaczęła pukać policja, uznał, że najlepiej zachować milczenie – a pozostali na szczęście przypuszczali, że to sprawka Adeline albo Willa.

Steve kiwa głową, po czym podnosi wzrok, jakby analizował to, w jaki sposób zagłosowali. On dopiero przedstawi swoją decyzję, która okazuje się mieć decydujące znaczenie.

– Szczerze? Nie lubię Strachana – mówi – ale nie jest wart tego, żeby zawracać nim sobie głowę. No i to wszystko jest trochę... zbyt wygodne. Jakby to była pułapka. Portfel leżący na ścieżce, którą akurat przechodzimy. Nie. Nie mamy nad tym kontroli.

– Co? – Na twarzy Adeline maluje się konsternacja.

Dziwne popołudnie. Co się tutaj dzieje? Czy Steve'owi tak bardzo zależy na niezgadaniu się z Rupeshem, że zamierza oddać portfel tylko po to, żeby mu zrobić na złość?

– Zresztą mamy teraz Poświęcenie – kontynuuje Steve. – Strachan nas już nie interesuje. Podrzucę mu go dziś w nocy na trawnik, pomyśli, że tam go zgubił, tępak jeden.

Adeline wzdycha głośno i wstaje.

– Jak chcesz. Boli mnie brzuch i idę do domu.

– A co z resztą filmu? – pyta Steve.

Will także wstaje, bo chciałby zdążyć na teleturniej. Ostatecznie wszyscy wychodzą razem, co odpowiada Rupeshowi, bo nadal nie do końca rozumie reakcję Steve'a na jego porażkę w Poświęceniu i tę sprawę portfela.

Pierwsza do swojego domu skręca Jen.

– Dobrze się czujesz? – pyta Rupesh Adeline, która trzyma rękę na brzuchu i usta ma zaciśnięte.

Wyraz jej twarzy łagodnieje.

– Tak, dziękuję.

– Nie spodziewałem się, że Steve będzie chciał zwrócić portfel Strachanowi – oświadcza Rupesh.

– Ja też nie. Kto wie, co się dzieje w jego głowie? – Ponownie zaciska usta, być może z bólu, choć widać w tym grymasie także odrobinę żalu.

Zatrzymują się naprzeciwko domu Adeline. Rupesh nie do końca się z nią zgadza. Niewykluczone, że Steve jest łatwiejszy do rozszyfrowania, niż się jej wydaje. A jeśli powodem, dla którego nie rozzłościł go fakt, że Rupesh ze wszystkim nawalił, jest to, że ma gdzieś, czy przyjaciel otrzyma zakaz wstępu do jego domu?

– Adeline – mówi, nim ona zdąży przejść przez ulicę. – Co się stanie, jeśli nie zbieram wystarczającej liczby punktów?

– Nie wiem, Rupesh – odpowiada Adeline i wzdycha. – Po prostu się postaraj.

– Według mnie zabroni ci wtedy przychodzić do siebie – odzywa się Will. – Zarzekał się, że tak zrobi.

Adeline posyła mu gniewne spojrzenie.

– Czy naprawdę, ale tak naprawdę uważasz, że Steve wykluczyłby kogoś z naszej grupy?

Rupesh i Will zerkają na siebie.

– Czy wy w ogóle tego nie rozumiecie? Tego, jak beznadziejnych ma rodziców, i że praktycznie jesteśmy jego jedyną rodziną. Nie wykluczy z niej nikogo.

– Strasznie dziś jesteś zrzędliva – orzeka Will. – Masz okres?

Adeline wzdycha i kręci głową.

– Masz pojęcie, jaki czasem z ciebie drań? Co się z tobą dzieje, Will?

Drwiący uśmiech, który towarzyszył jego słowom, nadal widnieje na jego twarzy, ale poza nim maluje się na niej autentyczne przerażenie. Adeline zaciska dłonie w pięści.

– Przepraszam – bąka Will. Unosi rękę. – Przepraszam.

– Nie obchodzi mnie to – oświadcza Adeline. – Mam cię na dzisiaj dość. Was obu. Wszystkiego.

Gniewnym krokiem przechodzi przez ulicę, po czym zatrzymuje się przed swoim domem i ogląda na nich. Kiedy widzi, że stoją w bezruchu i patrzą na nią, grozi ręką i rzuca:

– Jazda stąd!

Obaj ruszają w stronę Blythe Lane. Nim Rupesh skręca w prawo, po raz ostatni się odwraca i kątem oka dostrzega czarne włosy i czarne buty: Adeline znika na Drodze Umarlaka.

To nie w porządku, że Adeline stawia Rupesha w jednym rzędzie z Willem, bo przecież nie powiedział nic nieprzyjemnego. Dlatego po pożegnaniu się z Willem cofa się do Drogi Umarlaka, żeby ją znaleźć. W normalnych okolicznościach nie powiedziałaaby czegoś takiego. Bywa boleśnie szczerą, ale zazwyczaj ma ku temu powód. Dzisiaj zdecydowanie jest z nią coś nie tak.

Adeline nie uszła daleko. Siedzi na schodku na przełazie, tam gdzie on się wcześniej potknął. Piorunuje go wzrokiem i policzki ma brudne od spływającego tuszu do rzęs.

– Martwiłem się o ciebie – mówi Rupesh i zatrzymuje się przed nią.

– Nic mi nie jest. – Słyszy w jej głosie ciepło. Nie każe mu się odpieprzyć. Pociąga nosem i głośno wzdycha.

– Chcesz chusteczkę?

– Jeśli używaną, to nie.

– Nie, jest czysta. – Wyjmuje z kieszeni małą paczkę chusteczek.

Przyzwyczajenie, które mu pozostało po dawnych problemach z mamą. Po kolejnych incydentach często płakała cicho, a wtedy on przynosił jej chusteczki. „Cóż za użyteczny chłopiec” – mawiała. Lubił być użytecznym chłopcem i cieszył się, kiedy mama płakała. Cieszył się, bo jeśli nie płakała, a zamiast tego siedziała w bezruchu i wyglądała przez okno, to było wiadomo, że następnego dnia będą jej szukać gdzieś wysoko albo tam, gdzie jest dużo hałasu.

Adeline mu dziękuje, wyjmując jedną chusteczkę i wydmuchuje nos.

– Chusteczki to coś, co zawsze mam pod ręką – mówi Rupesh, po czym puszcza do niej oko.

Adeline się śmieje, a on uszom nie wierzy. To chyba pierwszy raz, kiedy ją rozśmieszył. Wyjaśnia, dlaczego je przy sobie nosi, a Adeline poważnieje. Powinien był trzymać buzię na kłódkę.

– Jak się teraz czuje twoja mama?

– Po przeprowadzce było lepiej, ale ostatnio jej stan się pogorszył. Zaczęła mówić o tym, jak szybko jeżdżą samochody na tym zakręcie, gdzie ścieżka dochodzi do głównej drogi. Tata ma już szalony plan, by kupić dom gdzieś w Szkocji, żeby trzymać ją z dala od ulic i pociągów, i... ale ona i tak znajdzie jakiś sposób. – Urywa. – Czasem...

Zamierza to wyznać? Nie powinien, choć wydaje się to naturalne. Za bardzo by się w ten sposób odkrył. Czasem się zastanawia, czy nie byłoby lepiej dla całej jego rodziny, łącznie z mamą, gdyby to rzeczywiście zrobiła, bo wtedy przynajmniej odbyliby żałobę i w końcu wrócili do normalności. Ale to nie jest coś, co można powiedzieć na głos. Może jeszcze by dodał, że czasem, podczas tych przeszłych incydentów, miał nadzieję, że to zrobiła. A to jest jeszcze gorsze. Nie, powinien trzymać język za zębami.

– Nie, nic – dokańcza.

– Przepraszam, głupio się czuję, że płacę, kiedy ty przechodzisz przez coś znacznie trudniejszego.

– Ludzie mają różne problemy, ale wszystkie są ważne.

– Myślę, że twój ból jest większy niż mój – stwierdza Adeline głosem nabrzmiałym emocjami.

Kładzie głowę na kolanach i chwilę później wyciąga rękę w stronę Rupesha. Ten posłusznie wręcza jej chusteczkę.

– Jestem żałosna.

– Chcesz o tym pogadać? – Rupesh jest zaskoczony tym, jak pewnie brzmi jego głos, jak dorośle. – Nie musisz. Mogę tu sobie posiedzieć i być twoim automatem z chusteczkami.

Adeline znowu się śmieje. Drugi raz w ciągu zaledwie kilku minut.

– Przyłapałam mamę na tym, że ma romans – wyznaje i głośno wzdycha.

– Och.

Jak zareagować na coś takiego? Nagle kamyki u stóp Rupesha przyciągają jego uwagę. Porusza nimi, wykorzystując w tym celu końcówkę sznurowadła. Ale przecież musi powiedzieć coś więcej, więc pyta:

– Jesteś pewna?

Czy jest pewna? Co za idiota.

– Na sto procent – odpowiada Adeline. – Tato wyjechał na targi zabawek i wczoraj powiedziałam mamie, że zostanę na noc u Jen. Tak naprawdę byłam u Steve’a. Ale potem on oświadczył, że wraca jego tata. Nie rozumiem, czemu się tym tak przejmuje, ale nieważne. Wróciłam do domu, a ten pierdolony frajer z sąsiedniego domu... – Ton jej głosu staje się coraz wyższy. – Posuwał ją na sofie w salonie.

– Strachan? Jesteś pewna? – Nie może uwierzyć, że ponownie zadał to pytanie. Jak może nie być pewna? Strachan jest dość charakterystyczny.

– Jestem. Weszłam, a on ją pieprzył od tyłu na tej... na tej głupiej skórzanej sofie, której tato nie znosi, ale się na nią godzi, bo...

Ma taką minę, jakby się znowu miała rozplakać; zamiast tego uderza pięścią o udo.

– Nienawidzę jej, Rupesh. Nienawidzę. I nic nie mogę zrobić, bo to by zniszczyło tatę. Zabiłby się... cholera, przepraszam. Nie to miałam na myśli. To znaczy miałam, ale...

– Skąd się w ogóle znają?

Adeline bierze głęboki oddech.

– To wina tego cholernego Willa. Poznali się, kiedy cegła rozwaliła mu szybę. Od tamtej pory węższy w naszym ogrodzie, a mama szczebiocze: „Bill właśnie mi pokazywał swoje hortensje”, albo coś w tym, kurwa, stylu. Co za dziwka. – Ponownie uderza pięścią w udo.

Rupesh unosi głowę, ale nie patrzy Adeline w oczy. Musi coś szybko powiedzieć, żeby odsunąć jej uwagę od niesłusznego gniewu skierowanego przeciwko Willowi.

– Dlatego nie chciałaś, żebyśmy oddali mu portfel? – pyta.

Adeline potakuje.

– To przeze mnie tam się znalazł – przyznaje. – Leżał na stole, kiedy wybiegałam z domu. Zabrałam go i przyszłam tutaj, żeby trochę ochłonić, i postanowiłam schować go pod schodkiem. Wiedziałam, że powinnam wyrzucić go gdzieś na polu kukurydzy albo zakopać. A wczoraj mama zapytała, czy go widziałam. No to ja na to: „Pytałaś tatę?”. A ona: „Pan Strachan się naprawdę martwi i to przestępstwo”, bla, bla, bla. Odparłam, że go nie mam, ale szczerze mówiąc może lepiej, żeby Steve mu go oddał. Chcę zapomnieć o tym tak szybko, jak się da. Twoi rodzice są lekarzami; nie wiesz, czy da się potraktować umysł wybielaczem? Czy te małe piloty z *Facetów w czerni* istnieją?

– To wszystko, co ci powiedziała?

– Tak, a wczoraj dodała jeszcze: „Jestem pewna, że zrobisz, co zechcesz, ale zastanów się, jak to wpłynie na twojego ojca”. Rozumiesz?

– A ty co odpowiedziałaś?

– Zapytałam, czy kocha tatę, a ona spojrzała na mnie jak na idiotkę i rzuciła: „Dorośnij, Adeline”.



W milczeniu słuchają szumu liści kukurydzy. Rupesh czuje gniew i smutek. Nad ich głowami lamentuje samolot podchodzący do lądowania na lotnisku w Birmingham. W przeciwieństwie do pociągów na samoloty nie zwraca już żadnej uwagi, choć po przeprowadzce do Blythe ich odgłos sprawiał, że Rupesh myślał o podróży do Indii, gdzie mieszkają jego dziadkowie. Podczas ostatniej wizyty przed sześcioma miesiącami dziadek zapytał, co za człowiek każe swojej rodzinie mieszkać pośród pól, jeśli sam nie jest rolnikiem. Jego tata nigdy nie rozmawia z dziadkiem o mamie.

Adeline dziękuje Rupeshowi i oświadcza, że lepiej się czuje po wyrzuceniu z siebie tego wszystkiego. On ją pyta, czy jest jedyną osobą, której się zwierzyła, na co ona odpowiada, że tak. Dziwne, że to nie Steve siedzi teraz przy niej i podaje chusteczki.

– Przepraszam, że wcześniej na was nakrzyczałam. Will sobie zasłużył, ale ty nie. Czasem zachowuje się naprawdę dziwacznie.

Rupesh kiwa głową. Czuje się jak zdrajca.

– W porządku. Serio.

Na Adeline jego słowa nie robią wrażenia i Rupesh żałuje, że nie może powiedzieć jej tego, co wie na temat Willa. Istnieje spora szansa, że zmieniłaby zdanie na jego temat, gdyby zdradził jej, że Will także nie ma w domu lekko. Fakt, że Oswaldowie na okrągło piją, to nic. Także to, że ich dom jest odrażający, ściany i podłogi są brudne, a w pozostawionych w najprzeróżniejszych miejscach kubkach po herbacie zagnieżdża się pleśń. Ani to, że w znalezionym u nich zeszłego lata pojemniku na kostki lodu w każdej przegródce znajdował się zamrożony pająk. Nie, prawdziwe kłopoty zaczynają się wtedy, kiedy się dostrzega brak jakichkolwiek rodzinnych zdjęć. W ich miejscu wiszą czarno-białe fotografie przypadkowych osób, których Rupesh nie zna. Mama Willa wyjaśniła mu to tak: „Jesteśmy ludźmi teatru, mój drogi”, co dla niego nie miało żadnego sensu. Pani Oswald lubi także określenie „Galaktyka Gwiazd”, którego używa, gdy tylko opowiada o sławnych ludziach. Nic dziwnego, że Will

chętnie bywa w domu Rupesha, gdzie jego tata dziwaczność Willa uważa za czarującą i często oddają się rozmowom na temat historii, teorii spiskowych i sił nadprzyrodzonych. Nie jest to coś, co by jakoś szczególnie interesowało Rupesha.

Rupesh odkrył, że w domu Oswaldów znajduje się jedno zdjęcie rodzinne. Natrafił na nie, kiedy grzebał w stercie starych gazet, leżących w kącie zakurzonej jadalni. Na fotografii uśmiechało się troje jasnowłosych dzieci. Jedno z nich to Will, drugie jego brat, a trzecim była dziewczynka z warkoczykami, która wyglądała na sporo od nich starszą.

– Nie wiedziałem, że masz siostrę – zażartował Rupesh, sądząc, że to kuzynka albo koleżanka. Jego rodzina miała całe mnóstwo takich ujęć.

Will się jednak nie roześmiał. Zamiast tego wyrwał mu zdjęcie. Przyjrzał mu się i po chwili powiedział:

– Myślałem, że je zgubiłem.

A potem zostawił Rupesha samego i wrócił po długim czasie z czerwoną twarzą. Poprosił, aby nigdy więcej nie wspominał o tej fotografii.

Miesiąc później opowiedział mu o swojej siostrze Liz. Wpadła pod samochód pod klubem nocnym, sprawca zbiegł. Miała piętnaście lat. Rupesh słuchał, kiwał głową i ponownie obiecał, że nigdy więcej nie poruszy tego tematu.

– Robi mi się zimno – oświadcza Adeline, zerkając w stronę domu. – Ale wiesz co, nie przejmuję się wcale tak bardzo, że się z nią spotkam. Z przyjemnością nigdy więcej się do niej nie odezwę.

– Przykro mi, że tak się stało.

Oboje wstają, a kiedy Rupesh podnosi wzrok, Adeline podchodzi do niego i go przytula. Cudownie się czuje z tym, że otula go zapach wanilii i skóry. Opiera głowę na jej ramieniu.

– Dziękuję – mówi cicho Adeline.

Gdy Rupesh wyłania się z Drogi Umarlaka, Jen myje przed domem samochód swojego taty. Uśmiecha się do niego, a on odwzajemnia się tym

samym. Wtedy Jen dostrzega idącą za nim Adeline i uśmiech znika z jej twarzy. Rupesh macha do niej, ale ona się odwraca i zajmuje pracą.

– Nie masz wrażenia, że Jen nie lubi, jak się spotykamy tylko we dwoje? – pyta Adeline, po czym mruga do niego i odchodzi.

Rupesh z nadzieją myśli o tym, co to może oznaczać. Po chwili jak zawsze zaczyna się martwić. Powinien do niej pójść. Jakoś załagodzić sprawę. A może tylko by wszystko pogorszył? Zamiast tego pozwala sobie cieszyć się nadzieją, jaką napełniły go słowa Adeline, na wypadek gdyby nigdy więcej miał jej nie czuć.

## Zima 2015

Na twarzy mamy pojawił się wyraz paniki, zaraz jednak przystąpiła do ataku. Po raz pierwszy bezpośrednio poruszyliśmy temat jej romansu.

– Masz na myśli Billa, naszego dawnego sąsiada?

Nie byłam w nastroju na bawienie się w podchody. Zasmucona i jednocześnie rozgniewana tym wspomnieniem oświadczyłam:

– Owszem. Tego, z którym cię przyłapałam na...

– Czemu o niego pytasz? – Urwała i zaczęła nasłuchiwać. – Gdzie tata?

– Na dole, sprząta po świętach.

Od tamtego dnia byłam jej cichą współpracowniczką. Nigdy nie powiedziałam tacie o tym, co zobaczyłam, nie z powodu lojalności względem mamy, ale dlatego że nie uważałam, aby wynikało z tego coś dobrego dla taty. Był człowiekiem prostolinijnym, i tak by z nią został. Ta informacja okazałaby się nieistotna, mogłaby mu jedynie sprawić ból. Wielokrotnie korciło mnie, żeby mu wszystko wyznać, a tym samym zrobić mamie na złość. Zawsze jednak udawało mi się powstrzymać – niewdzięczna powściągliwość.

– Stało się coś, co ma związek z przyjaciółmi, z którymi się spotkałam, i z przeszłymi wydarzeniami. Wypłynęło jego nazwisko i chciałabym się dowiedzieć, czy to możliwe, że jest zaangażowany w sprawę.

Wzruszyła ramionami i przewróciła kartkę magazynu.

– Jeśli jeszcze żyje, to musi być bardzo stary, Adeline. Był starszy ode mnie i twojego taty. Zbliża się pewnie do osiemdziesiątki, a może już ją przekroczył.

– Wiesz, jak długo siedział w więzieniu? Kiedy wyszedł?

– Adeline, to było dawno temu. W ogrodzie na tyłach domu miał cudowną magnolię, a ci nowi mieszkańcy ją wycięli. Podobno jej korzenie przegniły.

– Kontaktował się z tobą od tamtego czasu?

Piła powoli herbatę, a wzrok wbiła w trzymany na kolanach magazyn.

– Myślisz, że jest podobny do mamy lub taty?

– Kto?

– George – odparła, pokazując na dwie strony zdjęć małego księcia.

Przed laty pewnie bym się na nią wkurzyła, i współczułam tej młodszej wersji siebie. Teraz takie podejście nic by mi nie dało. Powiedziałam jej, że nie wiem, i udałam się do swojego pokoju, żeby się uspokoić. Pozwolę jej się podenerwować i później spróbuję jeszcze raz. Wyjęłam tablet i zaczęłam szukać w necie informacji o Strachanie. Podobnie jak w przypadku Oswalda nie okazało się to pomocne – moją uwagę przykuwali nie ci Strachanowie, co trzeba. „Strachan Blythe”, „Strachan więzienie”, „Strachan Midlands”; nic przydatnego. W pewnym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju weszła mama. Po raz pierwszy od przyjazdu do domu widziałam ją w pozycji pionowej.

– O co go podejrzewasz? – zapytała, opierając się plecami o zamknięte drzwi, jakby w ten sposób zapewniała im dźwiękoszczelność.

– O nic, mamó – odparłam, uciekając się do koniecznego kłamstwa. Coś mi przyszło do głowy. – Otrzymaliśmy anonimowe wiadomości ze szczegółami, o których może wiedzieć niewielu ludzi spoza Blythe.

Ze spuszczonego wzrokiem pokręciła głową.

– Pisał do mnie listy.

– Kiedy? Masz je jeszcze?

– Nie zachowałam ich. Nie chciałam mieć nic wspólnego z tym człowiekiem. Zaczęło się całkiem miło, a parę miesięcy później trafił do więzienia. Podejrzewałam, że coś knuje, więc kiedy mu odpisałam... – Zaczęła kaszleć.

– Korespondowałaś z nim? – zdziwiłam się. Zamierzałam wstać i poklepać ją po plecach, ale kaszel sam minął.

– Niezbyt długo. Wyczuwałam, że coś kombinuje. W każdym liście pytał o was, dzieci, jak się macie, co u was słyhać. Ja go w ogóle nie interesowałam. Odpisywałam coraz bardziej zdawkowo. Z grzeczności. Liczyłam, że zrozumie, o co mi chodzi. A potem zaczął wypytywać o tego chłopaka, Willa, którego pobił. Och, żałował tego, co zrobił, wcześniej się przyjaźnili i chciał się dowiedzieć, czy nic mu nie jest. Pisał, że nie kłamał, że przyznał się przecież do winy. Wiedziałam jednak, jakie są jego intencje. Nie urodziłam się wczoraj. Chciał mieć na oku osobę, przez którą trafił do więzienia. Po prostu przestałam się z nim kontaktować.

– Jak długo się to ciągnęło?

– Och, z przerwami parę lat.

– I przestałaś pisać, bo chciał zbyt dużo wiedzieć o Willu i o nas?

– Coś było nie tak. Twój tata nigdy za nim nie przepadał, a ja nie rozumiałam dlaczego. Aż do pewnego momentu.

To, co mówiła o Strachanie, samo w sobie nie miało większego znaczenia, tak jak w przypadku sprawy Willa. Bywa, że gdy człowiek nie nastawia się na nic, a jednak na coś natrafia, odkrycie przechodzi najśmielsze oczekiwania.

– Raz tu przyjechał – dodała mama. – Dziwne, że zjawił się właśnie wtedy, kiedy twój tata wyjechał. Zastanawiałam się, czy nas przypadkiem nie obserwował.

– Kiedy to było?

– Pięć lat temu. Może dziesięć. Tata sprzedał już wtedy sklep. Nie chciałam wpuszczać go do domu, więc udaliśmy się do Centuriona. Strachan nie był w dobrej formie, Adeline. Na policzku miał wypalone znamię. Twierdził, że zrobiono mu to w więzieniu. No i śmierdział naftaliną. Powiedział mi, że ma problem ze znalezieniem pracy, na co ja odparłam, że na farmie z owocami zawsze potrzebują pracowników.

– Czego chciał?

– Mówił, że musiał się spotkać ze mną. Ale znowu zaczął wypytywać o was, o Willa.

– Co mu powiedziałaś?

– Nic. Wiedziałam, co on knuje. Chodziło mu o jego adres.

– Wydawał ci się niebezpieczny? Sądzisz, że mógłby zrobić krzywdę Willowi, gdyby go znalazł?

– Raczej nie, no ale nigdy nie wiadomo, prawda? Widocznie jego natura kryminalisty czekała tylko na odpowiedni moment, żeby się ujawnić. Myślisz, że będzie wam sprawiał kłopoty?

– Nie wydaje mi się – odpowiedziałam nie do końca pewna, czy jej troska była szczerą, czy też mama upajała się tym, że znalazła się w centrum uwagi. – Wszystko jest trochę tajemnicze, ale pewnie masz rację. Jeśli żywi dawną urazę, to może po prostu próbuje z nami pogrywać.

Wpatrywała się we mnie przez długą chwilą, a na jej twarzy malowało się zamyślenie. Następnie pokazała na swój nos i zapytała:

– Wolno ci to nosić w pracy?

Zaśmiałam się. A niby czemu miałoby być inaczej? Dotknęłam kolczyka w nosie i wyjaśniłam:

– Sama jestem sobie szefem.

– To dobrze. – Po chwili cicho dodała: – To był przypadek.

Zmieniła ton głosu. Od razu się domyśliłam, co to oznacza.

– Przyniósł mi sadzonki. Twój tata był wtedy bardzo zajęty.

Czekałam na więcej, ale na próżno. Wiedziałam, że nie obwinia taty. Nie potępiłabym jej, gdyby szczerze przyznała się do błędu, bolała mnie jednak niewiedza taty, który nie miał pojęcia, że należą mu się przeprosiny.

– Cóż, taki jest minus przebywania w pięknej rzeczywistości – stwierdziłam.

Mama nadal nie mogła uporać się z prawdą, którą ja odkryłam zaraz po przeprowadzce do Blythe.

– Jest nią samotność – dokończyłam.

– To była chwila słabości, Adeline. – Otworzyła drzwi. – Ty pewnie nigdy takich nie miewasz.

Po południu się zdrzemnęłam. Brak snu w końcu mnie pokonał. Kiedy się obudziłam, było już ciemno. Wzięłam do ręki telefon: Steve, Jen i ponad dwadzieścia wiadomości na czacie grupowym. Jen pytała, czy może do mnie zadzwonić, Steve chciał wiedzieć, jakie mam plany na wieczór. Ustalono, że o ósmej, czyli za pół godziny, spotkamy się u Rupesha. Jen musiała nam powiedzieć coś niezwykle ważnego. Znowu. Nim wyszłam z domu, zjadłam szybko kanapkę z serem – tylko to udało mi się znaleźć w kuchni.

Po raz kolejny zjawiłam się przed czasem, tyle że tym razem nie było jeszcze Jen. Razem z Rupeshem siedzieliśmy w ponurym salonie i czekaliśmy na pozostałych.

– Wiesz, co Jen chce nam obwieścić? – zapytałam.

– Zamierzałem zadać ci to samo pytanie.

– Ja też mam nowiny – przyznałam i powtórzyłam mu to, czego się dowiedziałam od mamy.

– Cóż, jak nic kolejny zbieg okoliczności – orzekł Rupesh. – Nadal nie szedłbym z tym na policję. I jeśli mam być szczery, to nie pamiętam, by pan Strachan kręcił się w okolicy tamtego pamiętnego wieczoru. – Sięgnął do kieszeni spodni, po czym podał mi karteczkę. Widniał na niej adres e-mailowy nagryzmołony jego lekarskim pismem. – Słuchaj, ważniejsze jest to, że dzwonił mój znajomy. Zasugerował, że powinnaś się z nim skontaktować. Niczego nie obiecuje, ale warto spróbować.

Podziękowałam, jednak zaskoczył mnie jego brak entuzjazmu do tego, co mu powiedziałam. Co to oznaczało? Jeśli Will rzeczywiście nie żył i Rupesh nie uważał, że to Strachan, to czy podejrzewał kogoś z grupy?



Zerkając ponownie na tę durną figurkę potwora z Loch Ness, świadoma przeciągającego się, krępującego milczenia, zapytałam:

– Kiedy to się stało? Mam na myśli twojego tatę.

– Zaledwie przed rokiem. Jakies sześć miesięcy później rozpadło się moje małżeństwo.

– To dziwne, prawda? – Wskazałam na figurkę.

– Co?

– To, że ciało znaleziono w Loch Ness i że twój tata miał tam domek.

– Czy ja wiem? – Rupesh zmarszczył czoło, po czym wzruszył ramionami. – Nie interesują mnie zbiegi okoliczności. Prawdziwe życie jest ich pełne.

Po raz kolejny zdumiał mnie jego kompletny brak zainteresowania.

Rozbrzmiał dzwonek i Rupesh poszedł otworzyć drzwi. Wrócił w towarzystwie Jen, a chwilę później zjawił się Steve. Kiedy Rupesh witał się z nim w progu, zapytałam Jen o jej wcześniejszą wiadomość.

– Muszę wam powiedzieć, co znalazłam – odparła. – Zresztą lepiej, żebym wam to pokazała. Ale potrzebuję także wsparcia. W moim samochodzie należy wymienić zawór EGR i udało mi się znaleźć tanią sztukę w Derby. Pojechałabym sama, jednak nie ufam swojemu autu. Tylko dzięki mnie taksówkarze jakoś funkcjonują w te święta.

– Nie możesz po prostu zawieźć go do warsztatu? – zapytałam.

Nie chodziło o to, że nie chciałam pomóc. Wyglądało mi to na zwyczajne zawracanie głowy. Ale Jen zawsze taka była, a moja reakcja stanowiła jedynie manifestację zazdrości.

– I zapłacić kilka dodatkowych stów za naprawę? Odpada. Zwrócę ci za benzynę. Zresztą mogłybyśmy wtedy spokojnie pogadać.

Uśmiechnęła się do mnie, a ja przytaknęłam. W ręce trzymała torbę na laptop, której wcześniej nie dostrzegłam. Kiedy wszedł Steve, położyła komputer na stole i go uruchomiła. Zaczęła coś pisać i klikać, a ja w tym

czasie opowiedziałam im o Strachanie. Rupesh wyglądał, jakby mnie nie słuchał. Jego zatroskany wzrok spoczywał na Jen.

– Dziwne, no nie? – odezwała się, nie podnosząc wzroku znad ekranu. – Chwileczkę, muszę coś znaleźć.

Odwróciłam się do Steve'a, licząc na coś więcej.

– Według mnie to czyni go teraz głównym podejrzanym.

– Ja też tak pomyślałam. – Uśmiechnęłam się z ulgą.

– Przysuńcie się do mnie i przygotujcie – poleciła nam Jen.

Zacisnęłam mocniej dłoń na kubku.

Obróciła ekran w naszą stronę.

– Ostrzegam, że to może być szokujące. Trochę trwało, nim udało mi się znaleźć ten filmik, ale wiedziałam, że na pewno krąży gdzieś w sieci.

Odtworzyła nagranie z telefonu komórkowego. Widać było błoto i trawę.

– To chyba nie... – zaczął Steve.

A jednak. Cholera. Nagranie samobójstwa z Manifestu. Miałam ochotę odejść od stołu, ale nie potrafiłam odwrócić wzroku.

Kamera zmieniła kąt i teraz nakierowana była na wysokie metalowe ogrodzenie trzy metry dalej. Zarejestrowała szum wiatru i niewyraźny głos. Albo znajdował się tam ktoś jeszcze, albo osoba nagrywająca była tak podekscytowana, że mówiła do siebie. Kamera przesunęła się w bok i przez krótką chwilę było widać w oddali grupę osób i radiowóz. Następnie znowu filmowano ziemię. Obraz się kołysał i raz na jakiś czas w kadrze pojawiał się szary but. Miałam nadzieję, że najgorsze już zobaczyliśmy. Nagle poprawiła się jakość dźwięku i kamera znowu się uniosła. Na ekranie mignął kawałek radiowozu. Ponownie metalowe ogrodzenie. Teraz pośrodku ekranu znajdowała się wisząca dziewczyna. Powiesiła się nisko na ogrodzeniu, stopami dotykała ziemi, kolana miała zgięte. Kamera zaczęła robić zbliżenie na jej twarz, jakby kąt ustawienia głowy i sposób, w jaki opadały ręce, nie były wystarczająco groteskowe. Z tak daleka nie

dało się złapać ostrości, ale to było bez znaczenia, bo Jen w tej chwili zrobiła pauzę. Przewinęła kilka sekund do tyłu i znowu zatrzymała.

– Proszę – powiedziała, pokazując na klapę skórzanej kurtki dziewczyny. – Naklejka. Cholerna naklejka Nirvany. Prawda, Steve? Uśmiechnięta buźka. Czy t o jest dla wszystkich wystarczającym dowodem?

– Och, Jen – jęknęłam.

– Teraz potrzebuję czegoś mocniejszego od kawy – oświadczył Steve i wstał od stołu.

Nagranie znowu zaczęło się odtwarzać, ale prezentacja Jen dobiegła końca. Jednak ja nie potrafiłam oderwać wzroku od ekranu. Wiatr poruszał krótkimi włosami dziewczyny. Coś było nie tak z jej ustami. Nie wyglądała spokojnie ani pogodnie, co czyniłoby jej śmierć bardziej znośną. Ta dziewczyna była nieruchoma. Martwa. I choć kiepska jakość wideo oszczędziła nam szczegółów, zamazana naklejka na klapie kurtki z całą pewnością przedstawiała logo Nirvany. Parę dni temu widziałam takie samo na półce w pokoju Willa.

Jen jeszcze nie skończyła. Rupesh przyniósł whisky, za co wszyscy byliśmy mu wdzięczni, a Jen pokazała zdjęcie w telefonie.

– Na wypadek gdyby ktoś pozostawał sceptyczny – zaczęła. – To prysznic w mojej łazience wczoraj wieczorem. Nie wiem, od jak dawna tam to jest, ale mama mówi, że po raz ostatni z tej łazienki korzystałam ja, kiedy odwiedziłam ich latem.

Na zdjęciu było widać górny róg drzwi kabiny prysznicowej. Jen nie musiała nawet robić zbliżenia, żebyśmy dostrzegli nieduży rysunek wykonany palcem na brudnej szybie. Logo Nirvany.

– O cholera – przeklął Steve. – Poważnie?

– Przecież sama tego nie narysowałam – zaperzyła się. Trzęsa się jej ręka, w której trzymała telefon. – Ktoś sobie z nami pogrywa. Ktoś był u mnie w domu. Will. Strachan. Ktokolwiek. To się dzieje naprawdę.

Wszyscy milczeli. Rupesh wstał i ją przytulił. Nakłonił do wypicia whisky ze szklanki, którą postawiła obok laptopa.

– Dzwoniłaś na policję? – odezwał się.

– Najpierw chciałam z wami porozmawiać. Bez was nie jestem w stanie tego wytłumaczyć. Ale teraz musimy iść na policję.

Tyle się działo, że nie było wiadomo, na czym się skupić. Coraz trudniej było nam zaprzeczyć, że ta śmierć ma związek z nami. Do tego jeszcze to, co zobaczyła Jen... Ktoś zdecydowanie z nami pogrywał.

Rupesh westchnął.

– Nie zrozumcie mnie źle. Rzeczywiście coś jest na rzeczy. Ta naklejka wydaje się niepokojąca, tyle że... – Wyprostował się i odstawił szklankę. – Często współpracuję z policją. Znam funkcjonariuszy z Marlstone. Z wieloma jestem na ty. Wiem, jak to zabrzmi, ale muszę myśleć o swojej reputacji. Zanim cokolwiek zrobimy, chcę na spokojnie to przedyskutować.

– To tchórzliwa postawa – oburzyła się Jen. – Może przecież chodzić o nasze życie.

– Nie mamy co do tego pewności. Twój pamiętnik to tylko jedno źródło. Niewykluczone, że Will wcale na nas nie dybie.

– W porządku, więc może chodzić o życie nasze lub kogoś innego. – Wzruszyła ramionami. – Wybacz, jeśli mój osąd zaburza fakt, że ktoś się włamał do domu moich rodziców.

– Jeśli na szali znajduje się życie kogoś innego, w takim razie nie uważam, że nasza moralna odpowiedzialność jest tak jednoznaczna, jak to przedstawiasz. Ludzie umierają, w mojej pracy to chleb powszedni. Chcesz uratować wiele istnień, to przekaz swój majątek na badania nad schistosomatozą. Ocalisz wtedy tysiące...

– Dla mnie to jasne – przerwała mu Jen. – Rupesh, mogłam zginąć.

– Mając na względzie twoją reputację, Rup... – zaczęłam.  
– Wysłuchajcie go – odezwał się Steve i uniósł protekcyjnie rękę.  
– Nie, to nie tak. Nie zdołam pewnie was powstrzymać – stwierdził Rupesh – ale ta naklejka... To był festiwal. Ludzie na festiwalach noszą takie ozdoby.

– Kto więc narysował te dwa logo Nirvany? – Jen nie dawała za wygraną. Usiadła na sofie, na prawo od Rupesha.

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

– Myślisz, że ja to zrobiłam? – warknęła.

– Tego nie powiedziałem. No ale przecież to nie było logo jakiegoś mało znanego zespołu w rodzaju... dajmy na to Academy Morticians. Kto nie słyszał o Nirwanie?

– W takim razie może powinniśmy obwinić o wszystko Adeline?

– Bo nie wydawałeś się przekonany, że to Strachan – dodałam.

– Rupesh tylko próbuje powiedzieć, że najpierw powinniśmy dysponować dowodami, a dopiero potem pójść na policję – zasugerował Steve.

– Wyraziłem się dostatecznie jasno, dzięki, Steve.

Steve uniósł ręce w geście rezygnacji. Wszyscy staliśmy się rozdrażnieni i nie było już miejsca na sceptycyzm w kwestii tego, że naprawdę coś się działo. Sprawą dyskusyjną pozostawał jedynie charakter tego czegoś.

– Jeszcze jedno – dodał Rupesh. – Jeśli wszyscy zjawimy się na komisariacie z tą szaloną historią, mało prawdopodobne, aby potraktowano nas poważnie.

Jen westchnęła.

– Skąd u ciebie tyle wątpliwości? Zresztą nie wydaje mi się, żebyśmy wszyscy musieli tam iść. Myślałam, że ktoś nas może reprezentować. Steve, ty będziesz umiał przekazać to w najlepszy sposób.

– Ja? – zdziwił się. – To ty dotarłaś do informacji.

– Jeśli zaczną kwestionować moje słowa tak jak on – wskazała głową Rupesha – nie gwarantuję, że się nie pogubię w zeznaniach.

– Mógłbym właściwie to zrobić – powiedział Steve. – Czy przynajmniej pójdziecie ze mną? – Zerknął na mnie ledwie zauważalnie.

– Ja pójdę – odezwałam się. – Możemy to zrobić jutro. Wolałabym teraz, ale myślę, że istnieje większa szansa na to, że jutro potraktują nas poważnie. – Uniosłam pustą szklanę.

– Zamierzacie jednak pójść? – zdziwił się Rupesh.

– A co, jeśli nam nie uwierzą, tak jak twierdzi Rupesh? – zapytał Steve. – Co wtedy? Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi czyjeś życie.

– Wtedy odbędziemy kolejną rozmowę – odparła Jen.

Napiliśmy się jeszcze. Wydawało się to czymś jak najbardziej na miejscu.

Kiedy Steve i ja wyszliśmy przed dom, żeby poczekać na zamówioną przez niego taksówkę, dochodziła jedenasta. Wydawało nam się, że słyszymy, jak Jen krzyczy na Rupesha. Przed wyjściem powiedziała mi cicho, że jeszcze zostanie. Zdenerwowała się na niego, ale nie mogłam jej się dziwić. Byłam wstawiona i nie miałam ochoty wracać sama po ciemku, wymyśliłam więc, że taksówka Steve'a może mnie wyrzucić po drodze. Urządziłam przedstawienie, zapewniając, że dotrę do domu na własną rękę, choć oboje wiedzieliśmy, że to tylko gra. Tak naprawdę nie chciałam zostawać sama. Nie teraz, kiedy dysponowaliśmy nowymi informacjami.

– Wiesz, w laptopie w hotelu mam jakieś stare filmy z Johnem Cusackiem – powiedział Steve.

– Naprawdę? Jestem jego fanką.

– Wiem, ale może wolisz wrócić do domu? Jutro ważny dzień.

– Masz rację – odparłam. – Tyle że nie chce mi się jeszcze spać.

Zdążyliśmy obejrzeć dziesięć minut *Nic nie mów* – do tego czasu wypiliśmy kolejną małą buteleczkę cierpkiego wina – nim zdjęłam Steve'owi

dżinsy i usiadłam mu na kolanach, uradowana malującym się na jego twarzy wyrazem zaskoczenia. Jakiś czas pozostaliśmy w takiej pozycji, tym razem w ogóle się nie spiesząc.

Koło piątej nad ranem po raz kolejny dałam sobie spokój z próbami zaśnięcia i zadzwoniłam po taksówkę. Brak snu był skutkiem przespania większej części wczorajszego popołudnia, alkoholu i awersji do nowych łóżek. Zostawiłam Steve'owi liścik, starając się go nie obudzić. Bolała mnie głowa i nie czułam się na siłach, żeby prowadzić uprzejmą rozmowę podczas odwożenia mnie, na co Steve nieuchronnie by nalegał, gdyby się zbudził. W domu przezornie obeszłam wszystkie pomieszczenia, zajrzałam nawet pod łóżko, po czym połknęłam dwa paracetamole i wślizgnęłam się pod kołdrę.

Steve przyjechał po mnie późnym rankiem. Do Nowego Roku pozostało już niewiele czasu.

– Widziałaś moją wiadomość? – zapytał, kiedy wsiadłam do jego octavii.

– Nie.

Podał mi swój telefon.

– Co to?

– Oddzwonił znajomy naszego kumpla Gaza – wyjaśnił. – Myślę, że można uznać, iż Will żyje. A jeśli nie, to że nie ma to związku z tym, co dotarło do uszu Gaza.

Na ekranie wyświetlała się strona, na którą wstawiano muzykę. Nigdy o niej nie słyszałam. Przy wizerunku osiołka widniały dwa utwory. Tytuł płyty brzmiał *Testament*, a wykonawcą był Will Geppetto R. I. P. Z lewej strony znajdowała się notka biograficzna.

Will Geppetto odszedł spokojnie we śnie. Pod jego łóżkiem znaleziono kilka kaset z jego ostatnim przesłaniem. Zostaną tu umieszczone ku pamięci. R. I. P., stary przyjacielu.

– Wygląda na to, że znajomy tego gościa zobaczył gdzieś stronę poświęconą Willowi – oświadczył Steve. – Odniosłem wrażenie, że to niezbyt bystry człowiek, chociaż może po prostu był narąbany, trochę więc trwało, nim udało mi się z niego coś wyciągnąć. I tak najważniejsze powiedział na samym początku.

– To znaczy?

– Przywitał mnie słowami, że nie zna Willa Oswalda, ale wie, o kogo mi chodzi, bo w swojej wiadomości wspomniałem o The Geppetos. Najwyraźniej wszyscy w Yorku znali go jako Willa Geppetto. Sprawdziłem w necie to hasło. Okazało, że po odsianiu takich perełek jak „Czy Geppetto zjednoczy się w końcu z Pinokiem?”, została tylko ta strona, która wygląda jak jakiś solowy projekt. Ten facet jakoś ją znalazł i uznał, że Will nie żyje, a inni mu uwierzyli.

Z westchnieniem oparłam głowę o fotel.

– Jakie to dziwne – dumalam. – Byłam przekonana, że Strachan to prawdziwy podejrzany.

– Niewykluczone, ale nie myślmy teraz o tym. Powiedzmy o wszystkim policji i zostawmy to w ich rękach. Wydaje mi się, że Strachan nie przyszedłby nam do głowy, nawet gdybyśmy nie zajęli się kwestią nieżyjącego Willa.

– Pewnie tak.

Miał rację i to także nie dawało mi spokoju. Dlaczego wcześniej nie braliśmy pod uwagę nikogo innego? Will był oczywistym kandydatem. Pomyślałam o Rupeshu i jego lekceważącym podejściu do tematu. Przedstawiłam Steve’owi swoją teorię, okraszając ją najdrobniejszymi szczegółami dotyczącymi Loch Ness, jakimi dysponowałam.



– Naprawdę go podejrzewasz? – zapytał z zaciekawionym.

– Mam w głowie mętlik. Jest to równie prawdopodobne jak wszystko inne, prawda?

Przez chwilę się zastanawiał.

– W sumie to może nawet nie jest taki zbieg okoliczności – stwierdził. – Pamiętam, że Will i tata Rupesha lubili rozmawiać o zjawiskach nadprzyrodzonych. I pewnie dlatego Will rzucił wtedy hasło „Loch Ness” jako miejsce zbrodni.

– Niewykluczone.

Coś w jego słowach mnie zaskoczyło. Zobaczył, że mu się przyglądam.

– No co?

– Nic – odparłam. Dokąd zmierzałam? – Po prostu zabrzmiało to tak, jakbyś sporo myślał o wybranych przez Willa lokalizacjach.

– O wszystkim sporo myślałem, a ty nie?

– No tak.

– Zastanawiałem się, czy nie wybrał przed laty tych miejsc dlatego, że lubił muzykę i to, co nadprzyrodzone, ale także z powodu zamiłowania do historii. Od Manifestu jest niedaleko do Muru Hadriana, Loch Ness i zamku Urquhart. Sensowne wydaje się również to, że do ostatniego zabójstwa ma dojść w Blythe. Przecież to miejsce historyczne. Za bardzo kombinuję?

Może i tak. A może ze mną było tak samo. Teraz, kiedy obsesyjnie zaczęłam podejrzewać innych, nie potrafiłam się opanować. Skoro mógł to być Rupesh, to czemu nie cholerny Steve? Czemu nie Jen, która namawiała mnie na popołudniową przejażdżkę sam na sam? Steve miał rację co do tego, że powinniśmy dać sobie spokój ze spekulacjami. Najwyższa pora, aby zajął się tym ktoś inny.

Parking przed posterunkiem policji w Marlstone okazał się niemal pusty. Steve zgasił silnik. Ujął moją dłoń i uścisnął.

– Robimy to, co należy – oświadczył. – A jeśli nic z tego nie wyniknie, przynajmniej będziemy mieli czyste sumienie.

Jeszcze raz uściskał mi dłoń.

Tak jak wiele starszych budynków w Marlstone posterunek policji wybudowano w czasach, kiedy ceniono funkcjonalność. W środku nadal można było dostrzec ślady estetyki lat siedemdziesiątych. W powietrzu unosił się zapach cytrynowego środka czyszczącego, a tablica ogłoszeń była pełna plakatów ostrzegających zarówno przed sekstingiem i cyberprzestępczością, jak i odwiecznymi niebezpieczeństwami – pływaniem w kamieniołomach czy bawieniem się na torach.

W poczekalni byliśmy sami. Siedzący przy biurku funkcjonariusz przywitał nas uśmiechem.

– To, co powiemy, wyda się naprawdę dziwne – zaczęłam.

– Och, jestem gotów się założyć, że nie tak dziwne, jak się pani wydaje – zapewnił.

Kiedy jednak opowiedzieliśmy całą historię, wplatając frazy w rodzaju „to wydarzyło się piętnaście lat temu” i „możliwe, że to rzeczywiście samobójstwa”, zmieniony wyraz jego twarzy wskazywał, że przegrałby zakład. Spisał nasze dane oraz nazwisko Willa, następnie poprosił, abyśmy zaczekali. Zwracał się do nas z rezerwą ukrytą pod płaszczkiem profesjonalizmu.

– Sprawdź nas – odezwał się Steve. – Willa także i przy odrobinie szczęścia znajdą go w kartotece, może z powodu pobytu w Wallgrove, a wtedy chętniej nas wysłuchają.

Dwadzieścia minut później przyszło do nas dwoje umundurowanych funkcjonariuszy i przedstawiło się jako posterunkowi Massey i Clarke. Na ich widok Steve zrobił dziwną minę. Zmierzył mężczyznę wzrokiem pełnym konsternacji, po czym zerknął na mnie, sprawdzając moją reakcję na fakt, że wysłano do nas tylko posterunkowych. Oczekiwaliśmy czegoś więcej, ale na razie musieliśmy się tym zadowolić.

Poproszono nas do niewielkiego biura tuż obok poczekalni. Tak blisko, że się cieszyłam, iż jesteśmy tu tylko my – cienkie drzwi na pewno nie stłumiłyby naszych rewelacji. Razem ze Steve'em usiedliśmy po jednej stronie stołu, naprzeciwko funkcjonariuszy. Posterunkowa Massey, szczupła i wyglądająca na surową, zadawała pytania; posterunkowy Clarke, korpulentny, młody, a już łysiejący, sporządzał notatki, rzadko podnosząc wzrok znad trzymanej na kolanach podkładki. Zaczęliśmy od wigilijnego spotkania, szoku wywołanego tym, że do tak podobnych zbrodni doszło w tym samym roku, podczas którego żadne z nas nie miało kontaktu z Willem.

– Od jak dawna nie widzieli się państwo z kolegą? – zapytała posterunkowa Massey.

– Ja odkąd byliśmy nastolatkami – odparłam. – To znaczy nie osobiście.

– Ja się z nim spotkałem – przyznał Steve. – Raz czy dwa przed paroma laty.

– Mogą państwo opisać jego wygląd?

– Ma jasne włosy i mniej więcej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu – sprecyzował Steve. – W niedalekiej okolicy mieszkają jego rodzice i możliwe, że dysponują aktualnym zdjęciem.

Opowiedzieliśmy o tym, co wiemy na temat zdrowia psychicznego Willa, o tym, co wyjawiał nam Monks, o Yorku, o prawdopodobnym związku Willa z dwoma samobójstwami.

– York to duże miasto – stwierdziła posterunkowa Massey, odgrywając rolę adwokata diabła. Wykonywała po prostu swoją pracę. – Mój brat tam studiował.

– Jasne – przytaknął Steve. – Ja też mam różne powiązania z Yorkiem. Pewnie jak wielu. Ale to przecież nie ma znaczenia, prawda? To jedynie potwierdza, że Will mógł to zrobić. I z tego, co udało nam się dowiedzieć, przebywał w okolicy mniej więcej w tym samym czasie co te dziewczyny.

Opowiedzieliśmy następnie o Wallgrove i naklejkach. W końcu to ich zainteresowało.

– Skąd państwo wiedzą, że na ubraniach ofiar znajdowały się naklejki? – przerwał nam posterunkowy Clarke.

– Nie wiemy – odparł Steve nieco poirytowany. – Liczyliśmy, że można to sprawdzić w systemie. Pewność mamy tylko w przypadku jednej zmarłej.

– Może pan doprecyzować, skąd pochodzą te informacje? – zapytała posterunkowa Massey.

– Nasza koleżanka prezentuje podejście w stylu Scooby-Doo... Cóż, w pewnym stopniu my wszyscy. Myślę, że ona zbyt mocno wczuwa się w rolę detektywa. – W głosie Steve'a słychać było zdenerwowanie. – Dowiedzieliśmy się, że istnieje nagranie z tą biedną dziewczyną z Manifestu, no i naszej koleżance udało się je znaleźć, co oczywiście było dla nas szokujące.

– Widzieli państwo nagranie z jedną ze zmarłych osób?

– Nie mieliśmy wyboru – odezwałam się. Nie podobał mi się ton policjantki. – I powinnam dodać, że to nie była byle jaka naklejka. To była naklejka z logo Nirvany, taka sama jak ta, którą widziałam na półce w dawnym pokoju Willa. Chociaż inne ozdoby też tam miał.

Nie szło nam źle, przynajmniej byli zainteresowani i nas nie wyśmiali. Nagle posterunkowa Massey zapytała z nutką niepokoju w głosie:

– Czy kontaktowali się państwo z rodziną ofiary? Pytam, dlatego że to coś, co detektywowi amatorowi mogłoby przyjść do głowy.

– Nie – zapewniłam. – Żadne z nas nie uznało tego za dobry pomysł. – Oczywiście z wyjątkiem Jen.

Posterunkowa Massey spojrzała na kolegę, który nadal miał spuszczonego wzrok.

– A czy ktoś brał coś takiego pod uwagę? – odezwał się posterunkowy Clarke.

– Niezupełnie – odparł Steve. – Po prostu rozmawialiśmy o tym. Przed przyjściem tutaj dyskutowaliśmy o wielu rzeczach.

– Nie powinni państwo kontaktować się z bliskimi ofiar – oświadczyła surowo policjantka. Nie trzymała naszej strony. Ani trochę.

Oczywiście przekonywały ich uśmiechnięte buźki. Stanowiły dowód na to, że ktoś z nami pogrywa. Właściwie można je było uznać za groźby.

– Czy państwa koleżanka zadzwoniła na policję, kiedy po raz drugi natknęła się na logo? – zapytał posterunkowy Clarke.

– Nie. Najpierw chciała omówić to z nami – warknął po raz kolejny Steve.

– Cóż, gdybym to ja rzeczywiście uważał, że ktoś włamał mi się do łazienki i zostawił zaszyfrowaną wiadomość, od razu złapałbym za telefon – oświadczył policjant.

Posterunkowa Massey przytaknęła.

– Ona nie była pewna – odezwałam się. – Nie przyłapała przecież tego kogoś na gorącym uczynku. Dziwne jednak to wszystko, prawda?

– Prawda – przyznała posterunkowa – ale według psychologów ludzie mają tendencję do dostrzegania tego, czego szukają. A Nirvana to dość popularny zespół, nawet teraz, choć nie jestem w stanie tego zrozumieć.

– O czymś jeszcze chcą nam państwo powiedzieć? – zapytał posterunkowy Clarke.

– Chyba wiemy, kiedy i gdzie dojdzie do kolejnego zabójstwa – nieśmiało odparł Steve.

– To znaczy o ile to rzeczywiście zabójstwo – uzupełniłam.

– Tak? – zainteresowała się posterunkowa Massey.

– W pamiętniku naszej koleżanki jest napisane, że w okolicach Blythe – wyjaśnił Steve.

– Rozumiem. – Posterunkowy Clarke wyglądał, jakby tylko udawał, że wszystko zapisuje. Ci dwoje z pewnością nieźle się naśmieją po naszym wyjściu. – I wiadomo, kiedy do tego dojdzie?

- Uważamy, że w sylwestra – odparł Steve.
- O tym też jest wzmianka w pamiętniku?
- O tym akurat nie. To coś, co utkwilo nam w pamięci – wtrąciłam.
- Tak naprawdę może do tego dojść w każdej chwili w ciągu trzech następnych dni. Pod warunkiem, że już nie doszło.

Posterunkowa Massey potrząsnęła lekko głową. Wtedy dotarło do mnie, że błędnie oceniliśmy wagę dowodów. Przez to, że znaleźliśmy Willa, początkowo wszystko wydawało się takie logiczne. Ale nie było możliwe, żebyśmy przedstawili funkcjonariuszom charakter i zachowanie Willa oraz powody, dla których nasza wersja wydarzeń miała sens. Niektóre rzeczy stały się oczywiste tylko dzięki temu, że w przeszłości spędziliśmy z nim mnóstwo czasu, że osobiście znaleźliśmy tego wycofanego grabarza zwierząt, ubarwiającego naszą przyjaźń swoimi dziwactwami. Siedzieliśmy tutaj i staraliśmy się przebić głową mur.

– Martwimy się, że zdążył już kogoś porwać – dodał Steve. – O ile nie chodzi mu o nas. Czy możemy prosić o interwencję?

– Przychodzi państwu na myśl powód, dla którego miałyby się teraz dopuścić zbrodni? – zapytała posterunkowa Massey. – Co jest jego motywacją?

– Motywacją jest to, że przed laty powiedział, że tak zrobi – wyjaśnił Steve. – On dotrzymuje słowa. A może coś w nim pękło. Może nigdy nie był do końca normalny. Może od zawsze to planował, ale dopiero kiedy w szpitalu poznał osoby ze skłonnościami samobójczymi, wpadł na pomysł, w jaki sposób tego dokonać i uniknąć odpowiedzialności. Zresztą pewnie myślał, że wyświadczy tym ludziom przysługę. Nie wiem.

– Niewykluczone, że katalizatorem było nasze spotkanie po latach – wtrąciłam. – Pod koniec zeszłego roku umówiliśmy się na nie i mniej więcej w tym czasie zaginął po Willu ślad.

– Myślę, że powinni państwo zachować ostrożność podczas spekulowania na temat zdrowia psychicznego przyjaciela – oświadczyła

posterunkowa Massey, patrząc mi prosto w oczy. – Wspomniała pani, że zawodowo zajmuje się nagrywaniem podcastów.

Owszem, tak powiedziałam, bo Xan w końcu mnie przekonał, że mogę być dumna ze swojej pracy. Teraz żałowałam, że nie ugryzłam się w język.

– Mhhmm.

– Nie nagrywa pani przypadkiem podcastu na ten temat?

– Nie. Moje podcasty są poświęcone starym filmom.

– Cóż, chciałam się tylko upewnić. Wiem, że programy o prawdziwych przestępstwach są teraz popularne. – Spojrzała na kolegę, a ten mruknął potakująco.

– Będę z państwem szczery – odezwał się posterunkowy Clarke. – Mamy ograniczone możliwości w kwestii tego, co da się zrobić, jeśli zbrodni jeszcze nie popełniono.

– Ale my przecież cały czas mówimy o tym, że już popełniono. – Steve wskazał podkładkę na kolanach policjanta, wreszcie dając upust frustracji.

– Tak, rozumiemy. Ale jako że trzeba by w to zaangażować nie tylko lokalną policję, potrzebujemy czasu, by skontaktować się z właściwymi posterunkami.

– A co z włamaniem? – denerwował się Steve.

– Państwa koleżanka może je oczywiście zgłosić – odparła posterunkowa Massey.

– Czy policja jest w stanie coś zrobić? – zapytałam. – Cokolwiek? A jeśli Will rzeczywiście na nas poluje?

– Sugeruję zachowanie czujności, ale na razie mamy związane ręce. – Policjantka spojrzała mi w oczy. – Rozumiem państwa reakcję, ale to wszystko może być zwyczajnym zbiegiem okoliczności. Państwa znajomy mógł się nie zjawić na spotkaniu dlatego, że nie miał na nie ochoty. Wiem, że przykro jest brać pod uwagę taką wersję, ale my musimy. A w swojej pracy stykamy się z wieloma samobójstwami, z wieloma chorymi ludźmi, którym wyobraźnia płata figle. Są nawet poświęcone temu strony

internetowe, dojmująco smutne. Zrobimy, co w naszej mocy, ale z braku innych dowodów... – Urwała i zerknęła na kolegę.

– Tylko tyle? – zapytał Steve.

– Dziękujemy za przekazanie nam tych informacji. – Policjantka wstała i wyciągnęła rękę. – Jeśli pojawią się nowe okoliczności, wtedy przeanalizujemy raz jeszcze to, o czym się dowiedzieliśmy. I proszę się odezwać, gdyby przyszło państwu do głowy coś bardziej... konkretnego. Na państwa miejscu odpuściłabym jednak działania w stylu Scooby-Doo, zwłaszcza w odniesieniu do rodzin ofiar.

Wzdrygnęłam się. Steve chyba czytał w moich myślach, bo posłał mi spojrzenie mówiące, że napomknięcie teraz o Strachanie wcale nie okazałoby się pomocne.

– Czy to możliwe, że któryś z państwa znajomych robi sobie żarty? – zapytał posterunkowy Clarke. Miał problem z utrzymaniem powagi.

Spojrzenie, jakim spiorunował go Steve, u innych wywołałoby odpowiednią reakcję. Policjant nawet nie drgnął.

Kiedy wracaliśmy do samochodu, Steve oświadczył:

– W ogóle nie potraktowali nas poważnie. Nie rozumiem, dlaczego się spodziewaliśmy, że będzie inaczej. I ta jego gadka. Dobrze znam powód.

Jego gadka?

Nie zdążyłam się zorientować, kogo dotyczyła ta uwaga, a już dotarliśmy do auta. Steve od razu przekręcił kluczyk w stacyjce, a nim zapięłam pasy, wyjeżdżaliśmy z parkingu.

– Ten policjant, Clarke. Chodziłem z nim do szkoły. Jego tata był gliniarzem i przypominam sobie, że Clarke zawsze wymyślał szalone historie o tym, co mu się przytrafiło. To on mi doniósł o tych rzekomych porwaniach na terenie Midlands. Pamiętasz? – Nie pamiętałam. – Trochę się z niego nabijaliśmy. Podpuszczaliśmy go: czy twój tata zastrzelił kiedyś



kogoś? I tym podobne. Jestem pewny, że mnie poznał. W młodości nie darzył mnie sympatią.

– Rzeczywiście wydawałeś się trochę podenerwowany.

– Nie byłem podenerwowany. Czułem się jak idiota. Wiedziałem, że mogę powiedzieć cokolwiek, a on i tak nie potraktuje nas poważnie. – Uderzył dłonią w kierownicę. – Założę się, że zobaczył moje nazwisko i domyślił się, że to ja, jeszcze zanim zaczęliśmy rozmawiać. Uznał, że się na mnie odegra.

– Daj spokój, minęło tyle lat. Wątpię, żeby cię skojarzył. – To było mało pocieszające, zważywszy na wszystko, przez co przeszliśmy.

– Nie znasz go – rzucił Steve i westchnął. – Przekażesz pozostałym, jak nam poszło?

Kiwnęłam głową i wyjęłam telefon.

Kiedy po południu zabrałam Jen spod domu jej rodziców w Marlstone, wielkiego budynku imitującego styl Tudorów, odniosłam wrażenie, że wypijała za dużo kawy. Albo coli. Gestykulowała jak dyrygent i wyrzucała z siebie słowa tak szybko jak nastolatka w wieczór studniówki.

– W takim razie musimy zdobyć więcej dowodów – powtórzyła parę razy, gdy pokazywała mi na mapie, dokąd mamy jechać po część do jej samochodu. – Rupesh uzna teraz, że ma rację i że kompletnie mi odbiło. On nigdy nie dostrzega niebezpieczeństwa. Jest zbyt niewinny, zawsze taki był. Według mnie to przez swoją mamę nabrał zwyczaju wierzenia w to, że wszystko będzie dobrze, bo przecież ciągle żył w strachu, że pewnego dnia ona się zabije, no nie? To smutne, ale kiedy kocha się takiego faceta, bardzo trudno jest się do niego przebić. Potrafisz sobie to wyobrazić?

Czy potrafiłam? Niewykluczone. Nie zdawałam sobie natomiast sprawy z tego, że Jen była przejęta reakcją Rupesha na nią w takim samym stopniu

jak morderstwami, a może nawet i bardziej. Powód takiego zachowania stał się nieco bardziej zrozumiały, kiedy wyznała:

– Przespaliśmy się. Tak, tego ranka, gdy przyjechałaś i mnie tam zastałaś. Dziwnie było. W dobrym znaczeniu tego słowa. Ale jednak dziwnie.

Nie wiedząc, jak na to zareagować, opowiedziałam jej o sobie i Stevie.

– W sumie to było do przewidzenia – orzekła. – Kiedy zjawił się tamtego wieczoru, było oczywiste, że jesteście bratnimi duszami.

– Tak sądzisz?

– Z zewnątrz tego nie widać. Jesteście jak metal i magnes. Zawsze tak było.

– Świadomość, że pewne rzeczy się nie zmieniają, jest krzepiąca, prawda? – Zamyśliłam się.

Jen przez chwilę analizowała moje słowa.

– Owszem, ale przez to można się czuć tak, jakby ktoś nas zaprogramował, no nie? Jeśli podobają nam się ci sami ludzie, co wtedy, kiedy mieliśmy czternaście lat, to oznacza, że w ogóle nie mamy nad tym kontroli. Wydaje nam się, że sami o sobie decydujemy, a tak naprawdę rządzi nami siła wyższa. Will pewnie po prostu wiedział, że zostanie seryjnym zabójcą. No wiesz, myślisz, że potrafisz coś zmienić, bardzo się starasz, a okazuje się, że nie jesteś w stanie.

Zapytałam ją, co sądzi o Strachanie, ale domyślałam się, jaką usłyszę odpowiedź.

– Nie czujesz tego, Adeline? To Will. Will i już.

Czterdzieści minut później wjechałyśmy do miejscowości przypominającej Blythe, leżącej w szczerym polu w niedalekiej odległości od dużego miasta. Ta może była ciut większa, ale podobnie jak Blythe nie miała ani dworca, ani przystanków autobusowych. Wszystkie domy, bliźniaki z czerwonej cegły, swego czasu prawdopodobnie zamieszkiwała służba z ogromnej rezydencji, którą minęłyśmy przy wjeździe do

miasteczka. Pomiedzy kolejnymi zdaniem i Jen udzielala mi wskazówek, dokąd jechać.

– Naprawdę uważam, że to świetny temat na podcast – oświadczyła. – My szukający Willa, Will nieżywy, potem jednak żywy. Policja nam nie wierzy, bo jeden z posterunkowych ma żal do Steve’a. Ciąg dalszy nastąpi. Nie wspominając o Strachanie, bo to materiał na cały odcinek. No i ja znajdująca te wszystkie wskazówki.

– Może i tak. – Nie spodobał mi się ten pomysł. Podcasty to coś, przy czym mogłam się wyżyć, odprężyć. Wystarczyła niecała godzina w samochodzie z Jen i czułam się wykończona.

– Wiem, że „Szczypta nostalgii” jest popularna... Skręć w lewo... Ale to może być coś wielkiego, o zasięgu międzynarodowym. Może nawet powstać program dokumentalny albo coś w tym rodzaju.

– A nie film fabularny? Mogłabyś zagrać siebie.

– Akurat. Taka ze mnie aktorka, że w ciągu dziesięciu lat przypadła mi jedna rola. Mój agent zrezygnował ze mnie, nie mówiłam tego przy reszcie. Jestem już za stara.

– Laura Linney miała trzydzieści cztery lata, kiedy dostała pierwszą znaczącą rolę.

– Jesteś kochana – powiedziała Jen. – A kto to? Już gdzieś słyszałam to nazwisko... Nieważne, skręć zaraz w prawo. Zrozumiałam jedno: bycie aktorką... to marzenie czternastolatki. Czemu nadal za nim podążam? Bo kiedyś sobie obiecałam, że się nie poddam. Dotrzymuję więc obietnicy z dzieciństwa. Zabawne, jeśli się nad tym zastanowić. Pielęgnuje się te wszystkie młodzińcze pragnienia i żeby je spełnić, trzeba naprawdę ogromnego samozaparcia. Ja pasuję. Jeśli mam odnieść w życiu sukces, to na pewno nie w zawodzie aktorki.

Nie zapytałam jej, co oznacza „odnieść sukces” i w jaki sposób współgra to z odsunięciem na bok marzeń z dzieciństwa.

– Jesteśmy prawie na miejscu. Zaparkuj na tej ulicy. Oczywiście musimy znaleźć Willa, by mieć porządne zakończenie. Najlepiej zanim zrobi komuś krzywdę. To ważne.

– Prawda, ale co więcej możemy zrobić?

– Mam kilka pomysłów. Ale to naprawdę ważne, Adeline.

– Tak.

Uśmiechnęła się.

– Zatrzymaj się.

Zaparkowałyśmy naprzeciwko farmy, na drodze dojazdowej do osiedla. Wiele mijanych wcześniej domów wyglądało na ekskluzywne, te jednak były podupadłe i nędzne i podejrzewałam, że to mieszkania komunalne.

Pierwszym sygnałem, że coś jest nie tak, było naleganie Jen, abym jej towarzyszyła. Kiedy tak szłyśmy, a ona co rusz zerkała na wyświetlacz telefonu, mój niepokój zaczął rosnać. Czemu nie zaparkowałyśmy gdzieś bliżej? W końcu weszłyśmy na podwórko przed jednopiętrowym domem pokrytym tynkiem kamyczkowym. Na trawniku stała zardzewiała lodówka, a z otwartego okna na piętrze dudniła muzyka.

– Ufasz mi, prawda? – zapytała Jen, a mnie na chwilę zabrakło tchu.

– Jen, co my...

– Nie martw się. Pamiętaj, to jest ważne. I rób to co ja.

Zapukała, nim zdążyłam zareagować – uciec od tego szaleństwa, w które wdepnęłam – i chwilę później drzwi otworzył chłopak, na oko dziesiętnastoletni, ze śladami po trądziku na policzkach i wokół ust, w koszulce angielskiej drużyny piłkarskiej.

– Hej, czy to ty jesteś Chris? – odezwała się Jen. Ton jej głosu stał się nagle niezwykle profesjonalny. – Chris Kuzmowski?

Chłopak zlustrował nas obie wzrokiem i się uśmiechnął.

– Aha.

Kuzmowski. Cholera, to nazwisko tej dziewczyny z Loch Ness. Nie mogłam się ruszyć, myśleć ani oddychać. Jen namierzyła jej rodzinę

i zaciągnęła mnie tu ze sobą. Nie wiedziałam, co robić.

– Moja koleżanka i ja robimy podcast...

Tego już było za wiele!

– ...o człowieku, który według nas może być seryjnym zabójcą. Moja koleżanka to dość znana podcasterka i...

– Chwileczkę – wszedł jej w słowo i uśmiech zniknął mu z twarzy. Wyglądał teraz, jakby dotarło do niego, że ten dzień nie okaże się w żadnym razie szczęśliwy. – To ty jesteś tą cholerną wariatką z Facebooka.

– Posłuchaj, Chris, to naprawdę ważne. Musimy dowiedzieć się czegoś o śmierci twojej siostry. Chodzi o ludzkie życie i...

– Jesteś nienormalna. I wyglądasz starzej niż na zdjęciu.

Nawet w tych okolicznościach dla Jen stanowiło to zniewagę. Wzięła się jednak w garść i powiedziała:

– To było jedynie standardowe dziennikarskie podejście.

– Daję wam pięć sekund, nie, trzy, żebyście się odwaliły ode mnie. Wynocha albo wezwę gliny.

– Przepraszam – odezwałam się, ale on zamykał już drzwi. I pomimo bojowej postawy miał w oczach strach.

– Proszę, Chris, pomóż nam – rzuciła Jen.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, ale jej to nie powstrzymało. Waliła w nie pięściami. Chwyciłam ją za ramię i odwróciłam w swoją stronę.

– Co ty wyprawiasz, Jen?

– On musi z nami porozmawiać, Adeline. Skoro policja nie chce nam pomóc, to sami sobie poradzimy.

– Postradałaś rozum?

Głupie pytanie. W tej sytuacji mogłam zrobić tylko jedno: zaczęłam się oddalać. Zawołała za mną, ale prędzej by piekło zamarzło, niż wzięłabym w tym dalszy udział. Źle skręciłam. Zgubiłam się. Spanikowałam na myśl o tym, co może się stać, jeśli policja aresztuje nas za to, że tu przyszliśmy.

Po niemal dziesięciu minutach w końcu dotarłam do samochodu. Jen siedziała na masce. Płakała.

– Przepraszam, Adeline – chlipnęła.

Wsiadłam do auta. Miałam wielką ochotę odjechać bez niej, ale ona bez słowa zajęła miejsce pasażera. Ruszyłam w drogę powrotną i przez cały czas zerkałam w lusterko wsteczne, wypatrując w oddali policyjnego koguta.

Starła się go zwieść zdjęciem profilowym na Facebooku, na którym była młodsza i nieźle odstawiona. Niczym łowczyni facetów. Wysłała mu zaproszenie do grona znajomych, które zaakceptował, następnie napisała wiadomość, że jest aktorką rozbudowującą grupę fanów. Zadawała jednak zbyt wiele pytań, wystraszyła go, a kiedy nie dawała za wygraną, on w ogóle przestał jej odpisywać.

– Jen, to szaleństwo – oświadczyłam. – To przecież stalking. No i jeszcze zabrałaś mnie tam bez uprzedzenia.

– Wiedziałam, co sobie wszyscy pomyślicie – jęknęła. – Wiedziałam, że będziecie mnie próbowali zbyć. Żadne z was nie traktowało tego z należytą powagą. Tylko ja. – Znowu się rozplakała. – Jesteście jak Andrea, wszyscy uważacie, że żyję w świecie fantazji.

– Nikt z nas tak nie myśli – zaprotestowałam. – Ale to, co właśnie zrobiłaś...

– Wiem. Odpłynęłam do swojego świata fantazji, sądząc, że rozwiążemy tę cholerną sprawę i nagramy o tym własny podcast. Taka jest właśnie twoja koleżanka, Adeline. Ale oferma ze mnie, żałosna oferma.

– Wcale nie – zaprzeczyłam. Próbowałam załagodzić sytuację. – Jestem pewna, że uważałaś, że robisz to, co należy.

Potaknęła.

– Tak, chodzi przecież o czyjeś życie, Adeline. A Rupesh zachowuje się tak... tak jak zawsze. Boże, mina tego chłopca. Nie był wiele starszy od moich uczniów.

– Myślę, że powinniśmy się nieco od tego zdystansować – stwierdziłam.

– Aha. – Wydawała się już spokojniejsza.

– I zastanowić, co dalej.

Jechałyśmy w milczeniu. Droga ciągnęła się w nieskończoność.

Gdy zatrzymałam się pod domem rodziców Jen, ta uściskała mnie i pocałowała w policzek.

– Kiedyś mi powiedziałaś, żebym nie pomyliła dorastania z poddawaniem się. Pamiętasz? – zaczęła. – Uważałaś, że jeśli wystarczająco się wysilimy, uda nam się nie dopuścić do tego, żebyśmy stali się tacy jak znani nam dorośli, z pracą na etacie, kredytem i... Wtedy to miało sens, teraz jednak nie przypominam sobie, czego się tak baliśmy.

Wysiadła z samochodu i weszła do domu.

Wyjęłam z torby telefon, żeby poinformować pozostałych o tym, co się wydarzyło, i nie zauważyłam, że ktoś wyszedł z budynku. Moją uwagę zwróciło dopiero pukanie w szybę. Opuściłam ją. To była Andrea, starsza i nieco bardziej toporna wersja Jen.

– Co się stało? – zapytała.

No i co ja miałam powiedzieć? Prawdę? Częściową prawdę? Ani słowa prawdy?

– Wyplakuje sobie oczy – dodała.

– Szczerze mówiąc, mnie też zabiła klina – przyznałam. – Coś ją wytrąciło z równowagi i nie chciała powiedzieć co. Podrzuciłam ją do domu. Jestem koleżanką sprzed lat.

– Pamiętam cię z Blythe. Byłaś tą małą gotką. Przepraszam, że tak cię wypytuję, po prostu się o nią martwię. Przez całe święta siedziała w swoim

pokoju albo rozmawiała przez telefon.

– My jedynie nadrabialiśmy zaległości – wyjaśniłam, po czym dodałam: – Choć rzeczywiście nie wydawała się sobą.

– Przypuszczam, że wiesz o tym, co jej się przytrafiło – zaczęła ostrożnie Andrea. – Powiedziała ci o szkole?

– Nie.

– Latem zerwała zaręczyny. Poza tym może stracić pracę. Na początku semestru została zawieszona.

Była zaręczona. Czemu nic nie powiedziała?

– Zawieszona? – zapytałam, nie mogąc się powstrzymać. – Co ona zrobiła? Coś poważnego?

– O tak. Zatrzymała grupkę dzieciaków za karę po lekcjach za to, że odegrały przedstawienie poświęcone temu, jak wspaniałe jest Państwo Islamskie. Pokazała im kilka znalezionych w internecie nagrań z prawdziwych egzekucji, żeby je przestraszyć i żeby przejrzały na oczy. Nie skończyło się to dla niej dobrze.

– O cholera.

Andrea zaśmiała się ponuro.

– Co za zaskoczenie – rzuciła. – Poza tym wszystko w porządku? Nic się nie dzieje? Kiedy ją pytamy, nic nam nie chce powiedzieć.

Uspokoiliam ją, że jesteśmy tylko przyjaciółmi sprzed lat, którzy równie mocno się o nią martwią, po czym pożegnałam się i wróciłam do Blythe. Dopiero w domu zobaczyłam, że zarówno Rupesh, jak i Steve zostawili wiadomości na grupie. Zadzwoiłam do obu i opowiedziałam ogólnie o tym, co się stało, następnie pojechałam do domu Rupesha.

Dochodziła dziewiętnasta. Rupesh znowu był w pracy dłużej, tym razem odrabiał drugi dzień świąt. Nie zdążył się jeszcze przebrać, a już raczył się whisky. Zaczął padać deszcz.



– Liczę, że teraz rozumiecie, czemu hamowałem swój entuzjazm wobec tego wszystkiego – rzekł. Siedzieliśmy we troje w salonie, a ja skończyłam im właśnie przedstawiać nieco bardziej szczegółową wersję dzisiejszych wydarzeń. – Jen i ja sporo ze sobą rozmawiamy poza grupą i zacząłem się martwić. Część tego, co mówiła... Prawdę mówiąc, głupio się czuję, bo przecież powtarzała mi, że planuje odnaleźć krewnych, a ja ignorowałem jej słowa, uważając je za absurdalne. Myślałem, to znaczy miałem nadzieję, że ona jedynie rozpracowuje to wszystko. Wiecie, co się z nią działo w ostatnim czasie?

Wyjawiłam im, czego się dowiedziałam od Andrei.

– Otóż widzicie – stwierdził Rupesh. – Już wcześniej nie była w najlepszej formie, a teraz jeszcze to.

Steve westchnął.

– Co teraz robimy? Policja nie wykazuje zainteresowania, Jen jest na prostej drodze do wsadzenia nas wszystkich za kratki. Przypuszczalnie nie zmienia to naszej sytuacji. Co dalej? Czekamy, by się przekonać, czy Will zabije kogoś w Blythe albo zapuka do naszych drzwi?

– Nie przyszło wam do głowy, że za częścią tych wydarzeń może stać Jen? – zapytałam. – Uśmiechnięte buźki. Chodzi mi o to, że na każdym etapie to ona szła tym tropem, a my podążaliśmy za nią.

Steve wydawał się przybity, a Rupesh milczał.

– Rozważałem taki scenariusz. Ale nie wydaje mi się to prawdopodobne. – Rupesh się zamyślił. – Nie, nie wydaje mi się. Muszę wam o czymś powiedzieć i sądzę, że to nas zbliży do zakończenia tego wszystkiego. Dla Jen może się to okazać naprawdę korzystne.

Dolał sobie whisky, następnie nachylił się i oparł łokcie na kolanach. Przybrał pozę gawędziarza.

– Tego pierwszego wieczoru, kiedy się spotkaliśmy, znalazłem w systemie naszej przychodni adres rodziców Willa, ale żadnych akt dotyczących samego Willa. Nic w systemie lokalnym, nic w systemie

krajowym. Oczywiście można nie wyrazić zgody na figurowanie w systemie krajowym, ale to interesujące, że nigdzie nie pojawiła się nawet wzmianka o historii jego zdrowia psychicznego. Interesujące, ale nie niemożliwe. Zwłaszcza jeśli się posługiwał innym nazwiskiem.

Wiedziałam już, do czego zmierza.

– Sprawdziłeś Willa Geppetto?

Rupesh przytaknął.

– Nie mogłem zrobić tego na miejscu, bo w szpitalu mamy ograniczony dostęp do danych. Ale spółka, która obsługuje godziny nadliczbowe w Marlstone, korzysta z własnej, dedykowanej bazy. Mniej w niej informacji, ale zabezpieczenia są kiepsciutkie, więc w wolnej chwili między pacjentami wyszukałem Willa Geppetto. Wasz znajomy z Manchesteru mówił, że Will rozważa powrót do Birmingham, no i proszę bardzo, jeden wpis z ubiegłego lata. Oczywiście nie mogę wam powiedzieć, jak brzmiała diagnoza, ale zapewniam, że nie miała żadnego związku z tym, co nas interesuje, typowe problemy przeziębieniowe. Ale pojawił się adres. Sparkbrook.

Przez chwilę milczeliśmy, w końcu odezwał się Steve:

– Will mieszka w Sparkbrook. Po tym wszystkim.

– Zdobyliśmy adres Willa – dodałam.

– Zakładając, że nie skłamał – zastrzegł Rupesh. – Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby tam pojechać i się dowiedzieć.

– Chwileczkę – wtrąciłam. – Pojechać? – Po dzisiejszym popołudniu nie uśmiechało mi się pukanie do kolejnych drzwi.

– A jakie mamy wyjście, skoro policja nie jest zainteresowana? Ewentualnie możemy nie robić nic. Ale po tym, jak wszyscy mnie przekonywaliście, że bym brał to na poważnie, zakładam, że ta opcja nie wchodzi w grę. – Czekał na reakcję, jednak oboje się nie odezwaliśmy. – Niekoniecznie zależy mi na konfrontacji, ale chciałbym spojrzeć mu teraz w oczy. Załóżmy, że rzeczywiście jest mordercą. Być może nasze

odwiedziny wystarczą, by zniechęcić go do hipotetycznego trzeciego zabójstwa. Zasieją w nim ziarno wątpliwości.

– W sumie moglibyśmy od niechcenia wspomnieć o jego szale zabijania, tak jak to zrobiliśmy tamtego wieczoru – przyznałam. Byłby to najmniej konfrontacyjny sposób. – „Ha, ha, pamiętasz, jak to powiedziałeś? Niezła beka”. Po to, żeby wytrącić go z równowagi.

– Tak.

– Nie chcę psuć zabawy – odezwał się Steve – ale czy pojawienie się u niego nie sprawi, że to my znajdziemy się w centrum zainteresowania? A może wszystko zaplanował i się nas spodziewa?

– Owszem, istnieje takie ryzyko – zgodził się Rupesh. – Sporo o tym myślałem i jeśli tam nie pojedziemy, to nasze możliwości są ograniczone. Możemy wysłać mu anonimową wiadomość z informacją, że znamy jego plany. Will jednak wie, że się spotkaliśmy i że tylko my podejrzewamy go o zabójstwa, Stąd nasze bezpośrednie zaangażowanie. Moglibyśmy też śledzić go i czekać, aż przyłapiemy go na gorącym uczynku. Może nawet spróbować to nagrać? W tym przypadku ryzyko także jest duże, ale zajęłoby to sporo czasu i mogłoby do niczego nie doprowadzić. Żadne z nas nie jest detektywem. Nie wyobrażam sobie nawet, jak byśmy mogli robić coś takiego na poważnie. No a jeśli tylko tak da się udowodnić jego zbrodnie, sami narazilibyśmy się na wielkie niebezpieczeństwo bez szans na uratowanie kogokolwiek. Nie, zjawienie się u niego, powiedzenie, że myśleliśmy o nim i chcieliśmy go zobaczyć, pójście razem na drinka i subtelne poruszenie tematu zabójstw teoretycznie niosą ze sobą niewielkie ryzyko i pozwoliłyby obserwować jego reakcję. Mielibyśmy wtedy poczucie, że rzeczywiście próbowaliśmy interweniować. Gdyby się okazało, że to wszystko to coś więcej niż zbiorowa fantazja.

– Sądziłem, że według ciebie moralność nie jest jednoznaczna – stwierdził Steve. Mrużył oczy, jakby rozwiązywał w myślach skomplikowane równanie.

– Uważam, że zrobienie tego w taki sposób obarczone jest niewielkim ryzykiem i może przynieść oczekiwany skutek – wyjaśnił Rupesh. – To kalkulacja. Ale bez względu na to, co zrobimy, nie chcę, by jechała z nami Jen. Tak między nami, martwię się jej ewentualną reakcją.

Nikt tego nie zakwestionował, lecz Steve zauważył:

– Wkurzy się, jeśli ją wykluczemy. Zdążyła już napisać na grupie, że chce się spotkać, bo ma nowe pomysły.

– Powiemy jej, że nie mogliśmy się do niej dodzwonić czy coś w tym rodzaju – zaproponował Rupesh. – Nie wiem. Że chcieliśmy to zrobić od razu.

– A co powiemy Willowi, kiedy się u niego zjawimy? – zastanawiał się Steve. – Skąd mieliśmy jego adres, skoro zadał sobie sporo trudu, by się ukryć?

Po raz pierwszy Rupesh nie miał gotowej odpowiedzi. Wyglądał, jakby zamierzał się odezwać, ale milczał.

– Nie martwisz się, że się domyśli, że jako lekarz sprawdziłeś go w waszym systemie? – zapytał Steve.

– Skłamiemy – zaproponowałam. – Powiemy, że znaleźliśmy go w necie albo że dostaliśmy adres od chłopaków z The Geppettos. Jeśli te wszystkie historie o nim są prawdziwe, to wątpię, aby pamięć miał w stu procentach sprawną.

– Jeśli to zrobił, z premedytacją będzie się starał nie figurować w żadnym publicznym rejestrze – zripostował Steve. – Będzie chciał się dowiedzieć, jak go znaleźliśmy.

– Steve ma rację – przyznał Rupesh.

– Musimy to przemyśleć na spokojnie – kontynuował Steve. – Super, że zdobyliśmy adres, ale uważam, że zbyt wiele rzeczy może pójść nie tak. Jeśli mam być szczery, to trochę się boję i...

– To powiemy po prostu, że wypatrzyłem go na ulicy – przerwał mu Rupesh. – Powiemy, że miałem zastępstwo w Sparkbrook i zobaczyłem, jak

wchodzi do domu. Historyjka może brzmieć tak: wybieramy się we troje na curry, a kiedy wam mówię, że widziałem niedawno kogoś przypominającego Willa, uznajecie, że dobrze byłoby pójść tam i sprawdzić, czy to rzeczywiście on.

Nastąpiła pełna namysłu cisza. To był dobry plan i wszystko brzmiało bardzo prawdopodobnie, bo właśnie tak byśmy zrobili. A gdyby Will miał wątpliwości, niełatwo mu będzie zweryfikować słowa Rupesha.

– A jeśli on często wyjeżdża? – zapytał Steve. – A ty powiesz, że widziałeś go akurat wtedy, gdy był poza miastem?

– Powiem, że to było kilka miesięcy temu. Bez podawania konkretnych dat. Wiemy, że mieszka tam od jakiegoś czasu, więc nie powinno to w nim wzbudzić podejrzeń.

– Myślę, że się uda – oświadczyłam. Odzyskałam energię na myśl, że to wszystko wkrótce może dobiec końca. Pobożne życzenie, może i tak, ale gdybyśmy go znaleźli, sprawa stałaby się o wiele prostsza.

– Uda się – zapewnił Rupesh. Dopił drinka, odstawił szklanekę na stół i wstał. – No to jedźmy, nim zdążę zmienić zdanie.

– Teraz? – zdziwił się Steve. – Nie chcesz tego przemyśleć na spokojnie, bez pomocy whisky?

– On może przecież kogoś zabić dziś wieczorem – stwierdziłam z mocą. – Ze wszystkich zgromadzonych przez nas poszlak najsłabsza jest ta związana z sylwestrem.

– Nie, ja to pamiętam – upierał się Steve. – Zdecydowanie chodziło o sylwestra.

– Cóż, ja chcę mieć to za sobą – odezwał się Rupesh. – Z wami czy bez was.

Pięć minut później Steve siedział za kierownicą swojego auta. Deszcz smagał przednią szybę, kiedy wyjeżdżaliśmy z Blythe, kierując się w stronę centrum Birmingham.

## Jen, 1998

Zawsze najlepiej pracuje się jej w nocy. Pod kołdrą, w dusznych ciemnościach. Tam się zawsze chowa, kiedy musi spokojnie pomyśleć, tam pisze przy latarce swój pamiętnik. Także tam wpadła na pomysł swojej rundy Poświęcenia i tam znajduje się teraz. W ręce trzyma telefon bezprzewodowy.

Dzięki serii cierpliwych kroków, udaje jej się zadzwonić do paczki, a gdy wszyscy są w końcu na linii, Steve orzeka, że Jen jest genialna. To się nazywa telekonferencja. Dowiedziała się o niej w szkole od Gilly Ellis. Znalazła instrukcję w internecie – na całej ulicy tylko jej rodzina ma dostęp do sieci. Okazało się to bardzo przydatne zarówno przy Poświęceniu, jak i przy wyszukiwaniu tekstów piosenek, na przykład *You Oughta Know* Alanis Morissette.

W internecie nie wyczytała jednak tego, że zorganizowanie telekonferencji to kawał ciężkiej pracy. Nie widząc się nawzajem, nie da się określić, czyja kolej na to, by mówić. Co rusz zapada cisza, więc kontrolę przejmuje Jen.

– Będę się streszczać – oznajmia. – O dziesiątej rano idźcie wzdłuż rzeki od mostu w stronę tego ostrego zakrętu, gdzie zawsze robi się rozlewisko. Będzie tam na was czekać pierwsza wskazówka.

Aby dodać całej sytuacji dramatyzmu, od razu się rozłącza. Leży podekscytowana w ciemności. Rupesh dobrze grał, niezły z niego aktor. Następna część jej planu, która ma go uratować, jest jeszcze lepsza niż telekonferencja. Minął tydzień od jego rundy i Jen miała mnóstwo czasu, aby wszystko zaplanować. Nie wykombinowała jeszcze, jak dopilnować, by

Adeline jej nie prześcignęła, bo przecież tym razem Jen nie zdobędzie żadnego punktu, ale w mroku nie ma rzeczy niemożliwych. Kiedy po raz kolejny odtwarza w myślach etapy swojego Poświęcenia, coraz więcej fragmentów układanki zaczyna wskakiwać na swoje miejsce.

O dziewiątej rano wychodzi z domu w nieprzemakalnej kurtce z kapturem i kaloszach. Andrea, która znowu przyjechała z uczelni, patrzy na nią jak na wariatkę. Krople deszczu spadają na głowę Jen. W prawej ręce trzyma plastikową reklamówkę. Nie przeszkadza jej ulewa i nie przejmuje się nawet tym, jak wygląda w tej kurtce. Zważywszy na fakt, że musi się dzisiaj spotkać z Willem, bezpieczniej się czuje taka zakryta. Nie chciałaby się z nim znaleźć sam na sam, gdyby skończył grę jako pierwszy, i to jeden z powodów, dla których przekazała Rupeshowi lokalizację drugiej wskazówki. Oczywiście główny powód jest taki, że chce, by mieli możliwość pobyć sami. On jednak nigdy nie wykona pierwszego kroku, a wojny kciuków i żartobliwe kuksańce przestają wystarczać. Jeśli coś się nie dzieje wystarczająco szybko, trzeba brać sprawy w swoje ręce. Tak właśnie Adeline zrobiła w przypadku Steve'a i proszę, co z tego wyszło.

No i oczywiście Rupesh jest na szarym końcu klasyfikacji i naprawdę musi wygrać tę rundę. Oboje muszą mieć przez resztę wakacji dostęp do domu Steve'a. Jen absolutnie nie chce, by jej rodzice zobaczyli ich razem na ulicy albo gdzieś na polu. Tata jest radnym partii konserwatystów, a mama zarządza biurem miejscowego parlamentarzysty z ugrupowania torysów i oboje dobitnie dają do zrozumienia, co sądzą na temat imigrantów. Zawsze powtarzają, że nie są rasistami, ale o Rupeshu i jego rodzinie mówią „ci Hindusi”, a parę razy usłyszała, jak jej tata burczy coś niepochlebnego na temat widzianych w telewizji par „mieszanych”. I choć z jednej strony chętnie by zrobiła im na złość, pokazując się publicznie z Rupeshem, to z drugiej strony istnieje duże prawdopodobieństwo, że

znajdą jakiś „nierasistowski” powód do położenia kresu ich znajomości. Musi być pragmatyczką. Fajnie by też było, gdyby to Rupesh wygrał całą grę, bo wtedy wszyscy by się przekonali, jaki jest fantastyczny.

Na końcu Elm Close skręca w lewo. Idzie Blythe Lane, mija pub i domki, które wyglądają, jakby je zrobiono z miękkiego marcepanu. Od rzeki dzieli ją półtora kilometra, a za pubem nie ma żadnej ścieżki. Jen idzie wzdłuż głównej drogi i mijają ją samochody, jeszcze bardziej ochlapując.

Kawałek za pubem znajduje się rezydencja otoczona murem. W jednym z okien na piętrze porusza się firanka. Kto tam mieszka? Pewnego dnia, kiedy będzie znaną aktorką albo piosenkarką, kupi ten dom. Wszyscy jej mówią, że daleko zajdzie i że należy podążać za marzeniami. Nauczyciele w szkole i jej rodzice. Także Adeline, przed którą odegrała rok temu scenę z *Romea i Julii* – aczkolwiek możliwe, że koleżanka tylko ją podpuszczała. Z nią nigdy nic nie wiadomo. Taki już jest problem z Adeline. Potrafi pochwalić i doradzić. Jen rozumie, dlaczego pozostali darzą ją sympatią. Ale Adeline stosuje także podstęp, których chłopcy nie dostrzegają, bo są trochę głupi. Krótka spódniczka. Dotykanie ramienia. Śmianie się z kiepskich żartów. Przy niej nie ma miejsca dla Jen. Tamtego dnia Adeline powiedziała coś sensownego, co zapadło jej w pamięć: że Jen musi sobie obiecać, że będzie walczyć do końca, jeśli chce odnieść sukces. Ma ignorować wątpiących, każdego dnia od nowa oddawać się swojej pasji i nie mylić dorastania z poddaniem się. Zachęty i rady z ust Adeline to nie były co. Dlatego właśnie czasem jest jej tak ciężko. Bo rozumie, czemu pozostali ją lubią. Ale jeśli Adeline zdobędzie w grze najmniej punktów, nie będzie to już stanowiło problemu. Dołączyła do grupy jako ostatnia, więc tak pewnie byłoby najsprawiedliwiej.

Ostatni odcinek drogi to płaski teren z nieużytkami po obu stronach. Przy moście Jen schodzi na pobocze. Po dziesięciu minutach dociera do ostrego zakrętu, gdzie często zalegają śmieci, przez co rzeka wylewa. Wyjmuje



z torby pierwsze z czterech plastikowych pudełek i stawia je pod krzakiem blisko brzegu. Jest żółte, jej mama kupiła je wczoraj w Marlstone.

Wskazówkę napisała nieco w stylu szekspirowskim, mając świeżo w pamięci *Makbeta*, wystawionego na zakończenie roku szkolnego przez jej kółko teatralne. Romantyczniej jest myśleć o Poświęceniu jako o wzniosłej misji niż o głupiej zabawie na podstawie cholernego *Scooby-Doo*.

Czeka na nieużywanym przystanku autobusowym. To tu powinni zjawić się pozostali, o ile pierwsza wskazówka nie okaże się zbyt trudna.

Pierwszy przechodzi tędy Will i na chwilę staje przed przystankiem. Rozgląda się, aby się upewnić, czy może spokojnie iść dalej. Jen czuje dolatującą od niego woń wilgoci, słyszy jego oddech i mruczenie. Jeśli się odwróci, będzie skazana na jego towarzystwo. Po chwili Will puszcza się biegiem w stronę rzeki.

Na samą myśl o nim Jen się wzdryga. W zeszłym roku próbowała być dla niego miła i źle się to skończyło. W dodatku oboje byli podpicci. Nie wie, co on zrobi, kiedy się dowie, że podoba jej się Rupesh. Nawet teraz, mimo tego, co wydarzyło się między nimi w zeszłe wakacje, gdy Will z nią rozmawia, jego spojrzenie zawsze się zsuwa na jej piersi. I choć Jen ma ochotę porozmawiać z jego mamą o aktorstwie, nie chce go o nic prosić ani iść do jego domu.

Przez szparę w ścianie obserwuje, jak jeden za drugim opuszczają Elm Close. Steve pierwszy. Biegnie. Następnie zjawia się Adeline. Patrzy w stronę przystanku. Widzi ją? Po chwili rusza dalej.

– O co w tym wszystkim chodzi? – pyta Rupesh, stając w wejściu.

Ma na sobie czarny płaszcz, który wygląda, jakby go uszyto z gumy. Prezentuje się idiotycznie. Z wyjątkiem pięknej, mokrej od deszczu twarzy.

– Chodzi o to, żeby nie wyrzucono cię z grupy – mówi Jen i wyjmując z torby różowe pudełko. Otwiera je i pokazuje kartkę. – Będziesz musiał zapamiętać tę wskazówkę na wypadek, gdyby ktoś cię zapytał.

– Czemu robisz to dla mnie? – dopytuje. Trzyma w ręce inną małą karteczkę, którą wcisnęła mu wczoraj w dłoń, kiedy pozostali nie patrzyli.

– Masz jeden punkt, potrzebujesz pomocy – oświadcza Jen, a gdy Rupesh kończy czytać, chowa kartkę do różowego pudełka i zostawia je pod ławką.

Nad jeziorem, zaraz obok błotnistej ścieżki w przerośniętym zagajniku, stoi porzucona skrzynia na sól. Jen chce tam schować trzecią wskazówkę – jeśli da się otworzyć wieko. Jeśli nie, to ukryje pudełko pod nią.

Jeziro i błotnisty obszar wokół uważa za teren Willa – bo właśnie tutaj przyłapała go kiedyś na kopaniu w ziemi. Twierdził, że na podstawie jakiejś szalonej teorii szuka pozostałości po Rzymianach. Jen nie bardzo lubi tu przychodzić, ale wie, że to świetna lokalizacja, a chce, żeby jej runda okazała się jedną z lepszych, o ile nie najlepszą.

Przeciskają się przez chaszczę, by dostać się do skrzyni. W oddali słychać gwizd pociągu. Jen zerka na Rupesha, który kiwa głową, dając jej do zrozumienia, że nic się nie dzieje. Rupesh podchodzi do skrzyni i unosi wieko. W tym samym momencie poślizguje się, traci równowagę i ląduje na ziemi.

– Fuj – mówi.

– Co? – pyta Jen.

– Nie podchodź.

Ale ona oczywiście go nie słucha. To, co widzi, nie jest w sumie obrzydliwe, lecz smutne. Wygląda na to, że zmarło tu jakieś zwierzę, może owca albo lis. Pozostały same kości. Całe mnóstwo, małe i duże.

– To więcej niż jedno zwierzę – orzeka Rupesh. Krzywi się z odrazą.

– Skąd wiesz?

– Czaszki.

Nic dziwnego, że Willowi podoba się na tym cmentarzysku zwierząt. Przed tygodniem powiedział jej, że zwierzęta nie mają duszy. Co to w ogóle znaczyło? Jej ciałem wstrząsa dreszcz.

– Czy jedno z tych zwierząt to może być kot? – dopytuje Jen.

To niemądre. Wie, że Will nie ma z tym nic wspólnego. To już prędzej sprawka odrażających rybaków, którzy czasem kręcą się nad jeziorem; pewnie zdechł im pies albo wrzucili tu niewykorzystaną przynętę.

– Nie wiem. Nie wydaje mi się – mówi Rupesh.

Jen wyjmuje z torby czerwone pudełko.

– Nie mogę go tu teraz zostawić – oświadcza.

Przez chaszczę wracają na ścieżkę, skąd widać tylko fragment żółtej skrzyni.

– Zostaw tutaj – proponuje Rupesh. – Zaraz przy ścieżce. Znajdą to.

Jen schyla się i chowa pudełko pod krzakiem, tak żeby widać było czerwony róg. Przez chwilę stoi w bezruchu i wpatruje się w las. Nagle czuje, że Rupesh bierze ją za rękę.

– Będzie dobrze, chodź – mówi, a kiedy ściska jej dłoń, ona odpowiada w taki sam sposób.

Do farmy znajdującej się dokładnie w połowie drogi między Blythe a Hampton mają pół godziny. Kiedy idą ścieżką, na widok zbliżającego się ku nim Strachana z jego okropnym psem dają nura w kukurydzę. Gdy ich mijają, pociąga głośno nosem i pluje. Jego ślina ląduje w okolicach ich nóg i oboje się krzywią.

– Myślisz, że rzeczywiście robi to, o co podejrzewa go Steve? – pyta Rupesh, kiedy Strachan oddala się na bezpieczną odległość.

– Jestem w stanie w to uwierzyć – stwierdza Jen. – Ale kto wie? Steve ma zbyt wybujałą wyobraźnię. Jeśli mam być szczerą, to bardziej od niego

przeraża mnie Will.

– Serio? Will jest w porządku.

– Ja tak nie uważam. Wiem o nim coś, co by ci się nie spodobało. Coś, co sam mi powiedział.

– Och. – Na twarzy Rupesha maluje się niepokój.

Ścieżka prowadzi bezpośrednio na tyły jednego z należących do farmy sadów. W powietrzu unosi się nieprzyjemna woń błota i mokrego siana. Równoległe do ścieżki, za krzakami, znajduje się dwadzieścia drewnianych skrzyń ustawionych w jednym rzędzie. Ule. Wyglądają jak schowki na dokumenty w gabinecie mamy.

Jen kuca i za czwartym ulem chowa następne pudełko. Denerwuje się. Na szczęście pszczoły w tym czasie nie latają wokół ula, choć słychać, że są blisko, w okolicznych drzewach i trawie. Prostuje się, wraca do Rupesha, który czeka za krzakami. Wydaje się niespokojny, co w jego przypadku nie jest niczym nadzwyczajnym, ale tym razem ma ku temu powód.

– Jen, czy Adeline nie jest uczulona na pszczoły? – pyta.

– Naprawdę? – Jen daje upust swoim aktorskim zdolnościom.

– Nie pamiętasz? Mówiła nam kiedyś o tym.

– No tak, teraz sobie przypominam.

Oczywiście, że pamięta; dlatego przecież wybrała takie, a nie inne miejsce. Według niej coś takiego jest sprawiedliwe. To przecież bezmyślność Adeline kosztowała Rupesha punkty w pierwszej rundzie – i bzdura, że nic nie wiedziała o jego lęku przed pociągami. Jej uwadze z całą pewnością nie umknął fakt, że Rupesh nigdy nie chodzi z nimi w okolice torów. Teraz najpewniej zjawi się jako ostatnia, a Rupesh jako pierwszy. Sprawiedliwości stanie się zadość.

– No ale ja jestem uczulona na kocią sierść, a i tak mam koty – dodaje niewinnie.

– Mówiła, że to alergia podobna do tej z *Mojej dziewczyny* – przypomina Rupesh. – W filmie dzieciak umiera.

– Filmy to nie prawdziwe życie, Rupesh. Nie martw się.

Zaczyna iść i ma nadzieję, że on pójdzie za nią. Czy przejmowałby się tak bardzo, gdyby nie chodziło o Adeline? Gdyby chodziło o nią? Słyszy, jak burczy sceptycznie, ale w końcu do niej podbiega. Będzie dobrze. Nie widziała tam nawet żadnej pszczoły.

We dwoje docierają na skraj pola z kukurydzą za domem Steve’a.

Liczą rzędy. Jeden... dwa... trzy... cztery... pięć...

Nadal siąpi drobny deszcz. Wszyscy przemokną, chodząc między rzędami w poszukiwaniu wskazówki. O ile już nie są mokrzy. Ale za późno, żeby temu zapobiec.

Trzynaście... czternaście... piętnaście.

Stoją blisko miejsca, w którym tamtego dnia znajdowała się baza.

– Czekaj tutaj – poleca Jen. – Krzyknij, kiedy nie będziesz mnie już widział.

– Okej.

Jen wchodzi między kukurydzę, trzymając w ręce niemal pustą torbę. Na szczęście łądygi znajdują się na tyle daleko, że jej nie dotykają, a dzięki nim ziemia nie jest mokra. Jednak zawsze jest tu trochę upiornie, przez ten szelest liści i żałosne nawoływania wron. Dobrze, że niedaleko stoi Rupesh.

– Stop!

Kiedy Jen się odwraca, zaskakuje ją odległość, na jaką odeszła. Ona także nie widzi Rupesha, ale dostrzega światło tam, gdzie kończą się rzędy. Wyjmuje ostatnie pudełko. Jest niebieskie jak pogodne niebo, tak to zaplanowała. Cóż za ironia, zważywszy na szelest łądyg na wietrze i bębnienie deszczu o liście. Przykuca, stawia pudełko na ziemi i po raz ostatni sprawdza, czy umieściła w środku karteczkę.

– Co to za wskazówka? – rozlega się głos.

Jen o mało nie krzyczy. Traci równowagę i ląduje na tyłku. To tylko Rupesh.

– Przepraszam. Myślałem, że słyszysz, jak idę. Zapomniałem, że to niemożliwe.

Jen przytakuje, wręcza mu pudełko, a on odczytuje wiadomość zapisaną na wąskim pasku papieru. Jest trochę zażenowana i poirytowana.

– Strzeżcie się raptorów – czyta Rupesh.

– Wtedy na nich naskoczemy – wyjaśnia Jen. – Schowamy się parę rzędów dalej. Powiedz mi, kiedy nie będziesz mnie już widział. – Po tych słowach wchodzi w następny rząd, potem w kolejny i jeszcze jeden.

– Prawie cię nie widzę.

Jen siada.

– A teraz?

– Tylko jeśli naprawdę bym się wpatrywał albo czołgał po ziemi.

Podchodzi do niej, siada po turecku na suchej ziemi, a ich kolana niemal się stykają.

– Cieszę się, że tu jesteś – wyznaje Jen, gdy wiatr i deszcz jeszcze się potęgują.

– Ja bym się bał siedzieć tu i czekać.

– Nie zrobiłabym tego, gdyby nie było cię ze mną.

Ze mną. Słyszając to, Rupesh sztywnieje. Starannie dobrała słowa, licząc, że kryje się w nich moc.

Rupesh wygląda, jakby zamierzał coś powiedzieć; Jen dostrzega to w nietypowej surowości malującej się na jego twarzy.

– Chcesz, żebym ci przepowiedział przyszłość? – pyta.

– Może. Nie wiem. To boli?

– Nie powinno. To pewnie zależy od tego, co się usłyszy.

Ujmuje jej dłoń i nieco się przysuwa. Wędruje palcem po liniach na wewnętrznej stronie dłoni, a przez ciało Jen przebiega przyjemny dreszcz. Chwilę później wzdłuż pleców czuje mrowienie, tak rozkoszne, że z jej

gardła wydobywa się cichy jęk. To takie krępujące. Rupesh wyczuwa, że Jen się spina, i pyta, czy wszystko w porządku.

– To twoja linia życia – wyjaśnia, przesuając opuszką palca wskazującego po zagłębieniu w jej dłoni. – Tak, krzyżuje się z linią zamożności, co znaczy, że w odległej przyszłości się wzbogacisz. Tuż przed pięćdziesiątymi urodzinami.

– Naprawdę?

– Oczywiście – zapewnia Rupesh. Jego palce przemieszczają się na jej nadgarstek i to doznanie jest tak intensywne, że niemal nie do zniesienia. Jen walczy z pokusą odsunięcia dłoni. – A linia przeznaczenia spotyka się w tym miejscu z linią życia, co najpewniej oznacza, że mężczyznę, za którego wyjdiesz, poznasz koło trzydziestki.

– Świetnie, mam więc mnóstwo czasu, żeby najpierw zająć się karierą.

– Linię kariery masz naprawdę niezłą – stwierdza, ale zdradza go uśmiech.

– Linię kariery? To akurat zmyślasz. – Jen nie zabiera jednak ręki i przez jakiś czas Rupesh bez słowa gładzi wewnątrz jej dłoni.

Jen zamyka oczy, mruży cicho, i wcale nie jest zaskoczona, kiedy wyczuwa jego dziewczęcy zapach, słyszy skrzypienie gumowego płaszcza i czuje na swoich ustach zimne wargi. Cała w środku płonie. Przewracają się na plecy i całują tak długo, aż Jen zaczynają swędzieć usta.

Nadal się całują, gdy do wskazówki dociera Steve. Przegapili jego nadejście, a Jen jest oszołomiona tym, co się stało. Kontrolę przejmuje Rupesh i skacze na Steve'a, kiedy ten wyjmuje kartkę z pudełka.

– O w mordę! – słyszy. Towarzyszą temu odgłosy przepychanki.

– Hej, to tylko ja – odzywa się Rupesh.

– Co ty wyrabiasz? – pyta wzburzony Steve.

Jen wstaje i przechodzi przez rzędy kukurydzy.

Rupesh leży na ziemi, a obok niego znajduje się otwarte pudełko. Steve stoi nad nim, gotowy do ataku.

– Wszystko w porządku? – upewnia się Jen.

– Tak – mówi Steve, choć to nie jego pyta. Rupesh ma rozcięcie na policzku.

– Uderzyłeś go?

– Przepraszam. Ja tylko... to był odruch. – Wyciąga rękę do Rupesha i pomaga mu wstać. – Czyli zjawiałeś się jako pierwszy?

– Aha. – Piorunuje Steve'a wzrokiem.

– To... dobrze – bąka Steve. – Dobra robota. Wróciłeś do gry.

Jen kiwa głową, następnie wyjaśnia, że będą musieli na nowo ustawić pudełko i zacząć się na następną osobę. Nie czekają długo. Adeline. Ha! Jen wiedziała, że to jej gadanie o alergii to kłamstwo, którym chciała zwrócić na siebie uwagę. Oto i ona, nie później, niż gdyby wskazówka została ukryta w jakimkolwiek innym miejscu. Typowe. Naskakują na nią bez litości. Adeline krzyczy. Jen przypadkowo trafia ją kolanem w bok i przeprosza. Adeline chyba nawet nie zwróciła na to uwagi. We czworo leżą bezładnie na ziemi. Fakt, że tu dotarła, nie ma teraz znaczenia, bo zdobyła tylko dwa punkty.

– Bez problemu znalazłaś wskazówkę? – pyta Rupesh.

Wszyscy powoli wstają.

– Aha, przed przejściem do uli. – Zerka na Jen. – Gdybyś ją schowała bliżej pszczoł, pewnie nie dotarłabym do niej. Zapomniałaś?

– O czym?

– Że jestem uczulona. – Adeline się uśmiecha, ale ma niewyraźną minę. W jej oczach kryje się ból. Jen ją zirytowała. To dobrze. Przynajmniej teraz wie, jak czuł się Rupesh.

– No tak – mówi Jen. – Przepraszam, rzeczywiście o tym rozmawialiśmy. – Szybko dociera do niej, co powiedziała i kontrolę nad nią natychmiast przejmuje Jen-aktorka. – Ja i Rupesh. Ale sądziliśmy, że to nic



poważnego. No wiesz, nic, co mogłoby naprawdę zabić... Chwileczkę. Steve, dlaczego wskazówka nie leżała tam, gdzie ją zostawiłam?

– Nie mogłem dopuścić do tego, by Adeline poszła tam ze swoją alergią – wyjaśnia, uśmiechając się do Adeline. Wrr. – Nie oglądałaś tych programów? To poważna sprawa.

– Więc pomogłeś Adeline? – pyta Jen. – Nie powoduje to utraty punktów?

– Kiedy ty i Rupesh rozmawialiście o alergii Adeline? – rzuca podejrzliwie Steve. – Miało to związek z grą? Bo czegoś takiego nie wol...

– Nic nie mówiłam o grze – odpowiada szybko Jen, przytłoczona świadomością, że Steve jakimś cudem wie o jej planie dotyczącym Rupesha. To niemożliwe, a mimo to jego uśmiech wskazuje, że jednak się domyśla.

Przez dłuższą chwilę jedynym słyszalnym dźwiękiem jest bębnienie deszczu o liście. W końcu postanawiają zająć miejsca w oczekiwaniu na Willa, a Steve na głos dokonuje obliczeń: on i Jen na pierwszym miejscu z siedmioma punktami, a Will i Rupesh mają po pięć punktów. Formują dwa obozy po obu stronach rzędu numer piętnaście, niecierpliwiąc się, kiedy Will zjawi się po swój jeden punkt. Z miejsca, w którym siedzą Jen i Rupesh, słychać szepty i chichot Adeline i Steve'a.

– Naprawdę cię uderzył? – pyta Jen.

– Tak. – Rupesh chichocze. – Ale to był odruch.

Jego śmiech okazuje się dla niej nieznośnie uroczy. Unosi rękę i gładzi go po przybrudzonym krwią policzku. Czasem Jen nienawidzi Steve'a, nawet jeśli to dzięki jego głupim pomysłom zdarzają się chwile jak ta. Kiedy opuszcza rękę, Rupesh ujmuje jej dłoń. Jen się nachyla i ich usta ponownie się stykają. Nie chce, by reszta tu przyszła. Pragnie zostać na tym polu już na zawsze, ma gdzieś przyszłość, rodziców i głupią szkołę. Ale to i tak by się skończyło, prawda? Wszystko dobiega końca, bez względu na to, jak bardzo się pragnie zatrzymać czas. Nigdy dotąd nie czuła takiej

melancholii. Zaciska dłoń na rękę Rupesha tak mocno, że ten wyrzuca z siebie:

– Auć!

– Przepraszam – mówi poirytowana.

– Po prostu trochę za mocno.

Zaczyna jej się robić zimno i szczęka zębami. Na koniuszku nosa gromadzą się krople deszczu, ale nie chce jej się ich nawet wytrzeć.

Po jakimś czasie – minęło pewnie z pół godziny, ale oni mieli wrażenie, że pół dnia – dają za wygraną i wracają na Elm Close. Will się nie pokazał. Deszcz w końcu przestaje padać. Żegnają się przed domem Steve'a. Nim się rozchodzą z zamiarem wrócenia wieczorem, z domu pana Strachana wychodzi Will i zaczyna iść w ich stronę.

– Co on tam robił? – pyta Steve.

– Przegrałem? – To pierwsze słowo, które Will wypowiada, kiedy do nich dociera.

– Tak – odpowiada Adeline. – Czekaliśmy na ciebie na polu.

– Strasznie zmarzliśmy – dodaje Jen, a głos ma lekko piskliwy.

Spojrzenie Willa biegnie ku złączonym dłoniom jej i Rupesha. Jen przez chwilę myśli nawet, żeby zabrać rękę, ale wtedy kolejna kropla spada z jej włosów na nos, a ona się wzdryga. W sumie równie dobrze Will może dowiedzieć się o wszystkim już teraz.

Na twarzy Willa maluje się dziwny wyraz. Podnosi wzrok i wzrusza ramionami.

– Straciłem poczucie czasu, a potem dotarło do mnie, że pewnie i tak przegrałem. Jeszcze nadgonię.

Rozlega się zgodne westchnienie, a Will i Steve patrzą na siebie.

– Co robiłeś u niego w domu? – atakuje Steve.

Jen nie może w to uwierzyć. Will i Strachan? Jak to?

– Pokazywał mi swoje rzeczy – wyjaśnia Will. – W sumie to jest w porządku.

– Wiesz, że prawdopodobnie tobą manipuluje? – warczy Steve.

– On taki nie jest. – Znowu wzrusza ramionami.

– Poddaję się. – Po tych słowach Steve rusza w stronę drzwi. – Do zobaczenia później. Will, zdobywasz jeden punkt.

Nikt nie wie, co powiedzieć. Jen powinna być wściekła; zmarnował jej czas i jej rundę. To dziwne, ale nieszczególnie się tym przejmuje. Wystarczy, że Will widzi ją razem z Rupeshem. Odchodzą bez pożegnania, a Jen trzyma Rupesha za rękę tak długo, aż docierają do miejsca, z którego można ich dostrzec z jej domu. Kiedy się odwraca, zauważa, że Will nadal tam stoi i im się przygląda.

## Zima 2015

Trudno było mieć pewność, siedząc w samochodzie po drugiej stronie ulicy i zerkając przez zaparowaną szybę, ale wyglądało na to, że chudy mężczyzna wychodzący z szeregowca rzeczywiście był Willem Oswaldem. Miał na sobie niebieską nieprzemakalną kurtkę z kapturem i czapkę. Do rozpoznania go wystarczyły mi jego wzrost i charakterystyczny chód. Drobiazgowo omawialiśmy kolejne kroki, kiedy Rupesh dostrzegł, że ktoś wychodzi z domu.

– Co robimy? – zapytałam.

– Idziemy za nim. – W głosie Steve’a pobrzmiwała niepewność. – Albo czekamy.

Patrzyliśmy, jak Will dochodzi do końca ulicy, następnie zniknął. Steve wziął ode mnie telefon i przyjrzał się uważnie otwartym mapom Google.

– Spróbujmy jechać tą drogą, może uda nam się go złapać od drugiej strony.

Nikt nie przedstawił lepszej propozycji, więc Steve oddał mi komórkę i zapalił silnik. Skręcił w lewo, następnie w prawo, coraz bardziej zagłębiając się w gąszcz uliczek.

– Co my właściwie robimy? – odezwałam się.

– Sprawdzamy, dokąd on idzie – odparł Rupesh.

Po niemal dziesięciu minutach zachowywania stosownej odległości, wjeżdżania do zatoczek i na miejsca parkingowe śledzony przez nas mężczyzna dotarł do głównej ulicy. Kiedy dojechaliśmy do skrzyżowania, jego nie było już widać, bo skręcił w prawo. Kawalek dalej mieścił się pub o nazwie Centurion – nazywał się tak samo jak pub w Blythe.

– Jeśli tam wszedł, to jaki mamy plan? – zapytałam.

– Wybraliśmy się na curry – powiedział Rupesh – i wstąpiliśmy na szybkiego drinka przed jedzeniem. Doskonała okazja, możemy wpaść na niego przypadkiem. To jest lepsze niż moja głupia historyjka o zastępstwie.

Pub nie wyglądał mi na lokal, do którego nasza trójka zajrzałaby z własnej woli podczas wieczoru na mieście, ale w środku nie było tak źle. Panował w nim spokój, a kiedy weszliśmy, kilku facetów siedzących przy barze nie zmierzyło nas wzrokiem kowboja z Dzikiego Zachodu. Na końcu pomieszczenia wypatrzyłam osobę, którą śledziliśmy. To bez wątpienia był Will Oswald. Zdjąwszy kurtkę i czapkę, siedział przy stoliku przodem do nas, ale wzrok miał wbity w kufel z piwem.

– To on – rzuciłam cicho. – To naprawdę on.

– Wiem – przytaknął Steve. – Zamówmy coś i zachowujmy się normalnie.

Z napojami w dłoniach udaliśmy się za Rupeshem w stronę stolika niedaleko Willa. Nim tam dotarliśmy, podniósł wzrok.

– Witam, witam – odezwał się barytonem. Przyjrzał nam się bez uśmiechu.

Czy to spojrzenie człowieka zaskoczonego pojawieniem się trojga znajomych, czy zabójcy analizującego kolejne posunięcie? Gotowa byłam przysiąc, że pod tą maską obojętności kryje się gorączkowa analiza: walczyć czy uciekać?

– Will Oswald – rzuciłam.

– Mogę spokojnie powiedzieć, że nie spodziewałem się was tu dzisiaj – odparł, marszcząc czoło.

Od razu zabrałam się do rozszyfrowywania jego słów, zastanawiając się, czy mogą mieć podwójne znaczenie. Nagle zwrócił się do Steve'a, a jego twarz przybrała nieco surowszy wyraz:

– A ty co tutaj robisz?

Bez zaproszenia dosiedliśmy się do Willa. Kieliszek z winem trzymałam przed sobą w obu dłoniach jak tarczę. To był on, Will Oswald: Święty Graal, Arka Przymierza, nasz cholerny McGuffin. Włosy nadal miał jasne i potargane, był równie powolny i niezdecydowany, jak w moich wspomnieniach. Wiele się jednak zmieniło: kości policzkowe tak bardzo napierały na skórę, że widać było białą sieć naczyń włosowatych, oczy były przekrwione, zwłaszcza prawe oko. Spadek po Strachanie.

– Co u ciebie? – zapytałam.

– Lepiej.

Czy to znaczyło, że czuje się lepiej, czy też że jego życie było lepsze teraz niż w przeszłości? Opowiedziałam mu historyjkę, którą uzgodniliśmy w samochodzie. Jeśli uznał ją za dziwaczną, nie dał tego po sobie poznać. Postanowiliśmy, że napomkniemy o wizycie w domu jego rodziców, ale nie o spotkaniu z The Geppettos, uznawszy, że Will prędzej się widział z tymi pierwszymi niż drugimi – niemożliwe, żebym widziała go w Manchesterze. I nie chcieliśmy, by nasze poszukiwania wydawały się zbyt oczywiste.

– Co tam u nich? – odezwał się. – Rzadko się obecnie widzujemy.

– Chyba dobrze – odparłam. – Nie byliśmy tam długo, zajrzeliśmy jedynie podczas spaceru, licząc, że cię zastaniemy. Twój brat wspomniał, że grasz. Nie miałam pojęcia, że lubisz punk rocka. Dawniej tak nie było. – Odważnie dodałam: – Nie przepadałeś za, powiedzmy, Nirvaną i tymi wszystkimi zespołami grunge’owymi.

– Moi znajomi z ostatniej klasy, z Arden, na okrągło jeździli na desce, palili zioło i słuchali dużo punk rocka, więc... Mało pamiętam z tamtych czasów. – Roześmiał się. Pierwsze pęknięcie w lodowej fasadzie. – Możliwe, że trochę przeholowałam.

– Podejrzewam, że mieliśmy sporo wspólnych znajomych – stwierdziłam. – Właśnie wspominaliśmy dawne czasy. Te nasze głupoty. Pamiętasz?

– Pamiętam, że oglądaliśmy dużo filmów. – Wszyscy się zaśmialiśmy. – I tę grę – dodał, wskazując kuflem na Steve’a.

– Poświęcenie – uzupełnił Rupesh.

– Ty wykorzystasteś balony – odezwał się Steve. – Genialne to było.

Poruszyliśmy temat jego nieobecności na spotkaniu po latach. Will odpowiedział wzruszeniem ramion.

– Chyba nikt do mnie nie pisał w tej sprawie.

– Odpisałeś – powiedział Steve. – Widzieliśmy.

Znowu wzruszył ramionami.

– Nie sędzę. Szczerze mówiąc, mało ostatnio siedzę w necie. – Spojrzał na Steve’a. – Postanowiłem się zdystansować.

– Byliśmy ciekawi, co u ciebie – zapewniłam. – Nikomu nie udało się wyśledzić cię na Facebooku.

Steve się roześmiał. Will nie. Pokiwał poważnie głową.

– Zlikwidowałem swój profil. Uznałem, że to wszystko fatalnie działa na ludzi. Zresztą co to w ogóle jest? Same reklamy.

Teraz to on nas zaczął wypytywać. Posłusznie zaspokajaliśmy jego ciekawość.

– Nadal robisz tę terapię? – zapytał Steve’a.

– Masz na myśli dyplom? Trochę minęło już czasu. Nie, obecnie siedzę w zarządzaniu usługami medycznymi. W sprzedaży.

Zero uśmiechu ze strony Willa. Następnie zapytał o Jen i w tym momencie Rupesh gładko zmienił temat.

– No a ty? – Ton głosu miał niemal protekcyjny. – Czym się obecnie zajmujesz?

– Obecnie niczym. Jestem bezrobotny.

Klarował się obraz Willa kontrastujący z tym, czego bym się spodziewała po człowieku dokonującym serii wyrafinowanych zabójstw. Jego wygląd, miejsce zamieszkania, to, co mówił i czego nie mówił. Ale być może to właśnie częściowo wyjaśniało jego czyny. Ubóstwo, stany lękowe.

Czytałam jakiś czas temu książkę poświęconą tym zagadnieniom. Czy zabójstwa stanowiły wyraz jego potrzeby umocnienia kontroli nad światem? Trudno było nie żywić współczucia dla niego i nie mieć wyrzutów sumienia z powodu zakłócania jego spokoju.

Kiedy dopiłam wino, udałam się do baru po jeszcze jeden kieliszek. Czułam niepokój. Za mną przyszedł Rupesh.

– Nie wiem, czego się spodziewałem, ale nie mam bladego pojęcia, czy słusznie go podejrzewamy. A ty?

Pokręciłam głową.

– Musimy jakoś zmienić tor tej rozmowy – stwierdził. – Żeby coś z niego wydobyć.

Barman był zajęty wymianą jednej z beczek, a kiedy zerkaliśmy w stronę stolika na końcu, widzieliśmy, że Will i Steve dyskutują. Liczyłam, że przy odrobinie szczęścia Steve wyciągnie coś z niego, ale gdy wróciliśmy do stolika, ich rozmowa zdążyła dobiec końca i Steve wydawał się ponury. Rupesh miał rację, nadeszła pora wytoczyć cięższe działa.

– A pamiętasz to ognisko, które urządziliśmy na koniec wakacji przed rozpoczęciem ostatniej klasy? – zapytałam.

– Słabo – odparł Will.

– Co z twoim szalem zabijania?

– Co?

Cholera. Za dużo. Wyczułam napięcie pozostałych. Ignorując ich, skupiałam się na Willu i utrzymaniu pogodnego wyrazu twarzy. On patrzył na mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu. Nie uśmiechał się, nie marszczył czoła.

– Ja pamiętam – odezwał się Rupesh. – Ale to było zabawne.

– No wiesz – kontynuowałam. – Oświadczyłeś, że chcesz zostać seryjnym zabójcą i załatwić troje ludzi... – Zmusiłam się do śmiechu.

To było zbyt oczywiste. Ale on tego nie dostrzegął. Taką przynajmniej miałam nadzieję.



– No tak – przytaknął. Pociągnął łyk piwa. – Szczerze? Tym się właśnie zajmowałem przez ostatni rok.

Niezwykle istotna była teraz prawidłowa reakcja. Musieliśmy zachować się w sposób adekwatny do różnych wersji zdarzeń: zaśmiać się na wypadek, gdyby Will jedynie żartował, bez przesady jednak, żeby on, o ile rzeczywiście dopuścił się tych zabójstw, nie nabrał podejrzeń co do naszych prawdziwych zamiarów. Nie patrzyłam na Steve'a ani Rupesha, więc nie mogłam ocenić ich gry, ale ich wspólny śmiech zabrzmiał całkiem dobrze. Przypomniała mi się kwestia, którą gdzieś kiedyś usłyszałam i może niezupełnie przystawała do sytuacji, ale postanowiłam ją teraz wykorzystać.

– No i brawo, popyt rośnie.

– Pewnie mówiłem coś od czapy – stwierdził Will. – Zawsze mi to powtarzają.

– Ale to było twój życiowy cel – podpuszczał go Steve.

– W ogóle tego nie pamiętasz? – zapytał Rupesh.

Spokojnie, teraz musieliśmy być ostrożni.

– Nie-e.

– A co z utopieniem kogoś w Loch Ness? – kontynuował Rupesh. – Albo powieszeniem na festiwalu?

Nie byłam sobie w stanie wyobrazić, by ten mizerny facet miał wystarczająco dużo siły, żeby powiesić nafaszerowane dragami ciało.

– Pamiętam, jak pochowaliśmy twojego psa – powiedział do Steve'a. – Jak ona się wabiła?

– On. Obi.

– No tak, Obi. I przypominam sobie tego drugiego psa.

Steve wyraźnie nie wiedział, jak zareagować. Coś w zachowaniu Willa wzbudziło moją ciekawość. Ścierał się ze Steve'em zupełnie jak Rupesh podczas tamtego wieczoru w The George.

– Jakiego psa? – zapytał Rupesh.

– Tego, którego myśleliśmy, że ratujemy – wyjaśnił Will. – Psa pana Strachana.

– To był kiepski czas – stwierdził Steve.

– Owszem. – Will zamilkł. Nim zdążyłam go zapytać, co miał na myśli, mówiąc: „myśleliśmy, że ratujemy”, dopił piwo, po czym rzucił do Steve’a: – Stawiasz kolejkę?

– Jasne. – Spojrzał na mnie i na Rupesha. – Co pijecie?

– Piwo. O ile idziesz do baru.

– Idę. – Dopił piwo i wstał.

Kiedy Steve odszedł, Will wyjął z kieszeni czapkę i założył ją na głowę. Wstał.

– Wychodzisz? – zapytał Rupesh.

– Aha. Chyba przeniosę się do pubu za rogiem. Nie chodzi o was. Po prostu nie mam ochoty na spotkanie po latach z nim.

– Ze Steve’em? – zdziwiłam się.

– Cieszę się, że dobrze wam się wszystkim wiedzie – rzucił, zerkając w stronę baru.

Musiałam go powstrzymać, żeby Steve zdążył wrócić i temu zaradzić.

– Ja w tej chwili staram się ruszyć do przodu ze swoim życiem – powiedział.

– Co miałeś na myśli, kiedy wspomniałeś o tym psie? – zapytałam, próbując grać na zwłokę.

– Źle odebraliśmy Strachana. Zapytajcie go. – Wskazał na bar, skąd Steve patrzył z konsternacją w naszą stronę.

– Ale co źle odebraliśmy? – wtrącił Rupesh.

– Fajnie was było spotkać. – Wsadził ręce do kieszeni kurtki, odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Ostatnia szansa na to, żeby coś zrobić. Wpadłam w panikę.

– Will. – Starłam dodać do swojego tonu tyle jowialności, ile się dało. Odwrócił się w połowie drogi między stolikiem a drzwiami. – Tylko nikogo

nie zabijaj, dobrze?

Patrzył na mnie z kamiennym wyrazem twarzy. Zrobiło mi się gorąco w policzki: to zabrzmiało absurdalnie. Ale pod tą fasadą coś się kryło. Być może odebrał to jako nawiązanie do swojego wcześniejszego żartu. A może chodziło o coś więcej? Will kiwnął głową.

– Okej. – I wyszedł z pubu.

– Powiedźcie mi, że wyszedł na papierosa. – Steve wrócił do stolika. Fakt, iż niczego ze sobą nie przyniósł, świadczył o tym, że domyślił się prawdy.

– Poszedł sobie – przyznałam, nadal wpatrując się w przestrzeń, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się Will. Przekazałam mu słowa Willa, a Steve się przygarbił.

– Co ja zrobiłem?

– Bo ja wiem – odparł Rupesh. – Kazał nam cię zapytać o psa Strachana.

– To szaleństwo. Minęło kilkanaście lat. Jeśli ktoś powinien... – Urwał i pokręcił głową. – Nie wiem, o co mu chodzi. To... szaleństwo.

– Rzeczywiście – przytaknął Rupesh i wstał. – Chodźcie, jeśli się pospieszymy, to może go ubiegniemy.

– Co masz na myśli? – zapytał Steve.

– Powiedział, że idzie do innego pubu. Zajrzyjmy przynajmniej przez okna do jego mieszkania, może dostrzeżemy coś obciążającego go. Najtrudniejsze za nami. Chcę doprowadzić to dzisiaj do końca.

W drodze powrotnej nie widzieliśmy Willa. Zaparkowaliśmy tuż za rogiem. Deszcz ustał, ale ulice smagał zimny wiatr. Steve zapukał do drzwi, nikt jednak nie otworzył. Wszystkie światła były pogaszone. Okno od frontu przysłaniały sfatygowane firanki. Rupesh nacisnął klamkę przy furtce z prawej strony domu. Otworzyła się.

– Zaraz wrócę – rzucił.

Co on, u licha, wyprawiał?

– Rupesh – zdziwiłam się.

– Muszę coś zobaczyć. – Po tych słowach odszedł, zostawiając nas przed domem. Na szczęście nikt nie szedł chodnikiem, bo przez to nerwowe rozglądanie się na boki wyglądaliśmy podejrzanie.

– Nie wiem, na co on liczy – stwierdził Steve. – Uważam, że powinniśmy stąd jechać i przeanalizować wszystko od nowa.

– Coś mu nie daje spokoju.

– Może Jen? – zapytał Steve. Zadrzałam i skrzyżowałam ręce na piersi. – Chcesz moją kurtkę?

– Nie trzeba, dzięki.

Zrobił krok w moją stronę i mnie objął, po czym zaczął mi pocierać plecy. Odsunęliśmy się od siebie, kiedy gałka przy drzwiach się poruszyła. Chwilę później drzwi się uchyliły i ukazała się twarz Rupesha.

– Coś ty zrobił? – zapytałam.

– Tylne drzwi były otwarte. – Wzruszył ramionami. – Wchodźcie.

Steve i ja popatrzyliśmy na siebie, następnie po raz kolejny zlustrowaliśmy ulicę.

– Cholera – rzucił Steve.

Nie zapalaliśmy świateł, ale wpadające przez okna światło latarni wystarczyło, by stwierdzić, że mieszkanie od dawna potrzebuje remontu: tapety w niektórych miejscach odchodziły od ścian, sufit był poplamiony, wszędzie unosiła się nieprzyjemna woń wilgoci. Większość pomieszczeń była pusta. W mieszkaniu echem rozlegały się nasze kroki. Tylko torebka herbaty ekspresowej na ociekaczu w kuchni i prawie zużyta tubka pasty do zębów w łazience na piętrze wskazywały na to, że ktoś może tutaj mieszkać. Ostatnią sprawdziliśmy sypialnię i zobaczyliśmy w niej pięć kartonów z ubraniami rozstawionych wokół leżącego pośrodku pokoju materaca zarzuconego kocami. Ściany były puste, żadnych wizerunków okaleczonych modelek ani plakatów z zespołami.

– Nic nie ma, prawda? – W głosie Rupesha słychać było frustrację.

– No a to? – zapytał Steve, pokazując na leżące obok materaca damskie majtki.

– Ma dziewczynę – stwierdziłam. – No i fajnie.

– Nie uważacie za dziwne, że tak mieszka?

Dla mnie było to nie tyle dziwne, ile dojmująco smutne. Oto człowiek, którego rodzina miała dom, może i zaniedbany, ale za to w doskonałej lokalizacji niecałe dwadzieścia pięć kilometrów stąd, a sam rezydował w budynku, który, zważywszy na fakt, iż Will pozostawał bezrobotny, najpewniej był dotowany przez państwo.

Na dole Rupesh ponownie wszedł do kuchni. Z każdą upływającą sekundą robiłam się coraz bardziej niespokojna, bo wzrastało ryzyko powrotu Willa. Naprawdę musieliśmy już iść. To, co teraz robiliśmy, było zwykłym podglądactwem.

– Czego szukasz? – zapytałam. Na parterze rozbrzmiewały odgłosy towarzyszące otwieraniu szafek i wysuwaniu szuflad.

– Sprawdzam jeszcze jedną rzecz.

– Wychodzę – rzuciłam do Steve’a. – Zaczekam na was przy samochodzie.

Nie zamierzałam dać się dzisiaj aresztować. Gra zespołowa to jedno, ale Rupesha ogarnęło jakieś napędzane testosteronem szaleństwo i zamierzał pociągnąć za sobą nas wszystkich.

– Załatwię to – zapewnił Steve i wyszedł z korytarza.

Czekało na mnie BBC i reszta życia. Otworzyłam drzwi i ruszyłam w stronę auta, czując ulgę, że Will nie czai się na nas na zewnątrz jak filmowy seryjny zabójca. Samochód był zamknięty. Cholera. Stałam obok maski, licząc, że osłoni mnie nieco na wypadek, gdyby zjawił się Will. Gdzie się podziewali pozostali? Pragnąc znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, wyjęłam telefon i napisałam do Jona. Musiałam się zająć przyszłością, dać Xanowi w końcu to, o co wiercił mi dziurę w brzuchu.

Trzęsły mi się ręce. Przemyślał tę sprawę z BBC? Oby się pospieszył, bo miałam wrażenie, że wpadłam do króliczej nory i...

– Adeline?

Na chodniku po drugiej stronie ulicy stał Will i wpatrywał się we mnie. Wyglądał jak bezański pies. Przeszedł przez jezdnię.

– Co tu robisz? – zapytał, mijając maskę samochodu Steve’a. Stanął przede mną. Chwycił mnie za ramię, na tyle mocno, aby pozostawić siniak. – Co tu robisz? – powtórzył.

Krzyknęłam z szoku i bólu i spróbowałam mu się wyrwać. Jego uścisk stał się jeszcze silniejszy.

– Will, puść ją! – wrzasnął Steve.

On i Rupesh w końcu zdecydowali się wyjść z tego cholernego domu. Postawę Steve’a w stylu rycerza w lśniącej zbroi nieco psuło niepokojące drżenie głosu. Will puścił moje ramię i rzucił się w jego stronę.

– Co tu robisz? – warknął.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Steve uśmiechnął się blado. Mieliśmy przerąbane.

– Przyszliśmy, żeby z tobą porozmawiać – powiedział Rupesh.

Za późno. Will o podobnym wzroście co Steve chwycił go za kołnierz kurtki, pchnął na ścianę i lewą ręką wyjął coś z kieszeni. Nie od razu było jasne, co to takiego. Chwilę później zbliżył przedmiot do ust, zębami wyciągnął ostrze szwajcarskiego scyzoryka i przyłożył je do szyi Steve’a.

– Will! – wrzasnęłam. – Co ty, do cholery, robisz?

Steve milczał. Mięśnie szyi miał napięte i z całych sił uchylał się przed ostrzem.

– Przepraszam, jeśli ostatnim razem nie wyraziłem się jasno – rzucił Will. – Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Ostatnim razem? To znaczy w pubie? Ton jego głosu nie wróżył niczego dobrego.

– Nie chcę o tobie myśleć – kontynuował Will. – Nie chcę oglądać twojej twarzy. Nie chcę cię w swoim życiu.

– W porządku – odezwał się Rupesh. – Po prostu puść Steve’a, a my wsiądziemy do samochodu i odjedziemy, okej?

Nie odwracając wzroku od Steve’a, Will wycedził przez zęby:

– Skąd wiecie, gdzie mieszkam? Ta głupia gadka o wybraniu się na curry. Prędzej byście umarli, niż z własnej woli znaleźli się w miejscu takim jak Cent. Jak mnie znaleźliście?

– To moja wina – odparł Rupesh. – Miewam dyżury na zastępstwo w ośrodku zdrowia, zaraz za rogiem, i parę miesięcy temu zobaczyłem cię, jak jechałem tędy w stronę Stratford Road. No i powiedziałem im, że fajnie by było, gdybyśmy się tu zjawili i gdyby się okazało, że to ty.

– A potem zobaczyliśmy, jak wychodzisz z domu – odezwał się Steve – i pomyśleliśmy, że pojedziemy za tobą, żeby sprawdzić, czy to naprawdę ty, nim zapukamy do drzwi...

– Sssssssssss – zasyczał Will, zbliżając czerwoną twarz do twarzy Steve’a. – To, co mówicie, to jakiś bełkot. Widziałem ciebie i ją. W Manchesterze. Czemu mnie śledzicie?

A więc na widowni rzeczywiście był Will. Rozejrzałam się, omiotłam wzrokiem okna wychodzące na ulicę. Gdzie się podziali wszyscy sąsiedzi?

– Chcieliśmy się spotkać z tobą po latach. Ale jeśli ty nie masz na to ochoty, to nic tu po nas – rzucił Steve, próbując wyslizgnąć się Willowi. – Przepraszamy, że...

– Sssssssssssssss.

– Will, odłóż nóż, a my odjedziemy – powiedziałam. Musiałam coś zrobić. Steve wydawał się autentycznie przerażony.

– Powinniście mieć więcej rozumu – odpowiedział Will.

– Odjedziemy – potwierdził Rupesh.

– I nie wrócimy – dodał Steve. Ostrze przecięło mu skórę i po jego szyi spływała cienka strużka krwi.

– Ale wy ciągle wracacie – wyrzucił z siebie Will. – Bez przerwy tu będziecie. Nieważne, dokąd się przeprowadzę albo jak długo pozostanę offline. Nie chcę żadnego cholernego spotkania po latach. Nie chcę nawet myśleć o tobie, o żadnym z was. To już nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

Krew zaczęła brudzić biały T-shirt pod swetrem Steve’a. Dostrzegłam, że Will stoi na lekko rozstawionych nogach. Zrobiłam krok w przód i kopnęłam go tak mocno, jak tylko potrafiłam. Nóż wypadł mu z ręki, a Will zgiął się wpół. Steve uskokzył na bok i spojrzał na Willa leżącego teraz na ziemi z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej i zaciśniętymi ustami. Steve dotknął swojej szyi, po czym przyjrzał się zakrwawionej dłoni. Wyglądało, jakby zamierzał się rzucić na Willa. W tym momencie do akcji wkroczył Rupesh.

– Wsiadajcie do samochodu – polecił. – Ale już.

Steve dał się odciągnąć, ale przez cały czas wzrok miał utkwiony w Willu.

– Czy ktoś ma jeszcze co do niego jakieś wątpliwości? – zapytał, kiedy znaleźliśmy się już na głównej drodze.

Milczeliśmy. Znowu padał deszcz. Przedmieście Birmingham spowite było pomarańczowym światłem ulicznych latarni.

Dziesięć minut później nie otrząsnęłam się jeszcze z szoku. Kierujący autem Steve co rusz dotykał drżącą dłonią szyi.

– Stary – rzucił – to było głupie. – Był wkurzony na Rupesha, ale próbował powściągnąć gniew.

– Chcesz iść na policję? – zapytałam. – Zaatakował cię. Może dzięki temu nie...

– Namierzyliśmy go i włamaliśmy się do jego domu po tym, jak poinformowaliśmy policję, że podejrzewamy go o bycie zabójcą –



oświadczył Rupesh.

– A potem go zaatakowaliśmy i zostawiliśmy na ulicy – uzupełnił Steve. – Chyba wiem, czyją na ich miejscu wziąłbym stronę.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Pewnie mieli rację. Może to Will doniesie na nas. No i jeszcze wczorajszy wybryk Jen. Kto wie, czy ten chłopak nie zgłosił nas obu na policję.

A więc Will był jednak na koncercie. Czy to oznaczało, że wcale się nie ukrywał, że skorzystał z zaproszenia Gaza, ale na nasz widok się ulotnił? A może przyznał się do tego, że widział nas w Manchesterze, tylko po to, by zbić nas z tropu. Może to wymyślił, by wyglądało tak, że to my go prześladowujemy, a nie *vice versa*? Zaskoczyliśmy go dzisiaj w pubie, zaburzyliśmy jego plan, więc wykręcił się z tego, pozorując zdenerwowanie. To oczywiście, że dostrzegłam go w tłumie pod sceną, a on mnie, lecz kiedy w ogóle o tym nie wspomnieliśmy, uznał, że coś ukrywamy, że coś knujemy. Wykorzystał więc to, udając wściekłość z powodu naszej obecności, gdy tymczasem to on nas śledził. Przez cały czas miał nas na oku, niewykluczone, że od samego początku. Bawił się z nami.

– No a ty, Rup? – odezwał się Steve. – Masz jakieś przemyślenia?

– Tak. Zawieź mnie, proszę, do domu.

Kiedy wyrzuciliśmy go pod domem, zapadła niezręczna cisza. Miałam wrażenie, że Steve zastanawia się, w jaki sposób zaprosić mnie do hotelu. Choć miałam na to ochotę, po tym, co się wydarzyło, musiałam się porządnie wyspać, żeby jutro móc jasno myśleć. Ale czy chciałam być dzisiaj sama?

Pomimo wyczerpania wczesnym rankiem wróciłam taksówką do rodziców. W domu było cicho i ciemno. Weszłam na palcach do pokoju, żeby spróbować się jeszcze przespać. Na brzegu łóżka dostrzegłam kopertę, na

której napisano jedno słowo: „ADELINE”. W kopercie znalazłam kartkę z narysowaną czarnym markerem uśmiechniętą buźką.

Zeszłam na dół. Tata czytał w swoim gabinecie. Wyjaśnił, że znalazł kopertę w czarnej skrzynce na listy przytwierdzonej do budynku, co znaczyło, że mogła zostać podrzucona w dowolnym momencie po wczorajszym poranku, bo wtedy zaglądał do niej po raz ostatni. Albo w nocy.

Po południu w końcu udało nam się spotkać u Rupesha. Przez cały ranek czekałam, aż do drzwi domu rodziców zapuka policja w związku z jednym z przestępstw, których się wczoraj dopuściłam. Wpadł po mnie Steve i razem pojechaliśmy do Rupesha. Po drodze powiedziałam mu o kopercie.

Samochód Jen stał na podjeździe, a więc został już naprawiony, o ile w ogóle był zepsuty. A może Jen przyjechała wczoraj wieczorem.

Powiedziałam Rupeshowi i Jen to samo co Steve’owi, ale żadne z nich nie wydawało się tym zainteresowane. Jen miała minę wystraszonego dziecka. Rupesh wyglądał, jakby w nocy nie zmrużył oka.

– Rozmawialiśmy z Jen o wszystkim – rzekł – i według nas musimy się od tego odsunąć. – Zerknął na nią.

Jen przytaknęła. Steve spojrzał na mnie.

– Wiem, co czujesz, Rupesh – powiedziałam. – Chcę iść z tym na policję i szczerze mówiąc, jestem przerażona. Ale równie dobrze to nas mogą aresztować, jeśli Will złoży skargę. Zwłaszcza jeśli trafi na tego samego gliniarza.

– Problem jedynie w tym, że jeśli Will się teraz na nas zaczai, to opcja z odsunięciem się może już nie wchodzić w grę – oświadczył Steve, a ja mu przytaknęłam.

– Myślę, że już wystarczy – bąknął Rupesh.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałam.

– Wiem, jak to zabrzmie, ale chemia w tej grupie... – zaczęła Jen. – Uważam, że mamy na siebie zły wpływ.

– Może i tak, ale zła chemia nie wyjaśnia tego. – Wyjęłam z kieszeni kartkę i ją uniosłam. – Mamy problem.

– Słuchajcie, na razie nikt bezpośrednio nam nie groził – oświadczył Rupesh.

– Will mnie wczoraj skaleczył – zaprotestował Steve.

– Wiecie, o co mi chodzi. Obiektywnie mówiąc, to mogło nie mieć żadnego związku z tym wszystkim, co siedzi w naszych głowach. Ktoś tutaj pogrywa, to pewne, ale jeśli mam być szczery, wcale nie jestem pewny, czy to ten facet, z którym się wczoraj spotkaliśmy. Jeśli już... mam wrażenie, że prędzej jedno z nas to robi niż on.

– Sama sobie włożyłam kopertę do skrzynki? – zapytałam.

– To nie znaczy, że rzeczywiście podejrzewam kogoś z was – zachnął się Rupesh. – Po prostu wczoraj nie zobaczyłem tego, czego się spodziewałem. Moim zdaniem na razie powinniśmy zachować czujność, tak jak zaleciła policja. Ale trochę się nas boję, kiedy jesteśmy razem, boję się siebie w takim samym stopniu jak osoby, która to robi. Mam wrażenie, że nie potrafię trzeźwo myśleć.

– Okej – powiedział Steve. – To brzmi... Zgodzę się na wszystko, co postanowi reszta. No ale wczoraj wieczorem miałem przystawiony do szyi nóż, więc wybaczone, jeśli nie czuję się bezpiecznie. Adeline, co o tym myślisz?

– Ja także mam w głowie mętlik – wyznałam. – I jestem zmęczona. Ale intuicja mi podpowiada, żeby się teraz nie rozpierzchać.

– Niech każdy pójdzie na razie w swoją stronę – odezwała się Jen. Wzrok miała wbity w podłogę. – I poczekamy. Gdyby miała się zjawić policja i o coś pytać, może lepiej, żebyśmy nie przebywali w tym samym miejscu.

– Też tak sądzę – przytaknął Rupesh tak cicho, że niemal szeptem.

Zrozumieliśmy: ci dwoje podjęli decyzję na długo przed naszym przyjściem.

– W porządku. – Steve spojrział na mnie. – Ale jeśli coś jeszcze się wydarzy, będziemy się musieli spotkać.

– Zobaczymy – uciął Rupesh i zapadła cisza.

Leżałam z głową na jego klatce piersiowej po krótkim, intensywnym seksie, który dobiegł końca, jeszcze zanim zdecydowaliśmy się użyć prezerwatywy. To było głupie, ale za dużo wypiałam, żeby się przejąć. Celebrowaliśmy w ten sposób naszą relację, której nie pokonały koszmary kilku ostatnich dni. Kiedy nie mogliśmy już patrzeć na te siki z minibarku, Steve zamówił w hotelowym barze butelkę wina. Ostatecznie to ja wypiałam większą część, choć trunek nie okazał się wiele lepszy od poprzedniego. Przy pierwszym kieliszku myślałam nawet, żeby go odesłać.

Steve milczał, wpatrując się w sufit, tymczasem ja muskałam włoski na jego torsie, bardzo już śpiąca. Nie uśmiechał się.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

– Nie potrafię ich rozgryźć. Powinniśmy się teraz zjednoczyć.

– Wydaje mi się, że Rupesh chce po prostu odciągnąć Jen z linii ognia.

– Pewnie masz rację. Pod wpływem tego wszystkiego zacząłem się zastanawiać nad przeszłością. Wspomnieniami. Może nasza paczka nie była wcale taka, jaką ją zapamiętałem. Może tak naprawdę byliśmy tylko ty i ja. Oni są tacy... poplątani. Zamknięci w swoich małych światach. Czasami myślę, że jedynie sobie wyobraziłem to, co do nich czułem.

– Cóż – odparłam i zamknęłam oczy. – Teraz jesteśmy tylko ty i ja.

– Potrzebowaliśmy pozostałych. Inni ludzie tworzą kontekst, no nie? I jest on niezbędny. Nie da się żyć w pojedynkę. Tyle przeszliśmy, że według mnie powinniśmy się teraz trzymać wszyscy razem. Jako dziecko zawsze chciałem należeć do paczki. Jak nastolatki w tych wszystkich

filmach, które oglądaliśmy. Teraz na myśl o tym robi mi się smutno. Jestem żaloszny. – Zaśmiał się, ale zabrzmiało to raczej jak westchnienie.

– Wszyscy wydajemy się sobie żalozni, kiedy przekraczamy trzydziestkę i zupełnie inaczej postrzegamy marzenia z czasów młodości. To tak, jakby się zobaczyło własne pismo sprzed lat.

– Masz rację – przytaknął. W jego oddechu czułam alkohol. Nie było to nieprzyjemne, a razem z zapachem wody po goleniu tworzyło podniecającą mieszankę. – Wy byliście jednak najlepsi, moje plemię, moja paczka. Wtedy uważałem, że razem jesteśmy w stanie przenosić góry.

– Myślę, że wszyscy się po prostu boją, Steve. Ja też. – Musnęłam nosem jego policzek.

– Mam wrażenie, że Rupesh nadal dziwnie się zachowuje względem mnie. A ty tak nie uważasz? Od samego początku jakby żywił do mnie urazę. Staram się, naprawdę. Wspieram go, nawet jeśli nie do końca się z nim zgadzam. Gdyby wiedział, jakim go zapamiętałam, może trochę by wyluzował. Ale nie da się zmusić kogoś do tego, żeby zrozumiał, co dla ciebie znaczy. No i to takie typowe dla Rupesha: rozdzielić nas w decydującej chwili. – Zawahał się, po czym dodał: – Niemal jestem w stanie uwierzyć w to, co wcześniej o nim mówiłaś.

– Rozumiem – odparłam, choć teraz, beznadziejnie upojona jego zapachem i alkoholem, wcale nie byłam tego taka pewna. – Wiesz, trwałość to nie to samo co ważność. – Te słowa wypowiedziałam w jednym z podcastów i uznałam, że pasują do obecnej sytuacji. – To, co działo się wtedy, było ważne w tamtym czasie. Co z tego, jeśli on źle to zapamiętał? My pamiętamy tak, jak należy.

Udało się, bo pocałował mnie w głowę i zamilkł. Uniosłam rękę i pogładziłam jego policzek. Byłam tak wykończona, że miałam wrażenie, iż moja ręka waży tonę. Z niewiadomego powodu, który zamierzałam zgłębić dopiero na trzeźwo, przez kilka ostatnich dni Steve wydawał się urażony. Być może tak jak w przypadku Willa wierzyliśmy, że Steve ogóle

się nie zmienił, nadal był niezwyciężony i silny. Ale taki właśnie był Steve Litt, równie kruchy i śmiertelny jak my.

– Przepraszam, psuję nastrój. – Westchnął. – Chciałbym, żebyś widziała we mnie osobę, jaką jestem, a nie jaką byłem.

– Przecież widzę.

Pocałowałam go delikatnie, po czym usiadłam i położyłam jego głowę na swoich kolanach. Przeczesałam mu palcami włosy, odsłaniając zakola, które tak skrupulatnie starał się zakrywać. Nachyliłam się i ucałowałam go w ciemię. Zaraz potem zasnęłam.

Obudziło mnie pukanie do drzwi. Dopiero po chwili dotarło do mnie, gdzie się znajduję.

– Jestem tu jeszcze! – zawołał Steve.

Kiedy usłyszałam jego głos, wzdrygnęłam się. Uniosłam głowę z klatki piersiowej Steve'a i czekałam na pierwsze sygnały mojego ciała dotyczące tego, jak dokuczliwy okaże się kac. To niewiarygodne, ale przespałam całą noc. Najpewniej znaczyło to, że w końcu znalazłam swoje miejsce. Fajnie by było, no nie? Miejsce w ramionach przystojnego mężczyzny. Ale jako że mój mózg nie nadążał za bodźcami z otoczenia, wyczułam, że dzień będzie kiepski.

– Przepraszam – powiedział ktoś za drzwiami.

Elektroniczny budzik nie był podłączony do prądu, więc przekręciłam się na drugi bok i sięgnęłam po swój telefon. Ten nagły ruch sprawił, że moja głowa o mało nie eksplodowała. Miałam dziesięć nieodebranych połączeń. Natychmiast poczułam ściśnięcie w żołądku. Numer mamy. Próbowwała się do mnie dodzwonić od czwartej nad ranem. Na pewno chodziło o tatę. Oczami wyobraźni zobaczyłam go na schodach, z głową ukrytą w dłoniach, ciężko oddychającego. Coś mu się musiało stać, w przeciwnym razie po co by dzwoniła? Nigdy nie dzwo...

Ból głowy przybrał na sile i ściany pokoju wydawały się na mnie napierać.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Steve.

– Nie.

Odrzuciłam kołdrę i pobiegłam do ubikacji. Zdążyłam unieść klapę. Zwymiotowałam wczorajsze wino. Dopiero po dziesięciu minutach mdłości minęły. W tym czasie Steve zajrzał do toalety, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, a ja zażądałam, żeby zostawił mnie samą. Nie chciałam, by oglądał mnie w takim stanie. Po wszystkim wcale nie czułam się lepiej. Zadzwoiłam do mamy, ale to nie ona odebrała.

– Cześć, skarbie.

– Tato? Co za ulga, zobaczyłam numer mamy i pomyślałam, że coś się stało.

– Niestety stało się, kotku. Tylko telefon twojej mamy był naładowany. Ona się przewróciła, Adeline. Bardzo niefortunnie, na schodach, i uderzyła się w głowę.

– O rety. Miałam wyciszony telefon. Przepraszam. Co z nią?

– Jesteśmy w szpitalu w Marlstone. Nie chcę, żebyś się martwiła, jest naprawdę w dobrych rękach.

– To coś poważnego? – zapytałam, ale odpowiedź była oczywista. Nie musiałam jej nawet słyszeć. Szybko dodałam: – Jak do tego doszło, tato?

– Wydawało jej się, że słyszy kogoś na dole. Ona ma tak zawsze. Poślizgnęła się na górnym schodku, mnie też to się kiedyś przytrafiło. Usłyszałam jej krzyk i... – Urwał, a serce przeszył mi smutek.

– Już jadę – rzuciłam, a gdy się rozłączyłam, Steve był już ubrany.

## Część III

Czas bywa przerażający,  
kiedy zwraca się na niego uwagę



## Will, 1998

Tego ranka nic nie idzie zgodnie z planem Willa. Najpierw spóźnia się na spotkanie paczki, bo mama znowu założyła czarną perukę... Siedzi z nią przez godzinę, słuchając i nie odzywając się ani słowem, zwłaszcza jeśli porusza temat Liz. Jego zadaniem jest zmęczyć ją, tak żeby wszystko z siebie wyrzuciła, zanim zacznie pić. Liz byłaby wspaniałą matką. Liz byłaby wspaniałą aktorką. Liz wybudowałyby pierwszą kolonię na Księżycu i odgrywała szekspirowskie role przed pełnymi uznania astronautami, na tle kosmicznych skał. Dla mamy jest wszystkim – a przecież nie żyje. Potem, kiedy Will w końcu wychodzi z domu i przekazuje po kolei swoją wskazówkę, zaczynając od domu Rupesha, a kończąc u Jen, Steve marudzi, że powinien to zrobić w tym samym czasie. Według niego Rupesh zyska przewagę. Będzie mógł dłużej planować. Ale Rup taki nie jest, to chodząca prostolinijność – może z wyjątkiem tego incydentu, kiedy rzucił cegłą w szybę samochodu Strachana. Niemniej zły humor Steve'a jest do bani.

Pierwsza wskazówka znajduje się w dole przed jeziorem. I będziecie musieli pogłówkować. Zagdaka.

Żadne z nich nie pyta, o który dół chodzi, bo wszyscy wiedzą, że o ten zaraz za bramą na końcu Raven Way, blisko ścieżki prowadzącej na pola za Elm Close. No a teraz, gdy Will już tu jest, pojawia się kolejny problem: cholerny problem balonowy. Zapamiętał, że pozostali bali się tego filmowego klauna z kanału ściekowego, zwłaszcza Rupesh – obecnie jego główny rywal. Dlatego zdecydował się na balony. Tyle że w sklepie mieli

tylko białe i Will się martwi, że mogą się okazać wcale nie takie straszne. A to nie jedyne zmartwienie. Chce umieścić na nich wszystkie wskazówki, związać balony tak jak w filmie i napisać coś markerem. Plus jest taki, że nie trzeba wymyślać żadnych skomplikowanych łamigłówek ze względu na brak miejsca. Posłuży się anagramami i rebusami słownymi, jak na przykład „zagdaka” zamiast „zagadka”. Za to akurat Steve na niego nie nakrzyczy. A balony zrobią na nim takie wrażenie, że nie będzie mu nawet przeszkadzać, że te wskazówki to tak naprawdę polecenia. Will narysuje nawet logo Nirvany jako swoisty znak firmowy.

Oczywiście balony w filmie były balonami widmami – prawdziwe potrzebują helu. Przychodzi mu to do głowy dopiero wtedy, kiedy przewiązuje pierwszy nadmuchany balon kawałkiem sznurka, a sam z zabranym tacie czarnym markerem w dłoni jest gotowy, aby napisać kolejną wskazówkę: „ZAKŁADKA”, co ma oznaczać kładkę, tę na ścieżce prowadzącej do Hampton, gdzie Adeline zostawiła swoją wskazówkę.

Dół to tak naprawdę płytkie zagłębienie w ziemi wielkości mniej więcej szkolnej klasy i podobnie jak wiele niedokończonych przedsięwzięć wokół jeziora, jego oryginalne przeznaczenie pozostaje tajemnicą. Znajduje się tam, odkąd Will sięga pamięcią, a mieszka on w Blythe najdłużej z całej paczki, dłużej nawet niż Jen. Nie chce myśleć o tym, jak długo to jeszcze potrwa, bo pewnie się stąd wkrótce wyprowadzi. Tata uważa, że mama cierpi na depresję z powodu Liz, i pewnego wieczoru powiedział, że może będą się musieli na jakiś czas rozstać albo nawet wziąć rozwód, bo on chciałby zamieszkać nad morzem, gdzie jest świeże powietrze i...

Will przywiązuje balon do wystającego z ziemi kawałka zardzewiałego metalu. Kiedy go puszcza, balon wypada z jego dłoni, ląduje na suchym piachu, gdzie porusza się z wiatrem, i wpada do dołu, pociągając za sznurek niczym sfrustrowany pies.

Oczywiście Will przeoczył, że balony nie będą się unosić w powietrzu. Czemu miałby o tym pomyśleć? Tata ciągle powtarza, że chodzi z głową

w chmurach, i dodaje do tego prztyczek w ucho. Wcale tak nie jest. Stąpa twardo po ziemi, tyle że jego uwagę pochłania wiele różnych rzeczy. Jasnych i kolorowych, a czasem przerażających. Ma wrażenie, że nimi żongluje, trochę jak klaun. Ale potrafi się skupić tylko na jednym, a tymczasem reszta...

Gliniasta ziemia na krawędzi dołu ustępuje pod jego nogami. Will traci równowagę i przez chwilę wymachuje komicznie rękami, aż w końcu wpada do głębokiego na metr wykopu.

– Cholera – klnie, po czym się śmieje. – Auć.

W sumie to nawet się nie poobijał. Ma tylko nadzieję, że nikt nie widział tej zgniłej wisienki na spleśniałym torcie jego dnia. Kiedy już-już ma wstać, zwraca uwagę na nieco inny odcień gleby w miejscu, gdzie grunt się pod nim zapadł. Przesuwa się tak, że krawędź dołu znajduje się na wysokości jego oczu. Coś tam ukryto, coś brunatnego. Odkopuje przedmiot na tyle, na ile tylko jest w stanie. To fragment starego garnka.

Doświadcza rzadkiej chwili skupienia i przypomina mu się jedna z rozmów z Billem.

Will spogląda na naczynie, następnie na balon, a potem na zegarek. I od początku. Do wyjścia pozostałych z domu zostało czterdzieści minut, ale to za mało na wydobycie garnka, zanieśenie go do domu i przygotowanie reszty wskazówek. Jego Poświęcenie nie ma być długie, ale rozciągnięte w terenie. Nie chce zabrać naczynia ze sobą, bo mógłby je jeszcze upuścić. Zawsze może pobiec z powrotem, opowiedzieć o znalezisku i liczyć, że inni także uznają je za ekscytujące. Gdyby jednak nie zrozumieli rangi odkrycia, już wyobraża sobie ich miny, ich rozczarowanie. Niezadowolenie Steve'a. Pomyśleliby, że niczego nie zaplanował tak jak Rup, a naprawdę byłoby szkoda, bo przecież pomysł jest świetny...

Wróci tutaj. Oto co zrobi. Rozniesie pozostałe wskazówki, a potem tu wróci. Tak, to wiąże się z ryzykiem, że garnek znajdzie ktoś inny. Ale przeleżał tu tyle czasu, więc może wytrzyma jeszcze trochę. Will zakrywa

skarby ziemi. Po problemie. Bierze do ręki torebkę z balonami i marker i rusza w stronę kładki na ścieżce wiodącej do Hampton.

„CHŁOPAK ZNAJDUJE RZYMSKI SKARB” – wyobraża sobie nagłówki gazet. Zaraz jednak ściąga brwi. „CZŁOWIEK Z PSEM ZNAJDUJE RZYMSKI SKARB”. Musi się spieszyć.

Zajmuje mu to mniej czasu, niż się spodziewał i do dołu wraca po niecałej godzinie. Tym razem ze szpadlem. Pozostali może nawet jeszcze tu nie dotarli – chyba że któreś wyruszyło przed wyznaczoną godziną. Nierozsądnie jest kręcić się w okolicy, zanim grupa znajdzie pierwszą wskazówkę, ale Will postanawia podjąć ryzyko. W sumie dla gry to i tak nie ma znaczenia. Ważne, żeby w ostatnie miejsce dotarł przed pozostałymi.

Zeskakuje do dołu i usuwa ziemię rękami tak jak poprzednio, następnie za pomocą szpadla rozgarnia twardszą glebę. Stara się robić to delikatnie, jednak chwilami, kiedy ziemia nie chce ustąpić, ma ochotę krzyknąć i porządnie wbić szpadel, ale...

To przez te skręty. Zawsze rozpoznaje ten głos w swojej głowie, tym wyraźniejszy, im dłuższe są przerwy między podkradaniem zapasów Monksa. Wyjmuje z kieszeni jeden, który ukradł dziś rano, i zapala zapalniczkę o rozporek.

Pracuje, nucąc pod nosem, tak pochłonięty tym, co robi, że nie słyszy, jak ktoś się zbliża od strony Raven Way.

– Co robisz? – rozlega się głos znad krawędzi dołu.

Will podskakuje i się odwraca.

– Dlaczego jesteś tutaj? – pyta Steve. Jak można się było spodziewać, ma taką minę, jakby patrzył na coś odrażającego.

– W porządku. – Will wstaje i unosi ręce. – Wszystko zgodnie z planem.

Steve zeskakuje. Will robi krok do tyłu i ustawia się tak, że siedzi teraz na skraju dołu, blisko znaleźziska.

– Co się dzieje, stary? Czemu nie traktujesz tego poważnie?

– Traktuję...

– Gdybyś traktował grę poważnie, toby cię tu nie było. – Steve wydaje się zdenerwowany, chyba nie rozumie, że Will ma sytuację pod kontrolą.

– Musiałem po coś wrócić.

– Nie zachowuj się jak Rupesh. Porozkładałeś przynajmniej resztę wskazówek?

– Tak. Tak, wszystko jest przygotowane.

Steve kręci głową.

– Sądziłem, że podoba ci się ta gra.

– Podoba się.

– No to idź stąd, bo to jest wbrew zasadom. Nie powinienem cię widzieć. – Nadal kręcąc głową, dodaje: – Kazałeś mi obiecać, że będę się trzymał zasad gry. I naprawdę nie chcę, żebyś został wykluczony.

– Nie martw się.

– Martwię się, bo już raz dotarłeś jako ostatni, i martwię się, że spotykasz się z tym złamasem Strachanem. Nie wiem, co się z tobą dzieje.

Will wzrusza ramionami. Jak mógłby przekonać go do Billa? Zresztą i tak by go nie wysłuchał. Kiedy Steve o czymś raz zadecyduje, nie ma odwrotu. Postanawia jednak spróbować.

– On jest w porządku.

– Naprawdę? – dziwi się Steve. – Był okrutny dla swojego psa. A ten pies pogryzł Obiego, przez co pewnie Obi skończył tak, jak skończył.

– Są ku temu powody.

– Zawsze istnieją powody. Hitler miał powody. On ci miesza w głowie. Używaj mózgu, stary.

Will nie znosi Steve'a w takim wydaniu. Rzadko żywi względem kogoś podobne uczucia. Steve potrafi być taki... niesprawiedliwy.

Nie mów tak do mnie. Ma ochotę to wykrzyknąć, jednak milczy. Porusza nogą i ta ociera się o szpadel. Steve otwiera szeroko oczy, co znaczy: „Ruchy, baranie”. Will wstaje i zaczyna iść w stronę ścieżki wiodącej na pola za Elm Close. Kiedy Steve ma taki nastrój, lepiej odejść. Choć, jak powiedział Bill, niektórzy ludzie reagują tylko wtedy, gdy im się przywali w ucho.

Will idzie przez pole kukurydzy. Zaczynają z niego ulatywać wstyd i gniew, jak to się zawsze dzieje w przypadku intensywnych uczuć. Jakby gdzieś w nim znajdowała się dziura. Nawet w tym najgorszym czasie, z Liz, nie był w stanie tłumić w sobie emocji dłużej niż przez kilka minut.

W sumie wychodzi mu to na dobre, bo dopadają go uczucia, których wcale nie chce. Jak te, które go ogarniają, kiedy przebywa ostatnio w towarzystwie Jen i Rupesha. Nie ma nic przeciwko Rupowi. Skąd miał wiedzieć, jaką suką okaże się Jen w stosunku do niego? Nie zachowuje się ładnie po tym, co w zeszłe lato wydarzyło się na torach, nie dopuszcza go do siebie, śmieje się z niego, w ogóle nie stara się ukryć tego, co łączy ją i Rupa. Mimo to nawet teraz na jej widok jego serce wali jak młotem.

Zaciąga się skrętem, po czym rzuca niedopałek na ziemię. Hej ho, nic nie może zrobić w kwestii tych uczuć, nawet jeśli są naprawdę silne, zmuszające do robienia tego, czego nie powinien, i sprawiające, że czuje się słaby, samotny i...

Garnek! No tak, nie postanowił, co zamierza zrobić z naczyniem. W tej chwili nie ma wielkiego wyboru. Musi poczekać, aż gra dobiegnie końca. I mieć nadzieję, że nikt z pozostałych przypadkiem go nie uszkodzi albo że Steve go nie znajdzie i nie roztrzaska z zemsty.

Will się zatrzymuje. Powinien wrócić i sprawdzić, tak na wszelki wypadek? Nie, Steve generalnie jest w porządku. Nie robi ludziom na złość. Naprawdę sobie ubzdurał, że Bill to potwór, więc jeśli się nad tym

zastanowić, to zachowuje się jak dobry przyjaciel, który nie ma racji. Steve traci czasem nad sobą panowanie, ale taki już jest. A jeśli nie porozmawiało się z Billem, to nie wiedziało się, dlaczego tak się na wszystko złości. Dlaczego jego pies się ciągle złości. Dlaczego...

Bill! On będzie wiedział, co zrobić z garnkiem, żeby go zabezpieczyć albo dostać za niego najlepszą kasę. Właściwie skoro pozostali skupieni są na grze, on może go teraz odwiedzić i powiedzieć o wszystkim. Jest weekend, więc go zastanie. A jeśli pobiegnie, znajdzie się tam w mgnieniu oka. Musi tylko dopilnować, żeby dotrzeć na metę przed Steve'em.

Bill nie otwiera drzwi, co daje Willowi trochę czasu na zaczerpnięcie tchu, nim udaje się za dom do warsztatu, gdzie mężczyzna spędza większość weekendów. Jest to duża szopa na końcu ogrodu. Puka w drewniane drzwi i słyszy odpowiedź, żeby chwilę zaczekał. Kiedy Bill staje w wejściu, wydaje się zaskoczony widokiem Willa. Ubrany jest w niebieskie spodenki i podkoszulek, czoło ma spocone, a twarz czerwoną.

– Znalazłem garnek na jednym z pól – oświadcza Will, a Bill kiwa głową.

Ćwiczy. Will czuje to od razu, gdy wchodzi do środka. Pot i guma, i lakier. W lewym rogu leżą ciężarki i worek treningowy. W młodości Bill był bokserem amatorem, ale lekarze mu powiedzieli, że jeśli zarobi jeszcze jeden cios w głowę, stanie się warzywem. Wielkim, czerwonym burakiem. Po prawej stronie znajduje się półka, na której stoją jego artefakty. Sprzączki od pasków, fragmenty ceramicznych naczyń, monety. Fundusz emerytalny, tak nazywa kolekcję. Uważa, że razem jest to warte jakieś dwadzieścia tysiąków. Część rzeczy sam znalazł, na część się wymienił. W sumie niezła forsa za grzebanie w ziemi jak...

Na wysłużonej, starej sofie na końcu szopy odpoczywa Elvis, pies, którego Bill swego czasu przywiązywał do słupka. Nauczył się rozpoznawać głos Willa i praktycznie nie reaguje na jego obecność. Jest

całkiem w porządku. Liże po ręce i w ogóle. Bill mu wyjaśnił, że jego żona przywiozła go ze schroniska i że poprzedni właściciele rzucali w niego różnymi rzeczami, kiedy tylko próbował wejść do domu, dlatego lubił przebywać na dworze. Problem w tym, że gdy żona go zostawiła dla jakiegoś kretyńskiego imigranta z Hiszpanii, pies nie mógł przesiadywać dłużej w ogrodzie, bo tak jak Obi ciągle uciekał. „Dawniej czekał w ogrodzie na jej powrót do domu – tak mu powiedział Bill – a kiedy nie wracała, szedł jej szukać, idiota jeden. Raz go znalazłem aż przy torach. Nigdy więcej. Tylko on mi po niej został”. Dlatego właśnie go przywiązywał.

Z Billa nie jest żaden bohater. Kiedyś nazwał Rupesha ciapatym, a na Adeline mówi „nieletnia”, no i ciągle opowiada o tym, co robił w młodości dla gangów z Birmingham. Ale ta historia z psem sprawiła, że Will znienawidził to, co zrobili przed rokiem, a polubił Billa za to, że przynajmniej próbuje być dobry dla psa, mimo tego jak zachowała się jego żona. Will nawet dostrzega plus tej sytuacji. Psu podoba się w szopie. Może zwierzę nie pachnie najładniej, ale przynajmniej nie ucieka.

– To pewnie pozostałość po robotnikach, którzy tam pracowali – orzeka Bill i ociera czoło ręcznikiem, który wcześniej leżał na ławeczce do ćwiczeń.

– Ten garnek jest znacznie starszy – protestuje Will. – Od razu to widać.

– Myślisz? – Przez chwilę się zastanawia. – Chcesz, żebym tam poszedł i się przyjrzał? Elvisowi przyda się spacer.

Pies strzyże uszami, jakby rozumiał.

– Teraz nie mogę – odpowiada Will. – Jestem w trakcie czegoś.

– Z waszą paczką?

Kiwa głową. Bill unosi rękę i dotyka jego ramienia. Często to robi: dotyka ramienia, boku. Tylko w takich sytuacjach Will myśli, że Steve ma rację. Bill lubi go dotykać, co Willowi może by nie przeszkadzało, gdyby nie fakt, że zawsze są wtedy sami.



– Nie robicie sobie przypadkiem żartów, co?

– Nie – odpowiada Will. – Oni nie wiedzą, że to znalazłem.

– A ten wysoki wie?

Czy Steve wypatrzy garnek? Nawet gdyby, nie będzie wiedział, co to takiego.

– Nie, jeszcze nie.

– Dobrze. Niech tak zostanie. Nie ufaj temu chłopakowi. A my podzielimy się pół na pół tym, co tam znajdziemy.

Drugą rękę wyciąga do Willa, żeby przypieczętować umowę. Uścisk okazuje się mocny i trwa ciut za długo, ale w końcu Bill go puszcza i umawiają się na piątą po południu. Will podaje mu dokładną lokalizację swojego odkrycia.

Nim wychodzi, czuje się w obowiązku zakomunikować:

– Steve jest w porządku, naprawdę.

Tak by właśnie powiedział, gdyby sytuacja była odwrotna. Kiedyś już to zrobił. Bill jedynie coś mruczy i zaczyna okładać pięściami worek.

Will siedzi na jednym z sześciu betonowych słupków, które wyznaczają granice drogi za jeziorem. Blisko stąd do kładki nad torami, ale Rupesh nie ma problemu z przychodzeniem w to miejsce. Podejrzewa jednak, że gdyby miał rozegrać tę turę zgodnie z pragnieniem Steve'a, to powinien umieścić wskazówkę na samych torach.

Chrzęst czyichś kroków na ścieżce prowadzącej od jeziora sprawia, że Will podnosi wzrok. Typowe, Steve. A więc ma już jedenaście punktów. Wydaje się zdyszany. Biegł? Pewnie tak wiele znaczy dla niego wygrana. Steve siada na słupku po prawej stronie Willa. Obaj obserwują ścieżkę.

– Balony – odzywa się. – Fajne.

– Próbowałem nastraszyć Rupesha, tak jak na tamtym filmie.

– Miej lepiej nadzieję, że to nie on pojawi się jako drugi.

Niczego by to jeszcze nie przesądzało, ale Will musi w następnej rundzie rywalizować już tylko z nim. Może Steve ma rację i Will powinien się zacząć martwić. Zazwyczaj się nie myli.

To miejsce Willowi kojarzy się z tym, co przytrafiło się Obiemu. On i Steve od zawsze się przyjaźnią, ale tamtego dnia do Willa dotarło, że Steve traktuje go w inny sposób niż pozostałych. To jego poprosił o pomoc w pochowaniu Obiego, pewnie dlatego że kiedyś przyłapał Willa na grzebaniu ptaka na jednym z pól. Will kopał dół, a w tym czasie Steve opowiadał o tym, jaki to był dobry pies, choć to nie do końca prawda, zwłaszcza pod koniec jego życia. Obi zawsze próbował wszystkich gryźć, łącznie ze Steve'em. Will pozbierał szczątki zwierzęcia i złożył je do ziemi. Wnętrznosci spadły mu na nogę. Czy choć przez chwilę narzekał? O nie. Nawet wtedy, kiedy Steve kazał mu wyjąć truchło i uczynić dół głębszym i szerszym, bo nie chciał, aby wykopały je lisy. Gdy skończył, dziura była na tyle duża, że zmieściłyby się w niej trzy, albo i cztery psy. Steve powiedział, że zajmie się resztą, i Will go zostawił, żeby mógł spokojnie pochować Obiego.

Will nigdy wcześniej nie wyprawiał pogrzebu psu, ale za to innym... Zwierzęta bywają naprawdę głupie – przecież Obiemu przytrafiło się właśnie to, przed czym Bill strzegł Elvisa. Po co w ogóle wylazą na tory? Pewnie przez zapachy. To w sumie ciekawe, że Strachan i Steve mieli podobne problemy z psami. Ciekawe, ciekawe, ciekawe. Gdyby tak się nie nienawidzili, pewnie by się zakumplowali.

Do Willa dociera, że poczuł tamtego dnia więź ze Steve'em, bo tylko oni dwaj okazali się wystarczająco uczciwi, by przyznać, że lepiej, aby ten pies nie żył. Steve napomknął kiedyś Willowi coś na temat położenia kresu cierpieniu Obiego, a on poczuł wtedy ulgę, ponieważ sam często myślał podobnie, zwłaszcza kiedy Obi warczał na niego i...

Unoszą głowy, słysząc zbliżające się kroki. Adeline zdobywa trzy punkty. Idzie w ich stronę bez kropli potu na twarzy.

– Trudne to było – oświadcza.

Ostatni zjawiają się Jen i Rupesh. Śmieją się i żartują, idąc wzdłuż jeziora, a od reszty odgradza ich wysoki żywopłot. Cała trójka czeka, siedząc na słupkach, a ich rozmowa urywa się w momencie, kiedy słyszą zbliżającą się parę. Steve nie będzie zadowolony. Ani trochę. Zdążył już dać jasno do zrozumienia, że według niego Jen pomogła Rupeshowi wygrać swoją rundę. To tylko potwierdza tę teorię. Gdy się pojawiają na końcu ścieżki i widzą, że dotarli jako ostatni, przestają chichotać. Rupesh, prawdopodobnie popchnięty przez Jen, podbiega do Willa i dotyka jego ramienia. Jen nie biegnie. Idzie zgarbiona i niemal się wstydzi spojrzeć na Willa, bo pomagając Rupeshowi, pogrążyła jego.

– Balon na moście pękł – odzywa się. – Wpadliśmy na siebie, kiedy próbowaliśmy go poskładać i odczytać wskazówkę.

– Nie mogę uwierzyć, że wykorzystałeś moje miejsce – mówi Adeline.

Will wzrusza ramionami.

Jeśli Steve jest zirytowany, nie daje tego po sobie poznać. Wszyscy się rozsiadają i chwala Willa za wyobraźnię, jaką wykazał się podczas swojej rundy, po czym Steve podaje aktualną punktację.

Steve – 11

Adie – 9

Jen – 8

Rupesh – 7

Will – 5

– Jen i ja możemy jeszcze wygrać – rzuca Adeline do Steve’a.

– Poświęcenia nikt tak naprawdę nie wygrywa – odpowiada Steve i choć jego słowa skierowane są do całej grupy, Will czuje na sobie jego spojrzenie i przebiegający między nimi jakiś impuls.

Podczas drogi powrotnej Will, starając się nie zwracać na siebie uwagi, odłącza się od grupy i zaczyna się cofać w stronę miejsca pochówku. Wcześniej rozmawiali o Poświęceniu Steve'a, czyli decydującej rundzie. Wszyscy zgodzili się co do tego, że Willowi trudno będzie teraz dogonić resztę. On ma to jednak gdzieś. Możliwe, że do tego czasu stanie się sławny i bogaty, jeśli garnek okaże się...

– A ty dokąd? – pyta Jen. – Nawet się nie pożegnasz?

– Pomyślałem, że się wyślizgnę – mówi sycząco. Wykonuje falisty ruch ręką, jakby był węzłem, żeby im pokazać, iż robi to celowo.

Część grupy się śmieje, tak jak często, kiedy wcale nie próbuje być zabawny.

– Bez słowa? Rozmawialiśmy o tym, Will – denerwuje się Jen.

– Znalazłem w dole coś, czemu chciałbym się przyjrzeć.

– Co znalazłeś? – interesuje się Steve.

Jasny gwint! Wcale nie zamierzał tego mówić.

– Możliwe, że to nic takiego.

Steve nie wydaje się przekonany, ale nie zadaje więcej pytań. Zauważa jedynie:

– Zaraz będzie padać, chodźcie.

Odchodzą spokojnie bez niego. Pewnie i tak wylądują u Steve'a i będą oglądać filmy, więc wiele nie straci.

Do domu nie jest daleko. Szpadel i garnek są tam, gdzie je zostawił – ten pierwszy schował w pobliskiej kukurydzy. Wiatr zawiewa piach na znajdujące się niedaleko ogrodzenie i porusza liśćmi kukurydzy. Will cieszy się z tych odgłosów, bo gdy robi się cicho, dostaje gęziej skórki. Rozumie, dlaczego Rupesh boi się czegoś takiego.

Kłęka przy garnku i cierpliwie odgarnia ziemię, co jakiś czas oglądając się, żeby sprawdzić, czy jest sam. Gdyby ktoś go spytał, Will pewnie by powiedział, że to naczynie, o ile rzeczywiście zostawili je Rzymianie, pochodzi z niewielkiej chaty, w której pobierano myto. Na pewno nie

z osady. Rzymianie mieli głowę na karku i nie osiedlali się na kompletnych pustkowiach, a tym przecież były te małe wsie rozproszone po West Midlands. Stanowiły punkty postojowe w drodze do lepszych miejsc albo domy dla służby ze starych rezydencji.

Potrzebuje fajki. To tłumaczy dziwne ściskanie w brzuchu. Nagle przychodzi mu do głowy myśl, że te wsie powstały nie bez powodu i że czymś niewłaściwym jest osiedlanie się w zakątkach takich jak Blythe. Dlatego Monks mówi, że tata chce się przeprowadzić nad morze. To tam dzieją się interesujące rzeczy, tam przyplływają statki i przywożą nowe towary, i tam udają się ludzie, którzy lubią nieznaną. Monks twierdzi, że wieś jest dla tych, co chcą uciec, tak samo jak wszy pierzchają na czubek głowy, kiedy położy się na włosy trucizną. Wzdryga się. Zresztą co Monks może wiedzieć? Jedyne, co robi, to słucha muzyki i gra w swoim pokoju na komputerze. A ostatnia gra, od której się uzależnił, jest jeszcze bardziej bezsensowna niż poprzednie: chodzi się bez końca po pustyni, nie znajduje niczego ani nie dociera do żadnego...

Spora grudka ziemi odpada i garnek lekko się porusza. Po niej odchodzi kolejna grudka i jeszcze jedna, dzięki czemu Willowi udaje się wyciągnąć naczynie.

– Najfajniejsze jest sprawdzenie, co się kryje w środku – odzywa się stojący za nim Steve.

Jeśli znowu zamierza go przestraszyć, to mu się nie uda. Niemniej Willowi robi się zimno. Czyż nie spodziewał się czegoś takiego? Nie odwracając się, zagląda do garnka. Ubita ziemia.

– Zabiorę to do domu. Nie chcę przypadkiem uszkodzić znaleziska.

– Dobry pomysł – przyznaje Steve i zeskakuje do dołu.

– Gdzie reszta? – niepokoi się Will.

– Wyślizgnąłem się – odpowiada i wykonuje ręką jego wcześniejszy gest. – Powiedziałem, że masz mój portfel, ale poszedłem cię szukać dlatego, że wpadł mi do głowy pewien pomysł.

Will trzyma w objęciach garnek.

– Jak myślisz, co to takiego? – pyta Steve.

– Nie wiem.

– Ma to jakąś wartość?

– Nie wiem.

– Mogę zobaczyć? – Steve wyciąga rękę.

Will nie chce dać mu garnka, nie ufa mu.

– Co to za pomysł?

– Chodzi o grę. Bukmacherzy przestali już przyjmować zakłady dotyczące twojego wykluczenia z grupy. Nawet jeśli Rupesh zjawi się jako ostatni, ty musisz być pierwszy, żeby go przegonić.

– Jest spore prawdopodobieństwo, że przegram – przyznaje Will. – Ale może być także remis. Co wtedy?

– Nie chcesz wiedzieć – mówi Steve. – Myślę, że skoro Jen w sposób oczywisty pomogła Rupeshowi, a nikt tak naprawdę się tym nie przejął, to sprawiedliwie będzie, jeśli ja pomogę tobie.

– Jak możesz mi pomóc?

– W mojej rundzie. Mogę ułatwić ci wygraną. Niekoniecznie sprawię, że Rupesh przegra, ale dam ci fory.

To miło ze strony Steve'a i owszem, teraz, kiedy Will o tym myśli, rzeczywiście oburza go, że Rupesh dostał wsparcie. Ale co zyska na tym Steve? Po co miałyby wracać się taki kawał drogi, gdyby nie chodziło o coś...

– Steve, kto ma wygrać?

To pytanie wyraźnie go zaskoczyło, bo przestępuje z nogi na nogę, wysuwa dolną wargę i wzrusza ramionami.

– Szczerze? Nie mam preferencji, Will. Chcę jedynie, żeby było sprawiedliwie. Żeby była równowaga. Nie chcę, by ktoś poczuł się oszukany.

To akurat potrafi zrozumieć. Równowaga. Dlatego broni Billa przed Steve'em. Równowaga. A właśnie, niedługo zjawi się tutaj Bill. Kiedy ostatnim razem patrzył na zegarek, dochodziła piąta po południu.

– Idę zaraz do domu – mówi, mając na podorędziu historyjkę o tym, że umówił się z tatą. Zamierza pozbyć się Steve'a i tu wrócić.

– Chcesz poznać mój plan?

Willowi nie spodoba się to, co Steve chce mu powiedzieć, ma co do tego pewność. Chodzi pewnie o Rupesha. Tylko on z ich grupy potrafi postawić się Steve'owi, nawet jeśli robi to w swój własny, spokojny sposób. Może powinien po prostu przystać na propozycję Steve'a, a mimo to i tak ukończy rundę jako ostatni. Byłoby zabawnie, choćby nikt inny się o tym nie dowiedział. Zwłaszcza jeśli tata rzeczywiście ma w planach przeprowadzkę nad morze. A wkurzenie Steve'a byłoby wystarczającą nagrodą.

– Aha, ale powinienem zanieść to szybko do domu. Boję się, że zacznie padać.

– Naprawdę? A co to według ciebie jest? To przecież jakiś śmieć. W porządku, zanieś garnek, a potem przyjdź do mnie.

– Dobra.

Ponownie wyciąga rękę.

– Mogę w takim razie przynajmniej zobaczyć ten cud świata?

Will nie podaje mu naczynia. Przyciska je mocniej do piersi. Steve marszczy czoło.

– Daj mi go potrzymać, stary. Dwie sekundy.

– Pokażę ci, kiedy go wyczyszczę.

Steve wywraca oczami, po czym robi krok w stronę Willa.

– Musisz się nauczyć, że „nie” znaczy „nie” – odzywa się Bill i staje na skraju dołu.

Ton głosu ma taki, że nagle wszystkie jego gangsterskie opowieści stają się bardziej wiarygodne. Will czuje ulgę i strach. Nie chciał dopuścić do

tego spotkania, ale przynajmniej garnek zostaje przy nim.

– A pan co się wtrąca? – pyta Steve. Nie wydaje się już taki pewny siebie.

– Istnieje określenie na takich jak ty. Jesteś tyranem, a ja się z takimi nie patyczkuję.

Steve prycha głośno i z przymusem.

– Już ci mówiłem, że jesteś u mnie na cenzurowanym – kontynuuje Bill. – Na twoim miejscu nie przeciągałbym struny. Spadaj stąd. Chcę zobaczyć, o co to całe zamieszanie.

– Nie będzie mi pan...

Wtem z kukurydzy wypada Elvis i warcząc, biega wokół dołu, następnie wskakuje do niego i rzuca się na Steve'a. Podcina mu nogi, a ten się przewraca.

– Elvis! – Bill krzyczy i pies podchodzi do niego.

Steve wstaje, spogląda na swoje brudne dżinsy, potem na ręce. Na jednej dostrzega krew. Z szerokim uśmiechem prezentuje ją Billowi.

– To pewnie wystarczy, żeby go uśpić – oświadcza.

Bill piorunuje go wzrokiem. Pobiją się? Will chciałby nawet to zobaczyć. Kto by wygrał? Strachan jest silny, ale jednak...

Steve wychodzi z dołu i zaczyna iść tyłem w stronę Raven Way. Palcem wskazuje Billa.

– To pan jest na cenzurowanym u mnie – rzuca. – Dni tego psa są policzone. Powinien zostać uśpiony już dawno temu. Will, idziesz? Chyba nie chcesz tam z nim zostać?

Will się waha, nie ma pojęcia, jak się wyplątać z tej niezręcznej sytuacji.

– Dam sobie radę – odpowiada.

Steve nie wie, jak zareagować na te słowa. Przez jego twarz przemyka cała masa emocji, aż w końcu maluje się na niej konsternacja. Kręci głową, macha ręką i odchodzi, mamrocząc coś na temat psa.

Willowi się to nie podoba. Ani trochę. Możliwe, że lepsza okazałaby się bójka. Przynajmniej wtedy byłby zwycięzca i przegrany. Równowaga



została zaburzona i Steve będzie chciał się zemścić. Wcześniej odpuścił sprawę portfela, skupił się na innych rzeczach. Teraz wszystko zacznie się od początku.

Bill przygląda się garnkowi. Wykonuje ten sam gest, co wcześniej Steve, tyle że jemu Will podaje znalezione.

– Nieźle, chłopie – orzeka Bill. – Myślę, że udało ci się natrafić na coś porządnego. Nie masz nic przeciwko, żebym pokazał to paru osobom?

Dziwne, ale nie ma.

– Tak na marginesie, myślisz, że ten chłopak mówił poważnie o Elvisie? Widziałeś, że pies nawet go nie tknął.

– Później mam do niego zajrzeć. Spróbuję go od tego odwieść.

– Jeśli zrobi coś Elvisowi, to go zabiję. Możesz mu tak powiedzieć.

Z jego ust wylatuje kropla śliny i ląduje na policzku Willa. Ściera ją. Bill wygląda, jakby mówił poważnie. I po raz kolejny historie, które opowiadał Willowi, wydają się prawdziwe.

## Zima 2015

Popołudnie zdążyło się zmienić w wieczór, nim w końcu mnie i tacie pozwolono wejść na oddział intensywnej terapii. Do sylwestra zostało tylko kilka godzin. Głowa mamy była ogolona i zabandażowana. Chirurdzy zrobili, co mogli, i choć w rozmowie wydawali się pełni optymizmu, to jednak ich spojrzenia nie pozostawiały złudzeń. Mama w ogóle nie przypominała siebie i być może to akurat nie było takie złe. Na szpitalnym łóżku leżała nieznajoma kobieta.

Tato wyglądał na zmęczonego i odkąd przyjechałam, nieustannie coś do siebie mamrotał. Upierał się, że spędzi noc w szpitalu – choćby i w poczekalni. Potrzebowałam odskoczni, powietrza i przestrzeni, żeby wszystko ogarnąć, więc zaproponowałam, że pojedę do domu i przywiozę mu jakieś rzeczy. Nie był głodny, ale poprosił o szczoteczkę do mycia zębów i krzyżówki.

Opuściwszy budynek szpitala, włączyłam telefon i natychmiast zaczęły sływać pełne niepokoju wiadomości od Jen, Steve'a i Rupesha. Martwili się, domagali informacji, przesyłali pozdrowienia. Jedna wiadomość była od Xana: prosił, abym do niego zadzwoniła, bo Jon podjął decyzję. Sygnał z innego życia, z równoległego wszechświata.

Zadzwoniłam do Steve'a, który czekał w pogotowiu, odkąd mnie tu podrzucił. Posłusznie po mnie przyjechał i zawiózł na Elm Close.

– Bardzo dziękuję – powiedziałam, kiedy zatrzymaliśmy się przed domem.

Nachyliłam się i pocałowałam go w usta. Zaproponował, że wejdzie ze mną. Nie wiedziałam, co zastanę, więc zasugerowałam, by zaczekał

w samochodzie.

Zważywszy na poranne wydarzenia, w domu panował dziwny spokój. Niemniej poczułam lęk. A jeśli mama rzeczywiście usłyszała kogoś na dole? Na wykładzinie u podnóża schodów dostrzegłam krew, niewiele, ale od razu wyobraziłam sobie scenę, która musiała ukazać się oczom taty: twarz mamy zasłonięta przesiąkniętymi krwią włosami. Przykucnęłam i dotknęłam brunatnej plamy na podłodze. Zdążyła zakrzepnąć i nie zostawiła już śladów na palcach.

– Przepraszam – wyrwało mi się.

Rozpłakałam się nie dlatego, że gniew ustąpił nagle miejsca miłości, ale dlatego, że dotarło do mnie, iż nasza relacja mogła nie mieć już szansy na poprawę. Na zawsze pozostałaby zwichrowana i nic by się w niej nie zmieniło.

Zabrawszy rzeczy taty, skierowałam się do wyjścia, lecz nagle na kuchennym blacie dostrzegłam kopertę. „ADELINE” – tak napisano pod uśmiechniętą buźką z krzyżykami zamiast oczu. Otworzyłam ją, a kiedy odczytałam wiadomość, zaczęły mi się trząść ręce. Wybiegłam z domu, wsiadłam do samochodu, a Steve mnie przytulił i ponad moim ramieniem zapoznał się z treścią listu.

– Musimy się spotkać z pozostałymi – oświadczył.

Przyjaciele,

nie planowałem, że mnie znajdziecie! Wobec tego gra ulega zmianie.

NOWE ZASADY: Mam kogoś. Róbcie to, co wam każę, a nic tej osobie się nie stanie.

Adeline, uznaj to za remake; Steve – za nowe Poświęcenie; Jen – za wieczór premiery; Rupesh – za lek na to, co ci dolega.

Jutro prześledźcie ścieżki swoich rund Poświęcenia. Po drodze znajdziecie przedmioty, które na końcu będziecie mi musieli zaprezentować. Przynieście mi je, a dziewczyna przeżyje.

ZASADY DODATKOWE: Do tych, którzy nie będą przestrzegać zasad, zadzwonią na policję, poddadzą się – załatwię was. I nie tylko was. Załatwię waszych przyjaciół, wasze rodziny, wasze zwierzęta. Sporo uda mi się zrobić, nim zostanie złapany. Zapytajcie mamę Adeline, jeśli uważacie, że nie traktuję tego poważnie.

Kolejność waszego jutrzejszego Poświęcenia: transach, sapnie, rasisto, rotty.

Każdemu z was przyporządkowany jest jeden anagram: może to jakiś sekret, pamiątka, ślad wspólnie spędzonej chwili. Odgadnięcie to tylko wtedy, jeśli zanurzycie się we wspomnieniach. Od nowa poznacie się nawzajem.

JA OBSERWOWAŁEM, SŁUCHAŁEM, UCZYŁEM SIĘ.

Teraz wasza kolej. Zaczynajcie jutro wcześniej, sugeruję szóstą rano. To będzie długi dzień. Miejsce, w którym będę na was czekał, zostanie ujawnione na końcu ostatniego Poświęcenia.

Pozdrawiam, Will X

Jen jako ostatnia przeczytała list sporządzony dziecinnym pismem na kartce formatu A4. Skończywszy, odłożyła go na stół. Dotknęła mojego ramienia tak delikatnie, że początkowo tego nie zauważyłam, w końcu jednak uśmiechnęłam się blado. Robiłam wszystko, żeby znowu nie wymiotować, bo kac jeszcze nie minął, ale teraz sytuację pogarszała buzująca we krwi adrenalina.

– To oczywiste, że pójdziemy na policję – odezwał się Rupesh – ale najpierw musimy się naradzić.

– Jasne – zachnął się Steve. – A co z osobą, którą porwał? Przecież czytaliście, co napisał. Jeśli nie dostosujemy się do tej jego chorej gry... I jeśli nie zrobimy tego, czego chce, to sami także znajdziemy się w niebezpieczeństwie...

– Chyba nie będziemy tu siedzieć, analizując wskazówki, a potem znowu odgrywać nasze rundy Poświęcenia? – prychnęła Jen. Miała zdeterminowany, niemal gniewny ton głosu. Z nikim nie nawiązywała kontaktu wzrokowego i wydawała się zakłopotana.

– Nie, chodziło mi o to, co powiedział Rupesh – odparł Steve. – Musimy się zastanowić.

– Miałem na myśli to, że powinniśmy uzgodnić wspólną wersję – doprecyzował Rupesh. – Zamierzamy wyjawić policji, co zrobiliśmy? Przyznamy się do włamania do domu Willa? Do waszej wizyty w Derby? Będą chcieli wiedzieć, gdzie zdobyliśmy jego adres.

Po raz kolejny Rupesh dbał o swoje interesy.

– Otóż to – zgodził się Steve. – Powinniśmy wszystko starannie przemyśleć.

– Im dłużej czekamy, tym więcej będą mieli pytań o chronologię – wtrąciłam. Ja już podjęłam decyzję, przeanalizowałam sytuację w drodze do szpitala i z powrotem. – Minęła godzina, odkąd znalazłam list. Jeśli zaczniemy kłamać, zbyt wiele się może w ten sposób namieszać. Niewykluczone, że tamten chłopak zgłosił najście Jen i powiążą to z naszą historią. Chcę, żeby teraz wzięto nas na poważnie i żeby złapano Willa. Nie mamy nawet pewności, czy rzeczywiście kogoś porwał.

– To sztuczka – oceniła Jen. – Will ma zamiar dorwać nas samych gdzieś w polu.

Kto mógł wiedzieć, co się stanie, kiedy się tam znajdziemy, w ciemnościach, niewyspani? Spróbowałam przypomnieć sobie ten niewinny wieczór w The George i to, jak bez żadnej dodatkowej podpowiedzi zrobiliśmy dokładnie to, co chciał. Otrzymaliśmy wskazówkę wiele lat temu na polach za Blythe. Już wtedy przewidział, że mówiąc nam, co planuje, sprawi, że właśnie dlatego go zapamiętamy. I wystarczyło, że nie zjawił się na spotkaniu po latach.

– Musimy założyć, że zamierza zabić trzecią osobę – powiedziałam. – Jeśli nie tę, którą porwał, to z pewnością jedno z nas. Albo nas wszystkich. To akurat pozostaje wielką niewiadomą.

– Kwestie moralne są niejasne – wtrącił Rupesh.

– A ten znowu swoje – jęknął Steve.

– Nie wiemy, co uknuł Will ani, jak zauważyła Adeline, czy rzeczywiście kogoś porwał. Twierdzę jedynie, że pójście na policję nie jest równoznaczne z pociągnięciem za spust i wpakowaniem ofierze kulki w głowę.

– Twój dawny kolega teraz potraktuje nas poważnie, Steve – zwróciłam się do niego.

– A jeśli pomyślą, że to tylko jakiś fortel, żeby zmusić ich do... – dumiał Rupesh.

– Moja mama jest w cholernej śpiączce, Rup. – Przez chwilę nikt się nie odzywał. – Musimy iść na policję.

– Steve, mówiłeś, że martwisz się o nasze bezpieczeństwo – rzucił Rupesh.

– Oczywiście, że tak. Możliwe, że Will stoi teraz pod domem i nas słucha. – Steve wskazał na list. – Zasugerował, że obserwuje każdy nasz ruch. Założmy, że zobaczy podjeżdżający radiowóz. Skąd mamy pewność, że nie czeka w gotowości, aby dopaść twoich rodziców? – Popatrzył na Jen. – Albo tatę Adeline? Co się stanie, kiedy już porozmawiamy z policją? – Nikt nie odpowiedział. Steve kontynuował: – Nie zapewnią nam ochrony, prawda? Wyjdziemy z komisariatu i dopóki Will nie zostanie złapany, będziemy zdani na jego łaskę. Przecież nie zamknie się w swoim mieszkaniu. Będzie się ukrywał, śledził nasze poczynania.

Celna uwaga. Nie przyszło mi to do głowy. Kartony, które uznaliśmy za nierozpakowane, tak naprawdę mogły zostać niedawno zapakowane, gotowe na wypadek szybkiej ewakuacji.

– Może to wszystko blef – oświadczyła Jen. – Tak czy inaczej rozwiązaniem nie jest bawienie się w tę głupią grę. – Nikt nie zareagował, więc dodała: – Prawda? – Jej broda drżała.

– Tak – przytaknęłam. – To koniec. Nie trzeba się wiele zastanawiać. Idziemy na policję. Teraz.

Z domu Rupesha wyszliśmy pojedynczo. Will nie był przecież w stanie śledzić nas wszystkich. Steve i Rupesh pojechali samochodami prosto na komisariat, natomiast Jen udała się do domu, aby dopilnować, by jej rodzice poczekali w miejscu publicznym na dalsze instrukcje. Ja ruszyłam najpierw do szpitala, by powiedzieć tacie, że zameldowałam nas w tym samym hotelu, w którym zatrzymał się Steve, i że do czasu mojego powrotu ma nie opuszczać szpitala.

Kiedy się zjawiłam na komisariacie, poważna recepcjonistka zaprowadziła mnie do dusznego pomieszczenia na zapleczu, gdzie znajdowali się pozostali. Jen i Steve złożyli zeznania, a pod adres w Sparkbrook zostali już wysłani policjanci.

– Poszli po kogoś innego, kto przesłucha ciebie i Rupesha – poinformowała mnie Jen. Wydawała się podenerwowana i bez przerwy zakładała włosy za uszy.

– Potraktowali nas poważnie? – zapytałam z ulgą.

Jen wzruszyła ramionami.

– Mówią jedynie, że się temu przyjrzą. Chyba nie wiedzą, co z nami zrobić.

Po dziesięciu minutach recepcjonistka zaproponowała nam coś do picia i przeprosiła za opóźnienie. Wyjaśniła, że z powodu cięć w budżecie cierpią na deficyt pracowników.

– Nie wydaje mi się, aby on miał wszystko zaplanowane – powiedział Steve po jej wyjściu. – Ten list, atak... Czytałem coś na ten temat. To

podręcznikowe zachowanie. Will traci kontrolę. Seryjni zabójcy często wykonują fałszywy ruch, kiedy się zbliżają do końca swojej działalności i chcą zostać schwytani.

– No tak, pamiętam, że zanim złapano tego zabójcę z Ipswich, przeprowadzono z nim wywiad w telewizji – przyznałam.

– Słyszałem, że pewien morderca – odezwał się Rupesh – zapraszał ofiary do siebie, gdy tymczasem inne osoby, które zabił, były... Cóż, rozumiecie, o co mi chodzi.

– Myślę, że go złapią – skwitował Steve. – To już koniec. – Wyciągnął rękę i ujął moją dłoń. I jakby nie mógł znieść ciszy, zapytał: – Zastanawialiście się nad tymi wskazówkami z listu? Może pomogą policji?

– Nie róbmy tego – poprosiła Jen.

– Pierwszym słowem było „transach” – przypomniał Rupesh. – Próbowałem to rozwikłać. Tak już mam. Czasem oglądałem razem z nim teleturnieje. – W jego głosie słychać było prawdziwe emocje.

W myślach starałam się rozwiązać zagadkę, ale nie mogłam się skupić. Wyjęłam telefon i odszukałam stronę internetową deszyfrującą anagramy.

– Nie widzę tu nic przydatnego.

Zinterpretowaliśmy następne sformułowanie „rasisto” jako „siostra”. Po długiej chwili Rupesh zapytał, czy wiemy, że Will miał siostrę, która umarła. Nikt z nas o tym nie słyszał.

– Może to wskazówka dla mnie? Dowiedziałem się kiedyś przez przypadek. On nigdy o tym nie mówił.

– Nie mam pojęcia, czy zmierzamy w dobrym kierunku – stwierdziłam. – Te hasła są zbyt ogólne.

– Próbuje z nami pogrywać – wtrąciła Jen. – To głupie. No i te sugestie, że poznamy siebie nawzajem. Liczy, że podczas prób odkrycia prawdziwych znaczeń, wyznamy wszystkie nasze sekrety.

– Czemu miałyby to robić? – zdziwił się Steve. – Mamy aż tak wiele tajemnic?



– Żeby nas nastawić przeciwko sobie albo znaleźć nasze słabe punkty, sama nie wiem. – Jen zbladła i zaczęła szybciej oddychać.

– „Roty” to może „tory” – zasugerowałam.

Coś się zmieniło w zachowaniu Steve’a. Dotknął dłonią czoła. Z jego gardła wydobył się cichy jęk.

– To może... Nie, to musi być moje słowo. – Rysy twarzy mu stwardniały, jakby walczył z czymś w swojej głowie.

– O co chodzi? – zapytałam.

– Nic wielkiego. – Wpatrywał się w ścianę. Zatopił się we wspomnieniach. Czyżby przypomniał sobie Obiego? – Po prostu... Coś się zdarzyło między mną a nim na torach pod koniec tamtego lata.

– Co takiego? – zaniepokoiłam się.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, bo... miałem straszne wyrzuty sumienia. Często kłóciliśmy się o Strachana. Will spędzał z nim dużo czasu, a mnie to irytowało i...

– Strachan – przerwała mu Jen. Popatrzyliśmy na nią. – „Transach”. Myślę, że to „Strachan”.

– Strachan. No jasne – przytaknął Rupesh. – To także może mnie dotyczyć.

– Znowu ciebie? – zdziwił się Steve.

Kącik ust Rupesha uniósł się lekko.

– Cóż, to ja rzuciłem cegłą w jego samochód.

– O w mordę – wymknęło mi się.

Wzruszył ramionami, jakby to nie miało znaczenia. Wtedy jednak to było coś szokującego. Nie wspominając o tym, ile bólu sprawiła mi przedwczesna rozłąka ze Steve’em, będąca konsekwencją czynu Rupesha. Zakładałam, że to sprawka Willa, a ten incydent w znacznym stopniu przyczynił się do tego, że uważałam go za narwańca.

– Chciałem zrobić coś, czym bym wynagrodził fakt, że zasnąłem tamtej nocy, kiedy wy podłożyliście kartkę o jego psie.

– Zasnąłeś? – zapytał z niedowierzaniem Steve.

– Próbowałem się zrehabilitować. Byłem wtedy wstawiony i uznałem, że nie będzie to gorsze niż tamto przeskakiwanie przez płot. Kiedy policja zaczęła węszyć, nie przyznałem się, co w sumie było głupie. – Pokręcił głową. – Tylko Willowi o tym powiedziałem.

– Może to dotyczyć również mnie – wyznałam. – Nie wiem, czy słyszeliście o mojej mamie i Strachanie, o tym, że przyłapałam ich na romansowaniu. – Zerknęłam na Jen.

– Właściwie „sapnie” także do mnie pasuje – zasepił się Rupesh. – Pewnie oznacza to „spanie”, tak jak tamtej nocy. Will to zapamiętał.

– Nie sądzę, żeby chodziło o ciebie – bąknęła Jen.

Otworzyły się drzwi. Do środka weszli posterunkowy Clarke oraz posterunkowa Massey i zaczęli od przeprosin. Byli w domu w Sparkbrook. Nikogo nie zastali.

– Jaki jest plan? – zapytał Steve.

– Myślę, że na razie wszyscy muszą zachować czujność – orzekł posterunkowy Clarke.

– Już to robiliśmy i proszę, co się stało – zripostował Steve. – Udało się wejść do jego domu?

– Do tego potrzebny nam nakaz, a zdobycie go trochę potrwa. Poza tym musimy spisać resztę zeznań...

– Czy ktoś traktuje nas tu poważnie?

– Tak – zapewniła policjantka. Rzuciła przelotne spojrzenie Jen. – Ale pewne okoliczności komplikują sprawę.

– Więc mamy po prostu sobie pójść? – zapytałam.

– Wspólny nocleg w hotelu, żeby się wzajemnie pilnować, to dobry pomysł. Zaraz wrócimy i spisujemy protokół.

Kiedy wyszli, Jen westchnęła i wbiła wzrok w sufit.

– To niedorzeczne – stwierdził Steve.

– Przepraszam – powiedziała cicho Jen. – To moja wina.

– Ale co? – zdziwił się Steve.

– Pogubiłam się w zeznaniach – wyznała, a do jej oczu napłynęły łzy. – Przepraszam. – Zaczęła płakać.

Rupesh wstał i usiadł obok niej. Próbował ją objąć, ale Jen na to nie pozwoliła i się odsunęła. Wrócił na swoje miejsce.

– Ustaliliśmy, że powiemy im wszystko, prawda? Tak zrobiłam. Przyznałam się, że to ja narysowałam uśmiechniętą buźkę u mnie w łazience.

Zapadła cisza. Było słychać tylko szum kaloryferów.

– Czemu to zrobiłaś? – wydusił w końcu Steve.

– Oszukałam was, ale proszę, wysłuchajcie mnie. Byłam przekonana, że to on. „Spanie” to wskazówka o mnie. Raz przez przypadek zasnęłam mu na kolanach. Chyba ze dwie godziny później obudziłam się, a on nadal się we mnie wpatrywał. Miał wzwód i to mnie naprawdę wytrąciło z równowagi. Przestraszyłam się tego, co mógł robić, kiedy spałam. Od tamtej pory cały czas chodziło mi to po głowie. A kiedy pojawiło się przypuszczenie, że Will nie żyje, pomyślałam, że pewnie dacie sobie spokój. Wiedziałam jednak, że to on, i miałam rację, ale martwiłam się, że odpuścicie, więc chciałam, żebyście nadal...

Urwała. Rupesh zakrył dłońmi usta. Steve przygryzł górną wargę.

– Ta pierwsza buźka to nie moje dzieło. Ją pewnie pozostawił Will. Adeline, przepraszam, że wrzuciłam list do skrzynki twoich rodziców. Zrobiłam to, zanim po mnie przyjechałaś.

Żadne z nas się nie odezwało. Nie potrafiłam nawet ocenić, jak wielki wpływ miało to na nasze dotychczasowe decyzje. Odbieraliśmy te sygnały jako bezpośrednie zagrożenie. Skoro Jen stała za tymi buźkami, to może i za wszystkim innym?

– Powiedziałam o tym policjantom i sądziłam, że zrozumieli – kontynuowała Jen – ale potem zapytali, czy według mnie ktoś inny z grupy może ponosić odpowiedzialność za to, co się stało z mamą Adeline.

Spanikowałam, bo pomyślałam, że mnie podejrzewają. To nie ja, Adeline, przysięgam. Odparłam, że ty, Rupesh. Tamtego dnia, kiedy doniosłam wam o buźce w mojej łazience, zostawiłam ci w puszcze z herbatą liścik z logo Nirvany. A gdy wczoraj zostałam u ciebie na noc, uznałam, że jej nie znalazłeś. Rankiem zajrzałam do puszek, a kartki nie było. Nie rozumiałam, co to oznacza. Czemu miałbyś nam nie powiedzieć o tym, że ją znalazłeś? Czemu miałbyś to zachować dla siebie?

– Och, Jen – westchnął Rupesh. – Właśnie nam oświadczyłaś, że sfalszowałaś dowody, na których się opieramy, i sugerujesz, że to ja jestem w jakiś sposób w to zamieszany? Zeszłą noc spędziliśmy razem.

– Nie wiem. Ja w nocy spałam. Ale słyszałam, jak wstajesz. Mieszkasz rzut beretem od Adeline. Rano wszystko nabrało sensu. Po prostu... nie mogłam im skłamać.

Zerknęłam na Rupesha, który pokręcił głową i zakrył twarz dłońmi. Dlaczego nam nie powiedział o kartce? Figurka potwora z Loch Ness, domek w Szkocji, nie wspominając o chłodnym, medycznym utylitaryzmie, jakim się wykazał w stosunku do mojej mamy. A co z tą dziwną wrogością wobec Steve'a i niechęcią do przeszłości, którą ledwie udawało mu się skrywać tamtego ranka po spotkaniu w The George? Te pytania wymagały odpowiedzi.

A co z Jen? To ona była autorką uśmiechniętych buziek, a my mieliśmy uwierzyć, że nie podzuciła wiadomości o mamie. Oba listy znajdowały się teraz w posiadaniu policji i nie mogliśmy nawet porównać charakteru pisma. Nie mając jednak pewności, że to Jen, nie chciałam niepotrzebnie odwracać uwagi funkcjonariuszy ani sugerować, że to ją można uznać za podejrzaną.

– Jen. – Głos Rupesha był spokojny, ale stanowczy. – Nie powiedziałem nikomu o tym, co znalazłem, bo podejrzewałem, że to ty, i nie chciałem wprawiać cię w zakłopotanie. Wydedukowałem to z twojego zachowania i się martwiłem. Przypuszczałem, że pozostałe buźki to też twoja sprawa,

ale wierzyłem, że we wszystkim innym jesteś szczerą. Dlatego z nimi pojechałem i włamałem się do tego cholernego domu.

– To nie ja zostawiłam pierwszą buźkę – oburzyła się Jen.

– Obawiałem się, że straciłaś kontrolę, i chciałem mieć co do tego pewność. Obserwowałem twoją reakcję podczas każdego naszego spotkania, to, jak czekałaś, aż powiem o kartce. A potem widziałem twoje rozczarowanie tym, że tego nie zrobiłem. Przykro mi, Jen.

– To szaleństwo – oświadczył Steve i zwrócił się do mnie: – Ty też masz coś w zanadrzu, Adeline? Może zabiłaś przypadkiem kogoś i zapomniałaś nam o tym wspomnieć?

– Nie.

– Dobrze i to. Jasna cholera.

– Przepraszam, myślałam, że postępuję słusznie – bąknęła Jen.

– Nic dziwnego, że nie wkroczyli do jego domu – pieklił się Steve.

Ton głosu Jen nagle się zmienił.

– Ja przynajmniej coś zrobiłam. Nie siedziałam z założonymi rękami jak wy dwoje i nie obserwowałam wszystkiego tak, jakby to był kolejny film, który możecie rozebrać na czynniki pierwsze.

Zwracała się do mnie, a ja nie wiedziałam, jak zareagować. Jen natychmiast się wycofała.

– Przepraszam – rzuciła i zamknęła oczy.

Siedzieliśmy w milczeniu, aż wróciła posterunkowa Massey i poprosiła kolejną osobę. Nim wyszłam za nią z pokoju, uzgodniliśmy, że najlepiej się rozejść, pozatwierać własne sprawy, a potem spotkać się w hotelu.

Rozmowa z policjantką nie trwała długo. Pytała, czy według mnie Jen mogła zaatakować moją mamę, a ja zaprzeczyłam. Pytała, czy podejrzewam kogoś innego, i odpowiedziałam, że nie. Po jakimś czasie oświadczyłam, że nie mam już pojęcia, co się, u licha, wyrabia i że

rozpaczliwie pragnę, aby to się skończyło. W tej ostatniej kwestii posterunkowa Massey zgodziła się ze mną.

Pojechałam do szpitala po tatę i zawiozłam go do hotelu. Powiedziałam mu to samo co Jen swoim rodzicom: że niezrównoważony psychicznie znajomy wysłał nam wiadomości z pogrózkami i dlatego, choć to najpewniej nic poważnego, musimy zachować ostrożność do czasu, aż znajdzie go policja. Tato pokiwał głową i stwierdził, że taki już problem z tym całym Facespace'em. Celowo się przejęczył, żeby podkreślić, jak dumny jest z bycia staroświeckim.

– Niektórych ludzi nie powinno się więcej oglądać. Należą do przeszłości.

Nie zgłaszał jednak sprzeciwu, a hotel znajdował się bliżej szpitala niż dom. Kiedy mnie zapytał, czy może mieć to związek z tym, co przydarzyło się mamie, nie potrafiłam kłamać. Następnie Rupesh, Steve i ja udaliśmy się na Elm Close po nasze rzeczy. Jen zgodziła się poczekać z moim tatą. Jej rodzice nie przejęli się na tyle, aby opuścić dom, a jako że jej siostra nie wyjechała jeszcze po świętach, uznali, że w grupie siła. Najprawdopodobniej podejrzewali, że afera była spowodowana załamaniem Jen, i dlatego nalegali, by na noc wróciła do domu. Trochę się niepokoiłam, zostawiając z nią tatę, ale chyba nic nie mogło mu się przydarzyć w miejscu publicznym.

Dochodziło wpół do dziesiątej, kiedy we trójkę wróciliśmy do Premier Inn. Steve należał już do stałych gości.

– W ogóle nie masz wolnych wieczorów? – zagadnął nastoletnią recepcjonistkę, a dziewczyna odpowiedziała wymuszonym uśmiechem.

Jen znaleźliśmy w hotelowym barze.

– Gdzie tato? – zaniepokoiłam się.

– Poszedł spać – wyjaśniła. – Kiedy się do tego przyssałam, on miał już dość.

Na stole stała butelka czerwonego wina. Po takim dniu zasługiwaliśmy na drinka. Wszyscy sprawiali wrażenie wykończonych, zwłaszcza Rupesh. Cienie pod jego oczami wyglądały, jakby nie spał od dłuższego czasu. Początkowo się opierałam, bo nie do końca jeszcze doszłam do siebie po wczorajszym wieczorze. Gdy jednak Steve zamówił kolejną butelkę, wypiałam kieliszek na lepszy sen. Wino okazało się całkiem dobre, więc poprosiłam o dolewkę. Nim się rozstaliśmy, nastroje z lekka się poprawiły. Nawet się trochę pośmialiśmy, wystarczająco, aby sobie przypomnieć, że wciąż jesteśmy po tej samej stronie. Po Jen przyjechali rodzice. Steve, który przez cały wieczór prawie w ogóle na nią nie patrzył, teraz wstał i ją przytulił.

– Wszyscy wyjdziemy z tego silniejsi – zapewnił, a ona się uśmiechnęła. To było miłe z jego strony.

Udaliśmy się na górę. Rupesh wysiadł z windy na pierwszym piętrze. Na jego twarzy malował się smutek. Być może w końcu wyzbył się nadziei, że jego i Jen pomimo jej problemów może połączyć wspólna przyszłość. Teraz wydawało się to mało prawdopodobne.

Steve i ja zarezerwowaliśmy wspólny pokój. Wiedziałam, że jutro będę tego żałować, ale nie mogłam się oprzeć i poczęstowałam się minibutelką czerwonego wina. A potem zaczęliśmy się niepewnie całować. To był długi dzień.

Drugiego ranka z rzędu obudziło mnie pukanie do drzwi. Zmrużyłam oczy. Cholera jasna, znowu kac i znowu zrobiło mi się niedobrze. To wyniszczające picie musiało się skończyć, bo tak źle nie było ze mną od czasu liceum.

– Steve – odezwała się zza drzwi Jen, a głos miała wysoki i wzburzony.

Steve wyskoczył z łóżka i z jękiem poszedł otworzyć.

– Jest z tobą Adeline? – zapytała Jen, kiedy wparowała do pokoju.

Usiadłam, podciągając kołdrę do szyi. Poczułam, że moją głowę wypełniają kamienie, i nie było mi łatwo utrzymać ją w górze.

– Jestem – powiedziałam.

– Rupesh nie otwiera drzwi – oświadczyła Jen.

Czemu, u licha, tak szybko przyjechała do hotelu?

– Która godzina? – odezwał się Steve. – Wspominał chyba, że musi pojechać do pracy.

– Wiem. Jest dziewiąta. Nie mogłam spać i... chciałam z nim jeszcze porozmawiać. Potwornie się z tym wszystkim czuję. Steve, a jeśli to Will?

– Na pewno nie Will – zapewnił ją. – Jestem przekonany, że istnieje jakieś wyjaśnienie.

Ubrał się, a potem zostawili mnie samą. Nie czułam się tak źle jak wcześniej, ale po raz kolejny miałam luki w pamięci. Znowu się ze sobą przespaliśmy?

Przed drzwiami pokoju Rupesha zastałam Steve'a, Jen i nastolatkę z recepcji. Steve najwyraźniej coś wymyślił, żeby uzyskać dostęp do pokoju, bo dziewczyna zapytała:

– Można umrzeć z powodu śpiączki cukrzycowej?

Wsunęła w otwór pod klamką kartę magnetyczną. Drzwi się otworzyły. Weszłam za nimi do pokoju. Starłam się nie opierać o ścianę, żeby nie zwracać uwagi na swój stan. Powinnam była zajrzeć do taty. Postanowiłam zaraz pójść i sprawdzić, czy z nim wszystko w porządku. Był w hotelu, ale nie mogłam sobie przypomnieć, czy zaprowadziłam go wieczorem do pokoju.

Jen, Steve i ja stanęliśmy obok siebie i wpatrywaliśmy się w łóżko. Steve odwrócił się do nastolatki.

– Uff, całe szczęście. Wygląda na to, że jednak wyszedł.

Poznałam po głosie, że kłamał. Dziewczyna westchnęła głośno i powiedziała:

– Mało brakowało.



– Nie zwróciłaś wcześniej uwagi na wychodzącego Azjatę? – zagadnęła ją Jen.

– Nie, ale ja nie widzę wszystkich wchodzących i wychodzących gości, tak jak już mówiłam temu panu. Mógł skorzystać z drzwi przeciwpożarowych. Prowadzą bezpośrednio na parking.

– Są tu kamery?

– Nie wiem, czy ta na parkingu jeszcze działa. – Po chwili dodała: – To na łóżku to napiwek?

Na nieskazitelnie posłanym łóżku między dwie poduszki wetknięto kopertę. To nie był napiwek. Tę kopertę zaadresowano do nas.

## Steve, 1998

Zapowiada się wspaniały dzień. Niebo jest bezchmurne, w powietrzu unosi się zapach świeżo skoszonej trawy i grillowanego mięsa, a jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Steve nie będzie już musiał wysłuchiwać ciągłych narzekań Rupesha. Do końca wakacji został jeszcze miesiąc, mimo że zeszły tydzień można uznać za stracony z powodu wyjazdu rodziny Jen do Portugalii. O ile Will wszystkiego nie skopie.

Idąc niespiesznie w stronę rzeki, mija po drodze rezydencję – często fantazjuje, że pewnego dnia ją kupi i przekształci w małą komunę dla paczki. Ale szanse na to są marne, bo jego tata mimo sumiennie wykonywanej przez Steve'a pracy w ogrodzie podjął decyzję o powrocie do Londynu. Prawdopodobnie właśnie tą trasą szła Jen podczas swojej rundy, którą wygrał Rupesh. Nie zwyciężyłby bez jej pomocy. I myśleli, że on się nie dowie? Przecież w ogóle nie potrafią kłamać. Nieważne, teraz mu to jest nawet na rękę. Zmieniło to ducha gry, okazało się precedensem, dzięki któremu Steve wpłynie na ostateczny wynik. Zasad powinno się przestrzegać, ale wykrycie oszustwa daje prawo do interwencji, by ponownie uczynić grę sprawiedliwą.

Steve trzyma w dłoni swoje wskazówki: cztery złote koperty, które znalazł pod łóżkiem taty w pudełku z rzeczami mamy, za świerszczykami. Często zagląda do tego schowka, czyta dawne broszury z podróży i notesy. Nie chodzi o to, że za nią tęskni – te uczucia wygasły wiele lat temu wraz ze wspomnieniem jej wyglądu – ale dzięki zachowanym przedmiotom czuje związek ze wszystkimi dawnymi wersjami siebie. A to jest ważne, bo bez

dowodów na swoją przeszłość osiadłby na mieliźnie terażniejszości, zawsze już wątpiąc w samego siebie.

Kiedyś powiedział rodzicom, że wyprowadzka z Londynu doprowadzi do rozbicia ich rodziny. I choć nigdy nie przyznano tego głośno, tak właśnie się stało. Mogą udawać, że mama pracuje za granicą i że ich rzadkie rozmowy przez telefon i jeszcze rzadsze spotkania to zachowanie typowe dla normalnej, nowoczesnej rodziny. Ale ona mieszka teraz w Ameryce z innym mężczyzną, który w sposób oczywisty nie jest jedynie jej kolegą z uniwersytetu. Co do pozostałych kwestii także miał rację: że w szkole z internatem będzie się dusił, że tata będzie obiecywał spędzać z nim wakacje, ale nie dotrzyma słowa, że kiedy Obi umrze, nikt tego nawet nie zauważy. A mimo to za każdym razem, gdy przedstawiał swoje zdanie, słyszał, że są mu za to wdzięczni, ale brak mu życiowego doświadczenia. „Twój mózg jeszcze się w pełni nie rozwinął – tak twierdził tata. – Potrafisz wygłaszać opinie, ale na razie bezwartościowe. Na to trzeba czasu”.

Kiedy miał siedem lat, wybrali się na wakacje do leżącego na uboczu domu w północnej części Walii. Steve dzień wcześniej widział prognozę pogody informującą o deszczu i nie bez dumy oświadczył tacie, że spacer po obiedzie to kiepski pomysł. Mama wybrała się na zakupy, a tata się zdenerwował, gdy Steve nie chciał z nim iść, upierając się, że zmokną. W końcu dał sobie spokój z namawianiem syna do założenia kaloszy. Po prostu zaprowadził go siłą na tył domu.

– Jest pogodny dzień, ale ty zawsze wiesz lepiej.

Praktycznie przerzucił syna za niskie ogrodzenie otaczające małą łąkę i poszedł. Steve wiedział, co to oznacza, bo elektryczne ogrodzenia fascynowały go za każdym razem, kiedy przyjeżdżał na wieś. Mama mu je zawsze pokazywała i polecała zachowywać ostrożność.

– A jeśli tu jest prąd?! – zawołał z paniką w głosie.

– Powinieneś wiedzieć! – odkrzyknął tata. – Ty wiesz wszystko, no nie?

Tego akurat nie wiedział, a kiedy wróciła mama, znalazła go trzęsącego się i płaczącego na ulewie, przed którą próbował ostrzec tatę. I choć go przytuliła, uznała całe zajście za zabawne. Ogrodzenie nie było podłączone do prądu, a nawet gdyby było, znajdowała się w nim furтка.

Nigdy nie twierdził, że wie wszystko, ale raz za razem okazywało się, że ma rację. I czy to nie oznaczało, że jego opinie są wartościowe? Gdyby go posłuchali i nie wyprowadzili się z Londynu, wszystko zostałoby po staremu. A teraz, cóż za ironia losu, tata podjął decyzję o powrocie do tego miasta.

Steve'a dzieli od rzeki kilkaset metrów i już ją słyszy. Przyspiesza kroku.

Nikt nie bierze go na poważnie, bez względu na to, jak wiele razy ma rację. Dlatego czasem trzeba pokazać ludziom, że się mylą, ludziom pokroju Rupesha, który chętnie przychodzi do jego domu i ogląda filmy, ale nie potrafi się zaangażować w to, co Steve robi z korzyścią dla całej grupy. Zawsze sprzeciwia się jego pomysłom. Może upokorzenie związane z zajęciem ostatniego miejsca i wyrzucenie z grupy sprawią, że doceni jej wartość. I czy naprawdę byłoby tak źle, gdyby narzekanie Rupesha nie stanowiło części ostatniego spędzonego tutaj lata? O ile pozostali by się na to zgodzili, w co wątpi. Mimo wszystko spróbuje.

Nie tylko Rupesh martwi ostatnio Steve'a. Coś dziwnego dzieje się z Willem. Will, którego podziwia za to, że jest trochę inny, że ma otwarty umysł, nagle zaczął mieć obsesję na punkcie znalezionej garnka i Strachana. Zupełnie stracił zainteresowanie grą i został poddany praniu mózgu. Obi nadal by tu był, gdyby nie Strachan i jego cholerny pies. Zdaje się, że Will przestał się tym przejmować.

Strachan pokazał garnek Willa znajomemu z muzeum w Birmingham i wzbudził niemałą sensację. Uznano, że to ważne znalezisko i że zmienia ono lokalną historię. W środku naczynia odkryto także dwie monety. Miejskowa gazeta chciała zamieścić artykuł o Willu, a on odparł, że zgodzi

się tylko wtedy, jeśli napiszą także o jego przyjaciółach, bo nie znalazłby garnka, gdyby nie oni. To było miłe: ich ostatnie lato uwiecznione w druku.

Na moście przechodzi z lewego pobocza na prawe, po czym przygląda się wodzie. Jej poziom jest na tyle niski, że miejscami widać dno. Rzeka nadal płynie trzema głównymi tunelami, ale dwa mniejsze, każdy o średnicy koła samochodowego, są suche. Jeden mieści się tuż pod nim. Steve przeskakuje przez barierkę i ląduje na brzegu rzeki. Kuca, a poczuwszy smród ścieków dobiegający z wlotu do tunelu, uśmiecha się i jednocześnie krzywi. To będzie dla nich okropne. Zwłaszcza dla Rupesha. Ta wskazówka z pewnością sprawi, że chłopak zrezygnuje. Wyjście z tunelu znajduje się zaledwie cztery metry dalej, ale jego środkową część skrywają ciemności.

– Powodzenia – mówi Steve i rzuca pierwszą złotą kopertę.

Opada mniej więcej w połowie. Doskonale. Będą musieli po nią wejść do środka. Adeline nieźle go za to ochrzani, ale uprzedzi ją, żeby włożyła dzinsy. A co tam, może powinien zdradzić jej wszystkie odpowiedzi i miejsce, gdzie będzie na nich czekał? Nie, coś takiego w ogóle by jej się nie spodobało. Gdyby zasugerował, że skłonny jest nagiąć zasady, mogłaby się domyślić, że sabotuje Rupesha.

Wskazówka w tunelu brzmi następująco:

Jeśli jezioro to oko, co w takim razie jest źrenicą? Tam czeka na was wskazówka, mam nadzieję, że woda nie będzie zbyt zimna.

Biegnie z powrotem w stronę Blythe, następnie tuż przed rezydencją skręca w Raven Way. Po dwudziestu minutach spocony i zdyszany dociera do jeziora. Po szybkiej rozgrzewce (swego czasu mama go ostrzegła, że idioci, którzy tego nie robią, mogą utonąć w zimnej wodzie z powodu skurczów) rozbiera się do bokserek, a na brzegu zostawia dwie koperty.

Trzecią wkłada sobie do ust i podpływa na plecach do porośniętej chaszczami wysepki pośrodku jeziora. Woda okazuje się potwornie zimna, wokół niego unoszą się robale i śmieci. Nie narzeka, bo bez względu na to, jak on się umęczy, Rupesh będzie się męczył dziesięć razy bardziej. Kiedy dociera do wysepki, przekonuje się, że wszystko pokrywa biała warstwa ptasich odchodów. Nie chcąc chodzić po nich na bosaka, zostawia kopertę pod pobliskim kamieniem i wraca na brzeg.

Słońce zaczyna już zachodzić. Steve wyciera się zabranym z domu ręcznikiem. Szkoda, że nie zobaczy, jak Adeline rozbiera się do bielizny. Choć sporo się całowali, a ich dłonie nie bały się błądzić, nie widział jej jeszcze nago. Jakoś nigdy im się nie udało dotrzeć do kolejnego etapu. Miał na to ochotę i niewiele ich od tego dzieliło, ale przerywali za każdym razem, gdy się zbliżali do decydującego punktu. Wybuchali wtedy śmiechem, a po długim milczeniu on zawsze zmieniał temat, żeby uniknąć niezręczności.

Ubiera się i rusza w kierunku kładki nad torami, gdzie Will zakończył swoje Poświęcenie. W ręce trzyma dwie wskazówki: pierwszą i ostatnią. Z kładki zeskakuje na podsypkę. To tam po raz pierwszy zobaczył Adeline stojącą w T-shircie Green Day. Żeby jej zaimponować, dowiedział się na temat tego zespołu tyle, ile tylko się dało. Wcale nie musiał tego robić. Polubiła go w tym samym momencie, w którym on polubił ją.

W pobliżu miejsca, w którym znalazł szczątki Obiego, odwraca się w stronę przeciwległego nasypu. Sprawdza, czy nie nadjeżdża pociąg, po czym przebiega przez tory. Udaje się ścieżką prowadzącą do zagajnika, następnie dociera do polanki, na której niczym gigantyczny robot stoi słup wysokiego napięcia. Polankę okalają wysoka trawa i młode drzewka. To tam na nich zaczeka. Słup skwierczy. W nocy bywa jeszcze głośniejszy, pewnie z powodu wilgoci. Pozostali uznają konieczność przejścia przez tory za okrucieństwo. „Ale ze mnie idiota”, powie i uda skruchę. Tylko Jen zaprotestuje, jednak Steve nie liczy się z jej opinią po tym, co zrobiła

Adeline. To tam spotka się z Willem, który uda, że rozwiązał wszystkie zagadki, tam przypieczętowane zostanie przeznaczenie Rupesha i tam nastąpi moment kulminacyjny pomysłu, na który wpadł przed rokiem. Nawet teraz, choć dopiero zmierzcha, okolica wydaje się upiorna. Cisza przerywana trzaskami, niedaleko miejsca, gdzie przywiązał do torów wiernego, narwanego, słabowitego psa, aby zakończyć cierpienie swoje i jego.

Kiedy wraca na Elm Close, van Strachana nadal stoi na swoim miejscu. To, co Steve zrobił Obiemu, było winą Strachana. Bał się powiedzieć komuś o ugryzieniu, bał się, że jeśli pójdzie z nim do weterynarza, to pies zostanie uśpiony. Niemądra decyzja, zważywszy na fakt, ile go to potem kosztowało bólu. Ale Strachana nie znosi nie tylko z powodu Obiego. Chodzi także o Adeline. Opowiedziała mu o tym, co zobaczyła w salonie, i o tym, jak jej mama udawała, że nic się nie stało. Czuje gniew w jej imieniu. Ma ochotę zdemaskować Strachana. Adeline by tym jednak nie pomógł.

Spogląda na dłoń i na blednący ślad, który mu został na pamiątkę sprzeczki ze Strachanem po rundzie Willa. Nie doniósł na niego, bo zemsta ma się okazać o wiele słodsza. Zresztą policja i tak nie potraktowałaby go poważnie. Jeśli nie dysponowałby konkretnym dowodem, Strachan by się wywinął.

Steve nie porzucił podejrzania, że to Strachan jest osobą zwabiającą dzieci do samochodu, i ma nadzieję, że jemu, Steve'owi, uda się go złapać. Zaledwie przed tygodniem mówili w wiadomościach o kolejnej nieudanej próbie porwania, tym razem w Kenilworth. Nie jest już tak bardzo przekonany do tego pomysłu jak na początku lata, ale wie jedno: tego wieczoru, kiedy to się stało, Strachana nie było w domu. Steve robił wtedy rozpoznanie przed swoją rundą Poświęcenia, chciał jedną ze wskazówek umieścić na terenie posesji Strachana – w hołdzie złożonym biednemu

Obiemu. Wszedł na podwórko tylko dlatego, że na podjeździe nie stał samochód.

Jako że teraz Strachan jest w domu, Steve musi zostawić wskazówkę tuż przed rozpoczęciem Poświęcenia, znacznie później niż planował, dopiero kiedy drań w końcu zaśnie. Gdy wraca do pustego mieszkania, wyjmuje z lodówki pizzę, trzecią w tym tygodniu, i uruchamia piekarnik. Przegląda wielki stos filmów za telewizorem, wybiera jeden i włącza. Nim wybija ósma wieczorem, kończą się i pizza, i film. Najpierw wykręca numer Willa, ale nikt nie odbiera. Nie szkodzi, bo ustalili już plan działania. Dzwoni więc do Adeline, a zaraz potem do pozostałych, inicjując telekonferencję.

– Czemu mam niedobre przeczucie z powodu tak późnego telefonu? – pyta Rupesh.

– Ty zawsze masz niedobre przeczucia – odpowiada Steve.

Rupesh nie wydaje się jednak zniechęcony, co go trochę niepokoi. Tym bardziej że Will nadal nie odbiera, kiedy próbuje włączyć go do rozmowy. W przeciwieństwie do pozostałych wiedział, o której ma się spodziewać telefonu Steve’a.

– Okej, przekażę wam informacje i będę się starał dodzwonić do Willa. Zasadniczo wolno wam wyjść z domów dopiero o północy. Wskazówka brzmi: „Unikajcie świąteł naszego dawnego wroga, trzymajcie się od niego z dala, na końcu jego ogrodu czeka nagroda”.

– Chyba cię... – denerwuje się Rupesh.

– Musimy wejść do jego ogrodu? – pyta Adeline.

– Nie mogę powiedzieć nic więcej – mówi Steve.

– To nie fair w stosunku do Willa. Co z nim? – Rupesh wydaje się zaniepokojony.

– Czemu się martwisz? – odzywa się Jen. – Skoncentruj się na sobie.

– Zaraz do niego pójde i przekażę mu instrukcje – zapewnia Steve. – Nie chcę, żeby przez przypadek przegrał.



– Ty i twoje cholerne... – zaczyna Rupesh, ale w tym momencie Steve się rozłącza.

Rupesh przy każdej rozmowie narzeka i się stawia. Strasznie to irytujące. Steve rusza w stronę Blythe Lane. W domu Willa są zgaszone wszystkie światła. Steve naciska dzwonek i puka kołatką. Cisza. Gdzie oni się podzieli? Will nigdy nie wychodzi razem z rodziną. Gdyby planował coś takiego, wspomniałby o tym, kiedy Steve przygotowywał go do swojej rundy. Chociaż jeśli się nad tym zastanowić, Will nie okazał szczególnej wdzięczności za jego pomoc. Mówił za to o tym, jak bardzo Rupesh przejmie się przegraną. Może to jego sposób na sabotaż. Potem pewnie uda idiotę: „Och, Steve, zupełnie zapomniałem, że rodzice wymyślili wspólne wyjście”. Steve po raz ostatni puka do drzwi, po czym wraca do siebie. Najpewniej wszystko się uda. Will zgodnie z planem zjawi się w jego domu o pierwszej w nocy i razem udadzą się pod słup przy torach. W najgorszym wypadku pójdzie tam od razu. To nie problem.

Steve siedzi na betonie pod słupem i się trzęsie. Jest wpół do trzeciej. Na bezchmurnym niebie widać półksiężyc oświetlający polankę. Dalej wszystko spowija ciemność. Co rusz rozlega się w zaroślach jakiś trzask, a jemu wtedy cierpnie skóra. Zbyt długo to trwa. Will powinien już się zjawić. Nie planował, że będzie tu siedział sam tak długo: prawie dwie godziny. Co jakiś czas nocną ciszę przerywa dźwięk przejeżdżającego pociągu towarowego. Przed wydarzeniami z Obim przynosiło mu to ukojenie, ale nie teraz, nie po tamtym popołudniu.

Od strony torów dobiega go krzyk. Ma wrażenie, że ze strachu serce wyskoczy mu z piersi. To krzyk kobiety. Zbliża się ku niemu. Słyszy odgłos kroków i szelest ustępującej pod stopami trawy. Steve wstaje i wbija wzrok w skraj polanki. Wrzask przekształca się w piskliwy śmiech. Od razu czuje ulgę. Wtedy z dwóch różnych miejsc na polanę wychodzą Adeline i Jen.

Dostrzegają siebie, po czym puszczają się biegiem w stronę Steve'a. A jednak się uda. Rupesh nie może wygrać. W najlepszym wypadku ukończy grę jako trzeci. Trzeci. Nie za dobrze...

Ktoś szturcha go w plecy. Steve wydaje okrzyk przerażenia i odwraca się, zanim dopadają go Adeline i Jen. Pod słupem pochyla się Rupesh. Ręce opiera o kolana, jego ramiona szybko unoszą się i opadają. Z triumfem wpatruje się w Steve'a. Jego białe zęby lśnią w blasku księżyca.

– Wal się. – Dyszy i unosi środkowy palec. – Wal się. – Następnie odwraca się i wymiotuje w trawę.

To niemożliwe. Jak to się stało, że zaszedł go od tyłu? Że go nie usłyszał?

– Palant z ciebie, Steve – odzywa się Jen i uderza go mocno w ramię, po czym podchodzi do Rupesha i gładzi go po plecach. – Znalazłeś skrót? – pyta, a w jej głosie słychać zadowolenie. – Szkoda, że nie widziałeś jego miny.

– Czemu nazwałaś mnie palantem?

– Willa jeszcze nie ma? – dziwi się Adeline. Końcówki jej włosów wyglądają na mokre.

– Nie – odpowiada Steve.

– Nie widzieliśmy go – mówi Jen.

– Jak to „nie widzieliście”? Przyszliście razem?

Jen wywraca oczami, co wkurza go jeszcze bardziej.

– Było ciemno i strasznie, możliwe, że trochę sobie nawzajem pomogliśmy – wyjaśnia Adeline.

– Ale... – zaczyna Steve.

– Wiedzieliśmy jednak, że to jest ważne – nie pozwala mu dokończyć i zerka na Jen i Rupesha, jakby dawała im do zrozumienia, że mają być cicho.

Przeważnie nie ma nic przeciwko temu, że Adeline się nim zajmuje. Robi to zawsze z czułością. Nie teraz.

– Ale...

– Wszystkie koperty były zaklejone – wtrąca Jen. – Za każdym razem wnioskowaliśmy, że Will nas nie wyprzedził. Na początku nawet na niego czekaliśmy, ale się nie zjawiał. Nie było więc sensu robić tego osobno.

– Na końcu był za to prawdziwy wyścig – przyznaje Adeline. – Od jeziora puściliśmy się biegiem. Rupesh sprawiedliwie wygrał. Tym sposobem mieliśmy większą frajdę.

Steve wzdycha z rozczarowaniem.

– Chodzi o to... Chodzi o to, żeby pokazać swoje poświęcenie. Dla sprawy. Dla paczki. Nie możecie zmieniać zasad, kiedy przyjdzie wam na to ochota. – Brzmi to marudnie, ale Steve przestaje się kontrolować.

– Wal się – powtarza Rupesh. Ton głosu ma poważny. – Wymyśliłeś te wskazówki tak, żeby mnie wyeliminować.

– Wcale nie. W ogóle o tobie nie myślałem.

– Cholerne jezioro. Północ. Tory – wymienia Rupesh.

– Ale przecież dałeś radę, no nie?

Rupesh zerka na dziewczyny, po czym kiwa głową.

– Autentycznie zapomniałem – zapewnia Steve. – Ostatnio dobrze sobie radzisz. Przepraszam. Dobra robota. Według mnie za coś takiego zasłużyłeś na wygranie całości.

Wyciąga rękę, a Rupesh ją ściska. Jego dłoń drży. Steve mówi poważnie. Teraz woli, żeby w grupie pozostał Rupesh, a nie Will, ten beznadziejny złamas.

– Chodźmy – rzuca i zaczyna iść do kładki. – Rupesh, dasz sobie radę?

– Nie mam wyboru.

– Musimy poczekać jeszcze trochę na Willa – protestuje Jen.

– Umieram z zimna – narzeka Adeline.

Steve odwraca się na pięcie w stronę ich trojga.

– Na Willa? On dla nas już nie istnieje. Niech ktoś mu przekaze, że jutro u mnie zrobimy losowanie.

Rusza, a za sobą słyszy niechętnie kroki.

Przed przyjściem pozostałych Steve ogląda film i rozmyśla. W sumie nie ma znaczenia to, co zrobił Will. Ani trochę. Kiedy dzieje się coś takiego, należy się wycofać i spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. Niedługo stąd zniknie. Być może wcale nie musi tkwić w tej grupie – pośród nieznajomych, których pchnęły ku sobie decyzje rodziców. Czy sławni ludzie nadal się przyjaźnią z osobami, z którymi bawili się w dzieciństwie? Te wszystkie filmy o paczkach dzieciaków przeżywających niesamowite przygody nigdy nie doczekały się sequela pokazującego wspólne dorosłe życie. Dlatego, że tak się nie działo.

W Londynie będzie mógł zacząć od początku i w nowej szkole dobrać sobie nową grupę przyjaciół. I choć będzie mu brakowało Adeline – ich związek to zdecydowanie coś więcej niż chwilowe zauroczenie – to poczuje ulgę, gdy zniknie z jej orbity. Kiedy ta dziewczyna przebywa w pobliżu, ma problem z wyrzuceniem jej z myśli. W pewnym momencie będzie jej musiał powiedzieć, ale na razie lepiej, żeby nikt nie wiedział.

To ona zjawia się jako pierwsza. Steve zdążył do tego czasu przygotować karteczki z trzema opcjami. Kładzie je na ławie, żeby wszyscy mogli się im przyjrzeć.

ZAKAZ

FILMY

NIC

Przynosi trzy kolejne złote koperty i wyjaśnia, że schowa do nich karteczki. Will unika jego wzroku, nawet kiedy wyciąga koperty w jego stronę.

– Sądziłem, że to zwycięzca ma wybrać – mówi Will.

– Ty to zrób. Nie chcę, żeby ktoś mnie oskarżył o oszustwo.

Will wybiera środkową kopertę, otwiera ją i się uśmiecha.

– Filmy? – pyta Rupesh.

Kręci przecząco głową i pokazuje im karteczkę z napisem: „ZAKAZ”. Skinieniem daje znać Steve’owi, że wszystko jasne, odwraca się

i wychodzi. Przyglądają się temu w milczeniu.

– Nie pójdziesz po niego? – odzywa się w końcu Adeline.

– Po niego? A niby czemu? – dziwi się Steve. – Sam mi kazał obiecać, że będę się tego trzymał. To wy musicie podjąć decyzję, nie ja. Sam fakt, że w ogóle się nie postarał, oznacza, że Will chce tego zakazu.

Nawet go nie przeprosił ani nie wyjaśnił, czemu nie zrealizował ich planu. Steve nie chce marnować na Willa więcej czasu. Po wyjściu pozostałych pali koperty w kominku. Wykorzystał starą sztuczkę: karteczki z napisami „FILMY” i „NIC” podmienił na „ZAKAZ”, ale nikt się o tym nie dowie.

Steve zabija nudę, obserwując z okna Elm Close. Co jakiś czas spotykali się na drodze, ale nigdy we czworo. Raz przyłapał Jen na tym, że stoi na końcu podjazdu i przygląda się jego domowi.

Tata przyjechał i wyjechał, nie spotkawszy się ze Steve'em. Zostawił tylko pełną lodówkę – spożywcza wróżka.

Steve nie chce stracić Adeline. Jaki byłby sens ich wspólnych wakacji, jego wysiłku, gdyby teraz się po prostu poddał? Wszystko poszłoby na marne. Nie wierzy w Boga, ale gdyby ten rzeczywiście istniał, to przynajmniej zrozumiałby punkt widzenia Steve'a. Wiedziałby, jak bardzo się stara. To nie w porządku, że Will nie akceptuje wyniku rozgrywki. Pewnie chodzi z nosem na kwintę i szuka współczucia. To wywołuje gniew Steve'a. W sumie ten zakaz wydaje się niewystarczający. Przecież Will dostał wszystko na tacy, a koncertowo to schrzanił. Steve już dawno doszedł do ważnego wniosku: bez niego pozostali tak naprawdę niczego nie potrafią zrobić. Potrzebują jego domu. Rodzice Jen nie wybywają na tak długo, żeby chodzić do niej, a Adeline nie zaprasza nikogo z powodu mamy. Nie ma takiej opcji, żeby zbierali się u Rupesha czy Willa. Musi po

prostu zaczekać. W końcu wróca. A jeśli nie, znajdzie Willa i z nim pogada. Każe mu się zmierzyć z konsekwencjami swoich czynów.

Pierwszy przychodzi Rupesh.

– Dawno się nie widzieliśmy – odzywa się nieśmiało. Czeka na zaproszenie, po czym siada na sofie.

Oglądają film. Później tego dnia zjawia się Jen pod pretekstem szukania Rupesha. Usadawiają się wygodnie i włączają kolejny film, aczkolwiek co rusz wracają w rozmowie do Willa. Steve częstuje ich napojami, a gdy robi się chłodno, rozpala w kominku. Jest cierpliwy, ale nie podporządkowuje się ich scenariuszowi.

– Pojawisz się na zdjęciu, kiedy przyjadą je nam robić? – pyta Jen. – Czy nadal będziesz się boczyć?

Steve opiera się pokusie, żeby jej przyłożyć, bierze głęboki oddech i odpowiada tak, jak sobie zaplanował:

– Pojawię się, ale uważam, że Will nie powinien.

– Nie możesz mu tego zabronić – stwierdza Rupesh.

Mógłby, gdyby tylko chciał. A chce. Will musi się tego dowiedzieć. Bardzo spokojnie i w sposób racjonalny wyjaśnia, co czuje. Opowiada o tym, że Will nie postarał się podczas żadnej rundy, o ostatniej nie wspominając. Przecież Steve potrafi wszystko zrozumieć. Gdyby Will zadzwonił do niego tamtego popołudnia i powiedział, że nie da rady, nic by się nie stało. Steve przełożyłby swoją rundę. Ale on tego nie zrobił, choć Steve wychodził ze skóry, by pomóc mu wyprzedzić Rupesha. Kiedy kończy, pozostali potrząsają głowami. I choć żadne z nich nie przyznaje mu otwarcie racji ani nie wydaje dźwięków świadczących o dezaprobachie względem Willa, oboje zostają. I nie protestują wprost przeciwko sugestii, że Will nie powinien się znaleźć na zdjęciu.

– To zależy od was. – Steve wzrusza ramionami. – Jak chcecie, to możecie się z nim spotykać. Nie musicie zawsze przychodzić do mnie, no nie?

Nazajutrz także się zjawiają.

Tydzień po rundzie Steve’a odwiedza go Strachan. Jest wcześnie, nie zdążył jeszcze nawet wziąć prysznic.

– Jest twój tata? – pyta Strachan, kiedy Steve otwiera mu drzwi.

– Nie – odpowiada tonem sugerującym, że to nie jego sprawa. Widząc błysk w oku starszego mężczyzny, zdaje sobie sprawę, że popełnił błąd.

Strachan wparowuje do środka i przyszpila Steve’a do ściany na korytarzu, łapiąc go wielką dłonią pod brodę. Steve przygryza sobie język i czuje w ustach smak krwi. Z niesamowitym spokojem Strachan mówi:

– Mój kumpel Will twierdzi, że próbujesz nie dopuścić do tego, by pojawił się w gazecie. Zgadza się?

Od czego ma zacząć? W ogóle może to zrobić? Czy ten facet jest zdolny do zrozumienia wszystkiego? Śmierdzi od niego alkoholem.

– I zanim cokolwiek powiesz – dodaje – wiedz, że masz tylko jedną szansę.

Co to, do cholery, znaczy? Steve próbuje wyrzucić z siebie:

– To skompliko...

Słowa tłumi ręka Strachana wbijająca się w jego szyję. Steve na krótką chwilę zawisa w powietrzu. Strachan unosi z rozczarowaniem brew, po czym luzuje uścisk.

– Tak – wykrztusza Steve.

– Tak się nie stanie, rozumiesz? Bez względu na to, co próbujesz ugrać, nie warto. – Raz jeszcze podnosi Steve’a, z którego ust wydobywa się piskliwy dźwięk, a kiedy go stawia, mówi: – Przepraszam go bez względu na to, jakiego twojego polecenia nie wypełnił. To dobry chłopak i wiem, że

próbujesz mieszać mu w głowie. Jeśli zobaczę, że nie ma go na tym zdjęciu, będziesz miał przerąbane.

Puszcza Steve'a, a ten upada na podłogę. Steve patrzy, jak Strachan wychodzi, spokojnie zamykając za sobą drzwi. Dotyka języka, a gdy dostrzega krew na palcach, do oczu napływają mu łzy.



## Zima 2015

Podrzuciwszy tatę do szpitala, udałam się do domu rodziców, gdzie czekał już Steve. Niedługo później zjawiała się Jen. We trójkę siedzieliśmy w salonie. W trzęsących się dłoniach trzymałam kubek z czarną kawą. Była już prawie pora lunchu.

Nie powiedzieliśmy policji o zniknięciu Rupesha dlatego, że wiedzieliśmy, gdzie on jest i jak go możemy odzyskać. Także dlatego, że w swoim ostatnim liście Will kategorycznie nam tego zabronił.

Przyjaciele,

zasady nie są po to, aby je łamać.

Jeszcze tylko jedno twoje Poświęcenie, Steve, chłopie, tyle że tym razem stawka jest o wiele wyższa.

Gracie o Rupesha.

Jeśli: nie wyruszycie przed dziesiątą wieczorem; nie dotrzecie do mnie ze wszystkimi wskazówkami, które dla was zostawię; nie zatrzymacie się przy każdym punkcie z Poświęcenia Steve'a; choćby pomyślicie o ponownym pójściu na policję... będzie bolało, jego i was.

Policji powiedzcie, że wieczór spędzicie w hotelu, a tymczasem od czternastej przebywajcie w domu Adeline, gdzie ja będę was widział, ale wy mnie nie. Na to czas przyjdzie później.

Róbcie, co wam każę, a nic się nikomu nie stanie. To ma być zabawa. Spotkanie po latach.

Pozdrawiam, Will

Na dole kartki znowu widniała uśmiechnięta buźka. Kiedy Jen skończyła czytać list, Steve zapytał:

– Czy któraś z was uważa, że powinniśmy pójść na policję?

Próbował nawiązać z nami kontakt wzrokowy. Jen pokręciła głową, a do oczu napłynęły jej łzy. Oczywiście było, że gdybyśmy to zrobili, wcale nie moglibyśmy mieć pewności, czy policja nie postanowi, że lepiej poświęcić Rupesha dla dobra ogółu, że należy przystąpić do akcji, kiedy tylko się wyjaśni, gdzie i kiedy można go znaleźć. Jednocześnie nie było gwarancji, że Will nie zabije nas wszystkich. Nie było gwarancji, że dotrzyma słowa.

– Mam wrażenie, że to pułapka – odezwałam się. – Chce, byśmy sądzili, że to my mamy kontrolę nad tym, co się stanie z Rupeshem, gdy tymczasem wcale tak nie jest.

– A jeśli jest? – zapytała Jen. – Mógł nas przecież zabić zeszłej nocy. Mógł to zrobić już wcześniej.

– Wymyślił jakieś porządne zakończenie – powiedział Steve. – To niekoniecznie znaczy, że planuje nas skrzywdzić.

– Nie wiemy tego – zauważyłam.

Myśl o tym, że ciemną nocą Will będzie gdzieś na nas czekał, była wystarczająco potworna. Jak do tego doszło? W Londynie nie wszystko układało się idealnie, ale czułam się bezpieczna. Miałam na co czekać. Czemu nie mogłam po prostu stąd wyjść i o wszystkim zapomnieć? Wrócić do tego, co robiłam wcześniej.

Steve oparł głowę na dłoniach.

– „Roty”, ta wskazówka.

– Co? – zapytała Jen.

Z westchnieniem wyjaśnił:

– Im dłużej to trwa, tym lepiej pamiętam, jak bardzo wkurzyłem Willa pod koniec tamtego lata. Kiedy tu jechałem, martwiłem się, jak mnie wszyscy zapamiętali z powodu tego, jaki kiedyś byłem, ale głównie chodziło mi o Rupesha. To jego zawsze najbardziej rozczarowywałem.

Cholera, przypomniało mi się, że ułożyłem swoją rundę Poświęcenia tak, żeby Rupesh przegrał. Niewykluczone, że celem całej tej gry stało się odegranie na nim za to, że zawsze był taki niedorobiony. Ale kiedy ostatnie miejsce zajął Will, okropnie go potraktowałem. A teraz on pisze: „Roty”. Myślę, że jeśli zamierza zrobić komuś krzywdę, to mnie.

– Jak to? – zdziwiła się Jen.

– Dlaczego to właśnie moją rundę każe nam powtórzyć? Pewnie ta wskazówka ma związek z tym, co zobaczyłem na torach.

Nie potrafiłam odtworzyć, co się stało, gdy gra dobiegła końca, z wyjątkiem tych wydarzeń przy ognisku. Will otrzymał zakaz wstępu do domu Steve’a, ale przecież ostatecznie się pogodzili.

– Czym jest w takim razie „roty”?

– Po tym, jak wykopaliśmy Willa, poszedłem się z nim spotkać. Ty mnie do tego zmusiłaś, Adeline, bo się o niego martwiłaś. I znalazłem go na polu. Nie chciał ze mną rozmawiać, ale ja szedłem za nim wokół jeziora, próbując go przekonać, że wszystko będzie dobrze, że jeśli chce, to może znowu do nas dołączyć, że zrobiłem to, bo sam mnie poprosił, abym bez względu na wynik przestrzegając zasad.

– Pamiętam – przytaknęłam.

– On szedł przed siebie i mamrotał, ale nie tak jak zawsze. Było to naprawdę dziwaczne, coś o życiu po śmierci i jego rodzinie. Myślę, że był na haju. Zaniepokoiłem się zwłaszcza wtedy, kiedy dotarł do torów i wyznał, że nie potrafi przestać myśleć o Obim i pociągach. I o tym, co musiał czuć Obi, czy w ogóle zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. A potem oświadczył, że można się położyć na torach i że pociąg przejedzie nad, nie robiąc krzywdy. A ja się zaśmiałem, bo to przecież cały Will, no nie? Powiedziałem mu, że pęd powietrza go porwie i że zostanie rozerwany na kawałki, tak jak ostrzegali nas w szkole, na co on odparł, że rozmawiał ze Strachanem i że według niego to bujda. Położył się więc między torami. Zawołałem do niego, że zginie i mnie za to zamkną, a on zaczął się śmiać

i stwierdził, że nie byłoby to takie złe. I się nie ruszał. Sądziłem, że zaraz wstanie, ale jednocześnie wiedziałem, że tego nie zrobi, bo zachowywał się naprawdę dziwnie. No i nie wstał. Zamknął nawet oczy. Zobaczyłem wtedy prawdziwego Willa, tego, którego nie dostrzegaliśmy, bo za bardzo nas zajmowało naigrywanie się z niego. Kazałem mu zejść z torów, zaklinałem go. Próbowałem go z nich ściągnąć, ale on był zbyt silny. Obawiałem się, że w każdej chwili może nadjechać pociąg, więc uciekłem i czekałem obok tych słupków nad jeziorem. Cały się trząsałem, a gdy usłyszałem pociąg, nie wiedziałem, jak zareagować. Przejechał po nim? Zatrzymał się? Jakieś dziesięć minut później zjawiał się Will i usiadł obok mnie. „A nie mówiłem?”, powiedział. Nie uwierzyłem mu. On jedynie wzruszył ramionami. Wtedy dotarło do mnie, że zdenerwowałem go na tyle, że by to zrobił.

– To nie może... – zaczęłam, bo wydało mi się to nierealne. Nikt nie był w stanie przeżyć czegoś takiego, prawda?

– Oczywiście, że to bujda – potwierdził Steve. – Ale przez długi czas prześladowała mnie myśl, że to zrobił, a ja po prostu... pozwoliłem, żeby tak się stało. I przerażało mnie to, z jaką nonszalancją podszedł potem do mnie. Powtarzałem: „To niemożliwe, to niemożliwe”. Sprawdziłem w necie. Te nagrania to pewnie ściema, ale paru ludzi z forum twierdziło, że jeśli jest się wystarczająco silnym i nic nie zwisa spod pociągu, jest to możliwe. Mało prawdopodobne, ale możliwe.

Teraz mgliście sobie przypomniałam, że Steve wrócił przed laty z tamtego spotkania z Willem jakiś taki nieobecny i nieskory do rozmowy. Oczywiście wzięłam to wtedy do siebie.

– Myślę, że ta wskazówka nawiązuje do tego, co się wtedy wydarzyło. Dlatego uważam, że to na mnie skupi się Will – stwierdził Steve.

– Ale czemu miałby chcieć się na tobie odegrać? – zdziwiła się Jen.

– Pewnie to mnie obarcza odpowiedzialnością za to, jak się potoczyło jego życie. Nie widziałaś, jak się zachowywał parę dni temu, ale ja

odniosłem właśnie takie wrażenie. – Popatrzył na mnie, a ja kiwnęłam głową. – W liście zwraca się do mnie „chłopie”, jakbyśmy znowu mieli po szesnaście lat. Może nigdy mi nie wybaczył tego, że wyrzuciłem go z grupy. Może jest zły, że zostawiłem go wtedy na torach. Może uważa, że to przeze mnie Strachan spuścił mu łomot. Nie wiem. Ale muszę tam dzisiaj iść, bo bez względu na to, o co żywi urazę, jestem przekonany, że chodzi mu o mnie. Zrozumiem, jeśli nie będziecie mi chciały towarzyszyć, ale jeśli mam rację i jeśli coś się stanie Rupeshowi... Tak naprawdę tylko po to wróciłem. – Zerknął w moją stronę, a ja jak tchórz ponownie wbiłam wzrok w ziemię.

Zbliżała się godzina wyznaczona przez Willa, co zmusiło nas do działania bez podjęcia konkretnej decyzji odnośnie tego, co zrobimy później. Postanowiliśmy, że pojedziemy do Marlstone i wrócimy jednym samochodem. Gdybyśmy zaparkowali pod moim domem na cały dzień, mogłoby to przyciągnąć uwagę patroli na Elm Close. Najpierw udałam się do szpitala, natomiast Steve ruszył prosto do hotelu, a Jen do rodziców. Mieliśmy ze Steve'em zgarnąć ją w drodze powrotnej na Elm Close, kiedy zostawię swój samochód pod hotelem.

Przy łóżku mamy zastałam tatę. Usiadłam obok niego i chwyciłam go za rękę. Od wczoraj twarz mamy napuchła, co było skutkiem leków, które przyjmowała, i odniesionych obrażeń. Na policzkach i wokół oczu pojawiły się fioletowe plamy. Lekarze twierdzili, że pozostanie w śpiączce farmakologicznej do czasu, aż jej mózg się zregeneruje – o ile w ogóle tak się stanie.

– Mów do niej. Ja tak robię. Czytałam, że to pomaga – powiedział tato.

– Sądzę, że jestem ostatnią osobą, której chciałaby słuchać – odparłam, nie będąc w stanie myśleć o czymkolwiek oprócz zbliżającej się nocy.

Tato się uśmiechnął.

– Ona często o tobie myśli.

Kiedy klepnął mnie w ramię, odpowiedziałam mu wymuszonym uśmiechem. Nie odwracając wzroku od mamy, nachylił się w moją stronę i szepnął:

– Ma całą szufladę poświęconą tobie.

– Co takiego?

– Szufladę z wycinkami z gazet. Wszystkie twoje prace z Cambridge. Nigdy by ci o tym nie powiedziała i pewnie nie wie, że to odkryłem.

Był taki kochany dla mnie i dla mamy, choć na pewno strasznie się martwił. Położyłam głowę na jego ramieniu. Nie miał pojęcia, jaka mama była naprawdę, co mu zrobiła i w jakiej mnie postawiła sytuacji.

– Nigdy jej nie wybaczyłam wyprowadzki. Zawsze uważałam, że zrobiła tak na złość mnie.

– To przeze mnie wylądowaliśmy w Blythe – wyznał tato, ani na chwilę nie odrywając wzroku od mamy. – W tamtym czasie zamartwiałem się sklepem i hipoteką. Pracowałem od rana do nocy, w ogóle was nie widywałem. Twoja mama wcale nie chciała wyjeżdżać. Obawiała się, że będziesz się nudzić i narobisz sobie kłopotów, ale ja miałem inne zdanie. Całkiem szybko nawiązałaś nowe znajomości. Tam było tak ładnie, w dodatku w cenie, którą musielibyśmy płacić gdzieś indziej... – Wziął mnie za rękę. Dopiero po chwili uścisnęłam jego dłoń.

Powiedziałam tacie, że kiepsko się czuję, co wcale nie było kłamstwem, i że najpewniej prześpię resztę dnia.

– Jedź prosto do hotelu, dobrze, tato? Nie budź mnie. Nie wychodź ze swojego pokoju. Rankiem do ciebie przyjdę. Przy odrobinie szczęścia niedługo policji uda się zdobyć więcej informacji.

Wstałam ze ściśniętym żołądkiem i pocałowałam tatę w głowę.

– Szczęśliwego Nowego Roku – rzuciłam.

Następnie, być może robiąc to tylko dla niego, ucałowałam także głowę mamy.

Piliśmy herbatę i chrupaliśmy herbatniki, prawie w ogóle się do siebie nie odzywając. Minęła czternasta. Jen włączyła telewizor, ale i tak patrzyliśmy tylko na zegar. Odezwały się telefony mój i Steve'a. Pozwoliliśmy, aby włączyła się poczta głosowa. To była posterunkowa Massey. Kazała nam się nie martwić i wyjaśniła, że chciała tylko sprawdzić, co u nas. Zaleciła zachowywać ostrożność. Steve oddzwonił do niej i poinformował, że u nas wszystko w porządku i że wieczorem ponownie zameldujemy się w hotelu.

Zapadł zmierzch, więc zapaliłam światło. Zaczęliśmy rozmawiać o tym, co zrobilibyśmy, gdybyśmy rzeczywiście poszli – oczywiście czysto hipotetycznie. I o tym, w jaki sposób powinniśmy się przygotować na najgorsze. Przeglądnęłam kuchenne szuflady i wyłożyłam na blat potencjalną broń. To pewnie w tym momencie nasze rozważania przestały być niezobowiązujące.

Steve przeanalizował każdą część swojej rundy Poświęcenia – choć my też ją pamiętałyśmy – i ocenił, że będziemy potrzebować co najmniej dwóch godzin.

– Jako szesnastolatek zachowałem się jak palant, bo specjalnie wymyśliłem dodatkowe przeszkody dla Rupesha. Dlatego uważam, że to ja powinienem zająć się teraz tym, co najtrudniejsze. Adeline, potrzebny nam ręcznik...

– Nie, Steve – przerwała mu Jen. – Też muszę coś zrobić. Po tym, co...

– W porządku, biorę to na siebie. Koniec kropka. Musimy sprawdzić każde miejsce i być gotowi na każdą sytuację.

To on przejął kontrolę. Byłoby zupełnie jak przed laty, tak jak chciał Will, gdyby nie blada twarz Steve'a i jego drżący głos. Kazał nam naładować telefony, a jeśli coś poszłoby nie tak, mieliśmy pobiec w różnych kierunkach i zadzwonić na policję.

– Spróbujcie dotrzeć do najbliższego bezpiecznego miejsca – zalecił. – W razie potrzeby biegnijcie aż do Knowle. I jeśli będzie próbował wam coś zrobić, brońcie się.

Po tych słowach przez długi czas żadne z nas się nie odezwało.

Było prawie wpół do dziesiątej wieczorem, kiedy weszłam do sypialni rodziców i zaczęłam przeglądać szuflady. Jeśli miałam zginąć dzisiejszej nocy, chciałam poznać prawdę. Zgodnie z tym, co mówił tato, w najniższej szufladzie, pod pościelą, znalazłam pudełko pełne wycinków z gazet i wydruków dokumentujących moje sukcesy. Powinnam się rozplakać, ale to nie było w moim stylu.

Na dole Steve przestępował nerwowo z nogi na nogę.

– Nie ma sensu dłużej czekać – oświadczył. – Bez względu na to, co zrobicie, ja idę. Jeśli mam rację i rzeczywiście chodzi o mnie, to myślę, że jestem w stanie powstrzymać Willa.

Szliśmy skupieni do płotu za dawnym ogrodem Strachana. Nim któraś z nas zdążyła zareagować, Steve wspiął się na blisko dwumetrowe ogrodzenie i przeskoczył na drugą stronę. Teraz nie było tu szopy, za którą można by się schować. W pobliskim zagajniku rozległ się trzask na tyle głośny, że ja i Jen popatrzyłyśmy na siebie. Kiedy wrócił Steve, w ręce trzymał biały balon. Nad uśmiechniętą buźką czarnym markerem napisano słowo „POKAŻCIE”.

– To coś znaczy? Czy to anagram? – zapytała Jen.

Następnie poszliśmy w stronę mostu i nie wiedziałam, jak to się stało, ale przejęłam inicjatywę. Miałam na sobie dużą kurtkę taty, w kaptur uderzał lekki deszcz. Minęliśmy pub Centurion przy głównej drodze, który otrzymał nazwę z powodu znaleziska Willa. W lokalu spory tłum świętował sylwestra. Krótco potem przemknęliśmy obok otoczonej murem rezydencji, która w ogóle się nie zmieniła od czasów naszego dzieciństwa. Dotarliśmy do Raven Way. W pewnej chwili niebo rozjaśniły fajerwerki, błyskając kolorowymi iskrami. Ileż bym dała, żeby znajdować się teraz w pubie, a nie tutaj.



W końcu położono chodnik w tej części drogi. Poszliśmy nim aż do mostu, po czym bez słowa przeprawiliśmy się na drugą stronę. Rzeka miała tak wysoki poziom, że przelewała się przez wszystkie tunele. Jen wychyliła się za krawędź mostu, po czym oparła się brzuchem i zacisnęła dłonie na barierce, żeby nie wpaść do wody. Jej nogi unosiły się i opadały, kiedy próbowała zajrzeć do tunelu, gdzie przed laty Steve zostawił wskazówkę.

– Niech ktoś złapie mnie za rękę, to wychylę się bardziej.

– Jen, ostrożnie – powiedział Steve i podszedł do niej. – Ja to zrobię. Jestem wyższy.

Jen zaprotestowała, jednak posłuchała Steve’a.

– Myślę, że są tam tylko jakieś śmieci.

Światła samochodu zmierzającego od strony Balsall Common oświetliły krzaki na poboczu. Nadal przeszukiwaliśmy brzeg, aż pojazd dojechał do mostu. Radiowóz. Skuliliśmy się za murkiem, a reflektory przeczesywały teren ponad nami. Byłoby po wszystkim, gdybym po prostu teraz zawołała. Moglibyśmy wsiąść do radiowozu i opowiedzieć o tym, co się stało. Will by się nie dowiedział. Niemożliwe było, aby śledził każdy nasz krok.

Nagle dostrzeżliśmy przywiązany do gałęzi balon.

Radiowóz zwolnił, ale my byliśmy schowani i kiedy zniknął, Steve wszedł na drzewo po balon. Po chwili go przyniósł. Na czerwonej gumie czarnym markerem napisano słowo „MI”. Do tego narysowano logo Nirvany. Teraz było już jasne, że to nie anagramy. Will po prostu przekazywał nam wiadomość. POKAŻCIE MI... Ale co?

Kiedy szliśmy do następnego przystanku, jeziora – które obecnie znajdowało się w samym środku luksusowego pola golfowego – wymienialiśmy jedynie uwagi o otoczeniu. Teren bardzo się zmienił, wszystkie piaszczyste ścieżki były teraz porządnymi drogami, wszystko zostało wyrównane i obsiane trawą. Na końcu drogi wybudowano wielki budynek oraz parking, na którym nie stał w tej chwili żaden samochód. Osiemnasty dołek zlokalizowano na wyspie, połączonej z głównym polem

cienkim pasem zieleni na zachodnim brzegu jeziora, i to właśnie stamtąd było najbliżej do wysepki. Podeszliśmy do wody. Jen wydała okrzyk, bo się jej wydało, że obok krzaków dostrzegła jakąś postać. To było jednak tylko drzewo i Jen przeprosiła.

– Nie cierpię tego – oświadczyła. – Widzę go wszędzie.

W świetle księżyca wyglądało na to, że wysepka uniknęła przemian. Nowy był tylko duży znak proszący golfistów o niezakłócanie spokoju zwierzętom.

– Lepiej mieć to już za sobą – stwierdził Steve. Położył na ziemi torbę, w której przyniósł ręcznik, i ściągnął przez głowę bluzę. – Jak zerwanie plastra.

– Steve, jest potwornie zimno – powiedziałam, choć przypuszczałam, że i tak to zrobi.

– Jak plaster.

Wskoczył do jeziora i zniknął w czarnej wodzie. Wyłonił się wiele pełnych napięcia sekund później. Odezwały się zamieszkujące wysepkę kaczkę. Steve pokonał dziesięciometrową odległość i wyszedł z wody.

– Powinienem się wcześniej porozciągać! – zawołał.

Zrobiło mi się zimno od samego patrzenia. Musiał się czuć okropnie – prawie nagi, stojący na nierównej, kamienistej nawierzchni. Aż za dobrze wiedziałam, jak to jest, bo poprzednio to ja się poświęciłam i popłynęłam na wysepkę.

Wrócił na brzeg z kolejnym balonem.

– Wskazówka to „SWOJE”! – obwieścił, po czym wskoczył do wody. Za nim unosił się balon.

POKAŹCIE MI SWOJE... Nadal nie rozumieliśmy, czego chciał od nas Will.

W połowie drogi Steve przestał płynąć i wydał głośny okrzyk.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiłam się.

– Skurcz! – krzyknął i wtedy usta zalała mu woda. Zaczął się zanurzać.

– On tonie! – Obezwładnił mnie strach.

Steve zniknął zupełnie pod wodą i po chwili na jej powierzchni było widać tylko krople deszczu. Nie wypływał. Po tym wszystkim, po obietnicach i przerażeniu, miało się to skończyć w tak głupi...

Rzuciłam na ziemię zabrany z domu nóż, po czym ściągnęłam z siebie ubranie. Kiedy wskoczyłam do jeziora, dostrzegłam, że Jen także to robi. A potem znalazłam się już pod wodą. Z ogromnym wysiłkiem walczyłam z paralizującym zimnem. Ściągnięta podkolanowe zeszywniały, łydki stały się twarde jak skała. Byłam bliska paniki, ale nie poddałam się. Nabrałam powietrza. I jeszcze raz. I jeszcze.

Kilka metrów ode mnie wynurzyła się ręka. Ciężko dysząc, popłynęłam w tamtą stronę i nagle dłonie Steve'a chwyciły mnie za nogi. Pociągnęły mnie i znowu opadłam pod wodę. Próbowałam krzyczeć, ale usta napełniły się wodą. Ja także tonęłam. Byłam teraz jedną z tych osób, które pływają w kamieniołomach, choć każdego roku giną w nich ludzie. Ludzie, których uważa się za idiotów, że tak ryzykują.

Ręce zwolniły uścisk i kiedy w końcu się wynurzyłam, rozpaczliwie spróbowałam złapać oddech. Jen krzyczała moje imię, ale ją zignorowałam. Wyprostowałam lewą nogę, a prawą poruszałam, żeby utrzymać się na powierzchni. Wtedy ręce zakleszczyły się na moim ramieniu, a ja zacisnęłam na nich dłonie i szarpnęłam. Przede mną wyłoniła się głowa Steve'a, na której teraz była widoczna maskowana przez niego łysina. Jakoś udało mi się go objąć. Wsunęłam ręce pod jego pachy i go pociągnęłam.

– Cholera – wyrzucił z siebie Steve. – Nogi odmówiły posłuszeństwa.

Z pomocą moją i Jen wyszedł z wody. Potem ona wygramoliła się na brzeg razem z balonem. Przywiązała go do pozostałych, leżących na ziemi i obciążonych jej dzinsami.

– Musimy wrócić i się porządnie osuszyć – powiedziałam.

Jen sięgnęła po swój telefon.

– Dochodzi jedenasta. Nie możemy ryzykować. Nim wrócimy, będzie prawie północ. A nie wiemy, co jeszcze dla nas zaplanował.

– Idziemy dalej – zdecydował Steve, rozcierając nogi. Wymachiwał ramionami i kręcił głową.

Ubrałam się i ponownie wzięłam do ręki nóż. Czując w dłoni rękojeść, lekko się uspokoiłam.

Niemal dwumetrowa siatka odgradzała pole golfowe od dawnej ścieżki łączącej koniec jeziora z drogą. Przeszliśmy przez nią, po czym przedarliśmy się przez gęste zarośla w kierunku sześciu betonowych słupków na końcu drogi.

Niebo rozjaśniły kolejne fajerwerki, tym razem z każdej strony, nie tylko z Balsall Common. Ponownie przepełniło mnie pragnienie, aby znaleźć się gdziekolwiek indziej, na bliżej nieokreślonej imprezie sylwestrowej. To było głupie, bo generalnie nie znosiłam tej nocy: zbyt dużo alkoholu, za mało porządnego seksu. No i proszę, wzdychałam teraz za czymś, czego nawet nie lubiłam. Nostalgia to choroba, tak powiedział Rupesh. Na to wspomnienie poczułam kolejne ukłucie, jeszcze bardziej niedorzeczne niż pierwsze, bo zatęskniłam za rozmową sprzed zaledwie tygodnia.

Gdy dotarliśmy do kładki nad torami, Steve się zatrzymał i odwrócił do nas.

– Trzymajmy się blisko siebie – wydał polecenie. – Mieście oczy dookoła głowy. Ja pójdę pierwszy.

Pomogliśmy sobie zeskoczyć z kładki na podsypkę z boku torów. Dopiero gdy dobiegliśmy do nasypu, stało się jasne, że z powodu gęstych zarośli nie będziemy w stanie znaleźć dawnej ścieżki.

– Czy Rupesh nie odkrył przypadkiem innej drogi do słupa? – zapytał Steve. – Wygrał dzięki temu moją rundę Poświęcenia. Zaszedł mnie od tyłu.

– Tak, doradziłam mu, żeby w ten sposób cię zaskoczył – przytaknęła Jen. – Znalazłam to przejście, kiedy raz się tutaj kręciłam. Z Willem. Myślę,

że to gdzieś tutaj.

Steve poprowadził nas wzdłuż torów, coraz dalej od kładki. Podsypka była tu grząska i niełatwo się szło. Po lewej stronie znajdował się słup, stalowy szkielet na tle nocnego nieba, wydający z siebie trzaski tak samo jak przed laty.

– Chwila – odezwał się Steve i uniósł prawą dłoń.

Podskoczył. Na trawie na nasypie przymocowano kolejny balon, mokry od deszczu. Steve podszedł do niego i podniósł go jedną ręką. Drugą chwycił coś owiniętego w foliowy woreczek i przytwierdzonego sznurkiem do balonu. Koperta. Otworzył ją i przeczytał wiadomość. Ja i Jen nie spuszczałyśmy z niego wzroku. Pokiwał głową. Po chwili balon wybuchnął w jego zaciśniętych palcach.

– Co tam napisał? – zapytałam.

Steve wyrzucił kawałki gumy i kopertę, po czym zszedł z podsypki. Zbliżył się do torów i odwrócił w naszą stronę. Zdjął z ramienia pasek od torby i cisnął ją na szyny. Co on wyprawiał?

– Tego właśnie chce – powiedział. – Tak jak się spodziewałem.

Teraz zrozumiałam. Steve kucnął i wbił spojrzenie w tory, stanowiące próg między naszym światem a niepoczytalnością Willa. A może nasz świat nigdy nie był normalny? No bo jak inaczej mogło dojść do czegoś takiego? To nasze młodsze zabawy stworzyły Willa Oswalda i ten moment.

– Steve, co się dzieje? – zaniepokoiła się Jen. – Mów, jaki jest plan. – Przybrała stanowczy ton nauczycielki.

– Nie ma innego sposobu – odparł i przygryzł górną wargę. – Muszę się położyć na szynach.

– Nie opowiadaj bzdur – zaprotestowałam, ale wiedziałam, że nie żartował.

Jen zebrała z ziemi fragmenty pękniętego balonu. Zobaczyłyśmy „P” i „ĘCENIE”, a reszty się domyśliłyśmy. POKAŻCIE MI SWOJE POŚWIĘCENIE. Nie czekałam, by przeczytać to, co kryło się w kopercie. Rzuciłam nóż

i podbiegłam do Steve'a. Próbowałam go odciągnąć, ale on mnie odepchnął. Mocno. Jego siła i determinacja były przerażające.

– A niby co innego nam zostało? – wycedził. – Widziałaś, co napisał?

Obok mnie zjawiła się Jen z kopertą w ręce. W mroku ledwie było widać czarny tusz na białym papierze. Choć podejrzewałam, jak brzmi wskazówka, przeczytałam list. Szybko, bo w każdej chwili mógł nadjechać pociąg.

Drogi Stevie,

niemożliwe, tak właśnie mówiłeś?

Nie zostałeś, żeby się przekonać.

Ale teraz się dowiesz.

Spójrz w gwiazdy i mi zaufaj.

Udowodnij sobie, że da się tak zrobić.

Już prawie koniec. Nie zawieź nas.

Jeśli to zrobisz, on zginie, nim tu dotrzecie.

Pozdrowienia, Will X

PS I pospiesz się, północ blisko! Do zobaczenia pod słupem.

– Musicie się odsunąć – powiedział Steve. – Na wszelki wypadek. Wyczuwam, że coś się zbliża.

Usłyszeliśmy szum. Odwróciłam się i zobaczyłam w oddali światła nadjeżdżającego pociągu towarowego.

– To idiotyczne, Steve! – zawołałam. – Chyba nie zamierzasz tego zrobić?!

– On chce, żebym się sprawdził. Chodzi o to, by upokorzyć mnie tak, jak według niego ja upokorzyłem jego. Albo to zrobię, albo Rupesh zginie.

– Skoro chce, żeby jedno z nas położyło się na torach, w takim razie zasady uległy zmianie – gorączkowałam się. – Myślisz, że Rupesh

postąpiłby tak samo dla ciebie? Nie, uraczyłby nas idiotycznym wykładem o tym, że odpowiedzialność moralna nie jest jednoznaczna i że to wszystko jest bardziej skomplikowane, niż przypuszczamy. I miałby rację, bo to jest...

– No to co teraz? – przerwał mi Steve, nadal wpatrując się w tory.

– Dzwonimy na cholerną policję – oświadczyłam. – Powinniśmy to zrobić o wiele wcześniej.

– Nie – odezwała się Jen. – Nie możemy. Jeszcze nie. Jeśli sprowadzimy gliny, Will na pewno zabije Rupesha.

Odgłos nadjeżdżającego pociągu stawał się coraz głośniejszy. Steve wstał, ale się nie odwrócił. W jego postawie widać było determinację.

– Nie zamierzam stracić cię teraz, kiedy się ponownie odnaleźliśmy – powiedziałam.

Pociąg był blisko, maszynista nas dostrzegł i dawał sygnały klaksonem. Ten dźwięk wydawał się nie tylko głośny, ale także dziwnie inwazyjny. Wdzierał się prosto do mojego mózgu. Steve chwycił mnie za rękę i przez jedną szaloną chwilę byłam przekonana, że zamierza pociągnąć nas oboje na pewną śmierć. Zamiast tego ścisnął mi dłoń i pozwolił się wciągnąć na nasyp. Stanęliśmy we troje, ciężko oddychając i czekając, aż przejedzie pociąg. Maszynista z pewnością zadzwoni na policję.

– Co robimy? – zapytała Jen.

Steve znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w nasyp po drugiej stronie torów, a konkretnie w chaszczę na samym szczycie. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że coś było nie tak, dlatego właśnie nie odpowiadał Jen.

– Przysięgam, że widzę kogoś – odezwał się w końcu.

Jen wciągnęła głośno powietrze.

– Gdzie? Jesteś pewny? Cholera, ja chyba też.

– Nie patrzcie w tamtą stronę. To on – wydusił Steve.

Dostrzegłam poruszające się cienie.

– On nas obserwuje. Tylko... Cholera. Widział mnie. – Steve przeskoczył przez pierwszy tor. – Chodźcie, zanim skrzywdzi Rupesha...

Steve pobiegł w kierunku miejsca, w którym wypatrzył Willa. Wspiął się po nasypie. Podążyłyśmy za nim, ja z nożem w ręce. Na górze okazało się, że zarośla między nami a słupem są wyższe od nas, ale Steve'owi udało się znaleźć ścieżkę. Nigdy dotąd nie dzierżyłam przed sobą w taki sposób noża. Byłam gotowa, żeby go użyć. Koncentrowałam się na każdym kroku. Przede mną szła Jen i cicho jęczała, ale nie zwalniała.

– Chyba kogoś słyszałam – wymamrotała.

Pewnie jej się zdawało. Jak mogła cokolwiek usłyszeć, skoro tak hałasowaliśmy, przedzierając się przez zarośla?

– Ja też – potwierdził Steve.

– Jest blisko nas – powiedziała piskliwie Jen.

Wtedy i ja uchwyciłam jakiś odgłos, przed nami, z lewej strony. Uciekającego królika? Lisa? Willa?

Przyspieszyłam. Było tu klaustrofobicznie, jeszcze bardziej niż na polach kukurydzy, prawdopodobnie z powodu roślin. Rosły dzikie, gęste, zaniedbane. Jeśli chował się wśród nich ktoś, kto nie miał dobrych intencji, to pragnęłam się stąd wydostać najszybciej, jak to było możliwe.

– Chodźmy – powiedziałam, szturchając w ramię Jen. Jeszcze mocniej zacisnęłam dłoń na rękojeści noża.

Szliśmy szybko, krócej niż minutę, choć miałam wrażenie, że znacznie dłużej. Kiedy dotarliśmy do polanki wokół słupa, Jen odwróciła się w naszą stronę.

– On tu był. Cholera. Cholera. – Oddychała z trudem.

– Idź dalej – ponaglił ją Steve.

Skierowaliśmy się ku betonowej podstawie słupa. Nagle Steve stanął jak wryty, a z jego gardła wydobył się cichy jęk. Ogarnął mnie gniew. Nie chciałam się więcej bać. Pragnęłam, żeby było już po wszystkim. Wtedy odwróciłam głowę i moim oczom ukazał się ten sam widok co jemu. Kogoś



posadzono po prawej stronie słupa, dwadzieścia metrów od miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Ciało było przechylone i nieruchome, a głowę zasłaniał plastikowy worek.

– To on? – wykrztusiła Jen. – To Rupesh?

Obok pierwszego ciała leżało drugie, również z workiem na głowie. Rozpoznałam kurtkę i rzuconą obok czapkę osoby opartej o słup. Jen podbiegła do postaci leżącej u stóp Willa, wołając imię Rupesha. Zaczęła rozrywać worek od góry, bo dół został oklejony taśmą wokół szyi.

– Oddycha! – krzyknęła. – Myślę, że nic mu nie jest!

Tego samego nie dało się jednak powiedzieć o Willu. Nie poruszał się i było coś nienaturalnego w sposobie, w jaki ułożono jego ciało. Podeszłam bliżej i usłyszałam, jak Jen mówi coś do Rupesha. Steve próbował mnie zatrzymać, ale go odepchnęłam. Czy to była właśnie ostatnia wskazówka Willa? Dostrzegłam, że do nadgarstka miał przywiązany poruszany wiatrem balon, który w pewnym momencie się odwrócił, tak że udało mi się odczytać wiadomość. Kolejny anagram, dwa słowa napisane czarnym markerem: „Święcenie Po”. Klatka piersiowa Willa była nieruchoma. Nie chciałam go dotykać, żeby sprawdzić puls. Wiedziałam, że już nie żył. Opodal leżała pusta butelka po wodzie mineralnej.

Rupesh zaczął wydawać jakieś dźwięki. Jen położyła jego głowę na swoich kolanach i gładziła mu włosy. Steve stanął przy mnie i tym razem pozwoliłam, aby mnie objął.

– Czemu on nam to zrobił? – szlochała Jen.

Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie. Później jednak, kiedy czekaliśmy na policję, dotarło do mnie, że ostatnia wiadomość Willa była nie tylko zagadką, ale i odpowiedzią.

Poświęcenie.

## **Część IV**

Jedynie cienie za nami czekające

## Adeline, 1998

Wszyscy ponownie wpadają w niepewny rytm przychodzenia do domu Steve'a. Choć na koniec Poświęcenia Steve zachował się jak palant, Adeline nadal ma ochotę się z nim spotykać. Stara się unikać kontaktu fizycznego, w imieniu Willa chce okazać złość. Oglądanie co jakiś czas filmu razem z resztą paczki, udawanie, że wszystko jest normalnie, i łudzenie się, że wreszcie uda jej się przekonać Steve'a do pozwolenia Willowi na powrót, wkrótce doprowadzają jednak do dalszych pocałunków. A niedługo potem do kolejnego etapu. Z zaskoczeniem i niepokojem przekonuje się, że jeśli chodzi o Steve'a, to bez problemu potrafi oddzielić jego dobre cechy od złych.

Raz o mało nie idą na całość. Dzieje się to pewnego rozświetlanego ekranem telewizora wieczoru, kiedy Jen i Rupesh nie okupują sofy, prowadząc wojny na kciuki i się całując. Adeline, bez bielizny, siedzi okrakiem na Stevie. On spodnie i bokserki ma spuszczone, ale jak zawsze przerywają. Ona zapada w krótką i frustrującą drzemkę na jego gołej klatce piersiowej, a gdy się budzi, to zamiast zapytać, czemu zawsze się zatrzymuje w decydującym momencie, zaczyna się kłócić o Willa. Oświadcza Steve'owi, że zachowuje się jak idiota. To głupie, mimo że Adeline święcie wierzy w swoje słowa. Kiedy Steve nie chce jej nawet wysłuchać, grozi, że sobie pójdzie, ale nie może znaleźć majtek. Wtedy on jej mówi o planowanym powrocie do Londynu. Ignoruje go, sądząc, że to tylko takie gadanie, żeby jej zrobić na złość. Wypada z jego domu wściekła, bez bielizny, i wydaje jej się, że wcześniejsze podniecenie należało do zupełnie innego lata.

Pewnego popołudnia przez okno swojego pokoju dostrzega Willa. Spotkała go raz czy dwa razy w ciągu tygodnia, który minął od Poświęcenia, i czuła się wtedy niezręcznie, bo obawiała się, że Steve ich zobaczy. Will idzie niespiesznie w stronę farmy i pól. Głowę ma spuszczoną i wydaje się bardziej przygarbiony niż zwykle. Co jakiś czas potyka się na krawężniku i ląduje na ulicy. Jest pijany? Adeline się niepokoi. Nim wychodzi z domu, on już skręca w Drogę Umarłaka. Podąża za nim, zachowując stosowną odległość, żeby jej nie zobaczył. Nie chce, by stało mu się coś złego, ale nie jest pewna, czy powinna z nim rozmawiać.

Will wchodzi na pierwsze pole kukurydzy. Adeline robi to samo, ale po chwili dociera do niej, że nie widzi Willa. Zatrzymuje się i zaczyna nasłuchiwać; być może zбочzył ze ścieżki. Odruchowo przygryza paznokcie u kciuka. Musi zerwać z tym głupim nawykiem. Jej paznokcie wyglądają...

– Aghhh-deline.

Wydaje okrzyk. Will zachodzi ją od tyłu i chwytą za ramiona. Odwraca się gotowa na niego naskoczyć za ten psikus, ale on się śmieje, a kiedy dostrzega jego czerwone oczy, ten śmiech wydaje jej się podobny do żalostnego ryku osła, co przepęlnia ją współczuciem.

– Nie mogłem się oprzeć – rzuca chłopak, uśmiechając się jeszcze durniej niż zazwyczaj. – O rany, muszę usiąść.

Opada na ziemię.

– Brałeś coś?

– Aha. Mam jeszcze trochę, chcesz? – Will wkłada rękę do kieszeni kurtki. Plakietki na jej kłapie stukają jak kastaniety.

– Nie, Will. Dzięki.

Wzrusza ramionami i na nodze zaczyna rolować kolejnego skręta. Adeline usadawia się obok niego.

– Co słyhać? – zagaduje. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Czemu miałyby być inaczej? Przecież nie należę już do paczki. I szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi. Możliwe, że się stąd wyprowadzimy. No a poza tym nie będziemy nawet studiować na tej samej uczelni.

– Myślisz, że się dostaniesz na studia? – pyta Adeline, a Will kiwa głową i zapala skręta. – Tym bardziej powinniśmy razem zakończyć to lato tak, jak je zaczęliśmy. Z przytupem.

Teraz chłopak zaciąga się naprawdę długo, a żarzący się koniec spala ponad połowę skręta. Will wstrzymuje oddech i po niemal dwudziestu sekundach zaczyna kaszleć.

– Cholera, Will. Zabijesz się.

Chłopak chichocze.

– Może powinienem się zabić. Albo Steve’a.

Adelina przygląda mu się, czekając na puentę.

– Steve uważa, że spełnia daną ci obietnicę – odzywa się w końcu. – Trzyma się zasad, bo ty się przy tym upierałeś. Cholernie to wszystko głupie. Robi to, bo cię szanuje.

– Myślisz, że zachowałby się tak samo, gdybyś to ty zajęła ostatnie miejsce?

Nie wie, co odpowiedzieć. Szczerze? Pewnie nie. Coś by wykombinował, żeby zmienić reguły.

– Taki już jest – mówi. – W jego życiu nie ma odgórnych zasad, więc chwytą się tych, które sam uznaje za naprawdę ważne. Weźmy na przykład to, jakim sentymentem darzy urodziny i Boże Narodzenie. Przecież wiesz, że to przez jego rodziców. To nic osobistego.

– Chłopcy bez zasad zmieniają się w osiołki.

– To z *Pinokia* – odgaduje. – Zgadza się, Steve jest porąbany.

– Jest na mnie zły z powodu Strachana.

– Możliwe – przytakuje Adeline. – Prawdę mówiąc, wszyscy uważamy to za nieco dziwne.

– Niewłaściwie go odebraliście – oświadcza Will, kręcąc głową. – Strachan nie jest taki zły. Czasem przypomina mi Steve’a. Można go kochać i nienawidzić. Ale niektórzy już tacy są, nie? Same skrajności. Nie wiem, czy świat potrzebuje takich ludzi, żeby było ciekawiej, czy też przez nich jest taki do bani.

Nie można mu odmówić racji. Adeline się uśmiecha.

– A poza tym skoro chodzi tylko o grę, to czemu próbuje mnie wykopać ze zdjęcia do gazety?

– Jak to?

– Jen i Rupesh w ogóle nie potrafią kłamać. Powiedzieli mi, że nie powinienem tego robić, bo to będzie stresujące i tak dalej. Po prostu nie chcą, żeby Steve zakazał im wstępu do domu. Niech im będzie.

– Ty znalazłeś ten garnek – oświadcza Adeline. – Jeśli już, to my nie powinniśmy pojawić się na tym zdjęciu, a nie ty. To niedorzeczne.

Will wzrusza ramionami.

– To nie ma znaczenia. Zdarza ci się myśleć o czasie, Adeline? Chwilami, kiedy sporo piję, nie czuję nawet, że jest mi źle. Czy naprawdę to wszystko... to wszystko, co robimy, jest takie widmowe, że może po prostu zniknąć, kiedy o tym zapomnimy?

– Cóż, inni to zapamiętają. Dzięki temu później będzie można poskładać brakujące elementy do kupy.

– Narzuta patchworkowa. Hmm. A jeśli wy też nie będziecie pamiętać? – Will bierze z ziemi kamyk, unosi go ku twarzy i dodaje: – Czasem widzę, czym naprawdę jesteśmy. To nie wspomnienia, nie ciała... jedynie cienie za nami czekające...

Z Willem nie jest dobrze. Jest gorzej, niż się spodziewała, idąc tu za nim. Jego umysł przestaje poprawnie funkcjonować.

W tym momencie chłopak odwraca się i wymotuje.

Chce go odprowadzić do domu, ale on się nie zgadza. Adeline udaje się zamiast tego do domu Steve'a i wchodzi bez pukania. Pozostała trójka siedzi przed telewizorem. Żadne z nich nie zauważa jej przyjscia. Adeline podchodzi do telewizora i przy wtórze protestów wyłącza go.

– Właśnie widziałam się z Willem – mówi, a oni milkną.

– Co u niego? – pyta Rupesh.

– Tak się najarał, że puścił pawia. – Spogląda na Steve'a. – Jeszcze raz musimy porozmawiać o tym zdjęciu.

– Decyzja została już podjęta – oświadcza Steve, nawet na nią nie patrząc.

– Wcale nie – protestuje Adeline. – Uważam, że obecne tu osoby są zbyt grzeczne, żeby nazwać cię kutasem, a tak się właśnie zachowujesz. Ta gra miała być dobrą zabawą. Nie przypuszczałam, że wymaga od nas poświęcenia się tobie.

Steve wydaje się niewzruszony, jednak w końcu na nią spogląda. Jen i Rupesh milczą.

– Możemy porozmawiać w kuchni? – proponuje.

– Nie. – Strasznie nie podoba jej się sposób, w jaki Steve próbuje kontrolować sytuację. – Wszyscy musimy podjąć decyzję. Nie sądzę, aby któreś z nas wiedziało, jak bardzo jesteś poważny w kwestii wyrzucenia...

– Proszę, Adeline. Możemy pogadać w innym pokoju?

Rewolucja, którą pragnie wzniecić, uzależniona jest od tego, czy zostaną w salonie razem z resztą. Jen i Rupesh odwracają wzrok. Czują skrępowanie?

Steve wstaje z fotela i udaje się do kuchni. Manifestuje swoją władzę. Nie mając wyboru, Adeline idzie za nim. Kiedy wchodzi do pomieszczenia, jest gotowa na niego naskoczyć. W razie konieczności nawet z nim zerwać. Nie znaczy to, że któreś z nich nazywa ich relację związkiem, a siebie nawzajem dziewczyną i chłopakiem. Steve jest zbyt dobry na...

– No co? – pyta.

Jego wcześniejsza postawa zmienia się w coś łagodniejszego. Znikają wyprostowane plecy i surowe spojrzenie, a zastępują je przygarbienie i szeroko otwarte oczy. W jaskrawym świetle lampy Adeline dostrzega czerwony ślad w poprzek jego szyi.

– Przepraszam, Adeline. Miałaś rację. Dotarło to do mnie, kiedy się pokłóciliśmy. Zamierzam pójść i z nim pogadać, okej? Czekałem, aż Rupesh pierwszy z nim porozmawia w moim imieniu i trochę załagodzi sprawę. A potem planowałem ci o tym powiedzieć.

– Uchylisz więc zakaz? – upewnia się.

– Tak – przytakuje Steve. – Ja... Poniosło mnie. Bardzo mnie wkurzył. Zaraz pójde go poszukać. Gdzie go widziałaś?

Tyle wątpliwości, tyle przemyśleń. Co się z nim działo od czasu ostatniej rundy Poświęcenia? Adeline chce go uścisnąć i się uśmiechnąć, bo nagle wrócił chłopak, którego tak bardzo lubi. Jakby wciśnięto odpowiedni guzik.

– Nie zamierzam szukać usprawiedliwień – mówi. – Zawsze staram się stawiać w sytuacji innych ludzi, a czasem, kiedy oni nie próbują stawiać się w mojej, denerwuję się i wybucham.

Podchodzi do Adeline i dotyka jej ramienia. Ona się nie odsuwa.

– Poza tym niedługo się wyprowadzam i muszę wykorzystać jak najlepiej czas, który nam pozostał. Nie chcę kłótni.

– Więc rzeczywiście wyjeżdżasz?

Steve przytakuje. Adeline robi unik, kiedy próbuje ją pocałować. Odpuszcza Willowi, bo wie, że nie ma racji? A może to tylko taka gra, bo dociera do niego, że wykluczenie Willa nie jest tak ważne jak pozostanie w łaskach Adeline? To duża różnica i chce się nad tym zastanowić. Tyle że jego usta znajdują się blisko i emocje biorą górę nad rozsądkiem. Całuje go.

Spotkanie Steve'a z Willem załatwia sprawę, aczkolwiek kiedy niecałe dwie godziny później zjawiają się obaj, Steve nie wydaje się do końca



zadowolony. Niby wszystko zostało wyjaśnione, ale jego spuszczone wzrok mówi co innego. Steve jest blady i przez kolejną godzinę prawie w ogóle się nie odzywa. Gdy później robi się chłodno, w zamyśleniu oblewa drewno zbyt dużą ilością benzyny i o mało nie ulega poparzeniu, kiedy zapala zapalkę. W ogóle nie porusza tematu rozmowy z Willem, a nawet zostawia ich wszystkich w salonie i idzie do łóżka, bo nie czuje się najlepiej. Widać, że nie miał ochoty robić tego, co zrobił, ale przynajmniej zachował się jak należy.

Sesję zdjęciową zaplanowano na przyszły tydzień, dzień po urodzinach Adeline i tydzień przed ogłoszeniem wyników egzaminów kończących szkołę średnią. Tata poinformował już Steve'a o dacie powrotu do Londynu i wcale nie zostało im dużo czasu. Strachan, co za idiota, pozwolił, aby ognisko na końcu jego ogrodu wymknęło się spod kontroli i w noc urodzin Adeline zapaliła mu się szopa. Przyjechała straż i w ogóle i zbiegła się cała ulica, żeby się przyglądać. Niezły prezent urodzinowy.

Adeline dowiaduje się od mamy, że Strachan trzymał w szopie dużo cennych rzeczy, i podejrzewa, że nie pokazuje się publicznie, bo wstyd mu, że przypadkowo spalił swój fundusz emerytalny. Wszyscy oprócz Willa uznają to za zabawne. On wciąż nie do końca jest taki jak dawniej, Steve w sumie też – z pewnością ma to ze sobą związek, bo ci dwaj prawie w ogóle się do siebie nie odzywają.

Po sesji zdjęciowej – trwała całą minutę, po czym fotograf poinformował ich, że jeśli ma być szczerzy, to artykuł może się okazać za krótki na to, żeby dodać do niego zdjęcie – w trzech turach zaciągają spore kawałki drewna z domu Steve'a aż pod słup wysokiego napięcia, a potem, kiedy już zmierzcha, rozpalają ognisko. Kiedy w piątkę zaczynają się raczyć alkoholem, Rupesh zapewnia, że nic mu nie jest, choć cały się trzęsie. Oświadczają, że musi nadal stawiać sobie wyzwania i że to naprawdę świetne

miejsce, bo nikt ich nie widzi. Will zapala skręta i niemal od razu poprawia mu się nastrój. Jen puszcza w obieg butelkę paskudnego likieru, którego żadne z nich nie jest w stanie wypić bez krzywienia się. Steve nadal sprawia wrażenie zdystansowanego, ale lepiej już to ukrywa. Nie może oderwać wzroku od Willa.

– Tata wspominał, że właściciele Głowy Jędzy chcą zmienić nazwę pubu, podobno ma to być coś związanego z Rzymianami – informuje ich Jen. – Super, no nie?

– Znudzony Centurion – rzuca Will.

– Czemu znudzony? – pyta Jen.

– Nie wiem. Bo utknął w Blythe.

Wszyscy chichoczą, a Will uśmiecha się przebiegle i zaciąga wyjątkowo dużym skrętem. Oferuje go pozostałym, ale odmawiają.

– To wszystko jest trochę niemądre – odzywa się. – Historia.

– A co to, u licha, znaczy? – mówi Jen. – Przecież uwielbiasz historię.

– Kiedy się nad tym zastanowić, to niewykluczone, że właściciel uważał ten garnek za bezwartościowy. Może to był jego nocnik albo coś w tym rodzaju. No i go porzucił. Minęło dużo czasu i nagle okazuje się, że to najcenniejsza rzecz na świecie. Mógłbym nasrać do tych krzaków, a miliony lat później byłyby warte gabiliony funtów.

– Gabiliony? – dziwi się Jen. – Nie ma takiego słowa.

Adeline po doświadczeniach z Alexą i innymi przyjaciółmi z przeszłości wie, że kiedy jest się wstawionym, podekscytowanym lub smutnym, to padają czcze obietnice o ponownych spotkaniach. Tym razem tak się nie dzieje, być może dlatego, że cała piątka od początku czuła, że ich znajomość jest tymczasowa. Kiedy ognisko zaczyna dogasać, nikt nie jest jeszcze gotowy na powrót do domu. Jen pyta, co – jako szesnastolatki – uważają, że będą robić za szesnaście lat.

– Mam nadzieję, że będę astronautą – odpowiada Will.

– Poważnie? – Rupesh marszczy brwi.

Will wzrusza ramionami.

– Bo ja wiem. W sumie to nie lubię wysokości.

– No to wymyśl coś innego.

Will przez chwilę się zastanawia, po czym zadaje to samo pytanie Rupeshowi.

– Tata chce, żebym poszedł na medycynę tak jak on. – Kręci głową. – Będę się przykładał do przedmiotów ścisłych, a to pewnie zadecyduje o moim całym życiu.

– Dobry, bezpieczny wybór, Rupesh – stwierdza Steve.

– Ciągłe się waham – mówi Rupesh. – Mam dwa lata, a po naukach ścisłych dostępne są jeszcze inne opcje. No a ty, Steve? Pewnie już wszystko zaplanowałeś.

Steve przytakuje.

– Astronauta. – Kiedy milknie zgodny śmiech, dodaje: – Nie wiem. W szkole wszyscy mówią o Wielkim Mieście. Wyjeździe do Wielkiego Miasta. Pracy w Wielkim Mieście. Nie lubię miast, więc może wrócę tutaj i zajmę się czymś w rodzaju pisania recenzji filmowych.

– Ale tobie przecież podobają się wszystkie filmy – wtrąca Adeline. – Ty nawet filmowi *Scooby-Doo spotyka braci Boo* dałbyś pięć gwiazdek.

– Spadaj – oburza się Steve. – Mam doskonały gust.

– Może o mnie napisałbyś dobrą recenzję – odzywa się Jen. – Nie obraziłabym się.

– Czyli tym się właśnie chcesz zajmować? – docieka Adeline.

Jen potwierdza.

– Nie byłam pewna, ale przez te zajęcia z aktorstwa zaczynam myśleć, że to możliwe.

– Aktorka? – pyta Rupesh.

– No co? Uważasz, że się nie nadaję?

– Oczywiście, że się nadajesz. Tyle że to trudne. Bardziej niż cokolwiek innego liczy się łut szczęścia.

– Według mnie dasz sobie radę – mówi Steve. – Najważniejsza jest determinacja.

– No ale jednak niektórzy ludzie mają więcej szczęścia od innych – upiera się Rupesh.

Jen się uśmiecha.

– Dzięki, Steve, przynajmniej ty we mnie wierzysz. Udowodnię ci, Rup, że się mylisz. Zobaczysz. Tylko nie przychodź do mnie potem po wejściówki na Oscary.

– No a ty? – Steve pyta Adeline.

– Ja nie będę cholerną astronautką – odpowiada. – Nie sądzicie, że te wyprawy w kosmos to marnowanie pieniędzy, podczas gdy w Etiopii głodują ludzie?

– Nie, jeśli Księżyc jest zrobiony z sera – oświadcza Will.

– Celną uwaga – przyznaje Adeline. – W zasadzie nie mam pojęcia, czym się będę zajmować. Myślę, że każdy, kto w naszym wieku dokładnie wie, co chce robić, jest kłamcą. Wiem jednak, czego nie chcę robić, a to już coś.

– Być astronautką? – rzuca Steve.

– Właśnie. I nie chcę mieć męża ani dzieci, mieszkać w jakiejś pipidówce, zajmować się czymś nudnym. Czymś konwencjonalnym, czego sama bym sobie nie wybrała.

– Będiesz robić coś ekstra – mówi Jen.

Adeline nie potrafi rozgryźć jej tonu. Mimo wszystko uśmiecha się nieoczekiwanie wzruszona. Przez jakiś czas siedzą w milczeniu. Tak długo, że trzask dogasającego ognia sprawia, że podskakują.

– Okej, już wiem, kim chcę być – oświadcza Will. Jest na haju. – Trzeba zabić co najmniej trzy osoby, żeby być seryjnym zabójcą, no nie? Tak więc zrobię. Dobry plan, prawda? – Przez chwilę się zastanawia. – Może to nie będzie dokładnie za szesnaście lat, ale kiedyś w przyszłości...

Wszyscy słuchają, a Will nakreśla z niepokojącymi detalami swój pomysł. Gdy kończy, wybuchają histerycznym śmiechem. Adeline uznaje,

że wszyscy biorą to za żart, lecz ociera oczy i widzi, że ani Will, ani Steve się nie śmieją. Wpatrują się w siebie ponad ogniem. A kiedy znowu zapada cisza, Will dodaje:

– A może po prostu zostanę didżejem.

Jakiś czas później, gdy śmiech cichnie, Adeline ogarnia niepokojące uczucie, że ktoś ich obserwuje. Wszyscy to czują. Być może to wpływ oparów ze skrzyta Willa. Steve nawet wstaje w pewnym momencie i biegnie w stronę krzaków, bo mu się wydaje, że kogoś widzi. Nie ma go prawie pięć minut. Adeline nic nie zauważa, ale pozostali są przekonani, że słyszeli coś, co nie było tylko wiatrem w zaroślach. Steve wraca i kręci głową. Spogląda na Willa.

– To był Strachan – oświadcza. – Przysięgam, że to on. Rozpoznałem jego włosy i wąsy.

Adeline nie ma pojęcia, jak udało mu się dostrzec cokolwiek w tych ciemnościach. Niemniej wszyscy są przestraszeni, a w drodze do domu trzymają się blisko siebie.

– Co on knuje? – pyta Adeline.

Gdy docierają na Elm Close, udają się do Steve'a. Wczoraj, w dniu jej urodzin, podarował jej w prezencie płytę, nowy album grupy Bad Religion, o którym marzyła. Ale powiedział, że ma dla niej jeszcze jedną niespodziankę. Być może dzisiaj w końcu pójdą na całość. Ma taką nadzieję.

Steve jednak każe jej poczekać na dole, a sam idzie na górę do swojego pokoju. Po chwili wraca z jedną z tych swoich złotych kopert. Nie jest zaklejona, bo to coś w środku okazuje się nieco większe od niej. Pewnie schował do niej podarunek w ostatniej chwili. Adeline wyciąga z koperty czarny portfel Strachana. Nie ma pojęcia, jak zareagować.

– Kiedy mi powiedziałaś o swojej mamie i o nim, to zmieniłem zdanie – wyjaśnia. – Wszystkiego najlepszego.

– Nie oddałeś mu go?

– Nie.

Adeline zdaje sobie sprawę, jakiego Steve ma hopla na punkcie urodzin, więc mu dziękuje.

– Nie wydajesz się zadowolona.

– Ja po prostu... Nie wiem, co z nim zrobić.

– No tak. Mam go wyrzucić? To tak naprawdę prezent symboliczny.

– Tak. Zrobiłbyś to?

– Z przyjemnością. Nie znoszę tego gościa.

Całują się na sofie, ale bez większego zaangażowania. Adeline wraca do domu wcześniej niż zazwyczaj.

## Zima 2015

Pierwsze dni nowego roku upłynęły na pytaniach, jeżdżeniu i niekończącym się szukaniu miejsc, gdzie można naładować telefon. Policja spisała wstępne zeznania moje i pozostałych, w tym Rupesha, który po kilku godzinach spędzonych w szpitalu wyszedł na własne żądanie mimo odmrożeń i hipotermii. Wracałam codziennie, żeby odpowiadać na kolejne pytania. Z min Massey, Clarke'a i wyższych rangą funkcjonariuszy nie potrafiłam nic wyczytać. Możliwe, że byli na nas źli za to, że poszliśmy tam sami, i chcieli wynagrodzić nam fakt, że wcześniej nie potraktowano nas poważnie.

Nie miałam wątpliwości w kwestii tego, co się wydarzyło. Było oczywiste, że to Will dopuścił się tych wszystkich przestępstw. Nie rozumiałam niektórych pytań policji. Na tym polegała ich praca, ale powtarzane co rusz mało subtelne pytania o moje relacje z pozostałymi zaczynały mi działać na nerwy. Bardziej interesowało ich to, kiedy po raz ostatni widziałam Rupesha i Steve'a, niż to, kiedy po raz ostatni spotkałam Willa. Dwukrotnie wracali do tematu osoby, którą dostrzegliśmy biegnącą w ciemnościach. Zastanawiali się, czy to mógł być Will. Oczywiście, że tak. Kiedy zapytali o to po raz trzeci, odpowiedziałam pytaniem:

– Czy potrzebuję adwokata?

Poprosili mnie o cierpliwość. Podziękowali za współpracę. Ostrożnie zasugerowali, że może się pomyliłam, bo sposób, w jaki umarł Will, nie wskazywał na nagłą śmierć, więc raczej to nie jego widzieliśmy. Tamtej nocy wszystko działo się w gorączkowym tempie. Tak, to mógł być ktoś inny. Dręczyła mnie ta kwestia i miałam ochotę porozmawiać o tym

z pozostałymi. W sumie mógł to być Rupesh – wystarczyło, że pobiegł dostatecznie szybko, żeby przygotować scenę tak, jak ją zastaliśmy. Tak, sporo wskazywało na niego, ale jaki miałby motyw? Lubił Willa, zawsze tak było. To Jen najbardziej z grupy nie znosiła Willa, chociaż przez cały czas była ze mną i Steve'em. Nawet nie pobiegła za tajemniczą postacią w górę nasypu. Zrobił to Steve. On jednak spędził ze mną obie noce, tę, kiedy zaatakowano mamę, i tę, kiedy porwano Rupesha. Pozostawała tylko jedna możliwość: Strachan. Opcja, którą odrzuciliśmy na początku, bo się okazało, że Will żyje. Powiedziałam o tym policjantom, ale oni nie wydawali się tym zainteresowani, twierdzili, że to zbyt naciągane.

– Ta cała sprawa to jeden wielki bałagan – oświadczyła posterunkowa Massey po kolejnej rozmowie. Przybrała taki ton, jakby jeszcze dziś chciała zacząć się rozglądać za nową pracę.

Na tym etapie wyjaśniali po prostu wszystkie szczegóły. Choć wspomniałam o Strachanie, wiedziałam, że to był Will. Nie miałam pojęcia, ile się czeka na wyniki ekspertyzy sądowej. Pewnie musieli ustalić, czy w czasie, kiedy go znaleźliśmy, żył czy już nie. Trochę trwało, nim policja dotarła pod słupek, a ciało przebywało na zewnątrz, niemożliwe jednak, aby to aż tak bardzo skomplikowało śledztwo.

Zarówno Xan, jak i Jon co chwila próbowali się do mnie dodzwonić i w końcu napisałam do nich obu, informując o tym, co się stało. Opowiedziałam także o wszystkim tacie. Policja przesłuchała go między jego popołudniowymi i wieczornymi dyżurami przy łóżku mamy.

Nic jednak nie pomagało uporać się z paralizującym mętlikiem w głowie. Nikt tak naprawdę nie rozumiał, przez co wszyscy przeszliśmy. Dlatego wysłałam pozostałym wiadomość, licząc, że jedno z nich zaproponuje spotkanie albo choćby telekonferencję, z którą swego czasu zapoznała nas Jen. Rupesh nie odpisał. Jen przesłała krótką informację, że u niej wszystko w porządku, ale niczego nie zasugerowała.



Zawsze mogłam liczyć na Steve'a, jego wisielczy humor i flirtowanie. Musiał dojeżdżać do pracy do Oksfordu, więc rzadko się spotykaliśmy. Raz wpadł do szpitala i przyniósł mi kawę. Akurat wtedy, kiedy miałam wrażenie, że zaraz zupełnie się rozsypię. Być może miał rację, twierdząc, że przed laty byliśmy tylko my dwoje. Niemniej po tym wszystkim, co nas spotkało, napawało mnie to smutkiem.

– Mnie też ignorują, jeśli dzięki temu ma ci się poprawić humor – powiedział mi przez telefon. – No wiesz, pod koniec liceum należałem do grupy skaterów i pseudointelektualistów, ale potem nie spotkaliśmy się ani razu. Na uniwerku też miałem przyjaciół, których bardzo interesowały filmy. Snuliśmy tyle planów, że będziemy reżyserować i występować w swoich produkcjach, a w wywiadach opowiadać nawzajem o swoich dokonaniach. Po rozstaniu z Emily zadałem sobie wiele trudu, żeby skontaktować się ze wszystkimi dawnymi znajomymi, bo przypuszczałem, że już do siebie nie wrócimy, i chciałem się upewnić, że nie straciłem z nią całego życia, że mam także innych ludzi wokół siebie. Nikt się do mnie nie odezwał... Poczulem się naprawdę samotny. Było to nawet upokarzające. Kiedy Jen napisała... Dużo to dla mnie znaczyło. Jakby wszystkie inne grupy stanowiły zastępstwo za was. Pewnie tylko to sobie wyobraziłem. – Westchnął. – A może potrzeba więcej czasu.

W następny weekend Steve ponownie zarezerwował pokój w Marlstone, jak twierdził po to, aby być bliżej mnie. Piliśmy w hotelowym barze. Potem udaliśmy się do hotelu, w którym zatrzymał się poprzednim razem, ponieważ chcieliśmy prześledzić to, co się stało. Snuliśmy hipotezy na temat tego, w jaki sposób Will porwał tamtej nocy Rupesha. Niedaleko pokoju Rupesha znaleźliśmy wyjście przeciwpożarowe prowadzące na parking dla pracowników. Zaraz za nim była droga, gdzie mógł czekać na niego transport. Nastoletni recepcjonista stał oparty o ścianę i palił. Wymieniliśmy konspiracyjne spojrzenia. Na służbowy uniform narzucił czarną bluzę z kapturem, na której widniał napis „Nirvana”. Kiedy

zobaczyłam go tutaj, obok samochodów, wydało mi się prawdopodobne, że to on narysował tamto logo na aucie Steve'a. W innych okolicznościach pewnie bym się uśmiechnęła, ale teraz mroził mnie widok czegokolwiek, co miało związek z Nirvaną.

W pokoju Steve'a także poczęstowaliśmy się alkoholem. Potem padliśmy na łóżko i uprawialiśmy seks. Po wszystkim leżałam nago pod kołdrą i patrzyłam, jak Steve zdejmuje prezerwatywę. Czułam się trochę skrępowana. W czasie stosunku był spięty, przerywał pocałunki, nim zdążyłam się w nich zatracić. Jego dotyk wydawał się niepewny, niemalże niezdamy. Uśmiechnął się do mnie blado, po czym podszedł do stojącego w rogu kosza na śmieci. Prześlizgnęłam się wzrokiem po swoich ulubionych częściach męskiego ciała: pośladkach oraz trójkącie mięśni, gdzie tułów łączy się z nogami. Dzisiejszy seks nie był zły, jednak nieco rozczarowujący. Żadnemu z dotychczasowych zbliżeń nie towarzyszyły fajerwerki, ale powód był oczywisty. Steve też to dostrzegł.

– Wyobraź sobie, co będziemy mogli robić teraz, kiedy nie musimy już sobie zawracać głowy całą resztą.

– Tak? – Przeciągałam to słowo, sugerując, że to w sobie wątpiłam, nie w niego.

– Od tej młodej posterunkowej udało mi się wyciągnąć coś, czego pewnie nie powinna mi mówić. – Usiadł obok mnie. Wzdrygnęłam się, słysząc tę nagłą zmianę tematu. Steve klepnął mnie w nogę. – W domu w Sparkbrook znaleziono laptop i udało im się do niego włamać. Podobno sporo tam ciekawych rzeczy. Wygląda na to, że planował wszystko od bardzo dawna.

– No tak. – Nie chodziło o to, że nie interesowało mnie to, ale ważne było wyczucie czasu. W tej chwili miałam ochotę, żeby był cicho i mnie przytulał.

– A na polu za słupem namierzono spalony samochód. Zgłoszono jego kradzież niedaleko domu Willa.

Zostałam na noc, ale wróciła moja bezsenność. Koło piątej nad ranem pojechałam do domu rodziców, położyłam się do łóżka i momentalnie zasnęłam. Przespałam kilka godzin, a potem zawiozłam tatę do szpitala – była to krzepiąca rutyna, do której się przyzwyczailiśmy pośród tego chaosu.

W szpitalu wyłączyłam telefon, a kiedy włączyłam go po południu, na WhatsAppie czekały na mnie dwie wiadomości.

Jen opuściła grupę.

Rupesh opuścił grupę.

Na początku kolejnego tygodnia mama została wybudzona ze śpiączki farmakologicznej, ale nie reagowała na żadne bodźce. Nie było wiadomo, co dalej, a lekarze nie podawali żadnych konkretów. Mogło minąć nawet kilka miesięcy, nim udałoby się ustalić coś więcej. Czekaliśmy na jakieś objawy, złe czy dobre, ale mama niczego nie zdradzała. Tato nalegał, abym wróciła do swojego życia. Zapewniał, że jeśli coś się zmieni, od razu do mnie zadzwoni. Miał rację, nic tu po mnie. Nie mogłam jednak znieść myśli, że go zostawię. W końcu oświadczył:

– Myślę, że potrzebuję czasu sam na sam z mamą, żeby jej wszystko przegadać. Wiesz, jaka bywa uparta. – Dotarło do mnie, że to było coś więcej niż tylko pozwolenie na to, bym wyjechała.

W trakcie jazdy do domu rodziców, kiedy wieczór zamienił się w noc, poczułam ulgę, że przez jakiś czas nie będę musiała oglądać szpitala ani żadnego innego budynku, w którym unosi się zapach środków odkażających. Policja nie kontaktowała się ze mną od kilku dni. Traktowałam to jako sygnał, że nie będziemy już im potrzebni. Da się

w ogóle wytoczyć proces nieboszczykowi? A jeśli nie, to czy wrócą na nowo do tamtych samobójstw?

Steve dowiedział się, że przypuszczali, iż Will podczas pobytu w Wallgrove nakłonił dwie dziewczyny do zawarcia paktu samobójczego. Choć brzmiało to mało prawdopodobnie, stanowiło potwierdzenie tego, że kłamał w liście, pisząc, że porwał trzecią ofiarę. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób Steve'owi udawało się zdobyć te informacje – pewnie wykorzystał swój urok osobisty i umiejętności flirtowania.

Dziwnie się czułam, myśląc o powrocie do dawnego życia bez choćby próby pożegnania się z pozostałymi. Kiedy się pakowałam u rodziców – podskakując w panice, gdy tylko usłyszałam jakiś trzask czy dostrzegłam cień w pustym domu – wysłałam Rupeshowi i Jen identyczną zwięzłą wiadomość.

Wracam do domu, mam nadzieję, że u Was wszystko w porządku. U mnie tak. Jeśli znajdziecie się kiedyś w okolicy, zapraszam na herbatę.

Pusta gadka, ale przynajmniej gest ten był normalnym, ludzkim zachowaniem. Nie tak jak...

Zadzwoił mój telefon. Rupesh.

– Cześć, Adeline. Czy moglibyśmy pogadać, nim wyjedziesz? Ale nie przez telefon.

– U ciebie?

– Tak.

– O czym chcesz porozmawiać?

Minął tydzień i w końcu zachciało mu się cholernego podsumowania.

– O Stevie – odpowiedział, odbierając mi możliwość wygłoszenia ironicznej czy sarkastycznej riposty. – Powinniśmy porozmawiać o Stevie.

## Steve, 1998

Już wcześniej czuł gniew, ale nie taki jak teraz. Strachan go zaatakował. W jego własnym domu, i zmusił go do tego, żeby płaszczył się przed Willem, przez co w oczach osób, na których zależy mu najbardziej, będzie wyglądał na słabego.

Mimo to jest spokojny, kiedy idzie przez pola, aby znaleźć Willa w miejscu, w którym zostawiła go Adeline. Wie już, jak to rozegra. Jak w szachach. Właśnie mu się objawił następny ruch, który okaże się zabójczy. Strachan niechcący mu wszystko ułatwił.

Will siedzi na przełazie przed kładką, wygląda jeszcze gorzej, niż kiedy Steve widział go po raz ostatni. Patrzy ze strachem na zbliżającego się Steve'a. Ze strachem Steve jest sobie w stanie poradzić. Nikt nie lubi się bać. Will w ręce trzyma skręta, którego czuć z daleka i który odpowiada za zaczerwienienie oczu i generalne otumanienie.

– Musimy to załatwić – odzywa się Steve. Will oczywiście wzrusza ramionami. Jakżeby inaczej. – Pozostali nie są zadowoleni. Ja też nie. Ty, stary, kiepsko wyglądasz.

Znowu wzruszenie ramion.

– Przepraszam – mówi Steve. To akurat jest najtrudniejsze, bo wcale nie czuje, że powinien za cokolwiek przeproszać, ale czas traktowania Willa jako równego sobie minął. – Mam w nosie zdjęcie. I zakaz. Trzymałem się tego tylko dlatego, że sam tak mi kazaleś.

– Wiem – odpowiada Will.

– Chcę, żeby znowu było jak dawniej. Naprawdę. Pozostali także.

– A nie może być?

– Może. – Uśmiecha się do Willa. Uspokaja ofiarę przed bolesnym ciosem. – Przyszli mi tu z konkretnego powodu. Naprawdę chcemy, żebyś wrócił, ale nadal jestem trochę wkurzony. Gdybyś więc wrócił, nie byłoby tak samo. Pewnie żywiłbym do ciebie urazę. Jesteś jednym z moich najlepszych kumpli, ale nie wybaczę ci, dopóki się nie dowiem, dlaczego tamtej nocy nie zrealizowałeś naszego planu.

– Uznałem po prostu, że jest słaby – przyznaje Will. – Z powodu Rupesha. – Chyba wie, że źle zrobił, bo nie potrafi patrzeć Steve’owi w oczy dłużej niż przez kilka sekund.

– Widzisz? I po bólu. Rozumiem. Ale Rupesh nie traktował tego poważnie. Myślałem, że się z tym zgadzasz. A potem zostawiłeś mnie samego, na pastwę każdego, kto mógł się czaić w ciemnościach.

– Wybacz.

W jego głosie słyhać tyle samo entuzjazmu, co w głosie przeproszającego Steve’a. Will bardzo się stara wyglądać na nieporuszonego. Siedzi wyprostowany, choć widać, że jest mu niewygodnie.

– Tyle że ja w to nie wierzę, stary, chociaż chcę. Nawet nie próbowałeś się po wszystkim wytłumaczyć. I przez to uznałem, że kieruje tobą zasada: „Pieprzyć Steve’a, wołę Rupesha”.

Will wzrusza ramionami.

– Wybacz. – Tym razem brzmi to szczerze. – Nie pomyślałem o tym. Steve przygląda się, jak Will się garbi i opiera łokcie na kolanach.

– Chcesz, żebym zniósł zakaz?

– Aha – odpowiada bez wahania. – Jeśli tobie to nie przeszkadza.

– Niech będzie. Ale jeśli coś ma z tego wyjść, muszę poczuć się tak jak wtedy, kiedy zakopywaliśmy razem Obiego. Muszę poczuć, że postrzegamy różne rzeczy tak samo.

– Okej – mówi ostrożnie Will.

– Udowodnij mi, że należycie oceniasz Strachana.

Will wzdycha.

– On jest niegroźny.

– Czyżby? Dziś rano zjawiał się u mnie w domu. Wparował do środka i zaczął mnie dusić, przypierając do ściany. Powiedział, że albo znowu cię przyjmę do grupy, albo zrobi mi coś gorszego.

Will marszczy brwi.

– Serio?

– Owszem – zapewnia Steve. Ta część sprawia mu przyjemność. Will pewnie zaczyna pojmować, że Steve po raz kolejny ma rację. – To także dzięki twojemu kumplowi muszę pozwolić ci wrócić. W przeciwnym razie spuści mi łomot. Will, nie wiem, co mu nagadałeś...

– Nic, stary. Założył, że to ty, a ja nie zaprzeczyłem. Nie powiedziałem...

– Jasne – przerywa mu. – Wiem, że to nie twoja wina. Po prostu on nie jest w porządku. Zawsze to mówiłem.

Will kiwa głową.

– Muszę mieć pewność, że to rozumiesz. I muszę sprawić, by wszystko znowu było jak należy. Wprowadzić równowagę.

Z kieszeni wyjmuje białe, bawełniane majtki z serduszkami z przodu ukradzione Adeline ostatnim razem, kiedy niewiele ich dzieliło od pójścia na całość. Musiał się wtedy powstrzymać, bo czas nie był odpowiedni i za bardzo skupiał się na swoim planie. Pokazuje teraz majtki Willowi.

– Co to?

– Bielizna dziewczęca – odpowiada. – Znalazłem te majtki w jego vanie.

– No co ty?

– Nie żartuję. Śledziłem go rano, po tym jak mnie zaatakował. Zupełnie postradałem rozum i chciałem sprawdzić, czy jego dom jest pusty. Zamierzałem włamać się do tej szopy i zobaczyć, czy nie ukrywa tam czegoś zakazanego. Ale na podjeździe stał jego van, z otwartymi drzwiami. Widziałem, jak Strachan wchodzi do domu, i zaczekałem. Zapomniał

zamknąć samochód. Zajrzałem do środka i znalazłem te majtki w reklamówce w kącie. Jakby je ukrywał.

– Nie wiem, stary – mówi Will. Wyrzuca za siebie niedopałek. – Wyjaśnienie może być całe mnóstwo.

– Na przykład?

– No.... – Wzrusza ramionami. – Znalazł je.

– Naprawdę tak myślisz? – Will milczy. – Jeśli chcesz, żeby wszystko wróciło do normalności, udowodnij, że nie zrobił ci prania mózgu. W przeciwnym razie skąd mogę mieć pewność, że nie powiesz mu jeszcze czegoś, co go znowu sprowadzi do mojego domu? Chcę, żebyś podczas następnej wizyty podrzucił mu to z powrotem. A potem masz zadzwonić na policję i donieść, że to znalazłeś. Będą wtedy mogli przeprowadzić badania DNA czy co tam jest konieczne i ostatecznie stwierdzić, co on zrobił. Może przeszukają tę jego szopę.

– W tej szopie trzyma po prostu sprzęt do ćwiczeń. I swoje muzeum. Byłem tam.

– Więc odmawiasz?

– Po prostu nie sądzę, żeby był pedofilem.

– Stary, nie rozumiesz? Nic nie szkodzi. Policja sama to może ustalić. Ja chcę jedynie, by Strachan wiedział, że nie wszystko mu ujdzie na sucho, że są konsekwencje. I muszę dostać coś od ciebie.

– Tak, ale... – Will ponownie wzdycha. – Jeśli nie jest pedofilem, to coś takiego zniszczy mu życie.

Steve ma ochotę wrzasnąć na niego. Ten chłopak bywa taki durny. W sumie nie jego wina, system szkolnictwa to loteria. No i jego rodzice też nie należą do najbystrzejszych. Czemu jednak nie chce wszystkiego naprawić? Chodzi o to, żeby dokopać Strachanowi, tak jak on dokopał i Obiemu, i Steve'owi. W jego głowie pojawia się nowy pomysł, świeży i ekscytujący. Zresztą i tak Steve nie jest szczególnie przywiązany do planu zadzwonienia na policję. Zbyt duże ryzyko. Paskudnie byłoby oskarżyć



kogoś o pedofilię, jeśli nie ma się pewności. A kto wie, co robi Strachan? On chciał jedynie się upewnić, że Will by to zrobił, tylko to było ważne.

– Co się znajduje w tym jego muzeum? – pyta Steve.

– Wszystkie stare rzeczy, które znalazł.

– Czy to jest cenne?

– Aha, nawet bardzo. On uważa, że to jego fundusz emerytalny i że dzięki temu kupi sobie kampera na tym kempingu w Kornwalii, który uwielbiał jako dzieciak.

– Super – odpowiada Steve. Do Willa dociera, że popełnił błąd, i przez jego twarz znowu przemyka strach. – Chyba mam nowy plan.

Nie zdradza Willowi wszystkich szczegółów, jedynie tyle, żeby wymóc na nim zgodę na wizytę u Strachana i zrozumienie, że albo to zrobi, albo podłoży bieliznę. Kiedy myśli o tym teraz, wracając do domu z Willem gdzieś za plecami, wie, że musi odpowiednio wszystko zaplanować, zjawić się tam wcześniej i przygotować teren, dopilnować, aby to Will podjął decyzję. Oczywiście nie dzisiaj, to by było zbyt oczywiste. Ale niedługo, być może w noc przed zdjęciami. To będzie noc urodzin Adeline. Po powrocie do domu nie może pokazać po sobie radości, jaką czuje. Powinien wyglądać na przybitego i zamanifestować, jak wiele go kosztowało pozwolenie Willowi na powrót do grupy. W sumie to akt heroizmu, tyle że zupełnie inny, niż zakładała reszta.

Tylko on i Will znają prawdę.

## Zima 2015

Przed domem Rupesha stały dwa samochody, jednym z nich był należący do Jen poobijany ford ka. Jen siedziała na sofie, a ja nieufnie usiadłam na drugiej.

– Posłuchaj, Adeline – zaczął Rupesh, zajmując miejsce obok Jen. – Po tym wszystkim, co się stało, rozmawiałem z Jen, nawet sporo, i są pewne kwestie, których kompletnie nie rozumiemy. I doszliśmy do naprawdę dziwnych wniosków.

– Na przykład jakich?

Rupesh przybrał poważny wyraz twarzy. W ustach zrobiło mi się nagle sucho.

– Darujmy sobie owijanie w bawełnę, dobrze? – Spojrzał na Jen, a ta pokiwała głową. – I tak nie da się tego powiedzieć w oględny sposób.

Miałam wrażenie, że moje serce i płuca są z ołowiu.

– Zważywszy na fakt, jak blisko jesteś ze Steve'em, wiemy, jak to...

– Po prostu wyrzucić to z siebie.

– To moja wina – odezwała się Jen. – Powinnam była...

– Wina leży wyłącznie po jego stronie – przerwał jej Rupesh. To ich wzajemne zapewnianie sobie wsparcia było nie do wytrzymania.

– O co chodzi? – zapytałam.

– Jen opowiedziała mi historię, którą uraczył was Steve, o tym, jak nad Willem przejechał pociąg. O tym, że Will miał skłonności samobójcze. Tyle że to się nigdy nie wydarzyło. Tak się akurat składa, że wiem, co się naprawdę stało tamtego dnia, bo Will mi o tym wtedy powiedział. Nawet się przechwalał.

– Teraz wierzymy Willowi? Okej, jaka jest jego wersja zdarzeń?

– Pamiętasz, jak kazałaś Steve’owi znaleźć Willa w polu i wszystko naprawić? Kiedy tam poszedł, oskarżył go o to, że chodzi z nosem na kwintę, żebyśmy się zlitowali i poprosili Steve’a o ponowne przyjęcie go do grupy. Oświadczył, że Will musi zachować się jak mężczyzna i zaakceptować przegraną. Zasadniczo polecił mu przyjść do jego domu, oświadczyć nam, że Steve próbował go przekonać, ale że on zamierza się trzymać zasad gry, a potem sobie pójść. Will odmówił, a Steve zaczął się z nim szarpać, więc Will uderzył go w twarz. Powiedział mi, że kiedy zobaczył leżącego na ziemi Steve’a, jego minę, dotarło do niego, o ile jest od niego silniejszy. I że jeśli chcemy, żeby wrócił, to Steve tak naprawdę niewiele ma do gadania.

– Will pochwalił się tym tylko tobie? – zapytałam, zwracając się teraz do Jen, bo wyraźnie to ona podsyciała szaleństwo Rupesha.

– Powiedział mnie – odparł – bo powodem, dla którego nie wziął udziału w ostatniej rundzie Poświęcenia, było to, że Steve zaplanował wszystko tak, żebym przegrał, o czym i tak pewnie wszyscy wiedzieliśmy. Celowo przegrał, bo nie chciał, by wyrzucono mnie z grupy.

– Will bijący Steve’a? To brzmi jak fantazja przegranego – zakpiłam. – Widziałam go tamtego dnia. Był załamany. Z nikim nie próbował walczyć.

– Większa fantazja niż pociąg przejeżdżający nad Willem?

– Steve nie twierdził, że tak właśnie się stało. To Will tak utrzymywał.

– No to czemu Will nic mi nie powiedział? „Ha, ha, mówię ci, ale numer wykręciłem Steve’owi”. Dobrze pamiętam tamtą rozmowę, bo zrobił dla mnie coś bezinteresownego. Wzruszyło mnie to. I dostrzegłbym, gdyby Will miał skłonności samobójcze. Sporo rozmawialiśmy, pewnie byłem z nim najbliżej z nas wszystkich. Martwił się zachowaniem Steve’a i kłótniami rodziców, smucił swoją siostrą. Ale myśli samobójcze? Więc następne pytanie brzmi tak: dlaczego Steve kłamał?

– Nie jestem pewna, czy rzeczywiście kłamał. Will był naprawdę w wielkim dołku.

Jak nic wypróbowywali na mnie jakąś sztuczkę. Czasem wyczuwałam coś takiego podczas kręcenia podcastu, kiedy jeden z chłopaków wypowiadał jakąś nielogiczną uwagę, żeby wygrać spór. Musiałam być teraz tamtą Adeline. Byłam pewna, że Rupesh coś kombinuje.

– A więc Will to teraz wiarygodne źródło? A Steve nie?

– Wierz Steve’owi, jeśli chcesz – odezwała się Jen – ale to nie wszystko, Adeline. Pozwól nam skończyć. – Ton głosu miała stanowczy i nieco mnie to wytrąciło z równowagi.

– Kiedy się obudziłem w szpitalu, niewiele potrafiłem sobie przypomnieć – kontynuował Rupesh. – Pamiętam jedynie, jak tamtej nocy w hotelu kładłem się spać. Ale musiałem się ocknąć, gdy leki przestały działać, bo mam kilka mglistych wspomnień. Jedno jest takie, że ktoś patrzy na mnie z góry, a potem słyszę trzask, jakby zamykał się bagażnik w samochodzie. Lekarze zbadali mi krew i uważają, że podano mi rohypnol, pewnie w winie, jakim uraczył nas Steve. No i jeszcze dożyłnie, bo mam ślad po igle. Mogłem oczywiście mieć halucynacje, to skutek uboczny. Ale czemu pamiętam akurat to? Zamierzałem jednak odpuścić, dopóki nie porozmawiałem z...

– Twierdzisz, że tym kimś, kogo widziałeś, był Steve?

– Jestem tego pewny.

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową. Co mogłam powiedzieć? To cholerny absurd. Ta uraza, jaką Rupesh żywił względem Steve’a, przybierała potworną formę w jego wypaczonym umyśle, i nie zaradziłaby temu żadna racjonalna odpowiedź. Istniało tak wiele oczywistych powodów, dla których nie mógł tego zrobić Steve, że sama nie wiedziałam, od czego miałabym zacząć. Fakt, że to on nas namawiał, aby pójść na policję. Że przez tych kilka ostatnich tygodni większość czasu spędził ze

mną. Że zarówno Jen, jak i Rupesh nadawali się na potencjalnych podejrzanych o wiele bardziej niż on.

– Uważam, że obojgu wam odbiło – oświadczyłam z drwiną. – Przykro mi. Jeśli Steve skłamał, to jeszcze nie oznacza, że on... Zostałeś nafaszerowany prochami. To nawet nie on zorganizował to głupie spotkanie po latach, ale ty, Jen. Potrafiłabym zrozumieć, gdybyście...

Urwałam, bo Jen się skrzywiła i zmieniła pozycję na sofie.

– No co? – zapytałam.

– Rzeczywiście to ja napisałam do wszystkich e-mail, Adeline. – W jej oczach pojawiły się łzy. – Ale to on mnie podpuścił. Nim wysłałam tę wiadomość, spotkałam Steve’a w sklepie w Marlstone, niedaleko domu rodziców. Na początku grudnia zeszłego roku. A kiedy wspominaliśmy dawne czasy, rzucił hasło, że chętnie spotkałby się z nami.

– Więc to on wpadł na ten pomysł?

– Nie, Adeline, poczekaj. Powiedział, że z przyjemnością wzięłby udział w takim spotkaniu, ale że nie sądzi, aby ktokolwiek się zjawił, gdyby to on je zorganizował, bo możecie go nie lubić po tym, jak zakończyło się tamto lato. Sądził, że Rupesh i ty go nienawidzicie.

– Ja?

– Tak. Wyznał, że wstydzi się przeszłości, tego, jaki kiedyś był. I ja to łyknęłam, bo potem zasugerował, abym to ja zorganizowała spotkanie, ponieważ wszyscy mnie uwielbiali. „Och, Jen, zawsze byłaś najbardziej lubiana. Mediatorka i w ogóle”. Zgodziłam się nawet, co świadczy o mojej naiwności, by wam nie mówić o naszym spotkaniu, żebyście się nie domyślili, że to pomysł Steve’a. Ależ ze mnie idiotka. I gdyby Rupesh nie zakwestionował tej historii o pociągu, w ogóle bym o tym nie wspomniała. Zabawne, sądziłam, że to przypadkowe spotkanie. Przyjechałam na sześćdziesiąte urodziny mamy, a on powiedział coś o odwiedzinach u znajomego czy jakoś tak. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, to myślę, że on nie zna nikogo w sąsiedztwie moich rodziców. Śledził mnie?

– Jen. – Przygryzłam wewnątrz policzka. – Czy możemy to po prostu skonfrontować z rzeczywistością? To ty podrzucałaś liściki, podając się za Willa.

– Tylko po to, żebyśmy nie odpuścili, Adeline. Już to wyjaśniłam! – Niemal krzyczała.

– Twierdzisz więc, że to wszystko robota Steve’a? Will, moja mama, te dziewczyny?

Jen i Rupesh spojrzeli na mnie, następnie na siebie. Czy to był jakiś chory rytuał tworzenia więzi?

– Więc według was Steve’owi jakimś cudem udało się nakłonić Willa do zniknięcia z internetu po tym, jak napisał, że przyjedzie na spotkanie? Przecież Will zachowywał się jak szaleniec, kiedy się z nim widzieliśmy, przystawił mu nóż do gardła. A wy uważacie, że to Steve zabił Willa i i pozostawił jego ciało pod tym słupem?

– Wiem, jak to brzmi – przyznała Jen – ale im dłużej się nad tym zastanawiamy, tym większego to nabiera sensu. Will był adresatem naszego grupowego e-maila, prawda? Na początku mi odpisał, więc to na pewno było jego konto. Jeśli Steve rzeczywiście zrobił to wszystko, to skąd wiedział, że Will nie będzie dalej do nas pisał, a potem nie zjawi się na spotkaniu? To by trochę popsuło plan zniknięcia na rok, zwłaszcza po całym trudzie, jaki zadał sobie Steve z tymi dwoma samobójstwami. Adeline, to od Steve’a otrzymałam adres Willa. Zwykły adres Gmail, który sam mógł utworzyć, a potem wysłać pierwszą i jedyną odpowiedź Willa, żebyśmy połknęli haczyk.

– Podczas tamtego spotkania w Sparkbrook Will mówił, że nawet nie dostał maila od Jen – przypomniał Rupesh.

– Najgorsze ze wszystkiego jest to, że zapytałam Steve’a, czy musimy zapraszać Willa. Nie bardzo miałam się z nim ochotę spotykać. Ucieszyłam się, kiedy się nie pojawił. Ale Steve stwierdził, że to konieczne, w imię dawnych czasów. Ale, i tu uważaj, dodał, że Will pewnie i tak się nie

pojawi, bo on ma problem ze skontaktowaniem się z nim. Steve już wtedy wiedział, że Will się ukrył.

– Steve to zauważył – ciągnął Rupesh – i to go pchnęło do działania. Myślę, że miał nas wszystkich na oku, łącznie z Willem, znał jego sytuację i ją wykorzystał. Nie odniosłaś wrażenia, że tego wieczoru, gdy spotkaliśmy się z Willem, on zachowywał się względem Steve’a tak, jakby po raz ostatni widzieli się niedawno, a nie szesnaście lat temu? Powiedział coś w stylu „wyraziłem się jasno ostatnim razem”. Chodziło mu o to, że nie chce się z nim więcej spotykać.

Pamiętałam, ale dla mnie to była gadka szaleńca żywiącego urazę sprzed lat. Oczywiście, że jego wyrzucenie z grupy wydawało mu się czymś ciągle aktualnym, skoro był człowiekiem, który potrafi zabić dwoje...

– I Steve też raz wspomniał, że widział się z Willem – dodała Jen.

– Myślę, że zrobił Willa – oświadczył Rupesh. – Dowiedział się o jego decyzji o ucieczce od życia, jak to określił Will, wybrał ofiary, które miały z nim związek poprzez Wallgrove, a potem zabił je w taki sposób, jak przed laty opisał Will.

– Może nawet pracował w Wallgrove albo wiedział o tym miejscu? – uzupełniła Jen. – Mówił przecież, że pracuje w służbie zdrowia.

– A podczas naszego spotkania Will napomknął coś o Stevie i terapii – przypomniał Rupesh. – Kiedy zaś pytaliśmy Steve’a o jego zawód, zawsze odpowiadał wymijająco. No a jeśli pojawiał się regularnie w szpitalach, to miał dostęp do leków.

– Czemu miałyby jednak doprowadzić do naszej konfrontacji z Willem? – zapytałam. – Will mógł przecież wspomnieć przy nas o ich wcześniejszym spotkaniu.

– Och, on wcale nie był taki chętny, żeby tam jechać, nie pamiętasz? Pojechał razem z nami tylko dlatego, że nalegałem. I jak zawsze był pewny siebie, zbyt pewny. Prawdopodobnie liczył na to, że Will nie będzie miał ochoty na dłuższą posiadówkę, kiedy go zobaczy. I założę się, że

przygotował sobie wcześniej jakąś śpiewkę, na wypadek gdyby wypłynął temat ich spotkania.

– Wierzycie w to? – Pragnęłam zatrzymać to błędne koło szaleństwa.

– Powiedział nam, że zna posterunkowego Clarke’a, żebyśmy po tamtej pierwszej wizycie na komisariacie nie chcieli tam wrócić. Zapytaliśmy o to Clarke’a. On w życiu nie widział Steve’a. Żywo go zainteresowało jego kłamstwo.

To mnie przystopowało, ale tylko na chwilę.

– Nigdy nie twierdził, że go zna, ale że to możliwe. – Tak właśnie powiedział, byłam o tym przekonana.

– Naprawdę? – zapytała Jen.

– Wynajdujecie teraz powiązania, bo chcecie, aby tak było. Wybieracie, co wam pasuje.

Jednak Steve rzeczywiście mało mówił o swojej pracy. I nie chciał jechać tamtego wieczoru do Willa. Gdybyśmy rozmawiali teraz o Willu, to czy byłabym równie chętna, aby brać go w obronę?

– Przeanalizuj wszystko raz jeszcze – poprosiła Jen. – Pomyśl o tym, jak nami kierował, Adeline. O tym, że tylko on dostrzegł obserwującego nas Willa. Żadna z nas niczego nie widziała.

– Ty tak.

– Wtedy wszędzie widziałam jakieś sylwetki. Byłam przerażona.

Musiałam stąd wyjść, zaczerpnąć świeżego powietrza, żeby łatwiej mi było myśleć. Zmusić się do wejścia w tryb krytyka. Niemożliwe, żeby Steve był w to zamieszany, to musiał być wymysł Rupesha i jego... W tym momencie przypomniało mi się coś, o czym nie powiedziałam policji, i zaskoczyło mnie towarzyszące temu uczucie ulgi.

– Słyszałam tam Willa – oświadczyłam. – Wszyscy słyszeliśmy.

– Wykluczone – zripostowała Jen. – Też myślałam, że go słyszę, ale pamiętam także ciało Willa. Byłam zaraz obok niego. Czy dla ciebie to wyglądało jak nagła śmierć? To wyglądało...



– Było za ciemno...

– ...jakby znajdował się tam już jakiś czas, specjalnie tak posadzony. Steve mógł rzucać kamienie, żeby się wydawało, że ktoś idzie przed nami.

– Bzdura – powiedziałam z mocą. – Bzdura. Uważacie, że zaplanował wszystko ze szczegółami, a mimo to na końcu popełnił takie głupie błędy? Posterunkowy Clarke, historia o pociągu.

– Myślę, że trochę go poniosło i stał się nieostrożny – stwierdził Rupesh. – Dokładnie tak jak ci mordercy, o których mówił, że tak się zachowują, kiedy się zbliżają do finału.

Milczałam.

– Tak na marginesie, zabójcy mają także obsesję na punkcie innych zabójców – dodał Rupesh. – Nie sądzę, że mieliśmy znaleźć wtedy Willa w Sparkbrook. Steve nas nie docenił, zresztą jak zawsze. Wpadł więc w panikę, próbował odzyskać kontrolę nad sytuacją, zaatakował twoją mamę i liczył, że sprawa ułoży się po jego myśli, tak jak to zazwyczaj bywało. Tylko pomyśl, ta historia, kolejne Poświęcenie, spotkanie po latach, nocna gra. To cały Steve, nie Will.

Zabuzował we mnie gniew, kiedy przypominałam sobie, jak bardzo bezbronny i wrażliwy był przy mnie Steve. Jak bardzo przytłoczony wydawał się wersją siebie, którą wszyscy mieli w swoich głowach.

– Opieracie to wszystko na wizerunku Steve’a sprzed lat. Samotny, zagubiony chłopiec. O to właśnie chodzi, Rupesh. O twoje dawne zatargi ze Steve’em. No a teraz uznałeś, że to cholerny morderca.

– Uważam, że nas wykorzystał, Adeline. Dawniej był sprytnym manipulantem, a obecnie... Dorósł i nauczył się to lepiej ukrywać.

– Według ciebie kontrolował nasze umysły? – Mój śmiech zabrzmiał bardziej jak szczeknięcie. Miałam dosyć.

– Wykorzystał moje słabości, moją chęć rywalizacji z nim, moją troskę o Jen, wszystko w odpowiednich momentach.

Pokręciłam głową, bo nie wiedziałam, jak zareagować. W końcu się odezwałam:

– Byłam razem z nim podczas niektórych nocy i poranków, kiedy według was spychał ludzi ze schodów i mordował koło słupów. Jak to wytłumaczycie?

– Mamy wiele pytań – zapewniła Jen – ale za każdym razem, gdy nachodzi nas wątpliwość, jakoś z nią sobie radzimy. Jesteś jego jedynym prawdziwym alibi. A policja nam powiedziała, że w sądzie alibi to poważna sprawa. Dlatego właśnie chcieliśmy cię zapytać, czy jesteś w stu procentach pewna, że on nie wyszedł na chwilę z pokoju albo nie zostawił cię śpiącą, może nafaszerowaną lekami.

– Co za idiotyzm – oświadczyłam.

– Dlaczego? Wiemy, że w grę wchodzi prochy – stwierdziła Jen. – Dowiedzieliśmy się od policji, że Will najprawdopodobniej przedawkował, a potem udusił się w tym worku na głowie. A co, jeśli Steve najpierw go otumanił jakimiś substancjami, żeby go tam zaciągnąć?

– Sekcja zwłok to wykaże, prawda?

Rupesh wzruszył ramionami.

– Niewykluczone. To jednak zależy od wielu czynników. Trochę dziwne, że policja nie wydała jeszcze jego ciała. Może to przez świąteczne zaległości, a może chodzi o coś więcej.

– Powiedzcie mi, jak według was to się stało. Steve spędził z nami cały wieczór przed sylwestrem.

– Wygląda na to, że nie – zaprotestowała Jen.

– Przypuszczam, że tamtego wieczoru dosypał czegoś do wina mnie i tobie – orzekł Rupesh. – Następnie, kiedy zasnął, zaniósł mnie do samochodu, pojechał do Willa, nafaszerował go czymś, a potem zostawił nas albo u Willa, albo w wielkim bagażniku tej swojej octavii. Jeśli był z nami niemal do rana, mógł wstrzyknąć nam coś, co unieruchomiło nas na dłużej.

– A jak was przetransportował pod słupek? I co z tym wszystkim, co widzieliśmy i słyszeliśmy tamtej nocy?

– Ponownie: nieprzekonujące, ale nie niemożliwe. To przecież Steve, król planowania. Myślę, że mnie zaaplikował kolejny zastrzyk, a Willa zostawił na pewną śmierć. A to, co wam się wydaje, że słyszałyście czy widziałyście, było tym, co Steve chciał, żebyście słyszały i widziały.

W końcu zadałam najważniejsze pytanie:

– Czemu miałyby zrobić to wszystko?

– Żeby nas na nowo zjednoczyć – odpowiedziała bez namysłu Jen.

– No i mu się udało, prawda? – zapytałam. – Nawet Will tu jest, w miejscowej kostnicy.

Wstałam gotowa do wyjścia. Usłyszałam już wystarczająco dużo. To była powtórka z rozrywki. Przypomniało mi się, jak pojechaliśmy na komisariat, myśląc, że dysponujemy dowodami, a wcale tak nie było. To, jak Jen udała się do domu brata biednej Kuzmenski, żeby ruszyć tę cholerną sprawę. Bazowali jedynie na własnych przekonaniach. Z tego, co się wydarzyło, nie wyciągnęli żadnej lekcji.

– A gdybym oświadczyła, że według mnie to ty, Rupesh? – zapytałam.

– Czemu byś tak uważała? – Zerknął na Jen. Wydawał się niespokojny.

– Równie dobrze ty mogłeś zrobić te wszystkie szalone rzeczy, o które oskarżacie Steve'a. Może udawałeś, że cię porwano, może sobie z nami pogrywał. Dopiero co powiedziałeś, że to ty najlepiej znałeś Willa. I byłeś sam, kiedy zostałeś uprowadzony. A Jen nie mogła za ciebie poręczyć tej nocy, gdy zaatakowano moją mamę. I jestem pewna, że skoro Steve ma dostęp do leków, to ty, Rupesh, tym bardziej. A co z twoją sugestią, dość dziwaczną, żebyś zabiła swoją mamę?

– Nie tak to było, Adeline – zaprotestował.

Wiedziałam o tym. Miałam uczucie, jakbym szybko spadała. I nie potrafiłam się zatrzymać. Nabierałam pędu.

– Ale czyż nie jest zastanawiający fakt, że jeśli tylko się postaram, mogę sprawić, aby tak właśnie to zabrzmiało? Jego domek nad Loch Ness – rzuciłam do Jen. – Wiedziałaś o tym?

– W porządku – odezwał się Rupesh. – Jaki mam motyw?

– A jaki motyw ma Steve?

– Zapragnął być znowu królem.

– Cóż, myślę, że ty chciałaś go zdetronizować. To twój motyw. Nigdy nie pogodziłaś się z tym, że przed laty Steve był dla ciebie taki surowy, więc postanowiłaś go zrobić.

– Mówił, że nie mógł się doczekać tego spotkania po latach – oświadczył Rupesh. – I wiedział, że najpewniej skończy się to tak, że spędzimy miły wieczór, a potem każdy wróci do swojego życia. On miał inny plan. Chciał, aby wszystko było tak jak kiedyś. Trzy osoby, które przeżyły Poświęcenie, jego trzech apostołowie. A jaki byłby lepszy sposób na odegranie się na osobie, która nim wzgardziła, która nie wykazała się poświęceniem, a nawet upokorzyła go ciosem w twarz?

– Nie. – Oddychałam głęboko i powoli wracał mój spokój. – Myślę, że wy dwoje musicie porozmawiać i jeszcze raz się nad tym zastanowić.

– I ty też – odparował Rupesh.

– Ja raczej nie. Właściwie to skończyłam z myśleniem o przeszłości.

Zapakowałam swoje rzeczy do samochodu, który czekał pod domem rodziców. Wsiadłam, ale ręce trzęsły mi się tak bardzo, że nie byłam w stanie utrzymać kierownicy. Poszłam więc na spacer, po raz ostatni, pożegnać się z dzieciństwem, do którego miałam już nie wracać. Minęłam dawny dom pana Strachana i skręciłam w Drogę Umarlaka. I dzieciństwo wyszło mi na spotkanie, bo choć na horyzoncie widniały ciemne chmury, to nade mną wisiało niczym nieprzesłonięte słońce. Moje włosy nasiąknęły ciepłem, jak zawsze podczas tamtych wakacji. Doszłam do drewnianego

mostku nad strumieniem dzielącym dwa pola. Przesunęłam dłonią po drewnianej poręczy i opuszkami palców musnęłam nacięcia, które układały się w kształt liter. Za tym mostem kiedyś znajdowała się farma. A jeszcze dalej pola aż do Hampton. Tutaj opuszczało mnie dawniej uczucie, że tkwię w pułapce, zastępowała je obietnica Birmingham i pociągów.

„Gdyby nie przyjaciele, których tu poznałem”.

Oczami wyobraźni ujrzałam twarz Steve’a, tę nastoletnią, ale jednocześnie dorosłą. Narzędzia, okoliczności i pobudki – według Steve’a do tego się wszystko sprowadzało. I owszem, jego motyw był teraz wyraźny. Słyszałam słowa, wypowiedziane przez niego tamtego wieczoru w hotelu: „Jako dziecko zawsze chciałem należeć do paczki. Jak nastolatki w tych wszystkich filmach, które oglądaliśmy”. I jeszcze to: „Te wszystkie inne grupy przyjaciół stanowiły zastępstwo za was”.

Roześmiałam się. Klasnęłam w dłonie. Nawet przeszedł mnie dreszcz na myśl, jak cudownie się to wszystko układało w jedną całość. Byłam Diane Keaton w *Tajemnicy morderstwa na Manhattanie*. Idiotka ze mnie, że tak myślałam. Idiotka.

Och, ale zdolność także miał. Miał pieniądze i samochód, żeby jechać nad Loch Ness i z powrotem. Czy nie mówił, że ma niesamowicie elastyczny czas pracy? I okazja! Tak, jeśli pozostali mieli rację co do Wallgrove i jego związków ze służbą zdrowia. Rzeczywiście Will dziwnie na niego zareagował tamtego wieczoru. Jakby gdzieś już się z nim widział. A jeśli znał Wallgrove, to może znał tamte dwie kobiety? Sprawił, że mu zaufały. Nieoficjalnie, zupełnie nie do wyśledzenia. Powiązał je z Willem, na później. Oczarował je, nafaszerował lekami, zabił.

Wyjęłam telefon i po chwili wahania wybrałam numer Steve’a. Musiałam z nim porozmawiać, bo bałam się samej siebie. W pewnym sensie to wszystko, co powiedzieli o nim Jen i Rupesh, współgrało z tym, co czułam do Steve’a, ale starałam się ignorować. Z tym, że tak naprawdę między

nami nie zaiskrzyło; że nadal wydawał się taki nieobecny jak przed laty; że seks był nie do końca...

Odebrał. Połączenie było nie najlepszej jakości.

– Niezbyt dobrze cię słyszę – powiedział. – Wszystko w porządku?

Jego natychmiastowa troska uspokoiła mój niepokój i nagle miałam ochotę udusić tamtych dwoje. Komu jeszcze zależało na mnie tak bardzo, żeby zadawać mi takie pytanie jako pierwsze?

– Przepraszam, jeśli dziwnie to zabrzmiało, ale muszę cię o coś zapytać.

– Gdzie jesteś?

– Na polu. W Blythe. Potrzebny był mi spacer i stoję teraz na tym drewnianym moście przed ulami. Steve, tamtej nocy, kiedy spotkaliśmy się z Willem, on powiedział coś dziwnego, co nie daje mi spokoju. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, mam różne dziwne myśli związane z...

– Adeline, nie musisz mi mówić. Ja też mam dziwne...

– Will zachowywał się wtedy podejrzanie – weszłam mu w słowo. – Tamtego wieczoru z nożem. Jakby miał okazję się z tobą spotkać w ciągu tych kilkunastu lat.

– Och.

Cisza.

– Sądziłam, że chodziło mu o pub. Co Will mógł mieć na myśli, kiedy powiedział: „Nie wyraziłem się jasno ostatnim razem?”. Jakim ostatnim razem?

Milczał. W końcu westchnął.

– Mówiłem wam, że spotkałem go parę razy. – Pauza. Wcale mi się ona nie spodobała. Pamiętałam, jak napomknął o tym tamtego wieczoru, ale jego ton sugerował, że to były przelotne spotkania. Przyjacielskie. A nie takie, które mogą się skończyć pogrózkami. – Chodziło mu pewnie o to.

– No tak.

Co jeszcze mogłam teraz zrobić? Steve musiał powiedzieć mi coś więcej i chyba to wiedział, bo dodał:

– Trochę to dziwne, no nie? Mogę wszystko wyjaśnić.

Coś mnie ścisnęło w żołądku.

– To wydaje się ważne. Czemu uważasz to za dziwne?

– Przez jakiś czas studiowałem w Yorku. Wspominałem o tym.

– Możliwe. Nie pamiętam, ale...

– Mówiłem, że każdego łączy coś z Yorkiem, kiedy się dowiedzieliśmy, że ofiary i Will są z tego właśnie miasta.

Ktoś tak powiedział, ale czy na pewno Steve? Nie potrafiłam sobie przypomnieć. Nie był to przypadkiem Rupesh?

– Przez rok tam studiowałem. Mniej więcej rok po tym, jak Emily mnie zostawiła. I jeden z przedmiotów odbywał się w placówce dla umysłowo chorych, nie Wallgrove, ale w Yorku.

– Spotkałeś Willa?

– Tak – westchnął.

– Steve. – Serce mi szybciej biło i nagle uświadomiłam sobie, że znajduję się tu zupełnie sama.

– Okaż mi trochę cierpliwości, Adeline. Proszę. Był pacjentem, z czego nie zdawałem sobie sprawy, dopóki go nie zapytałem, gdzie pracuje, a on odparł, że nigdzie. No i zaczęliśmy rozmawiać o różnych sprawach. Początkowo obaj się trochę krępowaliśmy. Powiedziałem mu, czym się zajmuję, i wydał się zainteresowany. Dałem mu swój numer i pomyślałem, że fajnie spotkać dawnego przyjaciela, ale się nie spodziewałem, że się do mnie odezwie.

– Chwileczkę, kiedy to było?

– Mniej więcej w czasie, kiedy wyrzucono go z zespołu, ale on nigdy mi o tym nie wspomniał. Zadzwoił do mnie miesiąc później i umówiliśmy się na piwo. Gadaliśmy o dawnych czasach, ale tak samo jak tamtego wieczoru w Sparkbrook twierdził, że niewiele pamięta. Stopniowo jednak zaczął sobie przypominać. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że on traktował to jako sesje terapeutyczne. To znaczy wydaje mi się, że tak to postrzegał. Ale

im dłużej rozmawialiśmy i im więcej się dowiadywał o moim obecnym życiu, tym bardziej robił się zazdrosny. Raz rozzłościł się na mnie i oświadczył, że wpadł w narkotyki i nie potrafi ufać ludziom z powodu tego, co się wydarzyło tamtego lata. Że jestem częściowo za to odpowiedzialny. Nie wiem, może rzeczywiście? Może nalegałem, abyśmy się spotykali i gadali o tym, bo miałem wyrzuty sumienia. W jego głowie działały się jednak także inne rzeczy, które nie miały nic wspólnego ze mną, z nami czy Poświęceniem. W każdym razie pewnego dnia nie przyszedł w umówione miejsce, a kiedy w końcu udało mi się z nim skontaktować, oznajmił, że zaczyna od nowa i chce się odciąć od wszystkiego. Wcześniej już mi mówił, że pokłócił się z rodziną. Próbowałem odwieść go od tego pomysłu, bo według mnie dobre było to, że po raz pierwszy próbował mierzyć się z przeszłością. Ale, cóż, słyszałaś, co powiedział. Kazał mi się odczepić i oświadczył, że jestem wężem. I tyle.

– Nadal nie...

– Zaczekaj. Proszę. Dlatego właśnie byłem taki pewny, że chodzi mu o mnie. Od początku o tym wiedziałem. Przez cały czas, kiedy się tym zajmowaliśmy, ukrywałem te informacje i czuję ulgę, że mówię ci to teraz, bo być może to tłumaczy, czemu czasem tak się przy czymś upierałem. Dzięki temu, co mi powiedział, łatwiej mi było wierzyć w to, że mógł popełnić te zbrodnie. Niektóre jego poglądy na temat kobiet, no i moralność. Martwię się, że być może to ja wszystko zainicjowałem, nakłaniając Willa do myślenia o przeszłości.

– Ale dlaczego akurat... Dlaczego kłamałeś w tej kwestii? – Próbowałam zachować spokój. Pamiętałam, że Steve niemal położył się na torach i to on był bohaterem tej historii. Musiał istnieć jakiś powód.

– Nie kłamałem, po prostu nie wspominałem nic o tym ze względu na prawo pacjenta do poufności – wyjaśnił. – Uważałem, że w ten sposób złamałbym to prawo. Wiedziałem, że nie muszę tego robić, że i tak się



dowiecie o narkotykach i problemach psychicznych. Zresztą na początku tylko rozważaliśmy pomysł, że jest mordercą.

Roześmiałam się. A to dobre.

– Poufność? Po naszej kłótni z Rupeshem?

– To nie takie oczywiste. – Wydawał się wkurzony. – Istnieje różnica między sprawdzeniem adresu w systemie, do którego dostęp ma każdy z uprawnieniami administratora, a ujawnieniem informacji klinicznych.

– W porządku, tyle że Will nie był twoim pacjentem.

– Nie, ale on tak to postrzegał. Chciałem to uszanować, zwłaszcza że spotkaliśmy się w okolicznościach szpitalnych. Myślał, że jestem terapeutą, a mnie się nie chciało tłumaczyć, czym się konkretnie zajmuję.

– Wiedziałaś wszystko o Yorku i o tym, co powiedział nam Gaz, jeszcze zanim tam pojechaliśmy? Także o problemach psychicznych Willa?

– Nie. Minęło parę lat, więc nie miałem pojęcia, gdzie go można znaleźć. Nie wiedziałem też o tym, o czym powiedział nam Gaz, znałem tylko wersję Willa. Will coraz więcej chciał mówić o przeszłości, nie teraźniejszości. Ani słowem nie wspomniał o zespole. Gdy w Boże Narodzenie udaliśmy się do jego rodziców, w sumie wszyscy mieliśmy podobny obraz sytuacji. Jego stary numer był nieaktualny, na maile także nie odpisywał.

Chciałam mu wierzyć, bo to przecież mogła być prawda. To, co powiedział, brzmiało logicznie i rozsądnie. Potrafiłam sobie nawet wyobrazić, jak dziwnie musiałby się poczuć, gdyby jednak zdradził tajemnicę Willa.

– Jesteś tam? – zapytał.

– Tak.

– Przepraszam, że nie powiedziałem o tym wcześniej. O wszystkim poinformowałem policję i zapytałem, czy inaczej by nas na początku potraktowano, gdybym od razu to ujawnił, ale usłyszałem, że nie.

O tak wiele chciałam zapytać, choćby o tę historię z torami, ale jak mogłam to zrobić, nie zdradzając Rupesha i Jen?

– Czemu teraz mi to mówisz?

– Halo? Halo? – Nie słyszał mnie, najwyraźniej znowu pojawiły się jakieś zakłócenia. Ni z tego, ni z owego. – W moim mieszkaniu jest fatalny zasięg.

Zamierzał teraz udać, że się rozłącza? Zerknęłam na kreski zasięgu w moim telefonie: jedna, chwilami dwie. Może to ja? Po raz kolejny obdarzyłam go kredytem zaufania.

– O co wcześniej pytałaś?

– Czemu mówisz mi to teraz?

– Szczerość – odpowiedział. – Nie chcę, żeby Will stanął na drodze naszemu związkowi.

Nawet teraz, choć serce waliło mi jak młotem, kiedy usłyszałam słowa „nasz związek”, wzdłuż pleców przebiegł mi dreszcz.

– Świetnie, że potrafisz być szczery, kiedy ktoś cię przyłapie na kłamstwie.

– Adeline, mogłem nawciskać ci kitu. Oświadczyć, że nie wiem, o czym on mówił. Myślę, że musimy się niedługo spotkać. Tęsknię za tobą i chcę, żebyśmy spróbowali zacząć od początku. Chcę porozmawiać z tobą twarzą w twarz. Wiem, jak się czujesz, bo przez te wszystkie pytania policji mnie też przychodzą do głowy różne dziwne rzeczy.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście. Muszę się z tobą zobaczyć. Jutro. Pojutrze. Tak szybko, jak się da, Adeline – oświadczył.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Robił dokładnie to, co przewidział Rupesh, a mimo to chciałam się z nim spotkać. Tylko w taki sposób mogłam zyskać pewność. Choć w przypadku Willa konfrontacja niewiele pomogła. Czy da się w ogóle rozpoznać zabójcę? Widać to w jego oczach, zachowaniu, głosie? Przeszłości?

– Steve, mam mętlik w głowie.

– Nadal stoisz na moście?

– Tak?

– To dobrze. Sprawdzisz coś? To ci pomoże. Pod schodkiem na samym dole. Przed laty ukryłem tam coś i tak mi przyszło do głowy, że być może nadal tam leży. Zostawiłem to jako swoisty prezent. Dla ciebie, od dawnego mnie. Wyobrażałem sobie, że pewnego dnia tam pójdziemy i go znajdziemy.

– O czym ty mówisz?

– Halo? Słabo cię słyszę, Adeline. Porozmawiamy, kiedy będziemy mieć lepszy zasięg. Sprawdź pod mostem, okej?

Kiedy się rozłączył, wbiłam wzrok w wyświetlacz. Moje zdolności krytyczne były tak odruchowe, że kiedy ich brakowało, tak jak teraz, zazwyczaj oznaczało to, że nie ma czego krytykować. Tylko czas mógł pomóc zrozumieć, co właśnie usłyszałam. Niechętnie zeszłam z mostku i kucnęłam. Szczelina pod schodkiem z pewnością była pełna pajaków i stonóg, ale włożyłam tam rękę, bo rzeczywiście wyglądało na to, że coś tam się kryje, głęboko w ciemności. Początkowo natrafiłam tylko na ściółkę. Po chwili jednak moja dłoń dotknęła czegoś gładszego i większego. Mając nadzieję, że to nie ucho jakiegoś podziemnego zwierzęcia, pociągnęłam za to coś.

Portfel, pomarszczony i brudny. Otworzyłam go i jeszcze zanim zobaczyłam nazwisko na kartach, wiedziałam, że należał kiedyś do pana Strachana. Steve miał go zwrócić. Nie zrobił tego. Prezent dla mnie, tak powiedział. Kazałam mu się go pozbyć i proszę, gdzie wylądował. Jakby wiedział, że pewnego dnia będzie tego potrzebował, aby mnie do siebie przekonać, i że przyprowdzi mnie tutaj i pokaże tę kapsułę czasu. Było to albo romantyczne, albo cholernie złowieszcze.

Zamknęłam portfel. Chciałam zaufać Steve'owi, i już samo to było dziwne. Rzadko chciałam w coś wierzyć. Lubiłam, kiedy prawdzie nie

dawało się zaprzeczyć. Ale mogło być też tak, że zbyt ochoczo uznałam za wiarygodną historyjkę pod tytułem „Steve jest mordercą”. Pozwoliłam na to, bo brak seksualnej chemii był za mało dramatyczny, aby położyć kres romantycznemu marzeniu, które nosiłam w sobie przez kilka ostatnich tygodni: Gospodyni „Szczypty nostalgii” po latach kiepskich związków wiąże się z ukochanym z dzieciństwa.

Wiedząc, że moje wątpliwości nie rozwiążą się do czasu, aż spotkam się ze Steve’em, schowałam portfel na miejsce. Pozostanie tutaj do czasu, aż most się zawali albo nastąpi koniec świata. Może znajdzie go kiedyś jakiś człowiek albo kosmita, i tak jak garnek Willa sprzed lat portfel nabierze znaczenia i wartości. Choć jedyna różnica pomiędzy tym portfelem obecnie a portfelem w przyszłości będzie polegać na tym, że się zestarzeje. I tylko tyle.

## Will, 1998

Nie jest głupi, podejrzewa, co od niego chce Steve. Według Steve'a ukrywanie przed innymi prawdy jest super, ale jest on w tej kwestii równie subtelny, co dekoracje świetlne w Blackpool. Sęk w tym, że Will wie, które przedmioty są cenne, a które nie. Wie, które może zabrać, nie czyniąc kolekcji większej szkody. Niewykluczone, że udałoby mu się to nawet tak zorganizować, żeby Strachan niczego nie zauważył. Nie ma pojęcia, co Steve planuje potem z nimi zrobić. Gdyby go przekonał, aby ich nie niszczył, to może mógłby je zatrzymać. Coś takiego byłoby w porządku. Wtedy przynajmniej wszystko dobiegłoby końca i znowu cała paczka spędzałaby razem czas. Chodzi o to, by dać coś Steve'owi, aby ten się zbyt nie zagalopował.

Na końcu Drogi Umarlaka Will skręca w lewo, następnie przeskakuje przez ogrodzenie i już jest za szopą Billa. Van stoi na podjeździe. Dochodzi północ i Bill jest już w łóżku, bo rano musi wstać wcześniej do pracy.

– Hej – odzywa się Steve. Nie widzi go jeszcze. – Gotowy, żeby wszystko naprawić?

– Aha. Zamierzasz otworzyć zamek?

– Nie.

To zaskakuje Willa, bo sądził, że ma Steve'a z prawej strony. On jednak stoi za nim. Will się odwraca. Steve znajduje się tak blisko, że zapach jego mydła na chwilę przytłumia inną, znacznie intensywniejszą woń, która powraca, kiedy robi krok do tyłu. Benzyna. Czuć benzynę.

– Przestraszyłem cię? – pyta Steve. Rozlega się trzask, po czym wędrujący w jego stronę płomień przesywa ogarniającą ich ciemność. –

Weź to.

Will posłusznie bierze od niego zapalną. Niepokoi się bliskością ognia i benzyny. Kolejny trzask.

– Sprawa jest prosta – oświadcza Steve. – Dach oblałem już benzyną. Chcę, żebyś rzucił na niego swoją zapalną, a jeśli ty tego nie zrobisz, wyręczę cię.

– Co? Nie mogę.

– Tak przecież ustaliliśmy. Nie myśl, tylko zrób to.

– Tam jest pies, Steve.

– No i? Nie myśl o tym.

W tym momencie do Willa dociera, że Steve nie ma racji. I że najpewniej nie miał jej także tamtego dnia, kiedy go poprosił o pomoc przy pochowaniu swojego psa.

– On zabił Obiego – warczy Steve, choć Will teraz jest już pewny, że to Steve pozbawił go życia. – Co się przejmujesz? Zresztą wiem, do czego jesteś zdolny. Wiem o tych wszystkich zwierzętach, które zabijasz. Widziałem, jak je zakopujesz, Adeline także. Rzuć zapalną, Will.

To nie fair. Skąd w ogóle Steve o tym wie?

– Wcale tak nie robię – protestuje.

To prawda. On jedynie grzebał martwe zwierzęta, które napotykał na swojej drodze. Szczura obok mostu, ptaka na polu kukurydzy. Kota Jen, którego samochody przejechały tyle razy, że ledwie przypominał zwierzę. Chciał jej oszczędzić tego widoku. Lepiej niech myśli, że gdzieś sobie poszedł. Kiedyś czytał świetną książkę o człowieku, według którego każda żywa istota zasługuje na pochówek. Zgadza się z tym. Każdy zasługuje na pochówek.

– Zapalną – odzywa się Steve. To jedna z tych papierowych, które spalają się szybciej niż drewniane. Prawie już zgasła.

– Będzie wiedział, że to ty.

– Nie, jeśli ty, jego najlepszy przyjaciel, powiesz, że byłeś ze mną. – Steve ma wszystko przemyślane.

Will czeka. Trzęsie mu się ręka.

– Wypuśćmy najpierw psa.

– Zacznie szczekać.

– Nie zabiję go.

– Czemu nikt mnie nie słucha? – Och, ta wściekłość w jego głosie, płonąca intensywniej niż wszystkie zapałki świata. – Rzucaj.

– Nie – protestuje Will. – Wal się.

Zapałka w jego dłoni gaśnie. Teraz pali się tylko ta trzymana przez Steve'a i oświetla mu twarz. Upiór. Demon. Zabójca. Niebezpieczeństwo czyhające przez cały czas tuż pod ich nosami.

– W porządku – oświadcza Steve.

Po chwili stojąca przed Willem zjawą znika. Rzuca zapałkę. Dach szopy od razu się zajmuje, a ich kryjówkę rozjaśnia pomarańczowa poświata.

– Byłeś ze mną – powtarza Steve. – To wszystko, co musisz mówić. – Wdrapuje się na ogrodzenie i Will dostrzega, że w ręce trzyma kanister. – Idziesz? Nie? To na razie.

Kiedy zostaje sam, wie, że najlepiej udać się za Steve'em. Ale ogień nie wymknął się jeszcze spod kontroli. Nie da się go już ugasić, ale jest czas, żeby dostać się do szopy i wypuścić Elvisa. Will obiega budynek i wtedy się przekonuje, że Steve oblał benzyną nie tylko dach, ale także okna. Wokół szyb pełzają języki ognia. Wyjmuje z kieszeni szwajcarski scyzoryk i podchodzi do drzwi. Próbuje śrubokrętu, noża, korkociągu, ale nic nie chce otworzyć zamka. W dodatku zaczynają go piec ramiona. Słyszy psie pazury na deskach, niczym grad uderzający o szklany dach, i jego skomlenie. Nie szczeka, bo Bill mu zakłada kaganiec. Will kopie w drzwi, ale okazują się solidne. To nie jest zwykła szopa. Kopie ponownie, mocniej. I jeszcze raz.

Jest już za gorąco. Cofa się. Przeczesuje palcami włosy i kilka razy pokonuje odległość od szopy do rosnącej pośrodku ogrodu magnolii. Może obudzić Billa i powiedzieć, że zobaczył ogień z ulicy. Nie, to by nie przeszło. No i byłoby za późno dla Elvisa. Słyszy, jak pies drapie w drzwi. Na klombie leży szpadel. Podnosi go i rzuca nim w szybę, chcąc wpuścić powietrze i pomóc psu. Ale to tylko zaprasza ogień do środka. Płomienie wdzierają się przez okno, docierają do...

– Jasna cholera!

Widok Billa sprawia mu taką ulgę, jak oddychanie pozbawionym dymu powietrzem z dala od szopy. Mężczyzna rusza w stronę Willa, nagle zmienia kierunek i biegnie ku szopie.

– Coś ty zrobił?

Podbiega do drzwi, próbuje włożyć do zamka klucz, ale jest za gorąco i musi się odsunąć. Próbuje raz jeszcze, i jeszcze, po czym się poddaje i zaczyna kopać w drzwi. Raz, dwa, aż w końcu drewno ustępuje. Z szopy zaczynają się wydobywać kłęby dymu.

Will chce powiedzieć, że to nie on. Gryzie się jednak w język. Nie może zdradzić Steve'a. Nie po tym, jak ten wydał mu wyraźne polecenie. Będzie dobrze, Bill się zjawił. On uratuje... Mężczyzna wnosi z szopy psa, którego głowa zwisa pod dziwnym kątem. Kładzie go na trawie, kilka metrów od znieruchomiałego Willa. Pies się nie rusza. Pies się nie rusza. Pies się nie...

– On to zrobił? – pyta Bill, wpatrując się intensywnie w Willa.

Will chce się ukryć przed tym spojrzeniem. Wie, że w przeszłości złe rzeczy przytrafiały się tym, na których spoczął ten wzrok.

– On to zrobił, prawda? – Kiedy Bill to mówi, prawie nie otwiera ust. Kiwa głową tak jak Steve oczekujący, że Will mu przytaknie.

– Nie – odpowiada Will. Ma wrażenie, jakby ten głos wydobywał się z gardła jakiejś obcej osoby znajdującej się na odległej planecie w innej galaktyce.



– Will, powiedz mi, że to on.

– Nie.

– Ty byś tego nie zrobił. – Kładzie dłoń na nieruchomej klatce piersiowej psa.

Czas, który płynie, kiedy się na siebie patrzą, jest niczym balsam i Will w nim tonie. Wtedy rozlega się trzask drewna i część dachu spada na ziemię obok szopy. Will odwraca się i zaczyna biec. Biegnie i biegnie. A kiedy dociera do domu, słyszy syreny wozów strażackich jadących Blythe Lane. Tak jak to się zawsze dzieje, najsilniejsze emocje z dzisiejszej nocy zaczynają w nim przygasać. Wkrótce robi się głodny i choć będą mu się śnić ogień i dym, to jednak uda mu się zasnąć.

Steve wyjeżdża z Blythe i jego dom stoi pusty.

Jen i Rupesh lecą na wakacje zaraz po ogłoszeniu wyników egzaminów. Rodzice pozwalają im opuścić początek roku akademickiego i skorzystać z tanich lotów. Typowe. Rupesh przed wylotem pyta Willa, czemu nie wziął udziału w Poświęceniu Steve'a, na co ten mówi mu prawdę: że Steve chciał ustawić tę rundę tak, żeby Rupesh przegrał. W tym akurat przypadku nie ma sensu oszukiwać. Nie opowiada mu jednak o innych rzeczach. O pożarze. Kiedy Rupesh chce wiedzieć, co dokładnie się działo, gdy Steve poszedł wtedy po niego, Will wyjaśnia, że uderzył Steve'a i kazał mu cofnąć zakaz. Niezłe kłamstwo, aczkolwiek Will co jakiś czas żałuje, że tego wówczas nie zrobił.

Adeline dużo czasu spędza teraz w Marlstone w towarzystwie ludzi, których zna z poprzedniej szkoły, a których spotkała na dniu otwartym w Marlstone College. No i dobrze.

Tak więc Will sam chodzi po polach, gdy sierpień zmienia się w wrzesień. Czasem brakuje mu paczki, czasem nie, ale zawsze dociera w jakieś miejsce, gdzie wspólnie przebywali. Nad torami powraca do niego

tamto senne popołudnie z Jen razem z poczuciem wstydu, którego nie rozumie. Nieważne. Kiedy pójdzie do college'u, pojawią się inne dziewczyny, a Jen stanie się częścią przeszłości. W katalogach i magazynach mamy zaczyna wyszukiwać zdjęcia zgrabnych dziewczyn, wycina je i przykleja na ścianie, co ma mu przypominać, że istnieją inne dziewczyny. Jen to nie jedyna. Jednak odkąd zaczyna to robić, Monks zakrada się do jego pokoju i dorysowuje kobietom wąsy, brody, robi dziury w oczach i co gorsza, w innych miejscach, co nawet nie jest śmieszne...

Spodziewał się, że Steve napomknie jeszcze o pożarze, ale tak się nie stało. Ani w dniu sesji zdjęciowej, ani tamtego wieczoru przy ognisku, ani podczas tych kilku okazji, gdy spotkali się przed jego wyjazdem. Tamten wieczór przy ognisku był jednym z lepszych. Will zażartował, że zostanie seryjnym zabójcą, co w sumie było głupie, ale dzięki temu rozśmieszył pozostałych. Monks pokazał mu niedawno program dokumentalny o seryjnych zabójcach – naprawdę wciągnął go ten temat – i dzięki temu Will dowiedział się, że magiczna liczba ofiar to trzy. Zabójcy siedzą mu w głowie dlatego, że Jen była niedawno u jego mamy, żeby porozmawiać z nią o aktorstwie, i wygląda na to, że obie mają obsesję na punkcie sławy, no i on wtedy pomyślał, że skoro rzeczywiście pragną rozgłosu, to zdobyłyby go o wiele szybciej, zabijając wystarczającą liczbę osób... Śmiał się tamtego wieczoru, a to coś, co rzadko ostatnio robi. Ale nie Steve, nie... on się nie śmiał. I przez to wwiercające się w niego spojrzenie Steve'a to już przestało mu się wydawać zabawne. A potem wszyscy mieli stracha, sądząc, że ktoś chowa się w zaroślach i ich obserwuje.

Spodziewa się, że Bill go dorwie albo naśle policję. Czasem dostrzega na polach postać, która może być nim, ale wyobraźnia zawsze lubi mu płatać figle. Nikt po niego nie przychodzi. Od Adeline wie, że Elvis nie żyje i że cała szopa i ogrodzenie na tyłach domu spaliły się na popiół. Bill rozpowiada, że to jego wina. Że dach zapalił się od ogniska. Za szopą miał beczkę do palenia, więc to dobre kłamstwo. Biedny Elvis. Wbrew temu, co

sądzi Steve, ten pies był w porządku. Czasem śnią mu się obaj. W tych snach udaje mu się uratować Elvisa, wynieść go z płonącej szopy. Pies liże go po twarzy, ale przed budynkiem pojawia się Steve. Żąda, aby Will oddał mu psa. I choć z nim walczy, zawsze kończy się to tak, że mu ustępuje. A potem Steve robi coś okropnego. Za każdym razem coś innego, ale i tak Will budzi się z krzykiem, nawet jeśli trwa to tylko chwilę. Umarł z gorąca czy po prostu nawdychał się dymu? Czy to bolało?

W pewne wrześniowe popołudnie Will przebywa na polu, kiedy zaczyna się ściemniać. Dociera tylko do kładki i uświadamia sobie, że pora zawrócić. Gdy to robi, widzi postać idącą w jego stronę. Jej krok wydaje się chwiejny. Dostrzega coś znajomego w posturze.

– Tak myślałem, że to ty – odzywa się Bill. Mówi lekko niewyraźnie i usta mu się nie domykają. – Chodźmy do mnie. – Will kiwa głową. – Pogadamy.

Nie podoba mu się to. Mówi jak tata i mama, kiedy są na bani. Idzie jednak za Billem. Docierają do końca Drogi Umarlaka. Bill prowadzi Willa na środek ulicy. W pomarańczowym świetle latarni widać jego podkrążone oczy, w których nie maluje się już cień życzliwości, z jaką kiedyś na niego patrzył. Nic się nie maluje. Stoją naprzeciwko siebie, aż w końcu Bill mówi:

– Byłem tam wtedy i was słuchałem. Słyszałem, co mówiłeś. O zabijaniu ludzi. – Kręci głową. – Kanalia z ciebie.

Will wzrusza ramionami, no bo co może powiedzieć?

– Mimo to nie mogę uwierzyć, że to ty podpaliłeś szopę. Przyznaj się. To był on?

Will milczy. Wie o gangsterach i donosicielstwie. Wie, że Bill uzna go za cieniasa, nawet jeśli powie prawdę.

– Straciłem kolekcję i psa. – Will nadal się nie odzywa. – Twierdzisz, że ty to zrobiłeś?

– Przepraszam.

Nie, on się nie ugnie. I Bill to rozumie, garbi się i zamyka oczy.

– Zaczekaj tutaj – nakazuje mu. – W tym miejscu.

Will posłusznie spełnia polecenie, a Bill znika w domu na dobre pięć minut. Kiedy wychodzi, czuć od niego whisky. Fajnie byłoby się teraz napić.

– Zadzwoń na policję. Powiem im, że ja to zrobiłem. Rozumiesz, że tam było moje życie? Wiesz to, prawda? – Dotyka ramienia Willa. Knykcie ma owinięte czymś czarnym.

– Nie możesz brać winy na siebie – mówi Will. – To nie byłeś ty.

– Byłem.

Ból w głowie Will rejestruje dopiero wtedy, gdy otwiera oczy i widzi betonową nawierzchnię drogi. Ból jest paralizujący, promieniuje na szyję i wszystkie kości w czaszce. Coś potwornego napiera mu na prawe oko, a obraz się chwieje i... Czuje kolejny cios. I od razu następny. Will dostrzega, że w stronę jego twarzy zbliża się czubek buta Billa, i musi zamknąć oczy.

Właśnie na to czeka.

To jego kara.

To jego...

## Zima 2015

– Wiecie, że uwielbiam ten film – powiedziałam. – Jest przezabawny, scenariuszowi też niczego nie brakuje. Bill Murray zachowuje się naprawdę komicznie, kiedy tylko nie zawraca głowy Sigourney. Jest to wyraźne zwłaszcza na wielkim ekranie, bo widać, jak improwizuje za pomocą mimiki.

– Mimo to zamierzasz umieścić go w koszu? – zapytał Jon. Siedział przy stole w studiu naprzeciwko mnie i przyglądał mi się ze zwyczajową mieszanką pogardy i rozbawienia.

– Nie robi tego – zapewnił Xan. – Prawda, Adeline?

– Aaaaale... Nie można nie zwrócić uwagi na fakt, że *Pogromcy duchów* prezentują doprawdy fatalne nastawienie do rządowych regulacji i ochrony środowiska – stwierdziłam. – Walter Peck jest gorszy od Gozera. Szydzi, tyranizuje i się przymila, a słowo „duch” nie chce mu czasem przejść przez gardło, więc ma gdzieś to, co robią pogromcy duchów.

– Ten koleś tylko wykonuje swoją robotę. A ci idioci zostali wyrzuceni z uniwerku za nieudolne metody, używają nieposiadającej licencji broni jądrowej, która w najlepszym razie jest niesprawna. Walter Peck pracuje dla Agencji Ochrony Środowiska. Niby jak mają być tymi złymi? Wiesz, taka jest norma, poczucie indywidualizmu... – powiedział Jon.

– Zaczyna się... – wtrącił Xan.

– ... które czai się w mrocznej duszy amerykańskich komedii z lat osiemdziesiątych. Już o tym rozmawialiśmy. Niedobre przepisy stające na drodze rozwoju pięknego i postępowego wolnego rynku. Cóż, dla mnie coś takiego to bzdura. Pogromcy duchów są samozwańczą strażą obywatelską,

zagrożającą Nowemu Jorkowi bardziej niż duchy. Potrzebują kontroli, potrzebują zasad, potrzebują cholernego obowiązkowego szkolenia bhp.

– No to co, kosz? – zapytał ze śmiechem Xan. – Oryginalni *Pogromcy duchów*?

Uniosłam rękę, a na mojej twarzy pojawił się cierpki uśmiech.

– Czasami coś się podoba, bo się podoba i już. Innym razem dlatego, że to symbolizuje lub uosabia coś innego, co się naprawdę podoba. Tyle że się o tym nie wie. Słyszysz w klubie Whigfield i jej *Saturday Night*, poznajesz jakiegoś chłopaka i się z nim po raz pierwszy całujesz, a potem idziesz do domu i myślisz o tym chłopaku i o tym, jak było fajnie. Ta piosenka Whigfield jest koszmar. Jasne, ma rytm i melodię, ale generalnie jest do bani. Ale ty uważasz, że ci się podoba, bo kiedy ją słyszysz, w twojej głowie pojawiają się te wszystkie szczęśliwe wspomnienia.

– A niech mnie – odezwał się Jon, próbując złapać oddech. – *Pogromcy duchów* to *Saturday Night Whigfield*?

– *Pogromcy duchów* to klasyk – oświadczyłam. – Ten film nie jest koszmarny. Jest fantastyczny. Nie o to mi zresztą chodzi, chociaż jestem oburzona tym, jak Bill Murray traktuje Waltera Pecka podczas ich pierwszego spotkania. I na tym właśnie polega nasz podcast, na identyfikowaniu tego, co lubimy tylko dlatego, że przypomina nam dzieciństwo, czas, kiedy nasze umysły nie były jeszcze na tyle rozwinięte, aby wyrabiać sobie porządne opinie na temat filmów. Więc tak, mimo swojej błyskotliwości *Pogromcy duchów* jako propaganda wolnego rynku trafiają do kosza. Takie jest moje zdanie.

Odchyliłam się na krześle i skrzyżowałam nogi. Dobrze poszło, choć się martwiłam, że ostatnio trochę przesadzaliśmy z liczbą podcastów. Odcinek o *Pogromcach duchów* był ostatni na liście dziesięciu. Starłam się udawać

obojętność, ale podobało mi się to, że Jon i Xan nadal się śmiali z mojego finalnego monologu, mimo że nagranie dobiegło końca.

- Przynajmniej kończymy z przytupem – stwierdził Jon.
- Możliwe, że to nasza najlepsza partia – dodał Xan.
- Myślisz? – zapytałam, choć czułam, że może mieć rację.
- Wszyscy są pewni swoich decyzji? – upewnił się Jon.

Xan skwitował jego słowa bladym uśmiechem i ledwie dostrzegalnym potrząśnięciem głowy. Pochłaniało go zarówno rozstanie z chłopakiem, jak i nowy podcast, który zamierzał nagrywać razem z Rose Hamlin, była prawniczką, a obecnie podcasterką, która przed czterema laty wypłynęła dzięki materiałowi o przestępczości białych kołnierzyków. Od świąt nie minęło dużo czasu, ale wszystko zdążyło się już zmienić. Ja i Jon czekaliśmy na ostatnie szczegóły kontraktu z BBC. Miałam wrażenie, że wydarzenia z Blythe rozegrały się nie tygodnie, lecz lata temu.

– Kiedy znowu się z nim spotkasz? – spytał Xan, gdy pakowaliśmy nasze małe studio. – Z Cusackiem.

Nie do końca byłam z nimi szczerą w kwestii tego, jak się wszystko zakończyło. Nie powiedziałam o dręczących mnie wątpliwościach. Dałam do zrozumienia, że się nie spieszymy. Jeśli miałam spojrzeć mu w oczy i uwierzyć, mogło się to okazać prawdą.

– Dziś wieczorem – odpowiedziałam. – Jadę zaraz do Oksfordu.

Na razie nic się nie wyjaśniło. Ze Steve'em trudno było się umówić, co mnie irytowało. Sama też byłam zajęta, więc wina nie leżała tylko po jego stronie. Niekoniecznie to coś oznaczało. Musiałam tam jechać jakby nigdy nic, jakby to rzeczywiście była nasza pierwsza randka. Dać mu szansę, żeby mnie przekonał. Policja w ogóle się nie odzywała, co pozwalało mi przypuszczać, że istotnie to Willa uważano za sprawcę. Dzięki temu utwierdzałam się w przekonaniu, że Steve nie miał z tym nic wspólnego. Za każdym razem, kiedy zastanawiałam się nad tym, co usłyszałam od Jen i Rupesha, nie rozumiałam, co mnie tamtego popołudnia tak bardzo

wystraszyło. Rupesh co jakiś czas dzwonił, ale nie odbierałam. Zakładałam, że on i Jen nadal chcieli, żebym poparła ich wersję, ale wolałam zachować zdrowy osąd.

Kiedy wszystko było już spakowane, we troje stanęliśmy w drzwiach pustego studia.

– Wygląda to jak opuszczony plan filmowy – stwierdził Jon. – Kolejna przestrzeń funkcjonalna.

– Xan, jesteś pewny, że nie chcesz nam towarzyszyć? – zapytałam.

– Tak. Ale wy idźcie i nieźle dokopcie tym wyrastającym jak grzyby po deszczu filmom o superbohaterach. Nie jestem wam do tego potrzebny.

– Niech ci się dobrze rozwiązuje zagadki kryminalne – powiedział Jon.

Xan uniósł rękę.

– W takim razie do zobaczenia po drugiej stronie, Ray.

– Miło się z panem pracowało, doktorze Venkman – rzuciłam, a Xan wyszedł.

Dni zaczęły się powoli wydłużać, a najgorszy okres zimowy stał się wspomnieniem na kolejny rok. Kiedy wjeżdżałam do Oksfordu, zrobiło się ciemno. Pomiedzy podcastami o *Kaczorze Howardzie* i *Pogromcach duchów* zjadłam tylko tost i mój żołądek głośno teraz narzekał.

Nawigacja zaprowadziła mnie do centrum. Steve nieźle sobie radził. Jego zarobki były stosowne do prywatnej edukacji, na jaką łożyli jego rodzice, choć pewnie mógł także liczyć na niemały spadek. Zatrzymałam się w zatoczce, gdzie można było parkować do dwóch godzin. Wcześniej Steve mnie zapewnił, że będę mogła tam stać aż do dziesiątej rano, zasugerował tym samym, jak według niego potoczy się nasz wspólny wieczór. Denerwowałam się. Próbowałam się uspokoić, przypominając sobie wymówkę, z jakiej miałam skorzystać, gdyby zaszła taka potrzeba: mama. Nadal leżała w szpitalu. Podchodziłam do jej stanu z cichym optymizmem.



Lekarze byli ostrożni, a ona wciąż nie odzyskała przytomności. Jednak żyła i pojawiły się sygnały, które według taty i mnie oznaczały, że wracała powoli do zdrowia. Została przeniesiona do osobnego pokoju i tato puszczał jej płyty Roya Orbisona i ulubione filmy, takie jak *Casablanca* i *Czarnoksiężnik z Oz*. Tato zapytał pewnego dnia, co po jej śmierci miałyby zrobić ze wszystkimi zbieranymi przez mamę pamiątkami dotyczącymi rodziny królewskiej, na co ja w ramach żartu zasugerowałam sprzedaż na eBayu. W tym momencie mama jęknęła, choć najpewniej ten dźwięk był zupełnie mimowolny, a my się zaśmialiśmy, a zaraz potem rozplakaliśmy.

Przebiełam duży, wysypany żwirem podjazd, na którym stały drogie samochody i octavia Steve'a, po czym zeszłam po kilku kamiennych schodkach i zadzwoniłam do drzwi. Jego mieszkanie mieściło się w suterenie czterokondygnacyjnego szeregowca. Tylko on miał osobne wejście, tak mi przynajmniej powiedział. Otworzył z uśmiechem, ubrany w wąskie, niebieskie dżinsy i rozpinany sweter, spod którego widać było czerwony T-shirt. Kiedy mnie przytulił, od razu owionął mnie zapach wody po goleniu.

– Ładnie pachniesz – zauważyłam. Działo to na mnie rozpraszająco.

– Ty też. Zaczekaj chwileczkę. – Cofnął się i zamknął mi drzwi przed nosem.

– Okej – rzuciłam w przestrzeń.

Wrócił z kurtką w ręce i powiedział:

– Na wszelki wypadek.

Wyszedł z mieszkania i przekręcił klucz w zamku.

– Nie dane mi będzie zobaczyć, jak mieszkasz?

– Może później – odpowiedział. Wbiegł po schodach i pokazał, żebym zrobiła to samo. – Poprosiłem pozostałych, żeby zjawili się w restauracji o wpół do szóstej, nie chcę więc, by myśleli, że nie zamierzamy dołączyć.

Poczułam konsternację. Źle coś zrozumiałam?

– Pozostali? O kim mówisz?

– O naszej paczce. Choć liczyłem, że uda nam się najpierw spędzić trochę czasu tylko we dwoje. Wygląda jednak na to, że nie ominęły cię korki. Jechałaś tą trasą, którą ci mówiłem?

Wyszliśmy na ulicę.

– Aha.

– Wszystko w porządku?

– Chyba się nie dogadaliśmy. Sądziłam, że będziemy tylko my dwoje. Tak to zabrzmiało. Nie wiedziałam, że pozostali też się zjawią.

– Niewykluczone, że będziemy tylko my. Żadne z nich nie potwierdziło przybycia. – Zerknął na telefon, jakby mógł z niego wyczytać odpowiedź. – My przy stoliku dla pięciu osób – dodał.

Dopiero kiedy odtworzyłam w głowie jego słowa, dotarło do mnie, co powiedział.

– Dla pięciu?

– Uznasz to pewnie za makabryczne, ale pomyślałem, żeby zarezerwować miejsce dla Willa. Willa sprzed lat. To oczywiste, że na jego pogrzebie nie da się zabawić.

– Och, no tak.

Rezerwację mieliśmy we włoskiej restauracji przy głównej ulicy. Po tym, jak kelnerzy nie dawali nam spokoju z powodu nieobecności pozostałych gości, Steve i ja zostaliśmy przeniesieni do stolika pod oknem, gdzie w końcu rozpoczął się wieczór, na który się przygotowałam.

Kiedy rozmawialiśmy wcześniej przez telefon, ani słowem nie wspomniał o spotkaniu grupowym. W co on grał? Nawet nie zapytał, czy mam ochotę zobaczyć się z pozostałymi. Na jakiej on żył planecie, aby sądzić, że interesuje ich spotkanie z nim? Chyba że wydarzyło się coś, o czym nie wiedziałam.

– Nie bądź na mnie zła. – Uśmiechnął się do mnie, prezentując proste zęby i zmarszczki wokół oczu.

Był przystojny, ale też cholernie dziwny. A to była kwestia zasadnicza. Jak mogłam o tym zapomnieć? Jakimś sposobem udało mu się mnie oczarować umiejętnością słuchania i powtarzania ważnych fragmentów moich wypowiedzi, kiwaniem w odpowiednich momentach głową i generalnie byciem miłym. Miałam teraz większą świadomość tego, co potrafił, ale to go wcale nie czyniło mniej uroczym. I to mnie szokowało. Byłam taka spięta, że pozwoliłam, aby Steve przejął inicjatywę.

– To naprawdę miłe spotkanie – stwierdził. – Pewnie powinno tak być od samego początku. – Skrzywił się lekko, po czym zerknął w okno, dając mi tym samym do zrozumienia, że wie, iż trochę nawalił.

Czy byłam choć odrobinę mądrzejsza w kwestii tego, co do niego czułam? Nie. Musiałam poskromić swoje zdenerwowanie. Zamówiłam kieliszek wina, ale go nie ruszyłam. Chciałam mieć możliwość odjechania w dowolnej chwili.

– Słyszałaś coś o Willu? – zapytał Steve.

– Nie, staram się o tym nie myśleć.

– Facet, z którym rozmawiałem, przyznał, że panuje zgodne przekonanie: w tamtych samobójstwach było coś podejrzanego, co zostało przeoczone przez różne departamenty. Mam przeczucie, że nikt nie chce na nowo otwierać starych ran z powodu kogoś, komu nie da się wytoczyć procesu.

– Nie można skazać go pośmiertnie?

– Może tak jest najlepiej. – Wyrzwał przez okno.

– Myślisz?

– Co by zyskały rodziny? Nie przywróciłoby to im córek. A skoro satysfakcjonuje ich obecna wersja wydarzeń, to po co zawracać sobie głowę? Przecież te dziewczyny rzeczywiście miały skłonności samobójcze.

– A co z prawdą?

– Jestem przekonany, że istnieją proste sposoby na wymierzenie sprawiedliwości, jeśli się w nią wierzy. Może brzmi to trochę zimno, trochę „Rupeshowo”, ale myślę, że moja praca wpłynęła nieco na mój idealizm.

– Owszem, brzmi to zimno. Moja mama nadal może umrzeć lub być na zawsze warzywem, Steve.

– Przepraszam, Adeline. – Był wyraźnie zaszokowany. – Ja tylko... Wiesz, nawet nie pomyślałem. Sądziłem, że jej nienawidzisz. No ale to przecież twoja mama.

Co ja tutaj z nim robiłam?

– Naprawdę przepraszam – powtórzył ze wzrokiem wbitym w stół. – Trochę się dzisiaj denerwuję i wszystko chrzanię. Smutno mi, że pozostali się nie zjawili.

Nie potrafiłam tak po prostu odejść. To był Steve Litt. Musiałam doprowadzić sprawę do samego końca.

## Steve, 1998

Z okna pokoju taty obserwuje przyjazd wozów strażackich i stopniowe pojawianie się zaspanych mieszkańców Elm Close. Tak jak przed rokiem paczka wyszła nocą oglądać jego pierwszy atak na Strachana, tak teraz większość społeczności Blythe staje się świadkiem jego finalnego ciosu, który Strachan zapamięta na zawsze.

Jeśli Will się wygada, on go pociągnie za sobą. Widział, jak wybiegł stamtąd długo po tym, jak Steve dotarł do domu. Długo po tym, jak w domu Strachana zapaliło się światło. Z całą pewnością jego obecność została odkryta. Nawet jeśli rzeczywiście wyjawiał prawdę, łatwo się będzie wykręcić. Gdyby zaszła taka potrzeba, tata skłamał dla niego. Powie, że przez całą noc był razem z nim. Jasne, wkurzy się na Steve'a, ale skoro i tak się stąd wyprowadzają, nie będzie chciał już żadnych kłopotów. Nikt tak naprawdę nie może mu już nic zrobić. Nic a nic. Dzisiejszej nocy odnalazł w sobie miejsce, w którym ukrył i zapieczętował zwątpienie w siebie. Nie ma już znaczenia, że inni nie rozumieją, iż to on zawsze wie najlepiej. Nie muszą. Liczy się to, że nikt mu już nie stanie na drodze. Widzi równowagę i harmonię tak samo, jak nietoperze wyczuwają ściany jaskini – nowy zmysł, którego inni nie posiadają. To Steve zapewnił temu latu magię. A teraz wie, jak to zakończyć.

Im dłużej się przygląda chaosowi na ulicy, tym większe żywi przekonanie, że Will go nie sypnie. Czuje się silny i pełen mocy. Trochę jak bóg. A jeśli Strachan złapał Willa, na pewno nie przyjdzie już po Steve'a. Martwi go jedynie, że Willowi udało się w porę uwolnić psa. Zwierzę miało zginąć. Oko za oko.

Widzi Adeline i jej tatę. Chciałby się z nią teraz spotkać. Chciałby, żeby w końcu się namiętnie kochali – nie pieprzyli. Jest na to gotowy. Ale zaczeka. Najważniejsze w końcu się wydarzyło. Wszystko jest w idealnej równowadze.

## Zima 2015

Staliśmy przed jego domem. Zaprosił mnie do środka.

– Chętnie, ale jutro mam dużo pracy. I...

– Co?

– Co my tu tak naprawdę robimy, Steve? Jeśli mam być szczerą, to nie mam pojęcia. W jednej chwili umawiamy się na randkę, w następnej chcesz się spotkać z całą paczką, a ja jestem dla ciebie po prostu jej częścią. Sypiamy ze sobą, a potem nie widzimy się przez kilka tygodni. No i mówisz dziwne rzeczy, i kłamiesz w kwestii Willa, a później nawet nie poruszasz tego tematu.

– Adeline, sądziłem, że wszystko wyjaśniłem. Zapomnij o pozostałych, masz rację, zawsze chodziło tylko o ciebie. Dla mnie bez ciebie nie ma paczki.

– Widzisz...

Miałam ochotę powiedzieć: „A co to, u licha, znaczy?”. Tak bym powiedziała każdemu innemu facetowi. Ale nadal tu stałam i patrzyłam na jego przystojną twarz. „Czemu sama czegoś nie napiszesz?” – tak często brzmiały komentarze hejterów. Łatwo było krytykować. Ostatnia szansa. Mogłam napisać swoje zakończenie. Takie, w którym główna bohaterka nie była beznadziejną idiotką niepotrafiącą odejść od porąbanego faceta.

– Mogę wyjaśnić wszystko raz jeszcze – zaproponował Steve. – Jeśli to coś da. Tylko wejdź do środka.

Przerazające było to, że chciałam wejść i dać się przekonać. Teraz to rozumiałam. Dlatego tak trudno było mi podjąć decyzję.

– Tylko na herbatę – zastrzegłam.

– Wspaniale – odpowiedział i choć niby to ja rozdawałam karty, wcale tak się nie czułam.

W mieszkaniu panowały chłód i wilgoć. Sufity były wysokie, a kiedy Steve prowadził mnie do salonu, przeszliśmy pod łukowatym sklepieniem. Zapalił światło i gestem zaprosił, abym usiadła na jednej z sof ustawionych naprzeciwko telewizora. Na podłodze leżały stare gazety. Nie postarał się. Dawniej był taki porządnicki. Co się z nim stało?

– Wybacz, mam bałagan. Pójdę nastawić wodę.

Wyszedł, a ja omiotłam wzrokiem ten pomnik dorosłego życia Steve’a Litta. Przyglądałam się temu z mieszaniną rozbawienia i autentycznego szoku. Podeszłam do ramki, w której znajdował się kolaż około pięćdziesięciu biletów z koncertów takich wykonawców jak Green Day, PJ Harvey, Garbage. Z trudem znalazłam artystów, którzy nie występowali w latach dziewięćdziesiątych, mimo że najstarszy bilet pochodził z roku 2000. Jedno było pewne – Steve to człowiek konsekwentny. Obok wisiały oprawione w ramki plakaty filmowe: *Stań przy mnie*, *Goonies* i *Podejrzani*. Drugą ścianę zdobiły płyty winylowe, kolaże z pocztówek i kolejne plakaty. Na półkach stały pamiątki filmowe i muzyczne: kubki i modele, książki i płyty. Nawet kilka kaset. Dostrzegłam obrożę i uznałam, że mogła należeć do jego psa z dzieciństwa. Wtedy też miał ją na ścianie. Obok niej przypiął pinezką pudełko zapalek z Głowy Jędzy. Brakowało tylko trzech sztuk.

Tak samo wyglądał kiedyś jego pokój. Dawniej ukrywał go przed nami, mówił, że miałoby się tam wgląd w to, kim on naprawdę jest. Dlatego choć przez całe lato wszystkim było wolno swobodnie poruszać się po jego domu, nawet wchodzić do pokoju jego taty, to nikt nie miał wstępu do pokoju Steve’a. Kiedy w końcu go zobaczyłam, tylko raz, tuż przed wyjazdem Steve’a do Londynu, okazało się, że nie zdradza zbyt wiele o swoim lokatorze. Lubił filmy i muzykę. I tyle.



Ale ten nowy pokój dawał wgląd w to, kim się stał Steve i jaki miał związek z chłopakiem z mojego dzieciństwa. Czy w ogóle istniały jakieś różnice? Nie potrafiłam sobie wyobrazić kobiety, która zjawiłaby się w jego mieszkaniu i nie byłaby lekko zaskoczona. Czy to dlatego nadal był singlem? Dosyć tego. Jakie znaczenie miał fakt, że się nie zmienił? Dorosłość to konstrukt społeczny, prawda? Na swój sposób było to nawet urocze. Ta część mnie, która zawsze miała słabość do Steve'a i która nawet dzisiaj go trochę żałowała, krzyczała w proteście, kiedy go osądzałam. Mieszkania Jona i Xana też tak wyglądały. U mnie także na ścianach wisiało kilka pamiątek filmowo-muzycznych. To, że widziałam związek między przeszłością a teraźniejszością, nie oznaczało, że Steve przez ten czas nie dojrzał i że jego dusza nie uległa przemeblowaniu. Odrobina nostalgii to nic groźnego, byłoby się idiotą, gdyby nie zbierało się jakichś rzeczy z przeszłości – tych najlepszych.

Chciałam usiąść na sofie, ale była zavalona wydrukami i magazynami. Zerknęłam na jeden z periodyków zatytułowany „Psychologia Zdrowia”.

– Możesz mi teraz wyjaśnić, na czym polega twoja praca? – zapytałam głośno.

– To nudne – dobiegł mnie jego głos.

– Okej, już to mówiłeś. Znudz mnie trochę.

– Masz ochotę na konkretny rodzaj herbaty? Jest earl grey albo ziołowa...

– Wystarczy zwykła czarna. No to opowiadaj o pracy.

– Po studiach licencjackich wybrałem względnie nową dziedzinę zwaną ekonomią behawioralną. Przez jakiś czas pracowałem w sektorze publicznym, a po uzyskaniu dyplomu założyłem jednoosobową firmę konsultingową, żeby doradzać, w jaki sposób lepiej sobie radzić z chorobami przewlekłymi przy wykorzystaniu psychologii. No wiesz, pomoc w podejmowaniu decyzji i tak dalej. Tak jak zastępowanie poustawianych przy kasie słodczy owocami i warzywami.

Postawiłam torbę na sofie, po czym podeszłam do okna wykuszowego, z którego było widać ścianę i schodki prowadzące do mieszkania Steve'a.

– Ale nie jesteś jedną z tych osób, które twierdzą: „Ludzie zachowują się irracjonalnie, więc nakłonimy ich podstępem do dbania o zdrowie”.

– No widzisz, dlatego o tym nie wspominałam.

– Jestem pewna, że to się zdarza. Wiele wyjaśnia fakt, że pracujesz w branży zajmującej się kontrolą umysłów.

– Formalnie rzecz biorąc, jest to kontrola zachowania, ale coś takiego robi się dla dobra ogółu. To utrzymuje równowagę we wszechświecie. Niweluje nierówności zdrowotne.

Na jednej z półek stała okrągła podstawa z przytwierdzonym do niej kijkiem, na którym wisały kolorowe bransoletki. Podeszłam bliżej. To opaski na rękę z festiwali, razem koło piętnastu. Green Man 2010, Reading 1999, Secret Garden 2007. Na jednej z nich, prawie na samej górze, zobaczyłam intensywnie czerwone litery: „fest”. Odsunęłam inną bransoletkę i moim oczom ukazało się słowo „Manifest”. Doznałam czegoś w rodzaju *déjà vu*. Kiedy obróciłam bransoletkę, okazało się, że pochodzi z zeszłego roku. Wiedziałam to, jakbym przeżywała tę chwilę tysiące razy. Steve miał opaskę z zeszłorocznego Manifestu. Uśmiechnęłam się, właściwie to szczyrzyłam szaleńczo, gdy tymczasem w środku wszystko we mnie zeszywniało: mięśnie, płuca i myśli. To jeszcze o niczym nie świadczyło. Bransoletka mogła należeć do kogoś innego. Być może Steve je zbierał i jego znajomy... Wszystko w tym pokoju należało do niego. To był on. Choć oczywiście to mógł być zbieg okoliczności. Sama obecność Steve'a na Manifestie niczego nie dowodziła. Wielu ludzi brało udział w festiwalach. Tak samo jak wielu ludzi mieszkało w Yor...

W kuchni łyżeczka uderzyła o kubek.

Och tak, to drugie kłamstwo. Drugi fakt, o którym zapomniałam wspomnieć. Czy policja się o tym dowiedziała? Z tego nie udałoby mu się wykręcić

argumentem o – jakiego on użył słowa? – poufności. To znaczyło, że znajdował się na miejscu zbrodni.

Odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy Steve'a tu nie ma, ale na razie obserwowali mnie tylko panowie z plakatu *Podejrzanych*. Doskonale. Szybkim ruchem obróciłam bransoletkę, potwierdzając to, co już wiedziałam.

Ściany pokoju wydawały się odjeżdżać, mój mózg wykonał sztuczkę znaną z filmów Hitchcocka. Zachciało mi się śmiać, kiedy wszystko we mnie protestowało, że to może nic nie znaczyć. Absolutnie nic. Teraz jednak miałam pełen obraz sytuacji, przypięta do fotela w kinie mojego umysłu: kamera wirowała wokół Steve'a i Willa, siedzących w kącie obskurnego pubu w Yorku. Will powiedział Steve'owi, że zostawia za sobą przeszłość, po czym odszedł. Steve był początkowo zdruzgotany. Potem ogarnął go gniew. Jego twarz wykrzywiła nienawiść. To było typowe dla Willa. Po raz kolejny go odrzucił. Tak jak wtedy, gdy się nie postarał podczas Poświęcenia i zajął ostatnie miejsce. W głowie Steve'a zaczął się krystalizować plan. Pamiętał wzmiankę Willa o serii morderstw, bo miał nadzieję, że Will rzeczywiście tak kiedyś zrobi. Gdyby tak się stało, doprowadziłoby to do zjednoczenia naszej paczki. Tych osób, które się liczyły. Tych oddanych. Coś równie dramatycznego jak zabójcza seria Willa połączyłoby nas na nowo w zupełnie innych okolicznościach niż przypadkowe spotkanie czy kolacja. Pojawiłaby się intensywność. Więzi by się zacieśniły. Po co więc czekać na Willa? A może to on, Steve, dokona tych zabójstw w sposób dokładnie taki, jak opisał przed laty Will? Zaplanuje to tak, żebyśmy razem odkryli zbrodnię Willa. Wiedział, że Will się nie zjawi, że trudno go będzie znaleźć. Doskonale: paczka znowu będzie razem, rozwiązując zagadki, spotykając się. A on zemści się na Willu.

Teraz zobaczyłam zbliżenie na samą siebie. Siedziałam przy komputerze i potwierdzałam swój udział w spotkaniu po latach. No i się zaczęło. Steve znalazł w Yorku pacjentki, z którymi Will także mógł mieć kontakt i które

miały skłonności samobójcze. Dwie osoby pragnące umrzeć – w sumie to nawet im pomógł. Może dzięki swojemu urokowi nakłonił je do zawarcia paktu samobójczego. Albo po prostu umówił się z nimi w jakimś miejscu, nafaszerował je prochami, a potem zabił. Przewiózł ofiary nad Loch Ness i na Manifest. Dla Steve'a Litta, architekta naszego dzieciństwa, planowanie było drugą naturą. Może to nawet on nakręcił ten filmik ze zwłokami na Manifeście lub napisał komentarze, dzięki którym Jen udało się na niego natrafić.

W tej chwili przez moją głowę przemykało zbyt wiele obrazów. Trudno się było skupić na jednym. Czy zabicie Willa od początku stanowiło część planu, czy też dodał to później, w ramach zemsty za przystawienie mu noża do gardła? A może po prostu stracił kontrolę, kiedy zanosilo się na to, że paczka się rozpadnie? Ciekawe, co sobie pomyślał, gdy Jen podjęła działania na własną rękę.

Musiał zmyślić tę historię o torach, tak jak twierdził Rupesh. I teraz rozumiałam dlaczego. Tyle niepotrzebnego poświęcenia, tyle odwagi w obliczu niebezpieczeństwa. A co powiedział tamtego wieczoru w hotelu? „Nie da się zmusić kogoś do tego, żeby zrozumiał, ile dla ciebie znaczy”. No i mama. Pewnie uznał, że oddaje mi przysługę. Dwie pieczenie na jednym ogniu; chory, romantyczny prezent i przedstawienie zamiarów.

Jak udało mu się przenieść ciała pod słup? Pewnie tak samo, jak sprawić, abym ja się nie obudziła. Owszem, po tamtych nocach wstawałam potwornie zmęczona i mocno mnie mdliło. No i jak dziwnie smakowało to hotelowe wino. Widziałam, jak odwrócony plecami wyjmuję mały woreczek i wsypuje do kieliszka jego zawartość. Specjalne wino z hotelowego baru, nie ten sikacz z lodówki w pokoju.

To wszystko wydawało się prawdopodobne, nie tylko ze względu na jego zachowanie. Był taki spokojny, taki opanowany, aż do samego końca. W mojej pamięci nadal przypisywałam mu kolor czerwony, ale teraz to była niebezpieczna, każąca się trzymać z dala czerwień. Powodem mogło być to,

że Steve wiedział te wszystkie rzeczy, które Will powiedział mu w zaufaniu i którymi rzekomo nie mógł się podzielić, tyle że plan się nie powiódł. Chyba że ja, jako nagroda pocieszenia, miałam się okazać wystarczająca. Bo on najwyraźniej mnie kochał, w jakiś dziwny, szaleńczy sposób. Nasza relacja była ważna dla całej historii, Król i Królowa Elm Close.

– No i jak ci się tu podoba? – odezwał się Steve zza moich pleców.

Oglądałam wystarczająco dużo filmów, żeby wiedzieć, że właśnie teraz powinnam podskoczyć, odwrócić się i nie potrafić ukryć zdenerwowania. Stałam więc nadal przed półką z bransoletkami, przed pudełkiem zapalek, przed nostalgią. Dostrzegłam wyblakły wycinek z „Marlstone Times”, na którym we czworo stoimy za Willem, pozującym do zdjęcia z rzymskim garnkiem. Ale się wydawaliśmy szczęśliwi.

Głęboko oddychając, odwróciłam się do Steve’a. Jego uśmiech był nieśmiały i ciepły, a wokół oczu wróciły urocze małe zmarszczki. Naprawdę nie wierzyłam, że zabił te kobiety, nie mogłam w to wierzyć. Mogłam? Trzymał w ręce kubek z herbatą. Na jego twarzy malował się niepokój.

– Mam nadzieję, że nie nalałam zbyt dużo mleka.

– Jestem pewna, że... – Urwałam. Nie patrzyłam już na twarz Steve’a, ale na jego T-shirt, którego nie zakrywał rozpinany sweter.

– Super, nie? – zapytał, zerkając na swój tors.

Pośrodku czerwonego materiału widniał obrazek, na którym Kudłaty trzymał na rękach przerażonego Scooby-Doo i obaj oglądali się na trzy duchy wyłaniające się z zegara dziadka. *Scooby-Doo spotyka braci Boo* – tak głosił napis nad rysunkiem, a dwoje oczu tworzyło dwie litery „o” w słowie „Boo”.

– Szkoda, że pozostali tego nie widzą – dodał.

– Ten film nadawałby się do kosza – oświadczyłam.

Steve się zaśmiał, po czym powiedział:

– Z dużym zainteresowaniem wpatrywałaś się w ścianę. Co takiego zobaczyłaś?

– Chyba nie widziałam wcześniej tego wycinka z gazety.

Drzwi znajdowały się daleko ode mnie, a na drodze stał mi Steve.

– Może powinienem go teraz zdjąć. Albo zamazać ich twarze.

Zrobiłam krok w jego stronę i wzięłam od niego kubek z herbatą. Steve oparł rękę o ścianę z łukiem, zupełnie blokując mi przejście.

– Myślę, że zostawiłem tam bardzo ważną część siebie – stwierdził, wbijając we mnie zdziżące spojrzenie.

– Też tak myślę.

– Muszę się nauczyć odpuszczania.

– Coś takiego bywa ożywcze. – Martwiłam się, że Steve wyczuwa mój strach. Postanowiłam zmienić temat. – Gdzie jest ubikacja?

Przez chwilę się zastanawiał, jakby nie mógł sobie przypomnieć, gdzie w jego mieszkaniu znajduje się toaleta. Jakby się przeniósł w zupełnie inne miejsce. Odsunął się i wskazał drzwi na drugim końcu korytarza. Pozwolił mi przejść. Podałam mu kubek, żeby miał zajętą rękę, po czym minęłam drzwi wejściowe. Ubikacja była wielkości szafy, jedynie biała umywalka i biała muszla klozetowa.

Nie mogłam zadzwonić na policję. Usłyszałyby mnie. Dało się wysłać policji esemesa? Napisałam do Rupesha i Jen. Poinformowałam ich o tym, gdzie jestem, zapewniłam, że teraz im wierzę i że muszą mi pomóc. Potrzebowałam pretekstu, aby opuścić mieszkanie Steve'a. Spuściłam wodę i wyszłam, licząc, że wiadomość została wysłana.

– Chyba powinnam się zbierać.

Oddał mi kubek, dotknął mojego ramienia i nachylił się nade mną. Nasze czoła się zetknęły. Walczyłam z chęcią odsunięcia się.

– Proszę, nie rób tego – powiedział cicho. – Moglibyśmy urządzić sobie maraton filmowy pod tytułem „Filmy z naszej przeszłości”.

– Fajnie by było. – Cofnęłam się o krok. Sprawdziłam, czy herbata jest wystarczająco gorąca, żeby go oparzyć, gdyby zaszła taka konieczność. Pociągnęłam łyk, ale się okazało, że wystygła. – *Zabijanie na śniadanie.*

– Otóż to. – Oczy miał wygłodniałe jak u pisklęcia: więcej, więcej, więcej.

– *Faceci w czerni.*

– Aha. – Zrobił krok w moją stronę.

– Eee... – Był wilkiem alfa, próbującym zdecydować, czy stanowią część jego watahy.

Zadzwoił mój telefon. Głośno, nieznośnie, pięknie. Wyjęłam go, zerknęłam na wyświetlacz i przywołałam na twarz wyraz niepokoju.

– Może chodzić o mamę.

Odebrałam.

– Cześć, tato. – Ponownie oddałam Steve'owi kubek.

– Adeline, wszystko w porządku? – zapytał Rupesh. Modliłam się, żeby Steve go nie rozpoznał.

– Chwileczkę, tato, nie słyszę cię. – Przyłożyłam telefon do piersi i rzuciłam do Steve'a: – Miałeś rację, fatalny jest tu zasięg.

Bez wahania, jakbym odrywała plaster albo wskakiwała do lodowato zimnej wody w jeziorze, aby udawać skurcze i tonięcie, przyłożyłam telefon do ucha i ruszyłam w stronę drzwi. Sięgnęłam do klamki.

– Chwila, tato.

Czekałam na dłoń na ramieniu, ręce wokół talii, odgłosy pościgu, ale drzwi się otworzyły i twarz owiało mi świeże powietrze. Steve nie powstrzymał mnie przed wyjściem na dwór ani przed wejściem po schodkach, ani przed udaniem się na koniec podjazdu, gdzie z całą pewnością już mnie nie słyszał.

– Cholera, Rupesh – rzuciłam do telefonu.

Obejrzałam się i dostrzegłam octawię Steve'a. Taki duży samochód dla jednej osoby. Z takim dużym bagażnikiem. Pachniał nowością, jakby

dopiero co został kupiony. Tuż przed naszym spotkaniem.

Opowiedziałam Rupeshowi wszystko, jednocześnie próbując udawać zatroskaną córkę. Był spokojny, powiedział, że muszę stamtąd wyjść, a potem udać się na policję, najlepiej w Marlstone. No i nie mogłam dać po sobie poznać, co widziałam.

– Zadzwoń do mnie, jak już będziesz w drodze. Jeśli nie zrobisz tego w ciągu dziesięciu minut, skontaktuję się z policją.

Rozłączyłam się i wróciłam ku schodkom.

– Steve! – zawołałam.

Pojawił się w drzwiach. Tak szybko, jakby czekał tuż za progiem.

– Muszę jechać, mamie się pogorszyło. Tata jest cały w rozsypce.

– O nie. Mam jechać z tobą?

– Nie. – Wtedy sobie przypomniałam, że w salonie została moja torba. Miałam w niej kluczyki do samochodu. – Przyniósłbyś mi torbę?

– Gdzie ona jest? Nie chcesz sama po nią iść?

Odsunął się, robiąc mi miejsce w drzwiach.

– W salonie – odpowiedziałam.

– Nie byłoby prościej...

– Steve, możesz mi ją po prostu przynieść? Nie chcę zgubić sygnału, na wypadek gdyby znowu dzwonił. – Nie ruszył się. Przeszył mnie świdrującym wzrokiem. – Ona chyba umiera.

To bolesne kłamstwo odniosło pożądany skutek. Steve powoli się odwrócił i wycofał do mieszkania. Nie spieszył się. Musiał wiedzieć, że znalazłam bransoletkę. Na pewno się zastanawiał, jak to wszystko wyjaśnić. Poziom arogancji wymagany do pozostawienia jej na widoku sugerował, że nie miał kontroli...

– Proszę. – Trzymał torbę w ręce. Chciał, żebym ją od niego wzięła. Na dole, gdzie nikt nas nie będzie widział.

– Możesz mi ją tu przynieść? Dziwnie się zachowujesz.

– Naprawdę? Jeśli ktoś tu się dziwnie zachowuje, to...



– Steve, moja torba.

Westchnął. Ponownie obejrzał się na mieszkanie. Przez chwilę się zastanawiałam, czy zamierza do niego wrócić i zmusić mnie do przyjscia po torbę. Nie było takiej opcji. Jeśliby tak zrobił, uciekłabym.

Nie musiałam. Powoli, powoli wszedł po schodach i mi ją podał. Kiedy wzięłam od niego torbę, nie stawiał oporu. Założyłam pasek na ramię i w tym momencie Steve chwycił mnie za rękę. Podskoczyłam. Nie, on mnie tylko lekko dotknął.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. Wilk zniknął. Wrócił Steve Litt, zaniepokojony i nieco urażony. – Kocham cię. Wiesz o tym, prawda?

I nawet teraz poczułam przypływ czułości. Trwało to ułamek sekundy, ale jednak. Jakaś biologiczna walka feromonów, a może nostalgia, na którą przecież powinnam już być odporna.

– Dzięki, Steve – rzuciłam. – Naprawdę muszę jechać.

Nie oglądając się, z udawanym spokojem udałam się na koniec podjazdu, a gdy zniknęłam mu z oczu, puściłam się biegiem do samochodu. Przez chwilę siedziałam w nim oszołomiona, nie mogąc złapać tchu. Wsunęłam kluczyk do stacyjki, po czym położyłam trzęsące się dłonie na kierownicy. Zwróciłam uwagę na moje długie paznokcie. Kiedy przestałam je obgryzać?! Wyjechałam z zatoczki i skierowałam się prosto do Blythe, a gdy zostawiłam za sobą kręte drogi i w końcu dotarłam na miejsce, poczułam taką radość na widok tej wioski jak jeszcze nigdy.

## Adeline, 1998

Leżą w łóżku Steve'a w pozycji na łyżeczkę, twarzami do okna. On obejmuje ją w talii. Zasłony są rozsunięte, co nie znaczy, aby Adeline się tym przejmowała, nie teraz, kiedy jej ciało drży jeszcze z ekscytacji i szoku. Jest jej gorąco, choć w domu panuje chłód. Odwraca się i całuje Steve'a, a on odwzajemnia pocałunek. Ponownie patrzy w okno i przygląda się gwiazdom.

– Zawsze widzisz ich tak wiele? – pyta.

– Dlatego nie zaciągam zasłon.

Jego dłoń zsuwa się i gładzi brzuch Adeline tuż poniżej pępka. To zabawne, że swego czasu zamartwiała się tym, czy powinna robić coś z włoskami. Zastanawiała się, czy będzie się ich spodziewał. Takich gęstych, sztywnych. Teraz, kiedy na pośladkach czuje takie same włoski, wcześniejszy niepokój wydaje jej się idiotyczny.

– Widziałas *Facetów w czerni*? – pyta Steve. – Ten film z Willem Smithem?

Temat nieszczególnie romantyczny, ale w tej chwili może mówić o czymkolwiek, a jej to nie będzie przeszkadzało. Wszystko jest jak należy, wyważone, kompletne. Nawet w tym pokoju, w którym unosi się woń starych skarpetek, na ścianie wiszą obroza nieżyjącego psa i pudełko zapalek, a obok nich dwa różne plakaty filmowe.

– Oglądaliśmy go razem w zeszłe lato.

– Pamiętasz zakończenie? Kamera się oddala i okazuje się, że Ziemia to kulka.

– Którą bawią się kosmici. Oczywiście. Zawsze o tym myślę, kiedy patrzę w gwiazdy. Dociera do mnie wtedy, jak jesteśmy malutcy.

– I jak bezsensowne jest to wszystko. – Steve całuje ją w ramię.

– Aha – przytakuje.

Czy rzeczywiście tak uważa? W książkach poświęconych filozofii, które od niedawna czyta, poruszany jest temat poczucia bezsensu, ale jeden z myślicieli przedstawia sprytny argument, który stanowi wyzwanie dla tej idei.

– Właściwie to nie. Myślę, że to my decydujemy o tym, co jest ważne – dodaje. – Może znaczenie zależy od tego, czego lub kogo ono dotyczy? No wiesz, ci wielcy kosmici uważają nas za mało znaczących, no ale dla nas to oni są nieważni. Dlaczego więc cudzy punkt widzenia ma przesłaniać nasz?

– Chyba po prostu spodobał mi się pomysł, że nic nie ma znaczenia, bo dzięki temu niczego się nie boję. Dzięki temu czuję, że świat jest po to, aby z niego czerpać.

Steve milczy. Jest poirytowany? Całuje ją w ramię, więc raczej nie.

– Myślisz, że jeszcze się kiedyś spotkamy? – pyta Adeline. – Mam na myśli naszą paczkę.

– Pewnie nie. Łatwiej być w paczce, kiedy jest się dzieckiem. Wszyscy mamy ze sobą wiele wspólnego, bo tak naprawdę niczego jeszcze nie osiągnęliśmy. Dorośli łączą się w pary i rzadko mają przyjaciół, prędzej kolegów z pracy.

To prawda. Rodzice Adeline garstkę zaledwie osób nazywają przyjaciółmi, ale rzadko się z nimi widują, nie licząc urodzin albo pogrzebów.

– Jeśli się wszyscy kiedyś spotkamy – kontynuuje – będziemy wieść zupełnie odmienne życie. Pewnie niechętnie się pojawimy na głupim spotkaniu po latach z ludźmi, których już nie znamy. W sumie to smutne.

– Może Will dokona tych swoich zabójstw i wtedy z pewnością na nowo się zjednoczymy – oświadcza Adeline.

Rozbawione prychnięcie łaskocze ją w plecy. Przez długą chwilę w pokoju panuje cisza. I wtedy Steve mówi:

– No, tak by się pewnie stało.

## Później

Zacząło się od plotek, niespokojnych uwag w stylu: „Nie jestem pewny, czy o tym słyszałaś”, z ust tych niewielu przyjaciół i członków rodziny, którzy wiedzieli, co się wydarzyło. A jej na początku udało się je lekceważyć. Nie czytała komentarzy i nie zaglądała na fora, na których mogłyby krążyć podobne wzmianki. Do nikogo nie dzwoniła i nikogo nie niepokoiła. Nie, takie plotki były zbyt absurdalne, zbyt potworne, żeby poświęcać im swój czas i myśli.

Później, jakiś rok po tym, jak dotarły do niej pierwsze pogłoski, Jon oświadczył Adeline, że to prawda. Był piątek tuż przed Bożym Narodzeniem, a oni właśnie skończyli nagrywać kolejną audycję dla BBC.

– Nie chciałem, żebyś dowiedziała się przez przypadek – rzekł.

Kiedy jechała do domu metrem, powróciły do niej fragmenty wszystkiego, co przez długi czas tak bardzo usiłowała zapomnieć.

W domu poprosiła chłopaka o trochę przestrzeni, po czym położyła się na łóżku z telefonem i odszukała podcast, o którym wszyscy próbowali jej powiedzieć. Przez długi czas wpatrywała się w sufit, w końcu włączyła odtwarzanie. Pierwszy głos, który rozpoznała, należał do Xana. W ciągu tych lat, które upłynęły od ich ostatniego spotkania, jego podcast wzbudził wątpliwości dotyczące dwóch osobnych wyroków za morderstwo, co zaskutkowało ponownymi procesami. Dwa pierwsze sezony doczekały się odpowiednio dwóch milionów i trzech milionów wyświetleń. Adeline słuchała jednak tego po raz pierwszy. Po zakończeniu „Szczypty nostalgii” Xan nie wykazał zainteresowania podtrzymaniem ich znajomości.

Głos Xana, który swego czasu działał na nią kojąco, przez niemal pół godziny przywoływał szczegóły sprawy i w większości przypadków miał rację. Opowiadał o tym, że jego nowy bohater został skazany tylko za zabójstwo Willa Oswalda, o tym, że krążyły plotki o innych morderstwach, za które nikt nie poniósł kary: dwie kobiety (rzekomo popełniły samobójstwo); niejaki Bill Strachan (zweglone zwłoki znaleziono w jego domu i podejrzewano, że to był wypadek); matka i ojciec bohatera.

– Możesz mówić mi Steve, jeśli chcesz – odezwał się i choć Adeline spodziewała się usłyszeć jego głos, zmroziło ją. – Imię Steven przypomina mi o mojej mamie. A czy ja mogę zwracać się do ciebie po imieniu?

Nie, to na pewno aktor udający Steve’a Litta.

A może jednak nie?

Och, jakie to niesprawiedliwe, że wolno mu się było wypowiedzieć w ten sposób, jakie cholernie niesprawiedliwe, że nic go nie mogło powstrzymać przed dotarciem do uszu milionów. A może Xan upojony własnym sukcesem nagiął po prostu przepisy, żeby na to pozwolić?

Kiedy Xan po raz pierwszy przywołał jej imię, wyczuła, że nie chodzi mu jedynie o poznanie prawdy.

– Moje zainteresowanie tym tematem ma wymiar osobisty – wyjaśnił Xan. – Swego czasu pracowałem z osobą, która zeznawała przeciwko Steve’owi Littowi i która uczestniczyła w wydarzeniach w Blythe w noc śmierci Willa Oswalda.

Adeline próbowała zachować spokój, próbowała się skupić na wiszącym nad nią żyrandolu, skoncentrować na konsekwencjach tego, co słyszy. Ale to było trudne. Nienawidziła za to Xana – znacznie bardziej niż Steve’a Litta.

– Chcesz mi opowiedzieć swoją wersję zdarzeń? – zapytał Xan.

– Tak po prostu? – W głosie Steve’a było słychać niepewność. – Okej. To wszystko wydaje się takie intensywne. Trochę jak w filmie Przed egzekucją.

*Xan skomentował, że Steve jest czarujący, że Przed egzekucją to jego ulubiony film i że niezwykła empatia Steve'a może świadczyć zarówno o jego winie, jak i niewinności.*

*Adeline miała ochotę krzyknąć – że to wcale nie cholerna empatia. Steve to sprawdził, przesłuchał stare podcasty i zapamiętał, że Xan kiedyś o tym wspomniał. Steve Litt zrobiłby coś takiego, żeby potem oczarować Xana – nie, flirtować z nim – i przeciągnąć go na swoją stronę.*

*Adeline musiała zachować odpowiednią perspektywę: bez względu na to, co w tej serii odkryje Xan, z całą pewnością Steve'owi nie uda się zakwestionować swojego wyroku. Jednak to był dopiero pierwszy odcinek z ośmiu. Co jeszcze mogło się wydarzyć? Być może zadzwoni do niej Xan, prosząc o jej wersję wydarzeń. Może skontaktował się już z Jen i Rupeshem. Jeśli nie, będzie ich musiała ostrzec.*

*Steve powtórzył Xanowi to, co zeznał w sądzie: że z kimś był podczas tych nocy, kiedy rzekomo zrobił to, o co go oskarżano, i że zgranie tego wszystkiego w czasie zupełnie nie trzyma się kupy.*

*– Sporo o tym myślałem – dodał, sprawiając wrażenie zagubionego i bezbronno. Dobrze odgrywał swoją rolę. – Doszedłem do następującego wniosku. O tym, że doskonały ze mnie manipulator, ławę przysięgłych przekonał fakt, iż studiowałem nauki behawioralne. No i jeszcze zeznania pozostałych osób. Jak można na to zareagować? Troje ludzi, którzy cię znają. O nie, ich opinia na mój temat bazuje na tym, jaki byłem jako nastolatek.*

*To, w jaki sposób mówił... Och, łatwo było zrozumieć, dlaczego Xana tak zainteresował jego przypadek.*

*Xan zapytał Steve'a o plotki związane z jego innymi rzekomymi zbrodniami. Steve nieugięcie twierdził, że bransoletkę z Manifestu kupił na targu jako pamiątkę po tym, przez co przeszli razem podczas tamtego Bożego Narodzenia. Ponurą pamiątkę. I zarzekał się, że nigdy nie był w Szkocji. Xan za to odgrywał rolę bezstronnego gospodarza, co w sumie*

było dziwnym zadaniem w programie zatytułowanym „Ponad wszelką wątpliwość”, którego celem było naprawianie pomyłek sądowych. Co on na to, że policja miała alibi dla Willa Oswalda przynajmniej na tę śmierć na Manifeście? Dotarła do prostytutki, która spędziła z Willem wiele czasu w tamtym roku i która pamiętała dokładnie ten weekend z Manifestem, bo na festiwal pojechała jej siostra. Zapytał także o DNA Steve’a na laptopie Willa i fałszywy adres e-mailowy na nazwisko Willa, który prowadził do jego adresu IP w Oksfordzie, a także o znalezione w bagażniku Steve próbki włosów Rupesha i Willa.

Cisza. W końcu zrezygnowany Steve rzekł:

– Nie potrafię udzielić odpowiedzi na wszystkie pytania. Wiem, jak to wygląda, i możliwe, że na miejscu ławy przysięgłych sam bym wydał wyrok skazujący. Już nawet się nie złościę. Ja... Do człowieka z czasem dociera, że wiele istotnych rzeczy siedzi wyłącznie w jego głowie. No i nadal brakuje mi tych ludzi, choć trafiłem tutaj tylko z ich powodu.

– Czujesz gniew?

– Nie. Czasami.

Och, Steve wydawał się taki cholernie szczery, taki przybity: czarujący młody człowiek, którego skrzywdzili przyjaciele i system. Adeline widziała to z chłodną jasnością: Steve starał się nabrać świat tak samo jak kiedyś ją. Wydawało się to wiarygodne. Ona jednak wiedziała, że nie może na to pozwolić, że będzie z nim walczyć. Zamierzała pozwolić, aby wróciła przeszłość, tak by mogła go znowu zgnieść. Musiała sobie wiele przypomnieć. Pewnie konieczne będzie spisanie tego wszystkiego. Skontaktowanie się z Jen i Rupeshem.

Pseudodziennikarskim tonem Xan zadał kolejne pytanie: co powiedziała by Steve na znalezienie prawdziwego sprawcy?

– To przecież jasne, że nie mógł to być Will, więc według ciebie, Steve, kto to zrobił? Jedna z pozostałych osób?



*Adeline niemal słyszała, jak Steve kręci głową, tak bardzo niespokojny, zdenerwowany.*

*– Nie potrafię nawet o tym myśleć. Muszę mieć na względzie to, jak by mnie odbierano, gdybym zaczął pokazywać palcem, nie mając racji. Nadal uważam, że prawdopodobnie zawalili w kwestii Willa. Wracam myślami do tamtego pierwszego wieczoru, kiedy wszystko się zaczęło. Ta atmosfera, jego twarz, sposób, w jaki mówił. Bałem się go. Może to była zupełnie obca osoba. Ktoś, komu Will wydawał rozkazy. Nie wiem. Jakiś czas temu zasugerowałbym pewnie, że to pan Strachan, ten człowiek, który w Blythe sprawiał nam problemy, no ale słyszałem, że nie żyje. – Urwał, po czym dodał: – Wiem, że to zabrzmia absurdalnie. To znaczy... – Zawiesił dramatycznie głos. – Rupesh żywił do mnie urazę. Ale on nigdy by tego zrobił. Jednocześnie zastanawiam się, czemu skłamał, że mnie widział, skoro był nieprzytomny. Chyba że to halucynacje. Mnie tam nie było, tyle mogę powiedzieć. No a co z jego domem nad Loch Ness?*

*– Jakim domem? – To był haczyk na Xana. Haczyk na publiczność. Adeline zrobiło się niedobrze.*

*– Tym, do którego pojechał rozrzucić prochy swojego taty mniej więcej w tym samym czasie, gdy zginęła ta dziewczyna. Nie słyszałeś o tym? Chętnie bym się dowiedział, co tam przechowuje. Powiedział mi kiedyś, że pod podłogą znajduje się sejf. Co się w nim kryje?*

*A potem Steve został poproszony o opowiedzenie całej historii, tak jak ją zapamiętał. W tym samym momencie Adeline przystąpiła do układania w myślach swojej.*

*– Od czego mam zacząć? – zapytał Steve.*

*– Może od początku?*

*– Okej. Postaram się.*

*Adeline usłyszała jego uśmiech, oczami wyobraźni widziała go w więzieniu, nadal wyglądającego jak upadły, ale starzejący się z godnością gwiazdor filmowy. Nie dopuści do tego. Nie, tak się nie stanie.*

*Xan chciał sprawiedliwości, ale szukał jej pod niewłaściwym adresem. Adeline wiedziała jednak, jaki adres jest właściwy: Sara Kuzmiski, Ellie Kidd, Bill Strachan, mama. Will Oswald.*

*Sam czas nigdy niczego nie naprawił; sprawiedliwość potrzebowała prowokacji.*

*Znalazła długopis i notes. Zaczęła sobie przypominać.*

*Do drzwi zapukał jej chłopak i zapytał, czy wszystko w porządku.*

*– Tak! – odkrzyknęła Adeline.*

*– Potrzebujesz czegoś?*

*– Jedyne czasu.*

*W podcaście panowała cisza. I kiedy już chciała go wyłączyć, usłyszała, jak Steve mówi:*

*– Wszystko zaczęło się tego wieczoru, kiedy Will nam powiedział, że zamierza zostać seryjnym zabójcą.*

---

[1] Royal Society for the Prevention of Cruelty to Animals, czyli Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Zwierząt [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].